ISSN 1509-6726

Pismo Akademii Pedagogicznej w Krakowie

NR 1/2007 (28)

KONSPEKT

- **Dyskusja redakcyjna**
  Edukacja muzyczna stan obecny i perspektywy
- **Rok Szymanowskiego**
- **Sylwetki**
  Jo Privat
- **Rozmowy Konspektu**
  Andrzej Sikorowski
  Andrzej Marchewka
- **Galeria Konspektu**
  Mariusz Drohomirecki
- **Wiersze**
  Wojciech Wiercioch
- **Muzykoterapia**
- **Miyar Himalaya Expedition 2006**

e-mail: konspekt@ap.krakow.pl www.ap.krakow.pl/konspekt

olej/płótno, 70x50 cm

Mariusz Drohomirecki

Stary Kraków o świcie

Tematem wiodącym bieżącego numeru „Konspektu" jest edukacja muzyczna. Otwiera go zapis dyskusji na temat: „Edukacja muzyczna – stan obecny i perspektywy", którą zorganizowała redakcja „Konspektu" przy współpracy z Katedrą Edukacji Artystycznej Akademii Pedagogicznej. Wzięli w niej udział m.in. przedstawiciele władz naszej Uczelni oraz krakowskiej Akademii Muzycznej. Dyskutanci starali się zwrócić uwagę na stale obniżający się poziom kształcenia muzycznego dzieci, co jest efektem m.in. ciągłych zmian w programach szkolnych oraz traktowania muzyki, jako przedmiotu „drugiej kategorii". Mamy nadzieję, że głosy z tej dyskusji zwrócą uwagę na ten istotny problem edukacyjny. Z tematyki muzycznej godne polecenia są m.in.: artykuł Katarzyny M. Nogieć – poświęcony muzykoterapii oraz Romy Ławrowskiej – analizujący współczesną edukację muzyczną. Zamieszczamy również wywiady z dwoma krakowskimi muzykami: Andrzejem Sikorowskim – liderem słynnej Grupy Pod Budą oraz Andrzejem Marchewką – jazzmanem, grającym w zespole Beale Street Band.

W numerze znalazło się sporo tekstów o charakterze wspomnieniowo-biograficznym. W Roku Karola Szymanowskiego o znaczeniu jego muzyki pisze Małgorzata Janicka-Słysz. Życie i utwory francuskiego akordeonisty Jo Privata opisuje Kazimierz Gajda, zaś o postaci i dorobku Stanisława Bursztyńskiego – śpiewaka operowego – opowiada Marcin Kania. Sylwetkę innego wybitnego Polaka – Ryszarda Kapuścińskiego, i jego związki z Akademią Pedagogiczną przybliża Edward Chudziński. Działalność księdza Franciszka Blachnickiego wspomina Marek Glogier.

Uwadze Czytelników polecamy także artykuł o tzw. historiach alternatywnych autorstwa Piotra Krywaka. Ciekawy reportaż z wyprawy w Himalaje przygotowali studenci z Koła Geografów. Jak zwykle nie zabrakło stałych działów naszego pisma. W Galerii „Konspektu" gościmy Mariusza Drohomireckiego – artystę, który jako temat prac upodobał sobie Kraków, a szczególnie dachy starych kamienic. Poetą numeru jest Wojciech Wiercioch – znany Czytelnikom „Konspektu" eseista i aforysta. Historię AZS-u opowiada Czesław Michalski, zaś Piotr Pacholarz zachęca do zwiedzenia Niepołomic.

Zapraszamy także do lektury anegdot z życia matematyków, zebranych i opracowanych przez Piotra Pragacza. Zachęcając do zapoznania się z całym zeszytem serdecznie dziękujemy wszystkim Autorom. Szczególne słowa podziękowania kierujemy do prof. Adama Korzeniowskiego i dr Romy Ławrowskiej za współpracę przy tworzeniu niniejszego numeru.

Życzymy przyjemnej lektury.

KONSPEKT

1/2007 (28)

AKADEMIA PEDAGOGICZNA im. KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

REDAKCJA
Stanisław Skórka
(redaktor naczelny)
Marcin Kania
(sekretarz redakcji)
Michał Grzeszczuk
Bartosz Ochoński
Dorota Kamisińska

PRZEWODNICZĄCY
RADY PROGRAMOWEJ
prof. Tadeusz Budrewicz

WSPÓŁPRACA
Iwona Tomasik
Elżbieta Sionko
Marek Karwala
Czesław Michalski
Jerzy S. Ossowki
Piotr Pacholarz

ZDJĘCIA
Marian Pasternak
Mieczysław Więcławek

SKŁAD
Krzysztof Porosło

PROJEKT OKŁADKI
Jadwiga Burek

WSKAZÓWKI DLA AUTORÓW
Artykuły do 5 str. A4
(ok. 13 000 znaków)
Sprawozdania do 3 str. A4
(ok. 7800 znaków)
Wysokość tekstu 12 pt; 1,5 wiersza interlinii; Times New Roman
Materiały ilustracyjne w formacie TIFF, JPEG o rozdzielczości ponad 300 dpi.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmian redakcyjnych.
Propozycje reklam i ogłoszeń prosimy przekazywać na adres redakcji

Pismo Akademii Pedagogicznej
im. Komisji Edukacji Narodowej
http://www.ap.krakow.pl/konspekt
30-084 Kraków
ul. Podchorążych 2, pok. 7p
tel. (0-12) 662 61 28
fax: (0-12) 635 88 85
e-mail: konspekt@ap.krakow.pl

5 Dyskusja redakcyjna

W tej chwili możemy mówić, że całe pokolenie (po eksperymencie wprowadzenia przedmiotu sztuka) jest de facto pozbawione możliwości prawidłowego kształtowania swojej wrażliwości muzycznej i plastycznej
– mówi prof. **Jerzy Kurcz**, jeden z uczestników dyskusji nt. *Edukacja muzyczna – stan obecny i perspektywy*

16 Muzykoterapia

Oprócz likwidacji zmęczenia gasi negatywne emocje, takie jak: złość, niechęć, agresja, stres, strach. Z drugiej strony dodaje energii, poprawia pamięć, pomaga w pracy i w wypoczynku
– pisze **Katarzyna M. Nogieć**

20 Wychowanie muzyczne

Nowoczesna edukacja muzyczna polega na organizowaniu wielostronnej aktywności uczniów, odczuwaniu jej w muzycznym działaniu i przeżywaniu. Aktywność ruchowa, głosowa czy instrumentalna spełnia tak wielorakie i uniwersalne funkcje, że jej udział w kształtowaniu osobowości nauczycielskiej wydaje się niezbędny – twierdzi **Roma Ławrowska**

27 Rozmowy „Konspektu" 49

Andrzej Sikorowski

Andrzej Marchewka

34 Rok Karola Szymanowskiego

Sylwetkę wielkiego polskiego kompozytora przybliża **Małgorzata Janicka-Słysz**

39 Sylwetki artystów

Jo Privat
– wybitny akordeonista francuski

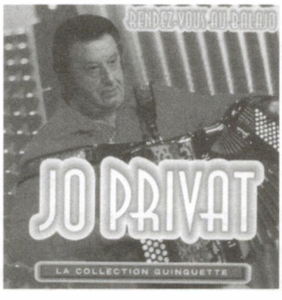

42

Stanisław Bursztyński
– solista Państwowej Opery Śląskiej

54 Galeria „Konspektu"

Twórczość **Mariusza Drohomireckiego** przedstawia **Marek Karwala**

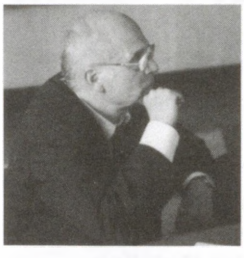

57 Wspomnienia

O **Ryszardzie Kapuścińskim** i jego związkach z Uczelnią opowiada **Edward Chudziński**

62 Literatura popularna

Przewidywanie coraz częściej zastępowane jest przez rewizję, a przedmiotem ich domniemań i manipulacji staje się przeszłość. Pisarzy nie interesuje już, co będzie. Ciekawi ich, co by było gdyby... – uważa **Piotr Krywak**

76 Wiersze

Wojciech Wiercioch

90 Biografie

O działalności księdza **Franciszka Blachnickiego** pisze **Marek Glogier**

106 Humor

Anegdoty z życia naukowców zebrał **Piotr Pragacz**

Spis treści

5 Edukacja muzyczna – stan obecny i perspektywy
16 Katarzyna Maria Nogieć, Niezwykłe możliwości muzyki
20 Romualda Ławrowska, O potrzebie kształcenia muzycznego studentów specjalności pedagogicznych
24 Katarzyna Lange, Józef Romek, Teatr szkolny – formy i treści w kształceniu przyszłych nauczycieli
27 W teatrze codzienności. Wywiad z Andrzejem Sikorowskim
34 Małgorzata Janicka-Słysz, Wrażliwy buntownik. Karol Szymanowski (1882–1937)
39 Kazimierz Gajda, Jo Privat przy dźwiękach akordeonu
42 Marcin Kania, Stanisław Bursztyński
45 Anna Stopińska-Ziętkiewicz, Muzyka w bibliotekach publicznych
47 Waldemar Domański, Biblioteka Polskiej Piosenki
49 Jazz to moje życie. Rozmowa z Andrzejem Marchewką, liderem jazzowego zespołu Beale Street Band
52 Iwona Tomasik, Z prac Senatu AP
54 Marek Karwala, Mariusz Drohomirecki – malarz Krakowa
57 Edward Chudziński, Był tu wśród nas... Wspomnienie o Ryszardzie Kapuścińskim
60 Joanna Bałczyrak, Bohater swoich tekstów. Rzecz o Ryszardzie Kapuścińskim
62 Piotr Krywak, Moda na „gdybanie". Historie alternatywne
71 Dorota Kamisińska, Wyspiański ery komputera
76 Wojciech Wiercioch, Wiersze
78 Dagmara Mida, Wiersze
79 Marek Karwala, Poezja Dagmary Midy
83 Maria Duszka, Bliżej Bogoprzestrzeni
85 Zygmunt Ruta, Prof. dr Ignacy Zarębski (1905–1974). Wspomnienie w 33. rocznicę śmierci
90 Marek Glogier, Oazy Księdza Blachnickiego. Rzecz o „pedagogice nowego człowieka"
98 Piotr Daszkiewicz, Radosław Tarkowski, Kontuary mineralogiczne. Działalność Jakuba Malinowskiego (1808–1897) w zakresie nauczania nauk przyrodniczych
103 Michał Rogoż, Jana Bujaka opisywanie Bukowiny
106 Piotr Pragacz, Humor w matematyce
117 Barbara Kamińska-Czubała, Dorota Witczak, Perspektywy i problemy rozwoju Pedagogicznej Biblioteki Cyfrowej
119 Bartosz Ochoński, *Jacek Kaczmarski w świecie pieśni*. Z perspektywy prelegenta
123 Magdalena Stoch, Polonistyczne Forum Dyskusyjne
125 Aleksandra Budrewicz-Beratan, *Region i edukacja. Literatura – kultura – społeczeństwo*. Promocja książki w Bukownie
127 Maria Buczek, Ekonomia społeczna a rozwój lokalny
129 Helena Ples, Jesienna wyprawa na Moskwę
131 Łukasz Stach, Multikulturalizm – tolerancja czy konflikt cywilizacji?
133 Bartosz Ochoński, Wystawa Eugenii Gortchakovej
135 Barbara Serwatka, «KASKADERZY» z AP
136 Joanna Konarska, Asystent osoby niepełnosprawnej. Brakujące ogniwo w procesie rehabilitacji
140 Czesław Michalski, 30-lecie Klubu Sportowego AZS AWF Kraków
143 Elżbieta Sionko, Gry i zabawy na świeżym powietrzu
145 Piotr Pacholarz, Niepołomicki renesans
151 Michał Apollo, Marek Żołądek, Miyar Himalaya Expedition 2006. Relacja z wyprawy SKNG w indyjską część Great Himalaya
154 Jerzy Stefan Ossowski, *Srebrna Natalia*
159 Kornela Grzegorczyk-Dłuciak, Pedagogika przedszkolna. Metamorfoza statusu i przedmiotu badań
161 Bożena Krupa, O miejscu niepełnosprawnych w kulturze
165 Adam Kulawik, Wielka książka Ossowskiego
168 Bartosz Ochoński, 45 lat pracy naukowej
169 Maciej Wielobób, Ks. Jan Śledzianowski, *Zdrowie bezdomnych*
172 Magdalena Wierzańska, O uwarunkowaniach i przejawach agresji młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną
175 Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej przedstawia Jolanta Grzegorzek

Edukacja muzyczna – stan obecny i perspektywy

Dyskusja odbyła się 14 lutego 2007 r. w Sali Senackiej Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie. Jej uczestnikami byli: prof. Stanisław Krawczyński – Rektor Akademii Muzycznej w Krakowie; prof. Jerzy Kurcz – Kierownik Katedry Badań Muzyczno-Edukacyjnych; prof. Tadeusz Budrewicz – Prorektor ds. Nauki Akademii Pedagogicznej w Krakowie; prof. Bożena Muchacka – Dziekan Wydziału Pedagogicznego AP, a także dr Romualda Ławrowska – Kierownik Katedry Edukacji Artystycznej AP i prof. Adam Korzeniowski – kierownik chóru AP „Educatus"

Stanisław Skórka
Pomysł niniejszej dyskusji pojawił się podczas rozmowy redaktorów kwartalnika „Konspekt" z członkami Katedry Edukacji Artystycznej Akademii Pedagogicznej w Krakowie na temat problematyki kolejnego numeru pisma AP. Tytuł: *Edukacja muzyczna – stan obecny i perspektywy* sugeruje, że chcemy poruszyć palące problemy kształcenia muzycznego oraz zastanowić się nad kierunkami dalszego rozwoju tej dyscypliny. Moderatorem dyskusji będzie prof. Adam Korzeniowski, któremu przekazuję głos...

Adam Korzeniowski
Czuję się trochę stremowany, ale również niezwykle szczęśliwy, ponieważ temat, który sobie wyznaczyliśmy, jest mi niezwykle bliski, a omawiany w tak zacnym i szerokim gronie odda szczególną troskę, jaką kierujemy w stronę współczesnej edukacji muzycznej. Cele, które chcelibyśmy zrealizować na dzisiejszem spotka-

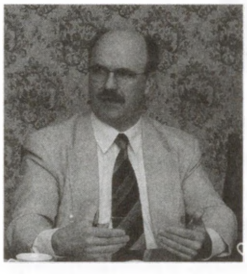

niu, to m.in. próba wskazania ośrodków zajmujących się edukacją muzyczną na terenie Krakowa, omówienie form edukacji muzycznej oraz

próba określenia funkcji, jaką spełnia kształcenie estetyczne poprzez muzykę. Spróbujemy również odpowiedzieć na pytania: jaką szansę (bądź też perspektywę) w obecnym systemie kształcenia ma edukacja muzyczna, a także jakich rezultatów od niej oczekujemy.

Temat naszego spotkania został zaczerpnięty z Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej pt.: *Kształcenie nauczycieli muzyki i plastyki – stan obecny i perspektywy*, której głównym organizatorem był obecny wśród nas prof. Jerzy Kurcz. Myślę, że w odpowiedzi na te pytania pomogą nam Panowie Rektorzy, jak i wysokiej klasy specjaliści, którzy zaszczycili nas swoją obecnością, a którzy tą tematyką zajmują się na co dzień.

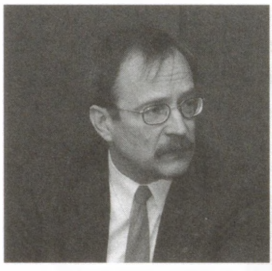

Stanisław Krawczyński

Z ośrodków, które przygotowują przyszłych nauczycieli do prowadzenia zajęć edukacyjnych z zakresu muzyki należy na wstępie wymienić część szkolnictwa średniego. Trzeba pamiętać, że właśnie tam mamy do czynienia z prowadzeniem zajęć na specjalności rytmika, gdzie uczniowie otrzymują pewne podstawy wykształcenia pedagogicznego. Tam też pojawiają się takie przedmioty jak: psychologia i pedagogika (w małym wymiarze) oraz przedmioty muzyczne.

Na poziom kształcenia następnego stopnia wpływają już uczelnie wyższe, takie jak: Akademia Pedagogiczna i Akademia Muzyczna. Ze zrozumiałych względów skupię swoją wypowiedź na Akademii Muzycznej, gdzie prowadzony jest kierunek edukacja artystyczna w zakresie sztuki muzycznej. Przygotowuje on przyszłe kadry zarówno szkół ogólnokształcących, jak również muzycznych, a nawet uczelni wyższych prowadzących pokrewne specjalności. Uzupełnieniem tej działalności jest istniejące w naszej uczelni Studium Pedagogiczne, w ramach którego kształceni są studenci Wydziału Instrumentalnego i część studentów Wydziału Twórczości, Interpretacji i Edukacji Muzycznej. Po ukończeniu kursu absolwenci otrzymują uprawnienia pedagogiczne do prowadzenia zajęć muzycznych w szkolnictwie I i II stopnia, albowiem kierunki te, w połączeniu z wykształceniem pedagogicznym, dają gwarancję ich kwalifikacji. Tak w dużym skrócie wygląda właśnie charakterystyka jednostek prowadzących w naszym systemie edukacyjnym kształcenie w zakresie muzyki.

Adam Korzeniowski

Zanim odniesiemy się do kształcenia na wyższych szczeblach edukacji, spróbujmy dotknąć problemu kształcenia estetycznego w ogóle. Zwracam się z pytaniem do prof. Budrewicza: jak rozwija się kształcenie estetyczne w Akademii Pedagogicznej?

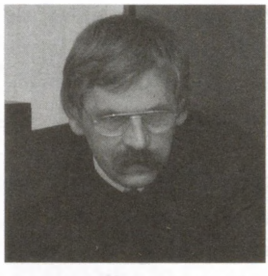

Tadeusz Budrewicz

W zakresie teorii estetycznej na Wydziale Humanistycznym sporo uwagi poświęca się temu zagadnieniu na kierunku filozofia, ale wszystkie dyscypliny humanistyczne prowadzą w ramach istniejącego kształcenia przedmioty takie jak estetyka. Co do wychowania estetycznego, na płaszczyźnie form muzycznych czy plastycznych mamy się czym pochwalić. Prowadzimy wychowanie plastyczne, grafikę. Robimy wiele, by formy kształcenia zmieściły się solidnie w przestrzeni pomiędzy

kreacją artystyczną a odbiorcami sztuki w ogóle. Ale – jako że większość tego typu kierunków i specjalności prowadzonych jest na Wydziale Pedagogicznym – głos pragnę oddać prof. Bożenie Muchackiej.

Bożena Muchacka

Zanim odniosę się do słów prof. Budrewicza, wrócę do tego, o czym mówił rektor Krawczyński. Wskazywał on na instytucje, które kształcą artystów, przyszłych nauczycieli i pedagogów – czyli uczelnie wyższe. To jednak najpóźniejszy etap w edukacji. Osobiście chciałabym zwrócić uwagę na niższe szczeble kształcenia, albowiem dla wielostronnego rozwoju ucznia jest niezwykle ważne, jeśli już na etapie edukacji przedszkolnej i wczesnoszkolnej styka się on z wychowaniem muzycznym. Nasze zadanie, jako instytucji kształcących nauczycieli niższego szczebla, nie ogranicza się zatem tylko do wyposażenia w wiedzę i umiejętności muzyczne przyszłych nauczycieli, ale polega również na wskazaniu im zasadności określonych kompetencji w wychowaniu najmłodszych. Okazuje się wtedy, że tak jak potrzebna jest wiedza z zakresu nauk ścisłych, tak samo wymaganą staje się, ucząca wrażliwości, wiedza z zakresu przedmiotów artystycznych. W wielu krajach zachodnich mówi się o istocie wychowania przez sztukę na etapie edukacji przedszkolnej i wczesnoszkolnej. Wygląda na to, że w naszym systemie lekceważy się – począwszy od klasy czwartej szkoły podstawowej, poprzez gimnazjum i liceum – przedmioty takie jak muzyka i plastyka, które w szkolnej rzeczywistości sprowadza się do roli przysłowiowych „michałków". Tak nie powinno być. Mamy na ten temat pewną wiedzę i znamy systemy oświatowe w krajach wysoko rozwiniętych, gdzie w awansach na wyższy szczebel edukacji w równym stopniu docenia się różne rodzaje inteligencji i zdolności. U nas jest to traktowane po macoszemu. Wydaje się, że w ramach odmiany tego stanu rzeczy nie do przecenienia staje się ogromna rola instytucji decydujących o systemie edukacji. To one właśnie powinny wziąć pod uwagę wyniki badań naukowych, które bardzo wyraźnie wskazują na potrzebę wielostronnego rozwoju dziecka.

Jerzy Kurcz

Wszystko, co do tej pory powiedzieliśmy, dotyczy oczywiście edukacji muzycznej, ale myślę, że powinniśmy nieco inaczej rozłożyć akcenty naszej dyskusji i skupić się na niektórych, może najważniejszych tylko zagadnieniach. Chciałbym Państwu zaproponować przyjrzenie się tej problematyce od strony praktyki i rzeczywistości szkolnej. Myślę, że Państwo się ze mną zgodzicie, iż – jeśli chodzi o deklaracje na poziomie teoretycznych konstatacji o ważności wychowania estetycznego w harmonijnym rozwoju osobowości młodego człowieka – właściwie nie ma żadnego sporu. Większość uważa, że wszystkie sfery osobowości są jednakowo ważne. I tutaj nie ma konfliktu. Natomiast gdy przechodzimy do praktyki, do rzeczywistości „dnia codziennego", to okazuje się, że najczęściej spotykamy się z obojętnością lub niechęcią dla spraw związanych z wychowaniem estetycznym dzieci i młodzieży. To ostatnie spostrzeżenie uzasadnię dwoma konkretnymi przykładami. Jak bowiem można tłumaczyć inaczej niż wrogimi, działania

polegające na eksperymentowaniu z muzyką i plastyką w szkole oraz tworzeniu z tych przedmiotów jakiegoś dziwnego substytutu, łączącego dwie autonomiczne pod każdym względem dziedziny sztuki, redukując przy okazji kolejną godzinę lekcyjną? Drugi wrogi akt dostrzegam w likwidacji zajęć pozalekcyjnych. Prawdopodobnie zadecydował o tym czynnik ekonomiczny, ale dziwnym trafem zlikwidowano akurat te zajęcia, które służyły rozwijaniu i zaspakajaniu potrzeby artystycznej wypowiedzi (muzycznej, plastycznej), które dawały możliwość aktywnego kontaktu poprzez uczestnictwo np. w zespołach muzycznych. Zajęć tego typu w szkołach praktycznie już nie ma. Pozostały jedynie nieliczne przykłady artystycznej działalności pozalekcyjnej, organizowanej przez nauczycieli-pasjonatów, prowadzących je za darmo czy wręcz finansujących podstawowe potrzeby zespołu. Taka jest aktualna rzeczywistość.

I dzieje się to, przechodzę teraz do drugiego wątku mojej wypowiedzi, na terenie oświaty, a więc tam, gdzie mamy ponad sześć milionów uczniów uczęszczających do ponad dwudziestu tysięcy szkół, gdzie tak naprawdę decydują się losy o poziomie kultury naszego społeczeństwa. To przecież powszechna edukacja, ze względu na skalę i zakres oddziaływania, zapewni – bądź nie – warunki, od których zależeć będzie poziom kultury muzycznej i plastycznej dzieci i młodzieży jako jej potencjalnych odbiorców. A tym czasem, zamiast doskonalić kształt programowy i metodyczny edukacji artystycznej w szkole, my wciąż zastanawiamy się, jak poprawić represyjne w charakterze przepisy i rozporządzenia dyscyplinujące młodzież uczestniczącą w imprezach sportowych na stadionach. Chwalimy się, że organizatorzy mogą zakupić np. dodatkowo samochód z kamerami, który pomoże rejestrować chuliganów i osoby przekraczające prawo, że „zmobilizowano" odpowiednią liczbę sił i środków do „zabezpieczenia" konkretnej imprezy sportowej. Ale my przecież wiemy, że te patologiczne zjawiska wynikają z zaniechania pewnych podstawowych i w odpowiednim wieku koniecznych działań w zakresie edukacji kulturalnej. To bolesna diagnoza. Ja może jestem w swej wypowiedzi bardzo ostry, ale nazywajmy rzeczy po imieniu. W końcu (jak ujmuje to jedna z definicji) prawda to najkrótsza odległość pomiędzy dwoma faktami. Trzeba w tym miejscu dodać, że obecnie przywrócono – nie zmieniając liczby godzin przeznaczonych dla sztuki – możliwość prowadzenia samodzielnych zajęć muzycznych i plastycznych w szkole, ale w tak bardzo ostrożny sposób, aby nauczyciele nie zażądali od ministerstwa zwrotu pieniędzy za ukończone na własny koszt różnego rodzaju kursy i studia podyplomowe z zakresu sztuki. Nasze działania powinny zmierzać w kierunku przywrócenia sytuacji sprzed reformy. Muzyki i plastyki winno nauczać się praktycznie do matury, zachowując ciągłość kontaktu dziecka z muzyką i plastyką na lekcjach – od klasy zerowej, a nawet od przedszkola.

Myślę, że będzie jeszcze okazja, aby wrócić do bardziej szczegółowych wątków, ale chciałem poprzez takie bardzo wyraziste opinie pokazać, z jaką sytuacją mamy dzisiaj do czynienia. Nie waham się uznać, że obecny stan to po prostu zapaść w sferze edukacji kulturalnej dzieci i młodzieży. W tej chwili możemy mówić, że całe pokolenie (po eksperymencie z wprowadzeniem przedmiotu sztuka) jest *de facto* pozbawione możliwości prawidłowego kształtowania swojej wrażliwości muzycznej i plastycznej.

Adam Korzeniowski

W świetle ostatniej wypowiedzi spróbujmy więc przedstawić formy, za pomocą których realizowana jest edukacja muzyczna w Akademii Pedagogicznej w Krakowie, a konkretnie na Wydziale Pedagogicznym.

Romualda Ławrowska

Zanim powiem o pracy Katedry Edukacji Muzycznej przy Instytucie Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej oraz o edukacji muzycznej studentów pedagogiki, chciałabym nawiązać do wypowiedzi prof. Kurcza i uderzyć na alarm. Reforma odebra-

ła nam, pedagogom muzyki, miejsce w szkole i dostęp do edukacji muzycznej dzieci i młodzieży, i to akurat w momencie znaczących osiągnięć polskiej pedagogiki muzycznej jako nauki. Przykładem tego są między innymi badania prowadzone przez Krakowskie Środowisko Powszechnego Wychowania Muzycznego. W tym zakresie współpraca pomiędzy Katedrą Badań Muzyczno-Edukacyjnych Akademii Muzycznej w Krakowie i Katedrą Edukacji Artystycznej AP zaowocowała wielkimi i znaczącymi badaniami. Były to badania dotyczące kształcenia nauczycieli muzyki i plastyki a także efektywności tegoż kształcenia, zamówione przez KBN i realizowane w całej Polsce. Inne badania prowadzone w naszej Katedrze dotyczą szeroko pojętych kompetencji pedagogiczno-muzycznych studentów uczelni pedagogicznych. Wiedza o potrzebach muzyczno-edukacyjnych dzieci oraz o kształceniu nauczycieli dla potrzeb szkoły jest pokaźna. Trzeba tu przede wszystkim powiedzieć o największym dokonaniu środowiska krakowskiego, czyli o Krakowskiej Koncepcji Programowo-Metodycznej Wychowania Muzycznego, której autorami są przede wszystkim prof. Zofia Burowska, prof. Jerzy Kurcz, dr Andrzej Wilk, mówiąca te słowa, oraz inni, których nazwisk nie sposób tu wymienić. Koncepcja obejmuje precyzyjnie określone podstawy teoretyczne, model postępowania dydaktycznego oraz materiał muzyczno-metodyczny dla szkoły podstawowej, zawarty w książkach dla nauczycieli, podręcznikach dla studentów, a także cyklach audycji radiowych. Skuteczność i trafność tej koncepcji została potwierdzona w badaniach. Wszystkie te i inne dokonania zostały pominięte, gdy w wyniku reformy oświatowej skreślono przedmiot edukacja muzyczna. Właściwie można powiedzieć, że dzisiaj nie istnieje ona w szkole lub pojawia się w postaci karłowatej. Nasuwa mi się skojarzenie z tym, o czym pisał Stanisław Wyspiański: mieliśmy „złoty róg", który został utracony przez zaniechanie, przez bezmyślne decyzje. Pozwolę sobie w tym momencie – aby naświetlić ten problem – odnieść się do słów nestorki wychowania muzycznego prof. Marii Przychodzińskiej, zamieszczonych w piśmie „Edukacja Muzyczna":

„Edukację muzyczną planuje się w perspektywie cyklu – od wieku przedszkolnego poprzez szkołę podstawową, gimnazjum – do szkoły średniej. Jest to konsekwentnie przemyślany ciąg, podczas którego mają rozwijać się zdolności muzyczne i – razem z nimi – muzyczne zainteresowania i muzyczna wrażliwość. Rozwój musi następować stopniowo, zgodnie z możliwościami poznawczo-emocjonalnymi dzieci, co określone jest przez psychologię rozwojową i muzyczną, niezależną od typu panującej kultury. W wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym (3–9 rok życia) możliwości rozwoju muzycznego dzieci są ogromne i w zróżnicowanej skali dotyczą wszystkich. Dzieciom tym dostępna jest muzyka tak zwana elementarna, bardzo prosta w melodyce, rytmice, formie, nie prezentująca jeszcze żadnego stylu. Przeważają ekspresyjne formy kontaktu z muzyką: ruch, śpiew, gra na dostępnych instrumentach, improwizacja; zapoznawanie z bardziej rozwiniętymi artystycznymi utworami powinno mieć miejsce, ale w ograniczonym jeszcze zakresie.

Wychowanie muzyczne tych dzieci po ostatniej reformie w edukacji zostało właściwie skreślone z programu i z praktyki szkolnej. Teoretycznie muzyka ma być zintegrowana z innymi treściami nauczania, praktycznie – na skutek braku muzycznego przygotowania nauczycieli – jest wyeliminowana. Inicjacja muzyczna dzieci odbywa się przez mass media, w tym np. konkursy wykonywania repertuaru dla dorosłych piosenkarzy przez dzieci, wpływ młodych rodziców, podległych kulturze masowej na preferencje muzyczne dzieci, wreszcie – codzienny kontakt wyłącznie z muzyką pop. Zatem zamiast in-

tensywnego rozwoju zdolności i zainteresowań muzycznych dzieci w najlepszym do tego wieku, ma miejsce jednostronna akulturacja do muzyki pop."

Nie stworzono też warunków dla rozwoju muzycznego uczniów klas IV–VI, gimnazjum i szkół średnich.

Pragnę jeszcze raz podkreślić dający się łatwo zaobserwować wielki wpływ aktywności muzycznej dzieci i młodzieży na poznanie i wejście w świat kultury i wartości, na kształtowanie się ich dobrego smaku estetycznego, emocjonalności, komunikatywności, rozwoju ogólnego i muzycznego. Dzisiejsze problemy wychowawcze są z pewnością konsekwencją braku wychowania estetycznego w szkołach i odejścia od pedagogiki kultury. Naprawdę warto skorzystać z tych poznanych już nie tylko intuicyjnie przez rodziców i nauczycieli, ale też potwierdzonych empirycznie uniwersalnych funkcji powszechnej i systematycznie prowadzonej edukacji muzycznej w szkołach.

Adam Korzeniowski

Bardzo to ważna wypowiedź, chociażby z tego względu, że jednym z celów, jakie postawiliśmy sobie w tej dyskusji, jest próba określenia funkcji, jaką w rozwoju człowieka spełnia kształcenie estetyczne, zwłaszcza edukacja muzyczna. Spróbujmy się zastanowić, jakie są jej perspektywy w obecnym systemie kształcenia?

Stanisław Krawczyński

Edukacja muzyczna ma perspektywę i mieć ją musi – to nie ulega żadnej wątpliwości. Zaś, co do jej miejsca w systemie oświaty – powinniśmy zadać sobie pytanie: czy system jest właściwy, odpowiedni? Sądząc z poprzednich wypowiedzi – z którymi się całkowicie zgadzam i utożsamiam – system niestety posiadamy błędny. Nie mając właściwie w szkolnictwie ogólnokształcącym przedmiotów muzycznych system sprawia, że kształcenie muzyczne prowadzone na uczelniach jest kształceniem zawieszonym w próżni. Absolwenci tych studiów nie znajdują zatrudnienia i ostatecznie okazuje się, że rozpoczynają pracę na zupełnie innych stanowiskach, do których nie są odpowiednio przygotowani.

Prof. Kurcz wspominał o nieprawidłowościach, z którymi stykamy się na terenie podległym Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Podobne przypadki spotykamy w obszarze podległym Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Przypomnę tutaj problem uprawnień absolwentów kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuki muzycznej do prowadzenia przedmiotów teoretyczno-muzycznych w szkolnictwie muzycznym I i II stopnia. To ogromna niekonsekwencja. Zgodnie z obowiązującymi standardami kształcimy bowiem nauczycieli, którzy winni podjąć tę pracę, natomiast zgodnie z rozporządzeniami ministerialnymi nie mają oni do tego uprawnień. To jakiś absurd.

Dostrzegam jednak pewien promyk nadziei, niestety nie w tym oficjalnie prowadzonym systemie kształcenia. Chcę zaznaczyć, że mimo tak trudnej sytuacji istnieje wciąż niezależna działalność edukacyjna, prowadzona w szkołach ogólnokształcących. Mam na myśli niezwykle szeroko zakrojone działania różnych instytucji artystycznych, które – choć w zasadzie nie są zobligowane do prowadzenia tego typu działalności – takie chwalebne kroki podejmują. Mówię np. o Filharmonii Krakowskiej, w której dwa cykle cieszą się ogromnym zainteresowaniem: *Musica Ars Amanda* – skierowany do młodzieży szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych oraz cykl koncertów dla dzieci. Zwłaszcza podczas tego drugiego sala wypełniana jest po brzegi. Dodać należy, że w koncertach *Ars Amanda* udział biorą artyści i zespoły uczestniczące na co dzień w życiu kulturalnym Krakowa, tak więc jest to oferta artystyczna stojąca na najwyższym poziomie. Każdy koncert poprzedzony jest prelekcją, która przybliża młodym ludziom jego treści. Wydaje się również, że ciekawym uzupełnieniem tej działalności jest oferta Towarzystwa Bachowskiego, czyli cykl koncertów w kościele Św. Marcina, gdzie obserwujemy podobny sposób zorganizowania i prowadzenia występu. Widać tu

zatem dwa tory działania: ten oficjalny - źle funkcjonujący, oraz ten niewymuszony, przynoszący dobre rezultaty. Niestety, tak się stało, że w okresie ogólnych oszczędności, które nie ominęły kultury, a w tym i edukacji artystycznej, wycofano się ze znaczących osiągnięć na polu nauczania muzycznego, począwszy od tego najwcześniejszego, skończywszy na ostatnim etapie kształcenia. To wielka szkoda. Wydaje się, że przed nami stoi ogromne zadanie uświadamiania politykom, jak źle się dzieje - i jeśli natychmiast nie wrócimy do wspomnianych już tutaj rozwiązań, sprawdzonych na polu edukacji muzycznej, to stracimy już nie jedno, ale co najmniej kilka pokoleń.

Bożena Muchacka

Chciałam dopowiedzieć, że na etapie edukacji przedszkolnej i wczesnoszkolnej sytuacja kształtuje się dość dobrze, ponieważ większość uczelni, które prowadzą kierunek: pedagogika przedszkolna i wczesnoszkolna, docenia wartość tych kompetencji u przyszłego nauczyciela. W naszej Uczelni mamy sprawdzian zdolności muzycznych, któremu poddawani są wszyscy kandydaci. Istnieje on również po to, aby preferować niejako te zdolności w dalszym kształceniu i w przygotowaniu do zawodu. Wydaje się to ważne również dlatego, że kompetencje odpowiednio ukształtowane u nauczyciela pomagają kształtować podobne u dzieci. Ten transfer musi mieć miejsce w każdej dziedzinie, bo twórczy nauczyciel będzie rozwijał twórcze zdolności u dziecka. Gdyby nie było jednostkowych choćby przypadków działania z pasją, o jakich wspominał rektor Krawczyński, to nie byłoby w ogóle możliwości wykorzystania tego potencjału. Przykładem niech będzie choćby działalność obecnego tu prof. Korzeniowskiego, który z grona osób potencjalnie uzdolnionych wybrał i zorganizował chór i orkiestrę kameralną. To prawda, że większość tych osób ukończyła szkołę muzyczną, ale ich możliwości i zdolności nie zostały zaprzepaszczone i funkcjonują w zgodzie ze studiami. Oni po prostu tego chcą, a ten ich zapał trzeba wyzwolić.

Romualda Ławrowska

W nawiązaniu do wypowiedzi rektora Krawczyńskiego chciałam zaznaczyć, iż wszelka działalność pozainstytucjonalna nie może być wystarczającym nam substytutem, nie może zastąpić edukacji szkolnej i uśpić czujności pedagogów - ludzi, którzy dbają o podstawowe wykształcenie ogólne, o zainteresowanie dziecka, wskazanie różnych obszarów rzeczywistości i kierunków działania w tym aktywności muzycznej.

Warto dodać, że obecność uczniów na edukacyjnych koncertach dla dzieci i *Ars Amanda* dla młodzieży w Filharmonii zawdzięczamy głównie pedagogom, którzy do tych miejsc prowadzą grupy dziecięce czy młodzieżowe, a często tylko dlatego, że mieli oni kontakt z muzyką podczas studiów. Myślę, że wnioski są oczywiste: chyba właśnie w uczelniach pedagogicznych należałoby wykształcić ten wzorzec czynnego uczestnictwa w kulturze, bo - jak widać - może to zaowocować w przyszłości.

Nadmienię jeszcze o dwóch nurtach przygotowania nauczycieli w uczelniach artystycznych lub/i pedagogicznych. Posłużę się schematem, gdzie jednym nauczycielem muzyki jest wychowawca, drugim zaś - artysta. To dwa różne podejścia i dwie różne metody organizacji pracy. Nauczyciel-artysta muzyki poszukuje rezultatów artystycznych, tych wymiernych, widzialnych czy słyszalnych, natomiast pedagog muzyki szkolnej, nauczyciel-wychowawca, przede wszystkim pobudza uczucia humanitarne, potencjał psychiczny, trwałą stabilność psychiczną, uwagę i dyscyplinę, uczucia społeczne, wyobraźnię twórczą, umiejętność samodoskonalenia, wrażliwość ogólną. Rezultaty niewymierne, ale zasadnicze, są widoczne w perspektywie życia osobistego danej jednostki.

Jerzy Kurcz

Pragnę poruszyć jeszcze kilka zagadnień. Jeśli chodzi o nauczanie muzyki to mamy spory już dorobek pedagogiczny i różne sprawdzone rozwiązania metodyczne. Dysponujemy bogatą obudową dydaktyczną (instrumenty, podręczniki,

płytoteki). Mamy wreszcie ogromne w tym względzie doświadczenie i dobrze przygotowanych nauczycieli muzyki. Rzecz w tym, że nie ma wciąż właściwych rozwiązań systemowych w naszym szkolnictwie, z długofalową perspektywą działania. Zbyt często zaskakiwani jesteśmy nieprzemyślanymi pomysłami ministerialnymi (o fatalnych dla dydaktyki skutkach) lub ignorowaniem propozycji wychodzących ze środowiska muzycznego. I znowu posłużę się przykładem: dla potrzeb reformowanego szkolnictwa przygotowaliśmy zespołowo logicznie spójną *Podstawę programową* dla edukacji muzycznej. Niestety, ministerialni urzędnicy, nie pytając nas o zdanie, w sposób ignorancki „dostosowali" ją do przedmiotu sztuka. Przed dwoma laty – na prośbę ministra M. Sawickiego – na nowo przygotowaliśmy dla przedmiotu muzyka *Podstawę programową,* wchodzącą w skład całościowego dokumentu pt. *Podstawy kształcenia ogólnego*. Zajmował się tym Instytut Spraw Publicznych, a osoba prof. K. Konarzewskiego dawała gwarancję sensowności przedsięwzięcia. Zgodziłem się na współudział, mimo poprzednich doświadczeń z manipulacją przy podstawach programowych. Przez dwa lata pracy powstała podstawa programowa od klasy zerowej do liceum włącznie. Niestety, historia polityczna toczy się szybciej. Minister Sawicki odszedł, a nowy nie wziął naszych rozwiązań pod uwagę.

Może ktoś kiedyś skorzysta z owoców naszej pracy. Na razie wydaje się, że kolejny wysiłek poszedł na marne.

Kilka słów chciałbym dodać jeszcze w kwestii kształcenia nauczycieli. Tutaj też mamy spore osiągnięcia. W wyższym szkolnictwie pozaartystycznym prawie w każdej uczelni pedagogicznej istnieje kierunek edukacja artystyczna w zakresie sztuki muzycznej i edukacja artystyczna w zakresie sztuki plastycznej. Oczywiście, borykamy się z problemami dotyczącymi jakości kształcenia, zakresem uzyskiwanych uprawnień, zatrudnieniem w szkole. Wydaje mi się, że w obrębie uczelni pedagogicznych ten kierunek może znakomicie funkcjonować w połączeniu z innymi przedmiotami. Przy dzisiejszym niżu demograficznym – a w konsekwencji zmniejszonej ilości zajęć – zdobycie uprawnień do nauczania drugiego przedmiotu wydaje się, z punktu widzenia akademii pedagogicznych, o wiele łatwiejsze niż w akademiach muzycznych. Idzie tu jednak o to, aby uprawnienia do nauczania drugiego przedmiotu nie uzyskiwało się „na skróty". W akademiach muzycznych kształcimy na bardzo wysokim poziomie. Nasi studenci rozpoczynają studia na ogół po średniej szkole muzycznej. Co prawda nie wymagamy dyplomu, ale wymagamy umiejętności i wiadomości na tym poziomie. Przygotowujemy w akademiach kadrę muzyczną, która może wykonywać zadania edukacyjne w zakładach kształcenia nauczycieli. To się przez całe lata sprawdziło i nieźle funkcjonuje. Problem polega tylko na tym, że w podległych MEN akademiach pedagogicznych i uniwersytetach – jak wykazały nasze badania prowadzone w ramach projektu pod nazwą *Opracowanie modelu kształcenia nauczycieli muzyki i plastyki* – dysproporcje między wymaganiami w poszczególnych uczelniach są ogromne, łącznie z liczbą godzin przeznaczonych na edukację muzyczną w planach nauczania. Różnice te dotyczą również wymagań wstępnych od kandydatów. Wydział Pedagogiczny AP w Krakowie to chlubny wyjątek, bowiem już na egzaminie wstępnym jest sprawdzian podstawowych zdolności muzycznych. Proszę sobie wyobrazić, że nigdzie indziej czegoś takiego po prostu nie ma. A więc może się zdarzyć – i z dużym prawdopodobieństwem tak się właśnie zdarza – że na studia o specjalności przedszkolnej i wczesnoszkolnej na kierunku pedagogika dostają się nieraz osoby pozbawione podstawowych zdolności muzycznych. Nasuwa się pytanie: czy taki absolwent będzie dobrym nauczycielem muzyki w klasach I–III? Myślę, że to kwestia do rozważenia, jak poprawić efektywność kształcenia, szczególnie jeśli idzie o nauczanie początkowe w naszych uczelniach.

Drugim obok Akademii Pedagogicznej w Krakowie pozytywnym przykładem, że można zapewnić warunki wysokiego poziomu kształce-

nia muzycznego nauczycieli jest Wyższa Szkoła Zawodowa w Nowym Sączu, gdzie w ciągu trzech lat studenci na specjalności nauczanie początkowe z wychowaniem muzycznym mają w planach nauczania 600 godzin dla przedmiotów muzycznych, podczas gdy na uniwersytecie – nazwy uczelni nie wymienię – przez cały cykl kształcenia na jednolitych studiach magisterskich, na specjalności nauczanie początkowe, było tylko 30 godzin przeznaczonych na edukację muzyczną. Proszę sobie wyobrazić, jaka jest dysproporcja w przygotowaniu przyszłych nauczycieli.

Stanisław Krawczyński

Pozwolę sobie dopowiedzieć parę słów odnośnie do schematu nakreślonego przez dr Ławrowską, która dwubiegunowo umieszcza rolę nauczyciela i artysty. Otóż artystę w takim rozumieniu nazwałbym raczej rzemieślnikiem. Cały czas zabiegam, aby artysta-nauczyciel wykształcony w Akademii Muzycznej stał się jednocześnie wychowawcą. Nie wyobrażam sobie, aby jakikolwiek pedagog na uczelni był tylko i wyłącznie tym, który pilnuje, by student w sposób rzemieślniczy dbał o swoją technikę. Nauczyciel-artysta musi być również wychowawcą.

Natomiast jeśli chodzi o kształcenie: wydaje się, że narzędzia, którymi dysponujemy, są dość sprawnymi i właściwie dobranymi. Jeśli weźmiemy pod uwagę programy czy standardy dla kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuki muzycznej, to wydaje się, że spełniają one nasze oczekiwania. Tworzą niezły program z jasno postawionymi założeniami. Jak wygląda jego realizacja? Prof. Kurcz wspomniał o niezwykle zróżnicowanym poziomie kandydatów zdających na nasze uczelnie. W związku z taką sytuacją uczelnie rozpoczynają edukację od różnego, niekiedy bardzo niskiego poziomu. Miałem możliwość obserwowania działań niektórych szkół wyższych, w których prowadzony jest wspomniany kierunek. Nie ukrywam, że obraz ten przedstawił się w bardzo złym świetle. Nie mówię o kształceniu pedagogicznym, ponieważ prowadzone jest ono w zasadzie na jednolitym poziomie, ale o edukacji muzycznej, czyli o przedmiotach, których absolwenci będą później uczyć. Bardzo często treści nauczania odpowiadały zakresowi szkoły podstawowej. Jak więc nauczyciel może od ucznia, który przypadkowo jest uczniem szkoły muzycznej, wymagać wiedzy i umiejętności, skoro sam dysponuje podobnymi wiadomościami? To staje się nierealne. Niemniej jednak w wielu przypadkach, zwłaszcza jeśli chodzi o szkolnictwo muzyczne, dysponujemy naprawdę niezwykle wysokim poziomem kształcenia, nieporównywalnym w Europie. Mówię to również jako nauczyciel szkoły muzycznej, która stała się przykładem i inspiracją do zrealizowania identycznej placówki w Szwecji.

Zamykając tę kwestię, wrócę do początku swojej wypowiedzi: mając dobre narzędzia dydaktyczne nie mamy gdzie ich użyć, ponieważ nie posiadamy dostępu do dzieci i młodzieży. To jest naszą największą zmorą.

Adam Korzeniowski

Kontynuując myśli wcześniej przez Państwa wypowiedziane, chciałbym się odnieść do tematu, który jest mi niezwykle drogi, a który pojawia się w wypowiedziach rektora Krawczyńskiego. Mianowicie, jeśli chodzi o sposoby edukowania dzieci, młodzieży oraz nauczycieli, Wydział Pedagogiczny był kolebką pomysłu na cykl koncertów edukacyjnych, które mówiący te słowa miał szczęście zapoczątkować, zrealizować i poniekąd obecnie kontynuować. Były one skierowane do dzieci z przedszkoli i początkowych klas szkoły podstawowej oraz do studentów. Nie waham się stwierdzić, że jest to niezwykłe szczęście i radość zarazem, że tego typu działalność mogła zaistnieć. W tym momencie wypada mi szczerze podziękować Pani dziekan Muchackiej oraz Panu prorektorowi Budrewiczowi za wszelką pomoc Uczelni i Wydziału w tym zakresie. Nieczęsto możemy spotkać tak przychylną atmosferę i wielkie zrozumienie dla tego typu poczynań.

Razem z dr Ławrowską opracowaliśmy przed czterema laty ankietę. Za jej pomocą chcieliśmy sprawdzić, w jakim stopniu studenci mają obec-

nie dostęp do kultury. Wyniki ankiety okazały się niezadowalające i bez pardonu obnażyły sytuację, z jaką mamy do czynienia. Stało się to bodźcem do rozpoczęcia działań naprawczych. Osiem koncertów edukacyjnych dla dzieci oraz cztery koncerty z cyklu *Vivat Academia, Vivat Musica* są ich dotychczasowym rezultatem. Tytuł cyklu skierowanego do studentów został zaczerpnięty i sparafrazowany z drugiej zwrotki pieśni *Gaudeamus igitur*. W koncertach tych zadomowiła się muzyka nazywana najogólniej poważną, a szczęściem dla studentów jest to – jak wynika z relacji – że można w nich uczestniczyć za darmo. Zatem ta forma edukowania, na którą zwrócił uwagę wcześniej rektor Krawczyński, w Akademii Pedagogicznej również ma swoje miejsce i do tej wspomagającej – jak określił ją prof. Kurcz – formy może również dołączyć.

Stanisław Skórka

To, co zostało do tej pory powiedziane, potwierdza moje obserwacje z punktu widzenia rodzica. Zauważam lukę w kształceniu muzycznym dzieci. Podczas edukacji przedszkolnej daje się zauważyć dużą aktywność muzyczną, np.: śpiewanie i koncertowanie przy różnych okazjach. Niestety na etapie pierwszych trzech klas szkoły podstawowej widać powolne zamieranie tejże aktywności. Co może zrobić rodzic obserwujący wzmożone zainteresowanie muzyką u dziecka? Czy od razu powinien pójść do szkoły muzycznej, kupować drogi instrument, gdy nie wiadomo, czy to nie jest chwilowa fascynacja? Widoczny jest brak pośredniego rozwiązania pomiędzy sporadycznymi lekcjami muzyki a szkołą muzyczną, zresztą podobnie jest ze sportem w szkole. Z jednej strony obowiązkowa gimnastyka korekcyjna jako środek zaradczy, kiedy już wykrywa się wady postawy z drugiej – sport wyczynowy, ciężkie treningi – ukierunkowanie na sukces: a gdzie tu miejsce na zabawę, rekreację? Brakuje właśnie tej rekreacyjności w podejściu do kształcenia muzycznego. Chciałbym, aby w szkole moje dzieco uczono grania na jednym choćby instrumencie, czytania nut itp.

Dodam jeszcze, że do rzadkości należą sytuacje, o których mówił rektor Krawczyński – uczestnictwo w koncertach. Szkoła najczęściej proponuje wyjścia do kina, gdzie percepcja sztuki, czasem niskiego poziomu, łączy się z konsumpcją popcornu, stając się tym samym obowiązującą normą. Najwięcej zależy tu od nauczyciela, który na etapie początkowym nauki w szkole ma duży autorytet wśród uczniów. To on przekazuje swym podopiecznym wiedzę, ale również kształtuje i uwrażliwia ich poczucie smaku i gust. Brakuje czegoś pośredniego pomiędzy szkołą muzyczną a sporadycznym muzykowaniem, polegającym na nauce hymnu i kilku pieśni patriotycznych. Życzyłbym sobie, aby moje dziecko obok języka ojczystego, matematyki i wiedzy o środowisku zapoznawało się w równym stopniu z muzyką – kształtowało tę inteligencję, o której wspominały prof. Muchacka i dr Ławrowska.

Bożena Muchacka

Zgadza się, ale też dorośli i rodzice decydują, w jaki sposób powinna się kształtować edukacja ich dziecka. Pamiętajmy ponadto, że szkoła muzyczna to druga szkoła.

Tadeusz Budrewicz

Od pewnego czasu nasza dyskusja odchodzi od tematu form kształcenia muzycznego oraz kształcenia nauczycieli, a zaczyna zmierzać ku epizodycznym przykładom indywidualnego kształtowania gustów muzycznych. To oznacza, że w gruncie rzeczy problem, który postawiła redakcja „Konspektu" i który prof. Korzeniowski uporządkował, jest przez wszystkich rozumiany mniej więcej identycznie. Różnic zdań na powyższe tematy nie ma i tezy wyjściowe sformułowane

na gruncie pedagogiki są akceptowane: myślę tu o edukacji muzycznej i muzyce w szkole, a także o roli inteligencji muzycznej oraz wszechstronnego rozwoju estetycznego i wychowania dla sztuki. Nie spieramy się o tezy dotyczące uspołeczniania człowieka poprzez obcowanie ze sztuką, czyli na prowadzenie w szkole form wychowania estetycznego, wychowania przez sztukę, wychowania plastycznego i wychowania muzycznego. Wszyscy godzimy się również na to, że niewątpliwie należy zwiększyć rolę muzyki w szkole poprzez działania zorganizowane instytucji do tego powołanych. Nikt nie wątpi w to, że powinniśmy dążyć do tego, ażeby klarowniej i lepiej określić sposoby przyznawania uprawnień nauczyciela do wykonywania zawodu. Z całą pewnością wszyscy godzą się i na to, że ogromną rolę wspomagającą dla niewładnego systemu oświatowego pełnią różnego rodzaju pozaszkolne i nieoficjalne formy dodatkowego edukowania w zakresie muzyki. Z dyskusji wynika, że dysponujemy świetnie wykształconą kadrą dydaktyków akademickich, jak i dobrze opracowanymi i uzasadnionymi programami, opartymi na wielu metodach prowadzenia takich zajęć, prawdopodobnie na metodach lepszych niż w innych krajach. Wszyscy wreszcie uznają za zasadne wygłoszenie hasła: dajcie nam dostęp do dzieci, dajcie nam dostęp do uczniów.

Kiedy przysłuchiwałem się tej rozmowie, stwierdziłem pewien rodzaj rozżalenia i swoistej bezradności. Bo któż ma ten dostęp zapewnić? Przy kilku pierwszych wypowiedziach nie miałem wątpliwości, że ministerstwo zrobiło dużo, aby dobre formy zepsuć. Prawdopodobnie tak samo mówią przedstawiciele innych dyscyplin, którzy również zostali pozbawieni godzin lekcyjnych dla swoich przedmiotów. Jeżeli zatem godzimy się na wyjątkową rolę wychowania estetycznego, to musimy uderzyć się w piersi i podjąć jakieś mocne postanowienie poprawy. Popatrzmy na konkurencję i na przedstawicieli innych zawodów. Proszę zauważyć, w jakim kierunku zmierzają decyzje ministra Romana Giertycha w stosunku do przedmiotów maturalnych. Proszę zauważyć, jak od czterech lat zabiega się o wprowadzenie do szkół filozofii, i jakimi sposobami weszła do szkół religia. Myślę, że nie pozostaje nic innego, jak stworzenie niezwykle mocnego lobby dla muzyki i spowodowanie, aby ustawodawcy wypracowali korzystne rozwiązania prawne, które w rezultacie przyczynią się do powrotu muzyki i plastyki do szkół. Skoro mamy do czynienia z sytuacją, gdy wartościowe formy edukowania przegrywają z innymi, taka perspektywa działania wydaje się bardzo pożądana. Myślę nawet, że „Konspekt" będzie pierwszą jaskółką działania medialnego.

Jerzy Kurcz

To smutne, ale prawdziwe. Nie ma przemyślanej polityki państwa w zakresie edukacji kulturalnej społeczeństwa. Stoimy wobec poważnej dyskusji, czy polityka w zakresie oświaty i kultury ma być zastąpiona działaniami o charakterze akcyjnym, czy powinna być wypracowanym, długofalowym i konsekwentnie realizowanym programem? Czy mamy brać sprawę edukacji we własne ręce, czy może jest to konstytucyjną powinnością państwa i jego instytucji wobec swoich obywateli, podobnie jak zapewnienie bezpieczeństwa i ochrony zdrowia?

Adam Korzeniowski

Każda dyskusja, im bardziej wnika w merytoryczne meandry jakiejś dyscypliny, staje się poniekąd polemiką. Wielość wyrażonych tutaj poglądów i informacji wskazuje na bardzo szeroki zakres oddziaływania społecznego tej tematyki. Wskazuje również na wielkie bogactwo duchowe muzyki i jej przyswajalność przez człowieka. Bardzo dziękuję za trafne i wieloaspektowe podsumowanie naszej dyskusji. Jestem wdzięczny za Państwa obecność i troskę o ten rodzaj sztuki, wyrażoną w Państwa wypowiedziach.

Fot. M. Pasternak

Katarzyna Maria Nogieć

Niezwykłe możliwości muzyki

Muzyka jest kąpielą duszy zmywającą z niej wszelką nieczystość.
A. Schopenhauer

Muzyka działa na człowieka w sposób podświadomy, bez konieczności dużego wkładu intelektualnego z jego strony. Jak twierdzi Agripp von Nettesheim „Muzyka uspokaja umysł, ułatwia wzlot myśli, a gdy trzeba, pobudza do walki"

Zdarza się, że jest wykorzystywana do zatrzymania klientów w sklepach czy restauracjach. W Australii zdiagnozowano jej kojący wpływ na pacjentów śmiertelnie lub przewlekle chorych, w USA zauważono wpływ tej sztuki na szybszy rozwój roślin. Odpowiednią muzykę stosuje się w fermach przy hodowli bydła, w fabrykach, a wszystko po to by zwiększyć produkcję. Łyżwiarze swoje akrobacje wykonują przy akompaniamencie muzyki, ona ich inspiruje. Z medycznego punktu widzenia muzyka może zmienić aktywność systemu nerwowego, wywoływać określone zmiany w czynnościach całego organizmu, zmieniać napięcie mięśni, przyspieszać przemianę materii, modyfikować oddychanie itd. Ze względu na te jej walory jest celowo wykorzystywana w niektórych działach medycyny, takich jak: anestezjologia, neurologia, rehabilitacja medyczna, ginekologia, geriatria itp. Muzyka również służy leczeniu w szerszym słowa tego znaczeniu, jest wykorzystywana we współczesnych terapiach.

Muzykoterapia należy do powszechnie stosowanych technik leczenia zarówno dzieci jak i dorosłych. Jest jednym z elementów arteterapii, obejmującej wszelką działalność twórczą, do której oprócz wspomnianej muzykoterapii zaliczamy: psychodramę, pantomimę, choreoterapię, psychorysunek, biblioterapię, oraz działania terapeutyczne za pośrednictwem teatru, filmu, sztuk plastycznych. Początkowo wszystkie wymienione elementy stosowano w psychoterapii i psychiatrii, potem zakres poszerzono na psychologię i pedagogikę, gdzie wykorzystywano je jako narzędzie korekcji i rozwoju.

Zastanawiając się nad pochodzeniem terminu *muzykoterapia* bierzemy pod uwagę dwa słowa: *muzyka* (*musica* - łac., *mousiké* - gr.) oznaczające sztukę zwłaszcza śpiewu i gry na instrumentach, oraz drugi *terapia* (*therapeuéin* - gr.) w szerszym kontekście oznaczające leczenie. Co w połączeniu daje nam - leczenie poprzez muzykę.

Najstarsze świadectwa dotyczące terapii muzycznej i jej pozytywnego wpływu pochodzą nawet sprzed trzech tysięcy lat, bowiem już w Starym Testamencie słudzy króla Saula znali kojące działanie muzyki. „Skoro zaś tylko duch niepokoju, zsyłany przez Boga, opanowywał Saula, brał Dawid harfę i grał na niej, a Saul uspokajał się i czuł się lepiej, i duch niepokoju odstępował od niego" (Pierwsza Księga Samuela 16,23). W drugiej skarbnicy kulturowej, czyli Mitologii czytamy o nadzwyczajnych zdolnościach muzycznych Orfeusza. Jak wiemy, co zresztą podkreśla John Landels, mity spełniały znacząca rolę w kształtowaniu postaw, myśli, wierzeń, a biorąc pod uwagę wielkie zainteresowanie nimi Greków, nie dziwi fakt, iż wiele mitów dotyczy muzyki. Nawet dla antycznych myślicieli nie była

ona obca. Sam Arystoteles podkreślał: „Muzyka łagodzi obyczaje". Pitagoras traktował muzykę, jako odzwierciedlenie ładu i harmonii panującej w kosmosie, ułatwiającej osiągnięcie człowiekowi harmonii wewnętrznej. Natomiast Platon zwracał uwagę na aspekt wychowawczy, traktując tę sztukę jako bodziec wpływający na człowieka - pozytywnie bądź negatywnie.

Choć lecznicze właściwości muzyki znane są od dawna, termin ten pojawił się w literaturze światowej około 1950 r. Prawdziwy rozkwit muzyki jako formy terapii nastąpił w XX w., gdy badania przeprowadzone w dziedzinie psychologii eksperymentalnej i psychiatrii wykazały zalety muzycznej kuracji. Wówczas stwierdzono jej oddziaływanie na sferę osobowości człowieka. Potwierdzono również fakt, iż muzyka potrafi zmieniać stan aktywności układu nerwowego, wywołać zmiany w czynnościach całego organizmu. W Polsce rozkwit tej dyscypliny nastąpił w latach 70. XX w. gdy powołano Instytut Muzykoterapii we Wrocławiu.

Współczesna muzykoterapia definiowana jest przez Elżbietę Galińską jako „forma psychoterapii, która wykorzystuje muzykę i jej elementy jako środki stymulacji, strukturalizacji oraz ekspresji emocjonalnej i komunikacji niewerbalnej w procesie diagnozy, leczenia i rozwoju osobowości człowieka". Co za tym idzie, będzie to swoista metoda postępowania, wykorzystująca wieloraki wpływ muzyki na psychosomatyczny ustrój człowieka. Sztuka ta poprzez różne elementy, rodzaje, zróżnicowane formy odbierania i uprawiania, wywiera leczniczy wpływ na odbiorcę bez względu na jego wiek. Warto podkreślić, iż nadrzędnym celem terapii muzycznej jest pomaganie a nie rozwijanie muzycznych sprawności. Terapię najczęściej wykorzystuje się w konkretnym celu. Służy ona integracji w grupie, poprawia komunikację. Uczy odpoczynku i relaksacji. Ale przede wszystkim poprawia kondycję psychofizyczną, sprzyja wzrostowi pozytywnego nastawienia do życia ujawniania i rozładowuje zablokowane emocje i napięcia.

Magdalena Wójcik-Standio podaje kilka rodzajów muzykoterapii: kliniczno-diagnostyczną (opiera się na działaniach podejmowanych przez specjalistów medycyny), spontaniczną (jest wyrazem spontanicznych emocji), naturalną (podstawowy materiał muzyczny stanowią dźwięki natury, np. szum morza, lasu), adoptowaną (wykorzystuje przypadkowy materiał muzyczny np. radio), profilaktyczną (stosuje się ją w celu zapobiegawczym np. uspokajanie, aktywizowanie pacjenta), socjoterapeutyczną (celem jest eliminowanie nieprawidłowych wzorców zachowań, nauka zachowań społecznie pożądanych), oraz meloterapię (terapeutyczne walory śpiewu).

Mówiąc o rodzajach muzykoterapii nie sposób pominąć jej celów. Wymieniając za Joanną Konieczną występują one w następującej kolejności: wytwarzanie równowagi między sferą przeżyć emocjonalnych a procesami fizjologicznymi (tzw. terapeutyczne); ogólnorozwojowe i umuzykalniające. Ważnym aspektem terapii muzycznej jest także umożliwianie komunikacji niewerbalnej. Ten sposób artykułowania problemów polega na aktywności muzycznej z pominięciem werbalnych środków przekazu.

Muzykoterapia jest stosowana zarówno w terapiach grupowych jak i indywidualnych. Małgorzata Kopacz twierdzi, że przybiera ona najczęściej jedną z dwóch form. Pierwsza z nich to receptywna, polegająca na słuchaniu szczególnie dobranej do tego celu muzyki. Realizowana jest poprzez stopniowe wprowadzenie utworów zaczynając od spokojnego, pozwalającego nawiązać kontakt z uczestnikiem, następnie prowokującego do przeżywania silnych emocji, a kończąc na takich, które neutralizują poprzednie doznania. Druga - aktywna, wykorzystuje wszelkiego rodzaju instrumenty muzyczne oraz śpiewanie. Realizuje się wówczas tematyczne zajęcia instrumentalne, umożliwiające wyrażanie takich emocji jak gniew czy smutek, pacjent bowiem wybiera taki instrument, jaki w danym momencie jest mu najbliższy. Warto podkreślić również wpływ nauki śpiewu na rozwój klatki piersiowej, muskulatury oddechowej oraz przemianę materii.

Muzykę pod względem jej działania terapeutycznego dzielimy także na uspokajającą i aktywizującą. Według Tadeusza Natansona działa ona niczym swoisty lek, bowiem potrafi w sposób dynamiczny zmienić stany emocjonalne odbiorcy, pobudzić go do działania lub ułatwić koncentrację. Stanowi niewerbalny środek wyrażania siebie. Pomaga w odbiorze miłych i przyjemnych doznań. Pobudza, przezwycięża smutek, monotonię, inspiruje do kreatywnych zachowań. Pozwala dostrzec własną głębię i tam regenerować siły. Badania dowiodły, iż po 10 minutowym słuchaniu u większości osób zmęczenie mija, występuje regularny oddech i rytmiczna praca serca. Oprócz likwidacji zmęczenia muzykoterapia gasi negatywne emocje, takie jak: złość, niechęć, agresja, stres, strach. Z drugiej strony dodaje energii, poprawia pamięć, pomaga w pracy i w wypoczynku.

Według Galińskiej w muzykoterapii bardzo istotny jest kontakt terapeutyczny z pacjentem. Dziedzina ta wymaga od terapeuty odpowiedniego przygotowania. Powinien on dysponować fachową wiedzą zarówno z zakresu psychologii, jak i psychopatologii. Wykazywać się znajomością tworzywa muzycznego i jego oddziaływania na człowieka, oraz umiejętnością ustalania granic oddziaływań, by nie spowodować negatywnych skutków. Musi on posiadać zdolność prowadzenia wnikliwego dialogu o charakterze muzycznym. Warto podkreślić, iż nie może być muzykiem profesjonalnym, osoby takie bowiem nie traktują muzyki jako środka terapeutycznego lecz materię artystycznego oddziaływania. Podczas ćwiczeń powinien stać się równorzędnym partnerem, przejawiać empatyczne zachowania. Za cechę niezwykle pożądaną traktuje się jego elastyczność, pozwalającą na dostosowanie się do sprawności intelektualnej i fizycznej uczestników. Mówiąc o idealnym muzykoterapeucie mamy na myśli jednocześnie terapeutę, muzyka i pedagoga.

Muzyka poprzez swoje bogactwo form oddziaływania stwarza ogromne możliwości, wywiera wielkie znaczenie w życiu młodego pokolenia, co pozwala wykorzystać ją w resocjalizacji. Młodzieńcze niedostosowanie społeczne przejawia się w różnego rodzaju zaburzeniach emocjonalnych, wynikających z problemów i konfliktów życiowych. Grupa ta jest bardzo podatna na czynniki oddziałujące na sferę emocjonalną. I tu na plan pierwszy wychodzi muzyka, bowiem to ona wpływa na człowieka bez jego wiedzy, działa na podświadomość. Muzyka odgrywa główną rolę w ujawnianiu wychowankom konfliktów, a następnie po owym ***katharsis*** może być bardziej przydatna w procesie odbudowy osobowości np. nie tylko poprzez jej słuchanie, ale i tworzenie. Małgorzata Kopacz w swoich badaniach udowodniła, iż muzykoterapia wpływa również na obniżenie poziomu agresji u dorastającej młodzieży.

Warto podkreślić również cechy tzw. zdrowej muzyki, która nie zakłóca naszych naturalnych procesów emocjonalnych czy fizjologicznych. Matthew Dobson określa, iż muzyka ta powinna mieć rytm wolniejszy od uderzeń serca w ciągu minuty, nie może być głośniejsza niż 70 decybeli i powinna zawierać równowagę dźwięków.

Muzyka - jak podkreślają Robert Sherman i Philip Seldon - „jest po prostu taką organizacją dźwięku, która tworzy piękną kompozycyjną całość, wyraża uczucia". Dzięki temu wywiera ogromny wpływ na wszechstronny rozwój człowieka. Wykorzystujmy jej lecznicze walory pamiętając, że bezpośredni dostęp muzyki do naszej podświadomości, powinien uczulić nas na w pełni świadomie obchodzenie się z nią.

Poniżej wymieniono kilka dzieł muzycznych posiadających walory terapeutyczne utwory te wybrane zostały z książki E. Koniecznej. Wśród nich muzyka klasyczna, która jak pisał Ch. Rueger „zwykle niesie w sobie wielki duchowy potencjał, posiada ogromną siłę porządkującą, co stanowi o jej wartości ponadczasowej", oraz muzyka popularna i filmowa.

Muzyka klasyczna i popularna		Muzyka filmowa	
Nazwisko kompozytora	Tytuł utworu	Nazwisko kompozytora	Tytuł filmu
F. Chopin	*Etiuda E-dur op.10 nr 3* *Etiuda Rewolucyjna c-moll op.10 nr 12*	Y. Tiersen	*Amelia*
P. Czajkowski	*Andante cantabile z „Serenady na Skrzypce"*	J. Williams	*Gwiezdne wojny,* *Imperium kontratakuje,* *Bliskie spotkania trzeciego stopnia,* *Park Jurajski,* *Lista Schindlera,* *Superman*
J. S. Bach	*Koncert fotrepianowy A-dur*	P. Bachelet	*Emmanuelle*
B. Flies	*Kołysanka*	H. Faltermeyer	*Gliniarz z Beverly Hills*
V. Mont	*Czardasz*	W. Kilar	*Pianista,* *Pan Tadeusz,* *Ziemia obiecana,* *Trędowata*
W.A. Mozart	*Marsz turecki a-moll* *Uwertura do „Wesela Figara"*	F. Lai, C. Signan	*Love Story*
C. Saint-Saens	*Karnawał zwierząt*	H.N. Mancini	*Różowa pantera*
R. Schumann	*Marzenia ze scen dziecięcych op.14,nr 7*	R. Morgan, L.L. Stock	*Ojciec Chrzestny*

Literatura

Galińska E., *Muzykoterapia schizofrenii*, „Zeszyt Naukowy Akademii Muzycznej we Wrocławiu", 1990, nr 4.

Gąsienica-Szostak A., *Muzykoterapia w rehabilitacji i profilaktyce*, Warszawa 2003.

Konieczna E. J., *Arteterapia w teorii i praktyce*, Kraków 2004.

Kopacz M. *Wpływ muzykoterapii na obniżenie poziomu agresji u dorastającej młodzieży*, „Psychoterapia" 1997, nr 4.

Landels J. G., *Muzyka starożytnej Grecji i Rzymu*, przeł. M. Kaziński, Kraków 2003.

Natanson T., *Programowanie muzyki terapeutycznej*, Wrocław 1992.

Rafalska M., *Muzykoterapia*, Towarzystwo Terapii i Kształcenia Mowy LOGOS. [Tryb dostępu: http://www.logos.pomorze.pl/muzyka09/], strona dostępna w lutym 2007.

Rueger Ch., *Muzyczna apteczka na każdy nastrój od A do Z*. Warszawa 2000.

Sherman R., Seldon Philip, *Muzyka klasyczna dla żółtodziobów, czyli wszystko, co powinieneś wiedzieć o...* Poznań 2000.

Wrona-Polańska H., *Profilaktyka i terapia w procesie edukacji*, [w:] *Podstawy Psychologii. Podręcznik dla studentów kierunków nauczycielskich* pod red. W. Pileckiego, G. Rudkowskiej, L. Wrony. Kraków 2004.

Katarzyna Maria Nogieć

Romualda Ławrowska

O potrzebie kształcenia muzycznego studentów specjalności pedagogicznych

Irena Wojnar już przed laty (1970) postulowała udział wychowania estetycznego w kształceniu studentów wszystkich kierunków pedagogicznych. Twierdziła wówczas, że każdy student przygotowujący się do zawodu nauczycielskiego powinien posiadać wrażliwość i smak estetyczny. Skoro wyniki osiągane w tym zakresie w szkołach średnich i wpływ domu są niewystarczające, realizacja postulatu miałaby mieć miejsce w wyższych uczelniach. Obecnie kontynuacją takich zamierzeń może być rezolucja Europejskiej Wspólnoty Wychowania Muzycznego, która domaga się podjęcia przeciwdziałania wobec wzrostu zagrożeń natury społeczno-moralnej i psychologicznej wśród młodzieży (głównie wpływu środków elektroakustycznych na zdolność koncentracji i percepcję), a także widzi potrzebę utrzymania europejskiej tradycji kultury muzycznej. Młody wiek studentów jest najbardziej właściwy dla kontaktu ze sztuką, gdyż - jak twierdzi niemiecki psycholog E. Spranger - „nawet te osoby, które później będą należały do odmiennej kategorii psychologicznej, przeżywają w okresie młodzieńczym stadium estetycznego entuzjazmu". Okres ten jest także dobrym momentem odkrycia i osobistego uświadomienia sobie wartości kulturowych i duchowych. Sztuka doskonale odpowiada postawie psychicznej młodzieży, zaspokaja potrzeby rytmu jej życia, skłonności do dramatyzowania własnych przeżyć, pogoni za niezwykłością i ideałem. Nowoczesna edukacja muzyczna polega na organizowaniu wielostronnej aktywności uczniów, odczuwaniu jej w muzycznym działaniu i przeżywaniu. Aktywność ruchowa, głosowa czy instrumentalna, spełnia tak wielorakie i uniwersalne funkcje, że jej udział w kształtowaniu osobowości nauczycielskiej wydaje się niezbędny. Wymienić tu należy rozwój umiejętności komunikacyjnych, zwłaszcza w zakresie komunikacji niewerbalnej, w tym także możliwości ruchowo-przestrzennych, głosowych, twórczych oraz - w sferze emocjonalnej - rozwój postawy estetycznej, otwartości na świat, empatii. W nowoczesnych szkołach świadomość wielorakich inteligencji każe nauczycielowi tak samo punktować osiągnięcia muzyczne uczniów, jak np. matematyczne czy językowe. Wymaga to jednak specjalnych kompetencji pedagogiczno-muzycznych, a przynajmniej rozeznania w kulturze muzycznej i doznania aktywności muzycznej na sobie. W stechnicyzowanym świecie potrzeba nam wrażliwości estetycznej bardziej niż kiedykolwiek.

Jaka jest zatem rzeczywistość? Czy uczelnie uwzględniają w planach studiów pedagogicznych kształcenie muzyczne? Czy i na ile studenci kontaktują się z kulturą muzyczną w uczelni i poza nią?

Przedmioty muzyczne w uczelniach pedagogicznych obecne są prawie wyłącznie w planach

studiów związanych z edukacją zintegrowaną w przedszkolu i w klasach 1-3, podczas których przyszły nauczyciel powinien przygotować się do edukacji muzycznej dzieci w wieku 3-10 lat. Jak powszechnie wiadomo, przygotowanie to jest niewystarczające, gdyż w wyniku braku systematycznej edukacji muzycznej w szkołach, około 90% studiujących nie ma podstawowego przygotowania muzycznego, zaś w szkołach wyższych poświęca się na nie zaledwie od 40 do 180 godzin. Widać zatem wyraźnie, iż okres do 10 roku życia, który jest właściwy dla rozwoju słuchu muzycznego, a w którym dziecko powinno podlegać wychowaniu przez muzykę, jest w kolejnych pokoleniach bezpowrotnie zaprzepaszczany. Nienajlepszą sytuację potęguje jeszcze funkcjonująca od reformy oświatowej w 1998 r. *Podstawa Programowa*, która zredukowała treści muzyczne w szkole do kilku haseł. Tylko światli dyrektorzy radzą sobie z tym problemem, utrzymując ze swej puli w harmonogramach przedmiot muzyka i zatrudniając w tym celu wykwalifikowanych nauczycieli.

Kształcenie nauczycieli muzyki realizuje się w dwóch różnych systemach: w akademiach muzycznych lub w uczelniach pedagogicznych i uniwersytetach.

Kształcenie studentów w akademiach muzycznych nastawione jest z natury rzeczy bardziej na osiągnięcia artystyczne absolwentów niż na pracę pedagogiczną dla potrzeb szkolnictwa powszechnego. Te odmienne nastawienia ilustruje schemat wg M. Martenota: *Uczący sztuki czy wychowujący przez sztukę?* (s. 23).

Nauczyciel-artysta dąży do doskonalenia techniki instrumentalnej oraz wiedzy intelektualnej na równi z wrażliwością estetyczną. Uczący sztuki poszukuje przede wszystkim rezultatów artystycznych swej pracy. Są to rezultaty stosunkowo szybko widoczne i wymierne. Wychowujący przez sztukę poszukuje przede wszystkim rezultatów głęboko wychowawczych. Właśnie to drugie podejście ma szansę rozwinąć się najpełniej w uczelni pedagogicznej.

Muzyka w Akademii Pedagogicznej w Krakowie

W krakowskiej Uczelni nie prowadzi się specjalności edukacja muzyczna, a przecież jest to konstytucyjnie zagwarantowany obszar edukacji w szkolnictwie ogólnym w Polsce. Pedagogika muzyczna jest realizowana systematycznie jedynie w specjalnościach prowadzonych przez Instytut Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej, przygotowujących do nauczania zintegrowanego w przedszkolu i w klasach 1-3, w których edukacja muzyczna jest jednym z siedmiu obszarów edukacji. Pedagogika muzyczna wieku dziecięcego i związana z nim problematyka pedeutologiczna, jest też przedmiotem badań pracowników Katedry Edukacji Artystycznej (dawnego Zakładu Metodyki Nauczania Początkowego Muzyki i Plastyki): Andrzeja Wiłka, Jerzego Dyląga, Romualdy Ławrowskiej i Andrzeja Cebulaka.

Współpraca zatrudnionych w Katedrze pedagogów muzyki z Katedrą Badań Muzyczno-Edukacyjnych krakowskiej Akademii Muzycznej zaowocowała osiągnięciami na niwie naukowej, czego efektem jest powstanie *Krakowskiej Koncepcji Programowo-Metodycznej Wychowania Muzycznego,* której egzemplifikacją są opracowane przez krakowskie środowisko wychowania muzycznego książki, materiały i cykle audycji radiowych. Ponadto wspólnie zrealizowano ogólnopolskie badania zamawiane przez KBN nad *Profilem kształcenia nauczycieli muzyki w Polsce* (red. J. Kurcz, 1998). Podsumowaniem tej działalności była zorganizowana w listopadzie 2006 r. w Akademii Muzycznej konferencja naukowa dedykowana prof. Zofii Burowskiej: *Zofia Burowska. In memoriam.*

Od lat 90. pracownicy Katedry Edukacji Artystycznej prowadzili badania pedeutologiczne nad różnymi aspektami kompetencji muzycznych studentów pedagogiki przedszkolnej i wczesnoszkolnej. W ostatnich latach zajęto się szczególnie zagadnieniem rozwoju podmiotowości ucznia i nauczyciela w edukacji muzycznej, a także wprowadzeniem dziecka w kulturę poprzez różne rodzaje

aktywności muzycznej. Obszerny materiał w tym zakresie przyniosła I Międzynarodowa Konferencja *Kultura – Aktywność artystyczna dziecka*, zorganizowana w 2006 r. przez KEA, przy współpracy Instytutu Sztuki Wydziału Pedagogicznego AP. Podążając za nowymi wynikami badań w zakresie psychologii i nauk medycznych, szczególnie zajęto się tam pedagogiką rytmu i ruchu jako środkiem elementarnego wychowania i rozwoju człowieka zgodnie z jego naturą oraz jako środkiem terapii pedagogicznej.

Muzycy z Katedry Edukacji Artystycznej związani z Instytutem PPiW realizują, choć w elementarnym zakresie, potrzeby dydaktyki muzyki innych jednostek Wydziału Pedagogicznego: Katedry Pedagogiki Specjalnej czy Instytutu Sztuki. Od pewnego czasu obserwuje się także sporadyczne wprowadzanie do planów studiów bardzo krótkich cykli przedmiotów muzycznych na specjalności: edukacja artystyczna w dziedzinie plastyki lub w planie studiów podyplomowych na wydziale filozoficznym: wiedza o kulturze muzycznej.

Niemniej, mimo wszystkich podejmowanych działań, wciąż niepokojący jest stan uczestnictwa studentów w kulturze, w tym w kulturze muzycznej. Przeprowadzone w Katedrze Edukacji Artystycznej przez A. Korzeniowskiego i R. Ławrowską badania sondażowe wykazały, że nasi studenci nie wykorzystują w czasie studiów kulturalnej oferty Krakowa. W koncertach muzyki poważnej uczestniczy tylko 20% naszych wychowanków, w teatrze bywa 30%, podczas gdy telewizję, głównie seriale, ogląda już 70% badanych. Czynne uczestnictwo w zespołach i kołach zainteresowań deklaruje jedynie 9% badanych studentów AP. Jest to podobny wynik jak wśród respondentów z AE w Krakowie. Równocześnie wyniki badań wśród studentów PPiW, dotyczące uczestnictwa młodzieży w schołach przykościelnych, wykazują dużą potrzebę śpiewu i muzykowania, której młodzi ludzie nie znajdują w swoich szkołach. Wyłania się z tego obraz młodzieży, która niewątpliwie poszukuje kontaktu z muzyką. Słuchając jej poprzez odtwarzacze mp3, zaciera się kontakt z wartościową muzyką na żywo. Młodzież nie znajduje też kompetentnych wskazówek i przewodnika po świecie kultury i sztuki muzycznej w swojej macierzystej uczelni, tak jak nie miała ich po reformie oświatowej w swoich szkołach, gimnazjach i liceach. Z całą pewnością trudno będzie przyszłym nauczycielom uprawiać integralną pedagogikę bez podstawowej wiedzy o kulturze muzycznej i jej wartościach wychowawczych.

Wobec tych problemów cenna jest ciesząca się poparciem władz Uczelni inicjatywa Adama Korzeniowskiego, dzięki której zapoczątkowano i kontynuuje się cykl koncertów dla studentów i nauczycieli pod nazwą *Vivat Academia, Vivat Musica* w Auli AP. Koncerty te stoją na wysokim poziomie profesjonalnym, cieszą się wielkim zainteresowaniem przybyłych studentów. Warto szerzej propagować je zarówno wśród wychowanków, jak i nauczycieli akademickich naszej Uczelni. Obecność Rektora AP stanowi tu budujący przykład w myśl najlepszych tradycji, a koncerty stanowią dodatkowo okazję spotkania studentów i nauczycieli akademickich w innej niż codzienna sytuacji. Równocześnie drugi już rok działa przy KEA Studencka Orkiestra Kameralna, złożona z naszych studentów – absolwentów szkół muzycznych. Dużo twórczej współpracy artystycznej studentów z nauczycielami muzyki ma miejsce w Studium Małych Form Scenicznych pod kierownictwem mgr J. Romka. Muzyczną wizytówką Uczelni jest wreszcie chór „Educatus" prowadzony przez Adama Korzeniowskiego, który ma w swym dorobku nie tylko bogaty i wszechstronny repertuar muzyczny, ale także liczne nagrody i zwycięstwa w konkursach wykonań muzyki chóralnej w kraju i za granicą, nagrania na płytach CD, a ostatnio także koncerty telewizyjne.

Podsumowując należy stwierdzić, że edukacja muzyczna młodego pokolenia pozostaje nadal troską specjalistów pedagogów muzyki, w czym są – niestety – często zbyt osamotnieni. Wiedza o uczniu i nauczycielu w edukacji muzycznej jako dziedzina pedagogiki muzycznej

rozwinęła się znacznie w ostatnich kilkudziesięciu latach i upoważnia do traktowania edukacji muzycznej jako szczególnie wartościowej dla wzrostu u uczniów potencjału do uczenia się, wspierania rozwoju wszystkich rodzajów inteligencji, a przede wszystkim do poczucia kulturowej tożsamości człowieka. Jednak nie po raz pierwszy osiągnięcia nauki nie idą w parze z decyzjami administracyjnymi MEN, a obecna sytuacja kulturowa nie oznacza, jak wiemy, świadomego, analitycznego i twórczego uczestnictwa w kulturze w poczuciu wolności wyboru. Dorobek działającej w Akademii Pedagogicznej Katedry Edukacji Artystycznej przy Instytucie Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej może stanowić podstawę do poszerzenia działalności w zakresie dydaktyki muzycznej w AP. Z całą pewnością okres studiowania przyszłych nauczycieli jest ostatnim okresem, w którym możemy mieć wpływ na kształtowanie się postaw estetycznych i etycznych młodzieży. Wzorzec uczestnictwa w kulturze muzycznej na poziomie wyższym niż pop powinien zostać stworzony i silnie zaakcentowany w uczelni pedagogicznej mieszczącej się w tak silnym centrum kulturalnym - Krakowie.

Romualda Ławrowska

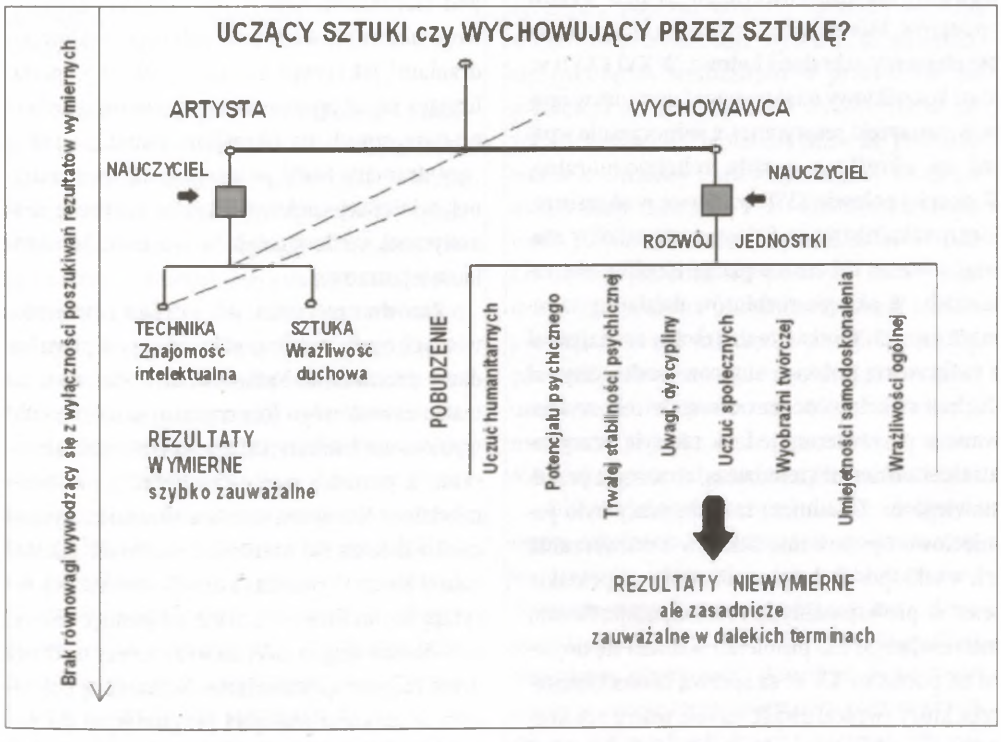

Rys. 1. Schemat kształcenia muzycznego wg M. Martenota

Katarzyna Lange, Józef Romek

Teatr szkolny – formy i treści w kształceniu przyszłych nauczycieli

Czym jest teatr szkolny?

Początki teatru szkolnego w Polsce łączą się z istnieniem szesnastowiecznego teatru żaków i pauprów, którego przedstawienia łączyły w sobie elementy sakralne i ludowe. W XVI i XVII w. teatr konwiktowy miał pomagać uczniom w opanowaniu sztuki retorycznej, a jednocześnie wpajać im określone zasady religijno-moralne. W drugiej połowie XVIII w., a więc w okresie reformy szkolnictwa w Polsce, teatr szkolny stawiał sobie za cel zaszczepianie ideałów obywatelskich. W okresie rozbiorów działający w ramach tajnych spotkań teatr szkolny zaznajamiał z twórczością polskich autorów, podtrzymywał ducha i świadomość narodową. Te cele wychowawcze przyświecały jednak nie tyle pracy teatralnej z dziećmi i młodzieżą, co samym przedstawieniom. Zasadniczą metodą pracy było pamięciowe opanowanie tekstów i odtwarzanie ich w taki sposób, by przypominało to spektakle teatrów profesjonalnych. Przełom w ujmowaniu interesującego nas problemu dokonał się dopiero na początku XX w. za sprawą Léona Chancerela, który zwracał uwagę na rolę teatru szkolnego w pobudzaniu psychicznego rozwoju dzieci i młodzieży – na gruncie polskim wypracowanie odrębnego stylu teatru szkolnego przyniosła działalność Lucjusza Komarnickiego.

Obecnie pod nazwą „teatru szkolnego" kryją się różne formy aktywności uczniowskiej, co nastręcza niejakie trudności w jednoznacznym zdefiniowaniu interesującego nas pojęcia. Mianem „teatru szkolnego" określamy zarówno zespół uczniowski, który doraźnie przygotowuje pod kierunkiem nauczyciela (rzadziej zawodowego aktora) inscenizację pełnospektaklowego dramatu[1], jak i grupę młodzieży szkolnej, specjalizującą się w opracowaniu tzw. montaży słowno-muzycznych na określony temat[2], a także „gry dramatyczne"[3] polegające na spontanicznej, właściwej wiekowi uczniów ekspresji dramatycznej, a jednocześnie będące metodą rozwijania tej ostatniej.

Zarówno pierwsza, jak i druga z przedstawionych opcji, zostały poddane krytyce przez badaczy przedmiotu. Naśladowcza w stosunku do teatru zawodowego forma teatru szkolnego nie wytrzymuje konkurencji z jego kunsztem aktorskim, a ponadto ogranicza twórczą swobodę młodzieży. Natomiast montaże słowno-muzyczne często kojarzą się uczniom z nudnymi „akademiami ku czci", podczas których wykonawcy recytują bezmyślnie wyuczone na pamięć teksty, a na domiar złego z całej imprezy należy na drugi dzień napisać sprawozdanie. Najbardziej pojemnym, a zarazem najlepiej przystającym do potrzeb współczesnej dydaktyki, wydaje się być ostatnie z proponowanych ujęć teatru szkolnego. Bowiem „grą dramatyczną" może być zarówno proste ćwiczenie ruchowe, jak i całe przedstawienie, w którym znajduje się ruch i słowo, muzyka, a nawet realizacja jakiegoś gotowego tekstu literackiego, byleby dokonana środkami właściwy-

mi dla dzieci czy młodzieży i samodzielnie wypracowanymi. Należałoby w tym miejscu dodać, że przedstawione wyżej założenia wykazują pewną zbieżność wobec idei *teatru samorodnego*[4], która była znana w Polskiej szkole już w dwudziestoleciu międzywojennym za sprawą Lucjusza Komarnickiego. Postulowany przez rodzimego badacza model teatru szkolnego zakładał, że działalność młodzieży ma być ukierunkowana nie na zewnętrzny popis, ale na zespołową pracę w laboratorium teatralnym, ze szczególnym zwróceniem uwagi na umożliwienie uczniom swobodnej ekspresji oraz rozwoju ich możliwości twórczych. W taki właśnie sposób chcemy rozumieć teatr szkolny w niniejszej pracy.

Kompetencje instruktora teatru szkolnego

W Instytucie Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej w ramach Katedry Edukacji Artystycznej, funkcjonuje fakultatywne Studium Małych Form Scenicznych. W ciągu 3-semestralnego cyklu kształcenia studenci zdobywają niezbędną wiedzę z zakresu: samodzielnej analizy i interpretacji opracowywanych scenariuszy przedstawień szkolnych, reżyserii, adaptacji estradowej wiersza i prozy, interpretacji piosenki, ilustracji muzycznej, oprawy plastycznej, wykonywania elementów scenografii, rekwizytów i kostiumów, pantomimy, charakteryzacji i podstawowych zadań aktorskich, emisji i impostacji głosu, choreografii (elementy tańców narodowych z dokładnym rysunkiem choreograficznym poloneza). Propozycje programowe, w naszym przekonaniu, wychodzą z konieczności rzetelnego przygotowania przyszłych nauczycieli do profesjonalnego prowadzenia szkolnych zespołów teatralnych lub przygotowania imprez okolicznościowych. Pojmowany w ten sposób teatr szkolny wychodzi naprzeciw potrzebom ekspresji twórczej dziecka, pomaga mu w poznawaniu siebie, rozwija zainteresowania, stymuluje wszechstronny rozwój.

Propozycje dydaktyczne

Program SMFS jest merytorycznie powiązany z programem studiów pedagogicznych AP w Krakowie i pozwala na realizowanie edukacyjnych pomysłów przyszłego nauczyciela, twórczego działania poprzez teatr szkolny jako niezwykle ważną formę kształcenia integracyjnego w edukacji szkolnej. Ujęte w programie kształcenia zagadnienia przyczyniają się nie tylko do praktycznej i aktywnej działalności studentów, ale równocześnie pobudzają ich wyobraźnię w zakresie ekspresji koloru, światła, gestu, formy czy też opracowania muzycznego.

Główny nacisk w pracy ze studentami kładziemy na realizację warsztatów teatralno-muzycznych, podczas których studenci poznają w zakresie plastyki i scenografii m. in.: propozycje rozwiązań scenicznych w przestrzeni zamkniętej i otwartej, sposoby wykorzystania gazet, kartonów, starych materiałów do projektowania kostiumów i rekwizytów przy uwzględnieniu ekspresji ruchu i sylwetki aktora, możliwości reżyserii światłem, montaż koloru. W zakresie muzyki studenci poznają i zdobywają m.in.: umiejętności prawidłowej emisji i interpretacji piosenki dziecięcej, poezji śpiewanej, piosenki kabaretowej, turystycznej, a także umiejętności tworzenia odpowiedniej ilustracji muzycznej poprzez wykorzystanie instrumentów elektronicznych oraz muzyki mechanicznej.

Dla właściwego zrozumienia problematyki teatru szkolnego konieczna jest analiza teatralna utworów literackich, ich przydatności na pewnych etapach procesu edukacyjnego, dlatego też studenci poznają od strony literackiej, muzycznej, plastycznej, aktorskiej co najmniej cztery scenariusze na cztery pory roku w przedszkolu, w klasach młodszych i starszych. Dla najmłodszych dzieci są to m.in.: *Bal karnawałowy Babci i Dziadzia*, *Dzieci opiekunami zwierząt*, *Piosenki maluchów*, *Do widzenia przedszkole, idziemy do szkoły*. Dla dzieci młodszych: *Piosenki dla Zosi i nie tylko*, *Chociaż mało mamy lat*, *Pod choinką*, *Wiosna*.

Dla dzieci starszych m.in.: *Nasza ojczyzna*, *Opowieść wigilijna*, *Festiwal piosenki ekologicznej*, *Święto Rodziny*.

W ramach zajęć studenci przygotowują etiudy teatralne, w których pełnią funkcję zarówno reżysera, jak i aktora, oraz biorą udział w przedstawieniu dyplomowym, by uzyskać dyplom reżysera małych form scenicznych. Uważamy, że słabością kształcenia przyszłych nauczycieli jest brak odpowiednich kursów z zakresu działań teatralnych. Tę istotną lukę wypełnia w naszym przekonaniu, działające od 1996 r. fakultatywne Studium Małych Form Scenicznych w Katedrze Edukacji Artystycznej, Instytutu Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

Katarzyna Lange
Józef Romek

[1] Por. W. Gniazdowski, *Moja praca reżyserska w teatrze szkolnym* [w:] *Praca w teatrze szkolnym. Odczyty pedagogiczne*, Warszawa 1960.
[2] Por. L. Grzegorek, *Poznajemy teatr*, Warszawa 1972.
[3] Por. B. Way, *Drama w wychowaniu dzieci i młodzieży*, Warszawa 1995.
[4] Por. L. Komarnicki, *Teatr szkolny. Ogólne założenia. Z praktyki teatru szkolnego*, Warszawa 1926.

W teatrze codzienności

Wywiad z Andrzejem Sikorowskim

Marcin Kania: ***Chciałbym na początku zadać pytanie biograficzne: czy mógłby Pan opowiedzieć o swoich mistrzach, o ludziach, którzy sprawili, że sięgnął Pan po gitarę i jest Pan jej wierny do dzisiaj?***

Andrzej Sikorowski: – Nie odkryję Ameryki, jeśli wspomnę o muzyce anglosaskiej, zwłaszcza o Beatlesach, którzy wywarli ogromny wpływ na wiele osób z mojego pokolenia; szczególnie para wiodąca: John Lennon i Paul McCartney. Cenię ich zresztą do dzisiaj. Jeśli chodzi o muzykę polską, to takich wyraźnych wzorów nie posiadam. Nie ukrywam, że zawsze podobała mi się twórczość Marka Grechuty i jego artystyczne dokonania, szczególnie z okresu współpracy z „Anawą". Być może moje akustyczne granie i skłonność do liryzmu czy balladowości wynikły z atmosfery Krakowa, który do dziś jest kolebką piosenki literackiej i moim natchnieniem. Ale poza tym nie jestem podatny na sugestię muzyczną. Nigdy nie fascynował mnie na przykład Czesław Niemen, choć jego miejsce wśród zasłużonych dla polskiej muzyki jest bezsporne. Słucham dużo jazzu; lubię jazz liryczny, idący w stronę muzyki ilustracyjnej, może nawet muzyki filmowej. Szukam nastroju; interesuje mnie, jeśli melodia jest ciepła, jeśli przemawia do mnie barwą i harmonią dźwięków. A jeżeli zostaje do niej dołożony tekst, zdecydowanie się w ten tekst wsłuchuję.

MK: ***Pana twórczość często określa się mianem poezji śpiewanej. Czy posiada Pan swoją definicję tego terminu, indywidualnie realizowaną przy pisaniu tekstów?***

– Przede wszystkim nie nazwałbym siebie poetą. Częściej mówię o sobie jak o tekściarzu; ewentualnie o tekściarzu mającym ambicje, żeby poruszać w utworach problemy istotnej wagi. Jeśli dla kogoś poezją są zrytmizowane i rymowane teksty, to rzeczywiście moja twórczość może za taką uchodzić. Ale i tak broniłbym tezy, że jestem tekściarzem. Poza tym w ogóle nie przepadam za określeniem „poezja śpiewana", bo bardzo często oznacza ona zabieg dorabiania melodii do gotowych utworów poetyckich, często klasycznych, co przeważnie tym utworom szkodzi. Jeśli ktoś, jak np. Zygmunt Konieczny, potrafi odczytać w ten sposób twórczość Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, przesuwając tym samym jego poezję na wyższy poziom zrozumienia przez słuchaczy, jest to przykład chwalebny. Większość natomiast prób opatrywania muzyką twórczości Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego czy Cypriana Kamila Norwida było usiłowaniem chybionym, które ani nie pomogło tym autorom, ani nie stworzyło jakichś arcydzieł. Innymi słowy: „poezja śpiewana" wydaje mi się terminem wymyślonym przez krytyków i dziennikarzy muzycznych na określenie tego,

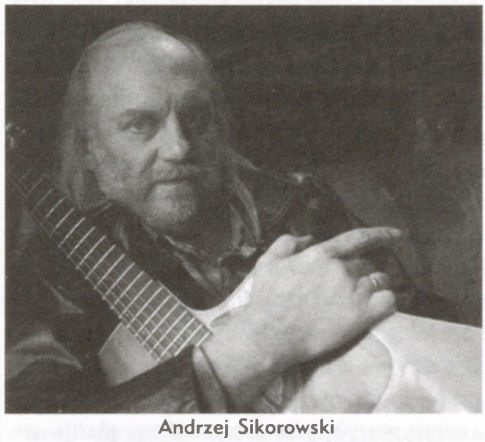

Andrzej Sikorowski

co ja nazywam „piosenką literacką", czyli „piosenką z dobrym tekstem", która jest pewną zamkniętą całością, pewnego rodzaju „opowieścią z morałem". W ten sposób staram się podchodzić do swojego zawodu i takie teksty pisać. Nie znoszę piosenek o niczym. Boleję nad tym, że etos zawodu tekściarza w Polsce prawie zanikł. Wzięło się to z kilku powodów. Po pierwsze i najważniejsze: zabija nas komercja i fakt, że wszystko, co śpiewane (czy w ogóle tworzone), musi być zaraz powielone i sprzedane. W ten sposób następuje drastyczne zaniżenie poziomu wykonywanych utworów. Poezję adresuje się do masowego słuchacza, tak jak do przeciętnego zjadacza adresuje się hamburgera. W dzisiejszym radiu większość muzyki generuje komputer, zaś na jakiekolwiek zapowiedzi utworów w ogóle już nie ma miejsca. Obawiam się, że wielkie nazwiska, takie jak Wojciech Młynarski czy Agnieszka Osiecka, pójdą niedługo w zapomnienie. Nikogo już nie interesuje, kto napisał tekst. Ludzie przyswajają muzykę jako swego rodzaju plastikowego gotowca. I to jest zjawisko ponure.

MK: ***W jednym z wywiadów powiedział Pan, że o wiele łatwiej było Panu śpiewać przed rokiem 1989. Skąd to stwierdzenie?***

– W tym właśnie tkwi paradoks chwili obecnej. Z jednej strony poprzednia władza nie była zainteresowana tym, by powstawały specjalnie myślące jednostki, które mogłyby zacząć dopytywać się o porządek polityczny, ale z drugiej – do wieńca chwały notable komunistyczni potrzebowali pewnego rodzaj specyficznego flirtu ze sztuką. W ten sposób np. festiwal polskiej piosenki cieszył się pełnym poparciem telewizji – był transmitowany i nagłaśniany jako ważne wydarzenie kulturalne. Dziś jest zupełnie odwrotnie. Twórcy festiwalu oczywiście starają się o udział na antenie, lecz gdy zachodzą do telewizji, słyszą, iż festiwal będzie pokazany pod warunkiem, że pojawią się tam osoby popularne, uprawiające tzw. „telewizyjny" rodzaj twórczości. Media po prostu przestały interesować się sztuką ambitną, a komercja stała się nieodłącznym elementem ustroju, o który walczyliśmy. Musimy się z tym pogodzić. Nie chcę sprawiać wrażenia, że tęsknię za PRL-em, ale wydaje mi się jednak, że ówcześnie łatwiej było znaleźć twórczość ambitną, niż ma to miejsce w chwili obecnej, choć przecież panuje wytęskniona wolność słowa...

Bartosz Ochoński: ***Wspomniał Pan kiedyś o istnieniu Pana piosenek w drugim obiegu kultury. Co musiałoby się zmienić, aby twórczość Andrzeja Sikorowskiego pojawiła się w tym pierwszym obiegu?***

– Prawdopodobnie decydenci od mediów musieliby uwierzyć, że nadawanie Sikorowskiego w radiu czy pokazywanie go w telewizji nie osłabiłoby ich słuchalności lub oglądalności, i że nie wpłynęłoby ujemnie na stopień popularności danego programu. Ale sytuacja jest fatalna. Pamiętam, jak na jakimś spotkaniu jeden z zarządzających radiem Eska powiedział, że ma przed sobą stos płyt opatrzonych świetnymi komentarzami i recenzjami prasowymi, ale nie będzie ich nadawał, bo słuchacze zwyczajnie przełączą się na inny kanał. Po prostu: wybiera się coś łatwiejszego. Często pojawiają się stacje grające dawną, w jakiś sposób ambitną muzykę – ale na dobrą sprawę jesteśmy zasypywani *coverami*, jakby dzisiejsi twórcy nie potrafili stworzyć nic oryginalnego. To, co zostało wyprodukowane 40 lat temu, dalej jest popularne. Niemniej zjawisko komercji, o której tu mówimy, nie ogranicza się tylko do muzyki, bo obserwowane jest także w innych dziedzinach sztuki. Jeśli spojrzymy na malarstwo czy literaturę okaże się, że wzięty plastyk to nie ktoś, kto tworzy harmonijne pejzaże, przestrzenie i obiekty, ale pani prezentująca marionetkę Bogusława Lindy. W literaturze zaś ładnie opisuje to scenka: Tadeusz Konwicki, zapytany kiedyś o to, nad czym pracuje, odpowiedział, że on już książek nie pisze, bo teraz książki piszą amatorzy, ludzie nie mający z literaturą nic wspólnego. Żyjemy w kraju, gdzie łatwiej książkę napisać niż przeczytać – i to, niestety, święta prawda.

Wpadłem w ton narzekania, ale trudno mi – człowiekowi zbliżającemu się do sześćdziesiątki – nie konstatować ze zgrozą takiego stanu rzeczy, tym bardziej że w ten świat wprowadzam córkę, która wychowywała się na mojej muzyce, która wyrastała w muzyce moich rówieśników, a która równocześnie widzi, że jej chęć do tworzenia piosenki literackiej od razu skazuje ją na niszowość. Ja sam, gdybym był w jej wieku, nie wiedziałbym, gdzie z moją muzyką się udać; co najwyżej powiedziano by mi, że to dobre, ale tego nikt nie będzie słuchał.

BO: ***Od wielu lat mówi się o literaturze, że wszystko w niej już było. Czego jeszcze nie było w muzyce? Czego nie było w muzyce Andrzeja Sikorowskiego?***

– W muzyce Andrzeja Sikorowskiego nie było wielu rzeczy. Ale w dalszym ciągu w tym co robię dość precyzyjnie rozgraniczam literacką sferę sensów, które chcę przekazać swemu odbiorcy, i sferę muzyczną, będącą tylko tych sensów nośnikiem. W końcu nie posiadam wykształcenia muzycznego, więc dla mnie muzyka jest po to, by przekazać tekst. Wielu wytrawnym muzykom musi się wydawać uproszczona, żeby nie powiedzieć: prostacka, bo przecież obraca się wokół kilku tylko funkcji melodycznych. Ale to moja muzyka, tak ją czuję. Nie było w niej wielu współczesnych elementów, np. modnych ostatnio prób mariażu z muzyką symfoniczną, ale też ja sam nigdy takich potrzeb nie odczuwałem. Jeśli zaś idzie o pierwszą część pytania: jestem przekonany, że w muzyce wszystko już było, szczególnie w muzyce rozrywkowej. Dla człowieka osłuchanego każda kolejna trafiająca na rynek piosenka jest już w jakiś sposób znajoma – nie twierdzę, że to musi być plagiat: po prostu wyczerpują się możliwości kombinacji nut. Ważna w tym wszystkim jest kwestia własnego wizerunku, własnego podejścia do danej sprawy. Tak jak w literaturze: po kilku książkach pisarzy latynoamerykańskich mogło się wydawać, że o miłości czy cierpieniu napisano już wszystko. Ale wciąż pojawiają się nowe aspekty tych zjawisk, dobrzy pisarze wyrażają na ten temat swoje zdanie i sprawę powszechnie znaną opisują w ten sposób, że jednocześnie mówią coś nowego o nas samych, że aż widzimy, jakie to piękne. Gdy się czyta np. książkę Myśliwskiego, człowiek doznaje jakiegoś olśnienia. Ale w popularnej, współczesnej literaturze brakuje rzemiosła. Ubolewam też nad tym, że brakuje w niej najbardziej podstawowej rzeczy: komunikatu. Chętnie dowiedziałbym się od Shutego czy Masłowskiej czegoś o świecie, który mnie otacza, bo w końcu takie zadania stawia się pisarzowi. Ale jeśli ktoś po raz kolejny opisuje balangę i związane z nią womitacje, to

M. Kania i A. Sikorowski

nie jest w stanie mnie niczym zaskoczyć, bo w życiu takich przeżyć miałem mnóstwo. Podobnie zabawa formami słownymi – jest dobra na cztery strony tekstu, ale nie na czterdzieści.

MK: ***Wielu twórców działalność artystyczną definiuje jako poszukiwanie wyrazu własnych przemyśleń i emocji. Czego Pan poszukuje poprzez swoją muzykę?***

– Szukam odpowiedzi na pytania stawiane samemu sobie. Piosenek nie piszę z pozycji mentora ani człowieka prowadzącego wykład, ale uważam, że z perspektywy czasu i doświadczeń mogę dociec prawdy o świecie w inny sposób. Próbuję więc odpowiedzieć na pytania podstawowe: jaka jest w naszym kraju kondycja zwykłego człowieka, przysłowiowego Jana Nowaka, jakie są jego perypetie i rozterki. Moje piosenki nie są traktatami filozoficznymi, nie zastanawiam się nad próbą rozwiązywania zagadek kosmosu czy bytu, bo nie mam o tym bladego pojęcia. Ale znam się dość dobrze na rzeczywistości ulicy, tramwaju, sklepu, biorę udział w codziennych dolach i niedolach. Żyję normalnie. Nie na wzór artystów amerykańskich, którzy mieszkają w okratowanych willach, jeżdżą pancernymi limuzynami i odgradzają się od całego świata. Mnie to nie dotyczy. Ja wiem jak wygląda mieszkanie w bloku, jak wygląda nasza codzienność; jestem człowiekiem, którego na co dzień martwi kondycja intelektualna naszych polityków i cały czas próbuję informować o tym swoich słuchaczy. Największą nagrodą dla mnie jest opinia jednego z nich; kiedyś po jednym koncercie, na którym śpiewaliśmy *Na całość*, zbliżył się do mnie mocno zawiany jegomość i powiedział, że on czuje to tak samo, ale nie umie tego wyrazić. Po to jestem.

BO: ***Czyli idea „teatru małej codzienności", jak kiedyś nazwano dokonania Grupy Pod Budą, nadal obowiązuje?***

– Tak i pewnie w moim pisaniu to się nie zmieni. Nie planuję tak dalece posuniętej ewolucji mojej twórczości. Nie pojawi się w niej inna jakość. Kiedy piszę piosenki dla mojej córki, muszę zmienić skórę i wcielić się w życie osoby dwudziestoletniej, która widzi świat na pewno inaczej niż ja. U niej jest pewnie więcej naiwności, bo ona się na tym świecie nie poznała, bo jeszcze nie oblał jej kubłem zimnej wody, ale to się prawdopodobnie stanie, bo na tym – między innymi – polega życie.

BO: ***Jak Pan łączy liryzm – taki chociażby jak ten, który słyszymy w*** **Turkusowej Polanie** ***– z kreowanym przez siebie wizerunkiem człowieka z krwi i kości?***

– Z *Turkusową Polaną* był inny problem. Pisałem ten tekst dla zespołu Pod Budą i musiałem dzielić piosenki na te bardzo osobiste, w których mogłem pojawić się w skórze felietonisty czy ironisty, który krytykował zjawiska – dlatego np. przykładałem naszemu kapitalizmowi – ale oprócz tego pisałem dla śpiewającej w tym zespole dziewczyny, więc musiałem wtedy użyć innych środków poetyckich, bo kobieta ma inne frazowanie, inne myślenie o świecie, dlatego w *Turkusowej polanie* na pewno więcej jest elementów lirycznych. Poza tym sadzę, że mój liryzm potrzebuje pewnego racjonalnego pancerza. Człowiek nadwrażliwy w tym świecie przepadnie, bo ta nadwrażliwość go zniszczy. Jeśli uruchomi się myślenie racjonalne i nutę ironii, będzie to pewnego rodzaju samoobrona.

MK: ***Pana córka śpiewa: „Koledzy mojego taty i ja / to przecież odległe światy są dwa". Jak kształtuje się międzypokoleniowy dialog między ojcem a córką?***

– Bardzo dobrze. Wielu ludzi, którzy obserwują nasze wspólne śpiewanie nie chce uwierzyć, że ta współpraca jest harmonijna, że jest świadomym Mai wyborem. Powstaje nawet pytanie, dlaczego w młodym człowieku, wchodzącym na estradę po nastawionym lirycznie ojcu, nie ma skłonności do buntu wobec takiej twórczości, dlaczego Maja nie chce być raperem albo metalowcem. A ona odpowiada, że nie widzi takiej potrzeby, bo na tych piosenkach się wychowała, bo wyssa-

ła je z mlekiem matki. Od dzieciństwa członkowie zespołu Pod Budą stanowili jej rodzinę. Ryszard Rynkowski, Grzegorz Turnau czy Zbigniew Wodecki przewijali się przez nasz dom – i w ten sposób wykuła się jej estetyka literacka, balladowa. Dlatego też nasze wspólne śpiewanie jest harmonijne i cieszę się, że bez usilnej namowy, bez pewnego rodzaju indoktrynacji, Maja znalazła tę estetykę dla siebie. Oczywiście w życiu nie będzie jej z tym wygodnie, ale wolę, żeby moja córka była niewspółcześnie wrażliwa, niż żeby była współcześnie uzbrojona w twarde łokcie.

BO: ***Jak po latach ocenia Pan ewolucję swoich marzeń?***

– Przede wszystkim musiałbym się cofnąć pamięcią do liceum. Studia na filologii polskiej wybrałem raczej dlatego, że byłem humanistycznie uzdolniony, niż dlatego, że rzeczywiście chciałem na nie iść. Brało się to z tego też względu, że po maturze zastanawialiśmy się z kolegami, co studiować, patrząc głównie na przedmioty wymagane na egzaminie wstępnym. Co prawda chciałem być lekarzem – do dziś nawet sądzę, że mógłbym być w tym zawodzie całkiem dobry – ale wiedziałem, że medycyna jest dla mnie zamknięta ze względu na przedmioty fizyczne i chemiczne. A że w języku polskim zawsze się dobrze czułem, wybrałem filologię – i to były miłe studia. Poznałem sympatycznych ludzi, naczytałem się sporo – choć po fakcie może stwierdziłem, że nie wszystko trzeba było czytać. W trakcie studiów zacząłem śpiewać, wygrałem konkurs piosenki studenckiej i już wtedy zacząłem myśleć, że być może mógłbym to robić zawodowo. Ale wciąż nie chciałem zawieść ojca, który był dziennikarzem, dlatego pomyślałem o prasie. To myślenie o dziennikarstwie początkowo było bardzo naiwne: sądziłem, że bez problemu będę mógł pisać felietony czy recenzje, ale gdy przydzielono mnie do działu miejskiego i gdy musiałem pisać na terminy, stwierdziłem, że na dłuższą metę to nie ma sensu. Życie jednak weryfikuje marzenia i jesteśmy w głębokim błędzie wierząc, że wszystko potoczy się tak, jak wyobrażamy to sobie po studiach. Los chciał, że związałem się z krakowską telewizją i trafiłem do programu *Spotkanie z balladą*, do Jerzego Stuhra i Bogusława Sobczuka. Zaczął się mój krótki, bo roczny, flirt z telewizją, ale szybko zorientowałem się, że szukam wciąż czegoś innego. Być może ten estradowy zew był na tyle silny, iż poczułem, że moje śpiewanie może się komuś przydać. I kiedy finansowo mogłem już podołać, uznałem, że praca etatowa jest jednak nie dla mnie. Dlatego, jak mówię, rzeczywistość bardzo często weryfikuje marzenia – ale w moim przypadku ta weryfikacja była pozytywna, ja nie dostałem „kopniaka od losu"; kiedy zostałem rzucony na głęboką wodę, to mnie ta woda poniosła i nie utopiłem się w niej. Po prostu mnie się udało. To w końcu ciężkie zadanie utrzymać przez 30 lat tych samych ludzi na scenie, dać im pracę i pomóc w realizacji ich marzeń, promując jednocześnie ten rodzaj muzyki czy stylistyki. Na polskim rynku estradowym zrobiłem chyba wszystko: ciężko mi zaatakować rynki światowe, bo musiałbym śpiewać po angielsku, a przecież moja twórczość jest raczej lokalna i nieprzetłumaczalna. Jeśli tutaj nagrałem tyle płyt, jeśli objechałem szereg imprez i festiwali, jeśli zagrałem masę koncertów – to już więcej się zrobić nie da. I ja nie mówię, że odcinam kupony – ale już zdecydowanie poważnie myślę o pomaganiu swej córce. Jeśli przedłużę swój estradowy byt, to pewnie po to, by stać na scenie obok mojej córki, bo zdaję sobie sprawę, że Grupa Pod Budą to już trochę zamknięty rozdział, na który patrzę jak na przeczytaną książkę. Co prawda w tym roku mamy trzydziestolecie i cieszę się, że możemy to zamknąć pewną klamrą, ale zdecydowanie nie traktuję tego jako sposób na *come-back*. Po prostu kiedyś trzeba będzie powiedzieć sobie, że to już koniec, i zacząć pracować na własne nazwisko. I mieć satysfakcję, że ktoś kupi bilet nie tylko na Grupę Pod Budą, ale na Andrzeja Sikorowskiego czy Maję Sikorowską.

MK: ***Rozmawialiśmy o życiu współczesnych artystów, istniejących głównie w te-***

lewizji. Jak w tym świetle przedstawia się droga naprawdę utalentowanego, młodego człowieka?

– Szanse ma niewielkie. Ubolewam nad tym, że laureaci np. Festiwalu Piosenki Studenckiej stają się po jakimś czasie zupełnie anonimowi. Przyjeżdżają na koncert jeden lub dwa razy, ale później wszelka wieść o nich ginie. To potwierdza tezę, jaką postawiliśmy na początku tej rozmowy – że czasy są bezlitosne i aroganckie dla współczesnej piosenki literackiej i przekazu, który ma jakąś treść, który zmusza do refleksji, który niesie pewną wartość. Poza tym współczesność spowodowała całkowity upadek i degrengoladę instytucji, jaką niegdyś był klub studencki. Dziś to wyłącznie bar i dyskoteka. Za moich czasów to było miejsce, gdzie odbywały się próby sześciu czy siedmiu zespołów, a gdy odbywał się koncert jazzowy, wszyscy studenci z akademika potrafili na niego przyjść, bo to była okazja, by zobaczyć na scenie prawdziwego jazzmana. Na następny dzień organizowano konkurs poetycki, wernisaż plastyczny czy fotograficzny. Klub studencki posiadał niezwykłą siłę kuturotwórczą. Zanim wyszedłem na estradę, objeżdżałem z grupą właśnie kluby studenckie i bardzo dobrze sobie z tym radziłem. Można powiedzieć, że niejako funkcjonowałem w tym obiegu. To się niestety zmieniło. Obserwując festiwal studencki widzę, że konkurs finałowy, który powinien być solą imprezy, skupia tylko znajomych czy rodzinę laureata, zaś każdy koncert w auli Akademii Ekonomicznej gromadzi zazwyczaj publiczność z Krakowa – ale nie widzę tam studentów. Ten festiwal umarł zatem dlatego, że jest nim małe zainteresowanie ze strony studentów. Coś się odwróciło w naszym myśleniu, młody człowiek nie ma już takiej ciekawości świata co dawniej. Może to wynika z tego, że dzisiaj oferta rozrywkowa jest tak rozległa, tak kolorowa, że staliśmy się rozkapryszeni tym zbyt bogatym wyborem... Chciałbym ufać, że w tym tkwi powód – a nie, że np. zmniejszyły się nasze potrzeby intelektualne, że zakres imponderabiliów ograniczył się do tego, by nosić markową kurtkę i mieć na kilka piw.

MK: Jak Pan ocenia współczesną edukację muzyczną?

– Jest mizerna. Ludzie, którzy posiadają talent muzyczny, robią wszystko żeby nie uczyć. Pamiętam, że na studiach polonistycznych nawet ci najlepsi, którzy rokowali na przyszłość i mieli najwyższe wyniki, kombinowali, jak by tu nie iść do szkoły, ale trafić do jakiejś gazety czy telewizji. W efekcie ci mniej uzdolnieni poszli uczyć nasze dzieci. Nastąpiła negatywna selekcja. Szkoła powinna być wyróżnieniem, lecz trudno zachęcić do pracy w niej tych najlepszych, tych którzy powinni uczyć pięknego, polskiego języka. Trudno ich zmotywować. Podobnie jest z nauczaniem muzyki. To niestety bolączka naszego systemu oświaty. A po co młody, zdolny nauczyciel ma iść do szkoły? Żeby dostać wycisk od dresiarzy?

MK: Na koniec próba syntezy: muzyczny Kraków obserwowany oczami Andrzeja Sikorowskiego...

– Mam mieszane uczucia. Z jednej strony powstaje szereg miejsc, gdzie można usłyszeć dobrą muzykę przy okazji posiłku – i to jest chwalebne. Ale od strony piosenki literackiej to jest pustynia. Czasami pojawią się sporadyczne koncerty Grzegorza Turnaua, Zbigniewa Wodeckiego czy mówiącego te słowa, czasami zagra Piwnica pod Baranami. Ale ta Piwnica to już jakaś inna klasa; nie potrafię z nimi sympatyzować. Dawniej było to coś zupełnie innego, a teraz wydaje mi się, że oni działają tylko dzięki szyldowi kabaretu. Czasami dzieje się coś w Lochu Camelot. Jeśli piosenka literacka za komuny miała drugi obieg, to teraz też znalazła się w takiej sytuacji. Wróciliśmy bowiem do piwnic, tyle tylko że kiedyś w tych piwnicach działo się sporo, a dziś niewiele. To wciąż jest przygrywanie do jedzenia, a nie autorska propozycja na zasadzie: słuchajcie, ten świat wygląda tak i tak, a ja mam o nim do powiedzenia to czy tamto. Ostatnio

nawet mocno się zdenerwowałem i napisałem felieton, bo ponoć jakiś radny zaproponował, by jedno z rond w Krakowie nazwać imieniem Jacka Kaczmarskiego, ale ten sam radny nie zastanowił się, co zrobić, by twórczość Jacka mogła znów zaistnieć wśród odbiorców, by ludzie mogli usłyszeć ją w radio, w telewizji zobaczyć retransmisję koncertu. Poprawiamy sobie samopoczucie działaniami pozornymi, podczas gdy w dziedzinie kultury wciąż jest dużo do zrobienia. Zadaniem dziennikarza, w jakiś sposób także i moim, jest pokazanie młodym ludziom, że w tym kraju istnieje alternatywa dla Mandaryny czy Wiśniewskiego, mimo że wszyscy zachowują się tak, jakby to Mandaryna ustanawiała wszelkie kanony artystyczne.

BO: ***Dziękujemy za wywiad.***

Rozmawiali
Marcin Kania i Bartosz Ochoński
Redakcja dziękuje Pani Chariklii Sikorowskiej za udostępnienie zdjęcia Męża.
Zdjęcie pochodzi ze strony www.majasikorowska.pl

Małgorzata Janicka-Słysz

Wrażliwy buntownik

Karol Szymanowski (1882–1937)

Rok 2007 należy do dwóch wielkich Polaków – twórców kultury narodowej: Karola Szymanowskiego i Stanisława Wyspiańskiego. Szymanowski stał się w dwudziestoleciu międzywojennym ikoną muzyki nowoczesnej. Młodych fascynował magią swojej osobowości i twórczości. W recepcji jego muzyki powtarzano wartościujące stwierdzenie: „największy po Chopinie a przed Lutosławskim". Był przede wszystkim sobą. A walczył o nowe oblicze muzyki polskiej. Samotnie... Nastał czas, aby jego twórczość przeżyć, zrozumieć i zinterpretować na nowo

Z dala od świata

Karol Szymanowski przyszedł na świat w rodzinnym majątku we wsi Tymoszówka, w guberni kijowskiej na Ukrainie – miejscu krzyżowania się szlaków kulturowych Wschodu i Zachodu. Był kompozytorem i humanistą, który sam mówił o sobie znacząco: „pisarz właściwie, nie muzyk – pisarz". Pozostawił ponad osiemdziesiąt utworów i około 100 tekstów literackich – wśród nich nieukończoną powieść *Efebos* i wiersze. Żyjąc w czasach znaczących przeobrażeń w sztuce początku XX w. nie pozostawał na nie obojętny, choć potrafił swojej muzyce nadać oblicze własne, indywidualne.

Poprzez różne krajobrazy. Droga „ku sobie"

Karol Szymanowski był twórcą poszukującym. Na mapie kulturowej jego drogę twórczą wyznaczyły daleka Tymoszówka, centra europejskie: Berlin, Wiedeń i Paryż, Sycylia, francuska część Afryki Północnej (Konstantyn, oaza Biskry na skraju Sahary), Tunis (rozbrzmiewający śpiewem muezinów) oraz Zakopane. Niezależnie od

K. Szymanowski

tego jak różne są jego utwory (dojrzewał przecież jako człowiek i artysta, chłonąc rozmaite światy dźwiękowe), u podstaw kompozytorskiego myślenia znalazło się u Szymanowskiego poczucie ciągłości wartości kultury wysokiej. Dlatego można ująć tę zróżnicowaną twórczość w kilka dopełniających się faz stylistycznych. W każdej z nich spotykają się jakości często dalece odmienne – jednoczy je siła twórczego przeżycia oraz artystyczne przekonanie, iż jedyną glebą, na której może wyrosnąć prawdziwe dzieło muzyczne, jest ludzkie wzruszenie.

W fazie twórczości młodzieńczej dało o sobie znać zainteresowanie Szymanowskiego muzyką epoki romantyzmu. Romantyczny nastrój panuje w *Dziewięciu preludiach* op. 1 na fortepian (1899-1900), z kolei charakter ekspresjonistyczny przynoszą dramatyczne w wyrazie *Trzy fragmenty z poematów Jana Kasprowicza* op. 5 na głos i fortepian (1902). Już w tych utworach z czasów młodości ujawniają się cechy, które będą wyróżniać styl kompozytora: uwrażliwienie na piękno melodii, skłonność do mocnych kulminacji, komponowanie „sercem i palcami".

W fazie dojrzewania osobowości twórczej zaznaczyły się wpływy niemieckiego modernizmu spod znaku Ryszarda Wagnera i Ryszarda Straussa. Paradoksalnie, utworom Szymanowskiego - *Uwerturze koncertowej* op. 12 (1904--1905) czy *II Symfonii* op. 19 (1909-1910), wykonywanym wówczas z inicjatywy Spółki Nakładowej Młodych Kompozytorów Polskich (nazwanej „Młoda Polska w muzyce"), której kompozytor był współzałożycielem - opiniotwórcze środowisko niemieckich krytyków zarzucało uległość wobec wzorców germańskich. Lekcja niemieckiej kultury wydała jednak cenne owoce: Szymanowski nauczył się, jak kształtować muzyczną formę; poznał też tajniki polifonii i zaznajomił się z nowymi środkami języka dźwiękowego.

W fazie krystalizacji stylu indywidualnego nastąpiło zauroczenie francuskim impresjonizmem i symbolizmem w muzycznym wydaniu Claude'a Debussy'ego i Maurice'a Ravela oraz kulturą Orientu. Szymanowski zaczął „nienawidzić Niemców" i zwrócił się w stronę Paryża. Pod wpływem fascynacji sufizmem w czasie licznych egzotycznych podróży rozwinął swoją homoerotyczną religię miłości, której dał wyraz w operze *Król Roger* op. 46 (1920-1924) i w powieści *Efebos*.

W fazie twórczości narodowej doszła do głosu fascynacja polską muzyką ludową. Powstały *Słopiewnie* do słów Juliana Tuwima op. 46 bis (1921 r.) czy *Stabat Mater* op. 13 (1925-1926) - przejmujący obraz Matki Bożej stojącej pod krzyżem, na którym umiera Jezus. Uważając, iż język łaciński utracił swe walory uczuciowe, Szymanowski sięgnął w *Stabat Mater* po przekład Józefa Jankowskiego, stwarzając polski odpowiednik łacińskiego gatunku. Połączył melodykę chorału gregoriańskiego z intonacjami polskich pieśni religijnych (*Gorzkie żale*) i ludowych, jednocząc wartości uniwersalne z narodowymi. *Stabat Mater* uznano za owoc „najszlachetniejszej inspiracji", ujmujące powściągliwością oraz równowagą słowa i dźwięku. Interpretowano je w kategoriach ideału muzyki narodowej, odczytując zarazem jako manifest osobistych uczuć religijnych kompozytora.

W fazie twórczości folklorystycznej silnie zarezonowały ludowa muzyka kurpiowska i góralska, z ich pobudzającymi wyobraźnię melodycznymi i rytmicznymi barbaryzmami. Przykładem ludowego witalizmu melodii, rytmów, kolorów i charakterystycznych gestów są *Harnasie* op. 55 (1923-1931) i zbiór dwunastu *Pieśni kurpiowskich* op. 58 (1930-1933).

Fazę twórczości ostatniej określić można mianem neoklasycystycznej. Znaczona jest takimi dziełami, jak przejmująco-liryczna *Litania do Marii Panny* op. 59 (1930-1933), góralski, temperamentny *II Koncert skrzypcowy* op. 61 (1932-1933) oraz dwa fortepianowe *Mazurki* op. 62 (1933, 1934), wyrastające z mazurków Fryderyka Chopina.

W artykule *Opuszczę skalny mój szaniec* (z roku 1923) Karol Szymanowski odniósł się do swojej twórczości następująco: „nie należy w mojej muzyce szukać kosmopolityzmu czy gorzej jeszcze - internacjonalizmu. Można w niej znaleźć jedynie «europejskość», ta zaś nie zaprzecza polskości; mamy do niej prawo. Dzisiejsza bowiem polskość inna jest istotnie od wczorajszej: jest wolna"[1].

Podróże

„Tu jest cudownie" - pisał Karol Szymanowski w liście z Girgenti, 3 maja 1911 r. do przyjaciela i dyrygenta swoich utworów - Grzegorza Fitelberga, „[...] nie masz pojęcia, jakie te ruiny i natura robią ogromne wrażenie - jesteśmy ze

Stefanem [Spiessem, przyp. autorki] w ciągłym zachwycie"[2]. Wspominane ruiny to świątynie Segesty i Agrygentu, amfiteatry w Segeście, Syrakuzach i Taorminie. Szymanowski doświadczał mitycznych i rzeczywistych pejzaży, rozsławionych przez Homera, podróżował po ziemi Odysa, gdzie – między Scyllą i Charybdą – syreny uwodziły śpiewem bohatera *Odysei*. Na wysepce Ortygii niedaleko Syrakuz Aretuza, nimfa z orszaku bogini Artemidy, przemieniona została w źródło. Jej dramat kompozytor uwiecznił w jednym ze swoich słynnych *Mitów* na skrzypce i fortepian op. 30 (1915) – w *Źródle Aretuzy*.

Egzotycznej kultury Orientu Szymanowski doświadczał z pozycji europejskiego humanisty, chłonnego wrażeń innokulturowych, które wzbogacały twórczą wyobraźnię. Nie wiemy, czy studiował arabskie skale – maquamy. Ale przeżycie kultury Islamu było tak silne, że potrafił twórczo przetworzyć zasłyszany śpiew muezina i taniec bractwa Derwiszów. „Strasznie jestem przejęty moim Hafizem. Sam Allah mi go w ręce rzucił" – zanotował w liście do Zdzisława Jachimeckiego 12 października 1911, w roku skomponowania sześciu *Pieśni miłosnych Hafiza* na głos z fortepianem op. 24, w których wykorzystał parafrazy gazali – wierszy XIV-wiecznego poety perskiego Hafiza z Szirazu. Szymanowski znalazł się między kulturami i zarazem *między stylami*, w przestrzeni wyznaczonej z jednej strony przez ekstatyczne kulminacje o rodowodzie ekspresjonistycznym, a z drugiej przez zmysłowo-impresjonistyczne wyczucie walorów dźwięku; stał się też wyznawcą kultury dionizyjskiej. W recepcji jego muzyki interpretatorzy podkreślali przepych barw i aurę erotyczną. Witkacy ujął ją w *Nienasyceniu* jako „bezczelnie metafizycznie nieprzyzwoitą".

Walka o nową muzykę polską

Szymanowski chciał dogonić Europę, uwalniając muzykę polską od kompleksu zaścianka, od bycia na peryferiach, z dala od centrum ważnych wydarzeń artystycznych. Niekwestionowanym autorytetem był dla niego Fryderyk Chopin, którego muzyka, jak napisał: „jest wieczystym przykładem, czym może być muzyka polska, a także jednym z najwyższych symboli zeuropeizowanej Polski"[3]. Wizja Szymanowskiego – to „Polska w Europie". Dlatego twardo postulował: „muzyka nasza musi odzyskać odwieczne swe prawa: bezwzględnej wolności, zupełnego wyzwolenia z jarzma stworzonych «wczoraj» norm i nakazów. [...] Niech wszelkie prądy rodzące się w sztuce wszechludzkiej swobodnie przepływają i przez naszą, niech ją przesycają, różniczkują się i przetrwają w zależności od jej swoistych właściwości"[4].

Odzyskanie przez Polskę niepodległości w roku 1918 pociągnęło za sobą istotne przemiany w życiu społecznym i w kulturze. Jednak w przeciwieństwie do literatury czy sztuk plastycznych, gdzie stosunkowo szybko ukształtowały się tendencje nowatorskie i powstały postępowe ugrupowania artystyczne, w muzyce trwał spór między Karolem Szymanowskim, który był wówczas jedynym rzecznikiem nowych prądów muzycznych, a grupą kompozytorów i krytyków o orientacji konserwatywnej. Dyskusje środowiskowe i polemiki prasowe toczyły się pod hasłem: „muzyka narodowa – muzyka kosmopolityczna". Oponenci-konserwatyści – zasłaniając się programem narodowym, formułowanym w obronie wartości patriotycznych – zarzucali Szymanowskiemu brak indywidualności i uleganie obcym wpływom. W połowie lat dwudziestych spór „międzynarodowców" i „narodowców" stracił na ostrości. Szymanowski konsekwentnie kroczył drogą nowoczesnej sztuki narodowej, odpierając tym samym argumenty przeciwników, iż jego muzyka jest nazbyt wyniosła i niezrozumiała dla przeciętnego słuchacza. Zyskiwał też coraz więcej zwolenników wśród młodych kompozytorów, których kierował do Paryża, aby tam doskonalili swój warsztat kompozytorski.

Pochwała rzemiosła

Szymanowski szczególną wagę przywiązywał do warsztatu – kompozytorskiego *métier*. Tępił

przejawy prowincjonalności, ukrywane pod płaszczem muzyki narodowej. Uważał, że twórca musi doskonale opanować sposoby „przetwarzania surowego materiału muzycznego w doskonałe dzieło sztuki". Sam był samoukiem i przez całe życie odczuwał nienasycony głód wiedzy. „Środki wyrazu to jeszcze nie dzieło. Talent to także jeszcze nie dzieło, a wirtuozowskie opanowanie środków ma swoje niebezpieczeństwo" – sformułował swoje artystyczne credo. „Idzie o to, aby nie tworzyć łatwo, uwodząc się łatwością techniczną. Każdy artysta wie, że trzeba stawiać sobie wysokie wymagania, żądać od siebie coraz więcej. Inaczej mógłby wytworzyć się banał modernistyczny tak, jak już był banał akademicki. I najbardziej współczesnym językiem można prawić komunały. Trzeba być twardym dla siebie. Inaczej może przyjść czas, że laicy, otrzaskawszy się z nowym językiem muzycznym, zaczną odróżniać to, co tryska z głębi, od rzeczy powierzchownych i wtórnych"[5].

W procesie twórczym ważne było dla Szymanowskiego „jak", a nie „co". Kiedy dzieło uważał za ukończone, traktował je jako „zewłok", pozwalając żyć własnym życiem. Zawodowej kompetencji wymagał tak od kompozytorów, jak i od wykonawców czy krytyków muzycznych.

Dionizos na Podhalu

Celem drogi twórczej Szymanowskiego stało się Zakopane, gdzie – sam to wyjawił – „odnalazł siebie". W willi „Atma", w której zamieszkał i w której obecnie mieści się jego muzeum, powstały takie jego arcydzieła, jak folklorystyczny balet-pantomima *Harnasie*, *IV Symfonia koncertująca* oraz z ducha góralski *II Koncert skrzypcowy*.

Górale lubili kompozytora – ten, choć był artystą „z wielkiego świata", nie stronił od przyjacielskich gestów, kupując im prezenty i chętnie wydając pieniądze na wspólne biesiadowania. Z powodu kalectwa – gruźlicy kości i płuc – Szymanowski nie mógł, jak choćby Mieczysław Karłowicz, udawać się na dalekie górskie wycieczki i zdobywać tatrzańskie szczyty.

Muzykę Podhala traktował jako „wieczyście bijące źródło rasy". „Rasa" – pojęcie skompromitowane w słowniku współczesnym – ma w refleksji kompozytora zgoła inne znaczenie. Szymanowski rozumiał je w duchu idei XIX-wiecznego francuskiego filozofa i teoretyka kultury – Hippolyte'a Taine'a, w kategoriach głębokich pokładów kultury narodowej, jej rdzenia i serca. Nie chodziło mu więc o to, aby cytować muzykę ludową, lecz żeby zrozumieć jej istotę i następie w sposób twórczy i oryginalny przetworzyć. Choć we wspomnianych *Harnasiach* przywołał słynne nuty góralskie, np. Sabałową, ozwodną czy zbójnicką. Tego rodzaju postępowanie tłumaczyło się jednak treścią i charakterem baletu.

* * *

Śmierć Karola Szymanowskiego w sanatorium w Lozannie 29 marca roku 1937 była, jak napisał po latach Stefan Kisielewski – smutną, pokojową i przedwczesną. Umarł kompozytor, który nie powiedział ostatniego słowa i który jeszcze nie raz mógł zaskoczyć zmianą wektora inspiracji.

Dla następnej generacji stał się ważnym symbolem. Witold Lutosławski wyjawił, że to przeżycie *III Symfonii „Pieśń o nocy"* Karola Szymanowskiego, skomponowanej do tekstu poety perskiego Dżalaluddina Rumiego w polskim przekładzie Tadeusza Micińskiego i mistycznej w charakterze, zaważyło na podjęciu przez niego decyzji o zostaniu kompozytorem.

W połowie lat 90-tych XX w. rozpoczął się renesans muzyki Karola Szymanowskiego na świecie. Wybitny dyrygent Simone Rattle, który nagrał *Stabat Mater* czy *III Symfonię „Pieśń o nocy"* zauważył, że świat dopiero teraz jest gotowy na przyjęcie tej muzyki – „różnobarwnej i niezwykle emocjonalnej", która odpowiada potrzebie współczesnej duchowości.

Karol Szymanowski jest nasz. Nie wystarczy jednak przekonanie, iż *wielkim kompozytorem był*. Zróbmy wszystko, aby jego muzyka była czy-

telną i rozpoznawalną wartością w pejzażu współczesnej kultury. Jest tego warta.

Małgorzata Janicka-Słysz

Zdjęcie Karola Szymanowskiego pochodzi z książki: *Encyklopedia muzyki*, pod red. A. Chodkowskiego, Warszawa 2001, s. 873.

Przypisy

[1] K. Szymanowski, *Opuszczę skalny mój szaniec*, „Rzeczpospolita" 1923, 8 I, nr 6, cyt. za: K. Szymanowski, *Z pism*, oprac. Teresa Bronowicz-Chylińska. Kraków 1958, s. 67.

[2] K. Szymanowski do Grzegorza Fitelberga, Girgenti 3 maja 1911, *Korespondencja*, tom I, s. 263.

[3] K. Szymanowski, *Fryderyk Chopin*, „Skamander" 1923, nr 28-30, cyt. za: K. Szymanowski, *Z pism*...

[4] K. Szymanowski, *Uwagi w sprawie współczesnej opinii muzycznej w Polsce*, „Nowy Przegląd Literatury i Sztuki", Warszawa, lipiec 1920, t. 1, nr 2, cyt. za: K. Szymanowski, *Z pism*..., s. 50.

[5] K. Szymanowski, *Kwadrans z Karolem Szymanowskim*, „Muzyka" 1928, nr 7/9, s. 132-137 w: tegoż *Pisma tom 1 – Pisma muzyczne*, zebrał i opracował Kornel Michałowski, PWM, Kraków 1984, s. 428.

fot. M. Janicka-Słysz

Willa „Atma" w Zakopanem

Kazimierz Gajda

Jo Privat

Przy dźwiękach akordeonu

Przed dziesięcioma laty zmarł Jo (właśc. Georges) Privat ojciec (1919-1996), jeden z najwybitniejszych akordeonistów francuskich starszego pokolenia. Był nie tylko wykonawcą, ale i kompozytorem. W renomowanych Éditions Universelles, Éditions Paul Beuscher, częściowo w Éditions Andorra można znaleźć partytury jego autorstwa lub współautorstwa. Są tam zapisy nutowe takich melodii, jak walc *Rythme musette*, walc swing *Mystérieuse*, walc musette *Aubade musette*, walc *Le trophée du Balajo*. Gdy porównamy je z wykonaniem przezeń utworów *Jazz-Waltz*[1], *Swing charleston* czy z aranżacją *La Marseillaise*[2] w rytmie swingowego fokstrota, to zauważymy słowa-klucze: musette, jazz, swing, Balajo. Dodajmy jeszcze dwie nazwy - java oraz guinguette - spotykane w tytułach i znamienne dla biografii artysty.

Dotąd ukazało się w Polsce kilka spośród kilkunastu jego płyt kompaktowych. Swego czasu wyświetlono film telewizyjny z 1991 r. *Przy dźwiękach akordeonu* (wersja oryginalna *Jo Privat. Le blues du musette*), w którym odczuwa się specyficzną atmosferę lokali i zabaw nazywanych bal musette oraz klimat muzyki typu musette, nie tylko akordeonowej. Autobiograficzne[3] wstawki sięgają od międzywojnia do lat 80. minionego stulecia. Privat oprowadza nas po miejscach, gdzie grano i tańczono à la guinguette bądź java. Ciekawie informuje o narodzinach paryskiego swingu przed drugą wojną światową, tworzonego przez muzyków narodowości cygańskiej, których idolem był urodzony w Belgii gitarzysta i kompozytor Django (właśc. Jean-Baptiste) Reinhardt (1910-1953). To dla nich Privat skomponował i z nimi grał swingująco fokstrota *Rythmes gitans*, dla nich napisał z synem i z nim przy ich akompaniamencie zagrał w rytmie wolnego walca melodię *La zingara*.

Historia, jaką opowiada Privat, ma różne oblicza. Jest jego osobistą historią, dość oszczędną w odniesieniu do najbliższych. Jest też historią jakiejś części współczesnego mu pokolenia akordeonistów, należy właściwie do socjologii muzyki. Jest wreszcie przyczynkiem do historii jazzu, przypomina jego europejskie ogniwo. Opowieść zawiera dużo wątków, a więc i postaci, łączących się z nimi archiwalnych nagrań, ujęć filmowych, fotografii.

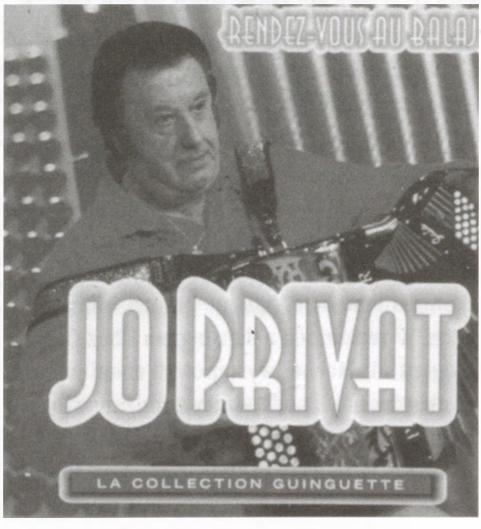

Privat jeździ ulicami Paryża, odwiedza podmiejskie bulwary, w domu wspomina ten moment, kiedy otrzymał od ciotki mały akordeon diatoniczny, na którym nauczył się grać proste melodie. Po ukończeniu szkoły pracował jako pomocnik murarza za czterdzieści osiem franków tygodniowo. Szczęściem babka wzbogaciła się na loterii i kupiła mu chromatyczny włoski akordeon Ruffina Giovanni[4]. Privat zaczął brać prywatne lekcje u Paula Saive'a - nauczyciela wielu akordeonistów. Szybko się zorientował, że muzykując na podwórzach czy w restauracjach, skąd przynosił do trzydziestu franków dziennie, może nieźle zarabiać. Postępy w grze na normalnym już instrumencie były tak dobre, iż zwyciężył w konkursie akordeonowym. Przyszedł więc czas na prezentację umiejętności przed kimś ważnym ze środowiska muzycznego. Tą osobą był Émile Vacher (1883-1969), gwiazdor ówczesnej akordeonistyki. Privat zrozumiał, że otwiera się dla niego inny świat.

Ale jak wyglądał ten świat? W przedwojennej Francji nie były nim salony muzyczne czy konserwatoria, lecz bary bistro, lokale zwane musette, guinguette[5]. I nie od razu w centrum stolicy, tylko na jej obrzeżach. Pod koniec tygodnia popularne guinguettes przyciągały bywalców bal musette do nadrzecznej zabawy na świeżym powietrzu. Spotykali się tam chętnie również ci, którzy nie mogli sobie, ot tak, spacerować po Polach Elizejskich. Privat grywał także dla nich. Pochodził z dzielnicy Ménilmontant, znał specyfikę tej społeczności. W ten sposób powstawał paryski swing typu musette. A czyż inaczej było z narodzinami jazzu amerykańskiego? - pyta retorycznie Privat prowadzącego rozmowę redaktora. Do lokali guinguettes wpadali muzycy, by zagrać kilka melodii przy dobrym akompaniamencie, jak w barach amerykańskich. W restauracji z dansingiem Chez Gégène (Nogent sur Marne) występowali znani już wtedy akordeoniści: pochodzący z rodziny włoskiej Tony (właśc. Antonio) Murena (1916-1970), urodzony w Belgii Gus (właśc. Gustave-Joseph) Viseur (1915-1974) i oczywiście Privat[6]. Licznych sympatyków zjednał sobie Émile Prud'homme (1913-1974), kompozytor i wykonawca walczyków w stylu java musette, nadto polek, paso doble. Oprócz lokalu Chez Gégène grał on m.in. w Tourbillon, gdzie również przychodzili jego wierni słuchacze. Podobnie było u właściciela lokalu Bar Vernet, późniejszego Balajo i w innych salach bal musette. Każdy lokal miał swojego akordeonistę[7], a ten swoją klientelę, która za nim ciągnęła.

Privat zapamiętał wiele szczegółów, miejsc, osób i sytuacji. W niektórych pomieszczeniach do północy trwał spektakl, potem wynoszono krzesła i zaczynały się tańce, we frakach i długich sukniach. Na dansingach obowiązywał strój wieczorowy, tańczono tam bostona, walca angielskiego. Odbywały się też dansingi, na których grały dwie orkiestry - jedna tanga, walce, a druga fokstroty nazywane quickstepami. Obie ze sobą rywalizowały, ale na przemian odpoczywając, wszak muzyka trwała bez przerw, dwadzieścia pięć melodii na godzinę. W mniejszych lokalach płacono orkiestrze żetonami po pięć sous - pięć żetonów za jeden utwór. W Balajo nie dawano żetonów, jak wcześniej, gdy ten lokal nosił nazwę Bar Vernet. Opodal mieścił się znany Bousca Bal. Debiutował w nim Charles Péguri (1879-1930), który przez więzy rodzinne umocnił włosko-francuską akordeonistykę. Paryskie centrum i rue de Lappe to było prawdziwe królestwo niemal dwudziestu bal musette - wspomina Privat. Część z nich funkcjonowała jako bistra i działa do dziś. Wiele karier muzycznych tam brało swój początek.

Socjologiczne odczytanie frapującej biografii pozwala szerzej spojrzeć na genezę jazzu. Świadczy o tym, że również akordeon uczestniczył w kształtowaniu nowoczesnej muzyki. Elementy jazzowe wprowadzali przede wszystkim Murena i Viseur. Murena jako jeden z pierwszych grał w stylu Benny'ego Goodmana[8], tuż po zakończeniu wojny, bo niemiecki okupant zwalczał - przynajmniej oficjalnie - muzykę amerykańską. Opinię swingującego wykonawcy zyskał Viseur, który dużo improwizował, niekiedy po-

sługując się wibratem. Privat nie od razu przekonał się do jazzowego stylu gry. Do prób synkopowania zainspirowali go muzykujący z Reinhardtem bracia Ferretowie: Baro (1908–1976), Sarane (1912–1970), Jean-Pierre zwany Matelo (1918–1989), a szczególnie sam Reinhardt[9]. Ale akordeon powoli torował sobie drogę w tym nurcie. Przedwojenni muzykanci przeważnie grywali na instrumentach o skali diatonicznej. Nie znali pojęcia harmonii jako współbrzmienia dźwięków – twierdzi Privat. Nie dostrzegali różnic między akordem durowym i molowym, w układzie basowym nie mieli septymy. Murena, Viseur i on zdobywali sławę już na akordeonach guzikowych, które dawały więcej możliwości technicznego wykorzystania skali chromatycznej. Privat wcześnie zaczął używać podczas gry prawego kciuka, wbrew tradycji zwanej trójpalcówką (przeważnie drugi, trzeci, czwarty palec). Wybierając tę aplikaturę, która ma swoje zalety[10], łatwiej mu było schodzić techniką arpedżia w akordach septymowych, a także osiągać legato; rzadko stosował tryle czy mordenty charakterystyczne dla wielu muzyków.

Ów świat paryskiej akordeonistyki lat międzywojennych i zaraz po wyzwoleniu pozostał w tytułach utworów jako nazwa lokali (*Balajo* bohatera opowieści filmowej[11], *Tourbillonnette* w interpretacji Vachera[12]), nazwa miejsc oraz ulic (*Ménilmontant* w wykonaniu Prud'homme'a), a także w tytułach płyt kompaktowych (*Rue de Lappe* z 1993 r.). Przykładów jest więcej. Gdy w ostatniej sekwencji Privat zajeżdża pod Balajo i wchodzi do środka, już słychać jego melodię, właśnie swingowy walc *Balajo*, w nagraniu filmowym sprzed kilkudziesięciu lat. Historia się powtarza, choć nie tak samo. Paris musique – Paris musette...

Kazimierz Gajda

Przypisy

[1] Wspólna kompozycja z 1955 r., tytuł według płyty *Jo Privat. Les meilleurs* wydanej w 1998 r.

[2] Obydwa utwory znajdują się na kompilacji *Le monde de l'accordéon* z 1997 r.

[3] Rozmówcą był gitarzysta D. Roussin, współautor napisanej z F. Billardem książki *Histoires de l'accordéon*, Castelnau-le-Lez 1991. *Le blues du musette* to zarazem tytuł melodii, którą skomponowali Privat i Roussin. W jej wykonaniu towarzyszą im dwaj młodsi nieco akordeoniści jazzowi: M. Azzola oraz J. Corti.

[4] Z powstałej w 1921 r. wytwórni Cooperfisa Fisarmoniche Vercelli, produkującej kilka odmian akordeonów guzikowych i klawiszowych, rzadko w Polsce spotykanych.

[5] Też nazwa melodii tanecznej w rytmie zbliżonym do walca. O tym śpiewał J. Gabin z towarzyszeniem akordeonu nagraną w 1936 r. piosenkę *Quand on se promène au bord de l'eau*. Znana z wielu interpretacji, ukazała się w 2005 r. na płycie *Accordéons guinguettes*.

[6] Jak tłumaczył, wszyscy zmienili imiona na bardziej „swingujące". Ze strony matki Privat miał włoskie pokrewieństwo.

[7] Niektórych można usłyszeć w archiwalnych nagraniach z wydanych w 2004 r. płyt *Paris musette* i *Accordéon valse musette*, a zwłaszcza na tych z 1996 r. – *Accordéon java*, *Accordéon paso doble*, *Accordéon polka*. Trzy ostatnie płyty zawierają wkładki z tekstem o historii tytułowych gatunków; ciekawostka – w akapicie na temat polki widnieje reprodukcja polskiego znaczka pocztowego z polską harmonią.

[8] B. Goodman zdołał „przełamać konwencję taniej, popularnej muzyki restauracyjnej, którą niesłusznie określano mianem jazzu". (D. Piątkowski, *Jazz*, A-J, Poznań 1999, s. 323).

[9] Uważa się go za „pierwszego prawdziwego geniusza jazzu nie pochodzącego z Ameryki". (D. Piątkowski, jw., s. 330).

[10] D. Lis, *Problemy doboru aplikatury w manuale dyskantowym akordeonu guzikowego*, [w:] *Akordeon u progu XXI wieku*, pod red. J. Pichury, Częstochowa 2003, s. 66 i nast.

[11] Także w interpretacji B. Lorenzoniego na płycie z 1994 r. w serii *Collection Accordéon Passion* oraz jako tytuł dwuczęściowego albumu płyt kompaktowych *Jo Privat. Rendez-vous au Balajo* z 1998 r.

[12] Na wspomnianej płycie *Accordéon valse musette*. Również partytury *Tourbillon musette* M. Robina, *En Tourbillonnant* D. Faure'a i M. Vitteneta.

Marcin Kania

Stanisław Bursztyński

Stanisław Bursztyński należał do pokolenia „Kolumbów", w biografii naznaczonych dramatem II wojny światowej. Pochodził z Podkarpacia, gdzie jego rodzina od połowy XVIII w. osiadła w miejscowości Witkowice k. Ropczyc. Naukę, przerwaną w 1939 r., kontynuował w okresie okupacji niemieckiej na kompletach tajnego nauczania. W celu uniknięcia wywozu na roboty do Niemiec w latach 1941–1944 pracował jako przymusowy robotnik w Zakładach Przemysłowych w Sędziszowie – fabryce produkującej sprzęt wojenny.

Jako żołnierz Armii Krajowej, zaprzysiężony przez dowództwo obwodu AK powiatu dębickiego, został przydzielony do konspiracyjnej grupy dywersyjnej, wykonującej zadania sabotażowe w zakładzie pracy (m.in. opóźnianie produkcji i załadunku broni na front wschodni) oraz na terenie powiatu (transport broni do oddziałów partyzanckich).

Po zakończeniu działań wojennych Stanisław Bursztyński rozpoczął studia w klasie fortepianu w krakowskim konserwatorium, poszerzając naukę o przedmioty gry na organach i perkusji. Równolegle pracował także w zespole chóru Filharmonii Krakowskiej oraz realizował naukę śpiewu solowego u prof. Józefa Gaczyńskiego. Po dwuletnim angażu solisty w Centralnym Wojskowym Zespole Pieśni i Tańca, kierowanym przez Leona Kozłowskiego, w roku 1955 został zatrudniony w Państwowej Operze Śląskiej w Bytomiu na stanowisku śpiewaka-solisty.

Był to okres *prosperity* dla tej placówki, która dzięki artystom europejskiej renomy o znakomitych nazwiskach, została czołową w kraju. Nic więc dziwnego, że nazywana była kuźnią młodych talentów, a praca w jej zespole należała do wyróżnień dla debiutantów. S. Bursztyński pracował tam nieprzerwanie do 1981 r., a w latach 1982–1986 kontynuował tamże repertuar operowy na występach gościnnych. Okresowo – w latach 60. i 70. – pracował również w krakowskim Teatrze Operowym.

Stanisław Bursztyński

Dorobek artysty należał do bogatych i różnorodnych. Dzięki nieprzeciętnej muzykalności i wrażliwości muzycznej, popartej talentem dramatycznego głosu barytonowego oraz predyspozycjami aktorskimi, wykonywał czołowe partie z repertuaru światowej literatury operowej, w przekroju od opery klasycznej po XX-wieczną (K. Szymanowski, J. Gablenz, J. Świder). Świetnie czuł się w partiach, które wymagają od wykonawcy zespolenia wokalnej melodyjności i śpiewności z instrumentacją, ilustrującą dramatyczne napięcie muzycznego wyrazu.

Artysta dał się poznać melomanom opery w całej Polsce oraz poza jej granicami – m.in. w Jugosławii, Włoszech, Bułgarii, Rumunii,

Niemczech, Czechosłowacji, krajach byłego Związku Radzieckiego (Litwa, Ukraina, Białoruś, Rosja, Łotwa) na Węgrzech, we Francji i Wielkiej Brytanii.

Do stałego repertuaru wykonawczego należała opera romantyczna, późnoromantyczna i werystyczna. Rozległa wokalna objętość skali głosowej pozwalała artyście, za pośrednictwem muzycznego libretta dzieł kompozytorów, kreować postacie mocne, wyraziste, o pełni dramatycznego napięcia, zarówno w ariach solowych, jak i scenach zespołowych. W stałym repertuarze Stanisław Bursztyński dysponował ponad czterdziestoma pierwszoplanowymi partiami solowymi. Wykonywał m.in. partię Henryka z *Łucji z Lammermooru* G. Donizettiego, Walentego z *Fausta* Ch. Gounoda, Zurgi z *Poławiaczy pereł* oraz Escamilla z *Carmen* G. Bizeta. Artysta należał do znakomitych odtwórców arii z oper G. Verdiego. Do niezapomnianych należały: tytułowa partia błazna w *Rigoletcie*, Luny w *Trubadurze*, Jagona w *Otellu*, Renata w *Balu maskowym*, Posy w *Don Carlosie*, Don Carlosa w *Mocy przeznaczenia*, Amanastra w *Aidzie*. W operze R. Wagnera *Holender tułacz* wykonywał partię tytułową. W *Pajacach* R. Leoncavalla śpiewał prolog i partię Tonia, w *Tosce* G. Pucciniego kreował postać barona Scarpii.

S. Bursztyński posiadał również predyspozycje do wykonywania repertuaru komedii muzycznej w operach W. A. Mozarta, które wymagają od śpiewaka wirtuozowskiego kunsztu dla wydobycia muzycznego dowcipu. Wykonywał partie w *Weselu Figara*, *Cosi fan tutte*, *Czarodziejskim flecie* (Papageno). Repertuar opery komicznej był dopełniany partiami z *Cyrulika sewilskiego* G. Rossiniego, *Marty* F. V. Flotowa, *Fra Diavolo* D. Aubera, *Don Pasquale* G. Donizettiego. Romantyczną operę słowiańską artysta prezentował m.in. partiami z *Damy pikowej* P. Czajkowskiego, *Rusałki* A. Dargomyżskiego, *Sprzedanej narzeczonej* B. Smetany, *Rusłana i Ludmiły* M. Glinki; dorobek S. Moniuszki w wykonaniu S. Bursztyńskiego był obecny partiami Marcina Pakuły z *Verbum nobile* oraz wykonywaną kilkaset razy partią Miecznika, a także Macieja ze *Strasznego dworu*.

Artysta dysponował również rozległym repertuarem wokalnym z zakresu pieśni solowej. Była to druga – obok opery – jego artystyczna działalność. W przeciwieństwie do obsady w dramatycznych partiach operowych, wymagających od wykonawcy określonego kunsztu muzyczno-aktorskiego, w przypadku recitali kameralnych Stanisław Bursztyński najchętniej wykonywał utwory liryczne. W repertuarze liczącym około 200 pieśni priorytetowe miejsce zajmowały kompozycje okresu europejskiego oraz rodzimego romantyzmu i neoromantyzmu. F. Schubert, jako najwybitniejszy niemiecki kompozytor wczesnoromantycznej pieśni lirycznej, przyciągał artystę pierwiastkiem uczuciowego subiektywizmu. Podobnie interesowały go nastrojowe, harmoniczne pieśni R. Schumanna. W wykonawczym repertuarze znalazły się również utwory takich kompozytorów, jak: J. Brahms, C. H. Gounod, W. Wolf, R. Strauss. Liryzm norweskiej i fińskiej pieśni reprezentowały utwory E. Griega i M. Wegeliusa. Pieśń rosyjską przybliżały słuchaczom kompozycje N. Titowa, M. Musorgskiego, A. Rubinsteina. Repertuar pieśni P. Czajkowskiego umożliwiał interpretacyjne wydobycie subtelnego liryzmu i głębokiego emocjonalizmu. Muzykę francuską zajmowali w repertuarze artysty m.in. C. A. Debussy – jako twórca wokalnego impresjonizmu, a także H. Dupare i G. Fauré.

Polską kulturę wokalną doby przed F. Chopinem artysta prezentował w salach koncertowych europejskiego kontynentu za pośrednictwem dzieł Karola Kurpińskiego i Juliana Fontany. Uznaniem cieszyły się prezentacje utworów F. Chopina oraz arcydzieł liryki muzycznej ze *Śpiewników domowych* Stanisława Moniuszki – sięgających do źródeł pieśni ludowej, o pięknie i prostocie emocjonalnej melodyki, bliskiej odczuciom Polaków.

Epokę pomoniuszkowską artysta ilustrował m.in. pieśniami solowymi Władysława Żeleńskiego, Jana Galla, Zygmunta Noskowskiego,

Stanisława Niewiadomskiego czy Ignacego Paderewskiego. Okres Młodej Polski zaznaczyła grupa kompozytorów pieśni solowej jak: Mieczysław Karłowicz, Ludomir Różycki, Karol Szymanowski, Feliks Nowowiejski.

Stanisław Bursztyński był osobowością o silnym poczuciu społecznego posłannictwa. Obowiązek płynący z wewnętrznej potrzeby skłaniał artystę do bezinteresownego obdarzania swym talentem kręgów tzw. odbiorców nieprofesjonalnych. Dlatego od początku drogi twórczej dawał własne recitale oraz koncertował zespołowo na tzw. „objazdach". Wykraczał tym samym poza uznane skupiska kultury muzycznej. W ciągu 25 lat pobytu na Śląsku koncertował setki razy w placówkach edukacyjnych, ośrodkach leczniczych, domach opieki społecznej, domach kultury. W latach 80. ubiegłego wieku wyrażał swe aktywne poparcie dla ruchu „Solidarności" wykonywaniem repertuaru religijnego w klubach inteligencji katolickiej oraz kościołach regionu śląskiego.

Działalność społeczną kontynuował po powrocie do Krakowa w 1987 r., poszerzając ją o aspekt szczególnie mu bliski. Nieprzerwanie przez 14 lat odwiedzał skupiska Polaków z tzw. „Kresów Wschodnich". Godne uznania są nieprzecenione zasługi Stanisława Bursztyńskiego na rzecz zapoznawania mieszkających tam rodaków z polską kulturą muzyczną, przez dziesiątki lat skazaną na ostracyzm milczenia. Dopiero od czasów tzw. „pierestrojki" w ZSRR polskie słowo i polska muzyka zaczęły być upubliczniane na terenach Białorusi i Ukrainy. Wówczas artysta był goszczony nie tylko w ośrodkach uniwersyteckich. W sposób szczególny zabiegał o spotkania ze słuchaczami z głębokiej prowincji – wszędzie tam, gdzie odradzała się działalność kulturalna polskiej enklawy. Dla obu stron – wykonawcy i odbiorców – spotkania te nabierały niejednokrotnie cech duchowego święta. S. Bursztyński bowiem, jako pierwszy artysta, który tam docierał, był uznawany za posła polskości i patriotyzmu, za łącznika z Macierzą.

Serdeczne więzi z rodakami zza Bugu i Niemna przerwała śmierć artysty w dniu 27 października 2001 r. w Krakowie.

Marcin Kania

Partia barona Scarpii w *Tosce* G. Pucciniego

Anna Stopińska-Ziętkiewicz

Muzyka w bibliotekach publicznych

Od ponad 30-tu lat biblioteki publiczne zajmują się problemem popularyzacji kultury muzycznej wśród czytelników. Wiele z nich przez lata funkcjonowania, zgromadziło w swoich zasobach pokaźną ilość nut, nagrań oraz literatury z zakresu historii i teorii muzyki. Już w 1966 r. ukazały się pierwsze artykuły na temat zbiorów muzycznych i działalności Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy oraz Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Szczecinie. Do wzbogacenia muzykaliów w bibliotekach publicznych w znacznej mierze przyczyniła się również działalność utworzonej w roku 1964 Sekcji Bibliotek Muzycznych Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. W wyniku postępującego zainteresowania oraz chęci rozwoju z tejże Sekcji wyodrębniono Podsekcję ds. Zbiorów Muzycznych w Bibliotekach Publicznych. Do jej głównych zadań należy udzielanie pomocy bibliotekom i bibliotekarzom w sprawach organizacyjnych i metodycznych, ułatwianie wzajemnej informacji na temat sposobów gromadzenia i opracowywania dokumentów dźwiękowych, organizowanie Konferencji Bibliotekarzy Muzycznych (na których goszczą bibliotekarze pracujący w oddziałach muzycznych bibliotek publicznych całego kraju), wreszcie umożliwianie podnoszenia kwalifikacji bibliotekarzy muzycznych poprzez organizowanie specjalistycznych kursów katalogowania i opracowywania zbiorów.

Niemal wszystkie biblioteki posiadające zbiory muzyczne prowadzą wypożyczanie nut i nagrań. Wiele z nich posiada duże kolekcje płyt analogowych i kompaktowych. Gromadzone są również kasety magnetofonowe, kasety wideo, płyty DVD, a także tzw. książki mówione. Biblioteki udostępniają nuty, czasopisma i książki o tematyce muzycznej. Duże zbiory w tym zakresie mieszczą się w Bibliotekach Publicznych w Szczecinie, Warszawie, Krakowie i Łodzi. Wiele bibliotek prowadzi także działalność naukową, dokumentacyjną oraz upowszechniającą kulturę muzyczną. Doskonałym sposobem na zapoznanie się ze zbiorami oddziałów muzycznych są wystawy, koncerty, okolicznościowe audycje muzyczne, lekcje biblioteczne, a także imprezy dotyczące życia kulturalnego a przede wszystkim historii muzyki danego regionu.

Oddział Zbiorów Muzycznych znajdujący się w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie posiada w swoich zasobach nuty oraz książki o tematyce muzycznej, gromadzone pod kątem potrzeb uczniów i studentów szkół muzycznych, ale także skierowane do czytelników – amatorów i melomanów. Ze względu na ich potrzeby i zainteresowania gromadzona jest głównie muzyka poważna, ale coraz bardziej poszerza się zbiór uwzględniający muzykę rozrywkową, ludową, filmową, piosenki i bajki dla dzieci. Koneserzy filmowi znajdą coś dla siebie wśród kaset wideo i coraz liczniej przybywających płyt DVD, zarówno z kinem artystycznym, jak i filmami muzycznymi, operami czy koncertami. Czytelnicy, prócz wypożyczenia materiałów do domu, mogą delektować się muzyką w specjalnie do tego przeznaczonej sali fonograficznej. Istnieje też możliwość skorzystania z posiadanego przez Bibliotekę pianina. Fachowa obsługa chętnie służy pomocą i informacją w miarę swojej wiedzy. Większość katalogów prowadzona jest

w systemie tradycyjnym – kartkowym, ale znaczna ilość książek, filmów i płyt CD znajduje się także w katalogu komputerowym, który można przeglądać w domu za pośrednictwem internetu ze strony głównej WBP (www.wbp.krakow.pl) lub na miejscu w Zapisie Centralnym, czy w Wypożyczalni Głównej.

Sądząc po częstych odwiedzinach i dużej ilości wypożyczeń, oddział nasz cieszy się popularnością zarówno wśród uczniów, studentów, jak i nauczycieli oraz miłośników muzyki. Mamy nadzieję, że spełniamy dużą część ich oczekiwań.

Anna Stopińska-Ziętkiewicz

Biblioteka Wojewódzka
w Krakowie
Oddział Zbiorów Muzycznych

Fot. M. Kania

Waldemar Domański

Biblioteka Polskiej Piosenki

Stało się! Miałem sen... Pod patronatem Radia Kraków powstaje ogólnodostępny Klub Konesera Polskiej Piosenki. Słuchacze mają szansę zobaczyć i usłyszeć w jednym miejscu to wszystko, co ukazało się i ukaże na płytach kompaktowych... Zasięgnąć informacji o twórcach, artystach, realizatorach dźwięku. Tu mogłyby znaleźć neutralne terytorium fankluby do wspólnych spotkań, wymiany doświadczeń, informacji...

Tak w 2002 r. pisałem do kogo popadło, aby uzyskać poparcie dla swojej idei powołania Biblioteki Polskiej Piosenki, która wtedy była jeszcze nazywana Klubem Konesera. Wydawało mi się, że jak tylko świat się o tym dowie, to - jak w hollywoodzkich filmach - coś mnie porwie, posadzi przed kamerą, a ja będę musiał na oczach telewidzów powstrzymywać zapłakanego ze szczęścia ministra kultury przed wydaniem na ten cel miliarda dolarów. Kto kiedykolwiek wpadł na jakiś pomysł, to wie jak trudno jest w tym kraju z promocją „genialnych" idei.

Początek był obiecujący. Szukałem w internecie tzw. „odpowiedniego środowiska", do którego mógłbym zaadresować swój dopieszczony List Otwarty. Na moim monitorze wyskakiwali głównie menadżerowie artystów z nieaktualnymi adresami, jakieś nieautoryzowane strony „miłośników", którzy w rozmowach telefonicznych przysięgali się, że na stałe piją ze Zbigniewem Wodeckim, grają w golfa z Ireną Santor, a na dziewczyny chodzą z całym zespołem Wilki, i to w pierwsze piątki każdego miesiąca.

Po tygodniu dałem sobie spokój, ale nie za wygraną. Potrzebny był mi jeden dobry kontakt i jego bogato zapisany notes. Bo kiedy ktoś poczuje się odrobinę popularny lub ważny zaraz wpada na pomysł, aby stać się niedostępnym. Pierwszą dziurę w murze wyniuchałem za sprawą jednego redaktora z Krakowa (TW „Długopis"), który dał mi kilka cennych telefonów do tych, co „wszystko mogą", a ci do następnych i tak dalej... Tak za sprawą telefonu trafiłem do ucha Dyrektora Departamentu przy Ministerstwie Kultury J. Skąpca, który robił co mógł, abym się z nim nie mógł spotkać. Wcale mu się nie dziwię, bo jakby każdy stolarz chciał pogadać z prawie ministrem, nastąpiłby trwały paraliż wszystkich instytucji w kraju. Piszę to zjadliwe zdanie, bo w końcu udało mi się dostać „termin" i wygolony, w krawacie, z nadzieją, wsiadałem któregoś ranka do pociągu relacji Kraków-Warszawa. Już po kilku godzinach jazdy krajowym TeŻeWe moje oczy zobaczyły stolicę o godzinie, która byłaby zaskoczeniem dla niejedne-

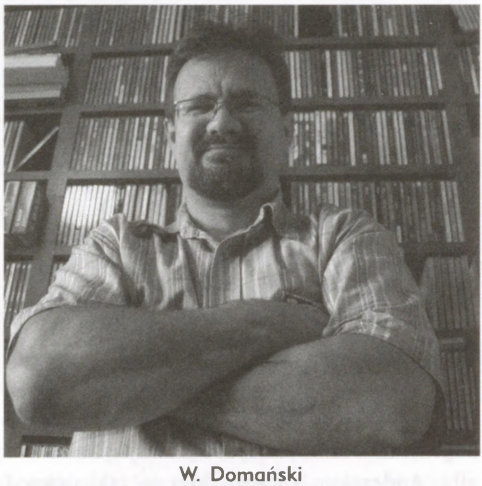

W. Domański

go mieszkańca tej metropolii. Wymięty dotarłem w końcu pod gmach ministerstwa, gdzie dowiedziałem się, że... pan dyrektor właśnie wyszedł... i bardzo przeprasza i że się jeszcze zdzwonimy..., a w ogóle to proszę to napisać..., a w zastępstwie może wysłuchać mnie... Tam na tym korytarzu mogłem zostać mordercą albo... ostatecznie dać sobie spokój z VIP-ami. Ale, ale – byłbym skłamał... Kiedyś w Krakowie na Festiwalu Piosenki Studenckiej dotarłem na odległość korniszona do Ministra Waldemara, gdzie on na moje: „czy możemy pogadać?" z wysokości Pałacu Kultury powiedział, że za chwilę będzie rozmawiał ze swoim odpowiednikiem z Ugandy. Zmylił mnie paskudnie, albowiem tak to naturalnie powiedział, że przez te cenne sekundy, kiedy „dawał dyla", wierzyłem, że Festiwal Studencki w Krakowie jest naturalnym środowiskiem do rozmów z afrykańskimi ministrami.

Tymczasem internet budził coraz większe nadzieje. Po mniej więcej tygodniu, od kiedy ukazał się najpierw w „Dzienniku Polskim", a potem w „Angorze", duży tekst o Bibliotece Polskiej Piosenki zaczęły napływać do mnie listy poparcia od zwykłych ludzi. Mój list otwarty dociera wreszcie do kilku artystów. Wszystkie opinie są pozytywne, zaczynam wierzyć, że się uda. Można spytać, po co to komu i o co chodzi z tym poparciem? Ano... jak bym był Marylą Rodowicz albo Andrzejem Sikorowskim to taki pomysł spotkałby się natychmiast z zainteresowaniem... A tak, nikomu nie znany facet z Krakowa, którego nazwisko w prasie przez prawie rok ukazywało się z błędami – nie budził zaufania i potrzebował legitymizacji.

Wszelkie ukłony kieruję do dziennikarzy, bo to oni pierwsi zaufali i dali szansę, zwłaszcza do Wacka Krupińskiego z „Dziennika Polskiego", który cierpliwie odbierał moje „telefony", w których z uporem muła pytałem, czy przeczytał to czy tamto i kiedy to i owo napisze. Człowiek z ideową gorączką potrzebuje choćby pomruków Jana Poprawy czy klepnięcia w ramię Stefana Brzozowskiego, a przede wszystkim wysłuchania, bo jak nie wie „gdzie" i do „kogo" to zachowuje się jak ślepa ćma przy żarówce. Ładnie zachowali się również chłopaki z Raz Dwa Trzy, manager Kayah, Tadeusz Woźniak, Wilki, Skaldowie i wielu innych.

Po czterech latach jest nie tylko światełko w tunelu, ale solidna energooszczędna świetlówka. Jeszcze z pewną nieśmiałością finansową, ale już na pewno od nowego roku powstaje w Krakowie samodzielny ośrodek kultury pod nazwą Biblioteka Polskiej Piosenki.

Na wniosek prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego radni dostrzegli duży potencjał edukacyjny i znaczenie tej ulotnej formy muzycznej. Jesteśmy świadkami nobilitacji i czynienia z piosenki ważnej części kultury narodowej. Brawo Kraków! Mam nadzieję, że się przyłączycie! Będziemy zbierać płyty, pocztówki, śpiewniki, nuty, pamiątki, plakaty, zdjęcia i to wszystko, co mieści się w pojęciu piosenka lub na waszym pawlaczu. Nawet Jan Poprawa, urodzony archiwista-skąpiradło, obiecał, że – wprawdzie po śmierci – ale przekaże do Biblioteki swoje zbiory. Mamy już stronę w internecie, gdzie powstanie całościowa informacja o wykonawcach, kompozytorach, autorach tekstów, orkiestrach, festiwalach... Damy zdjęcia, linki i to, co może przydać się redaktorowi z radia, krytykowi, koneserowi i „pani od muzyki". Czytelniku: jeśli masz czas, kwalifikacje, fantazję, wyrozumiałego małżonka, wiedzę, słyszysz i mówisz po polsku lub tylko posiadasz szczere chęci... i nie oczekujesz pieniędzy – zadzwoń, napisz, a my przyjmiemy Cię jak członka rodziny lub Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Piosenki „Refren".

Waldemar Domański

Prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Piosenki „Refren"
Redaktor muzyczny Radia Kraków
Redaktor kwartalnika „Piosenka"
Dyrektor p.o. Ośrodka Kultury „Biblioteka Polskiej Piosenki"
dyrektor@bibliotekapiosenki.pl, (0-505) 130-120
ul. św. Wawrzyńca 15
31-060 Kraków
(0-12) 430-43-00
http://www.bibliotekapiosenki.pl

Jazz to moje życie

Rozmowa z Andrzejem Marchewką, liderem jazzowego zespołu Beale Street Band

Marta Regnowska: ***Technikum leśne, studia prawnicze – dlaczego zdecydowałeś się na tak różnorodne kierunki kształcenia?***

Andrzej Marchewka: – To nie był przypadek, tak miało być – tradycja. W rodzinie ze strony mojej mamy wszyscy są leśnikami, w związku z tym mnie, jako pierworodnego syna, również wysłali do technikum leśnego. Prawo wybrałem dlatego, że trzeba było mieć jakiś konkretny, tzn. opłacalny zawód. Ale moje życie potoczyło się zupełnie inaczej. W zawodzie nie pracowałem i nie pracuję do dziś, zaś studia zapamiętałem jako piękne wakacje.

Jak na Twój wybór zareagowała rodzina? Miałeś przecież kontynuować tradycję i być leśnikiem?

– W domu rodzinnym nie mieszkam od 14. roku życia. Cały czas byłem „na swoim", musiałem sam o siebie dbać, w związku z czym bardzo szybko się usamodzielniłem. Rodzina nie miała ani prawa, ani możliwości dyktować mi tego, gdzie będę pracował i co będę robił.

Jak trafiłeś na „Jazzową drogę"?

– W latach pięćdziesiątych w Skarżysku-Kamiennej istniał jeden z nielicznych ówcześnie w Polsce zespołów jazzowych. Grupa była znakomita. Chodząc na koncerty ludzi, którzy kochali jazz „zaszczepiłem się" tą muzyką. W tamtych czasach była to forma protestu przeciwko systemowi, jazz był tępiony. A jak to z Polakami bywa, jeśli coś jest zakazane, to dopiero wtedy rozkwita. Ta zasada dotyczy również mnie, do czego dochodzi jeszcze osobista, wrodzona przekora. Efektem tego połączenia jest moja przygoda z jazzem. Gdybym studiował kierunek związany z muzyką musiałbym grać jazz, czy tego bym chciał, czy nie. Po prostu musiałbym być muzykiem zawodowo. A tak – jest to kwestia mojego wyboru, a nie zarabiania pieniędzy po ukończeniu danego kierunku studiów. Nie wszyscy muzycy kochają to, co robią. Ja kocham jazz, głównie dlatego, że nikt mnie do niego nie przymusza.

Andrzej Marchewka

fot. M. Regnowska

Kiedy narodziła się myśl: „Będę grał jazz..."?

– To było jak już zacząłem studiować prawo. Wtedy stwierdziłem, że na pewno będę grał jazz – i to zawodowo. Uznałem, że jest to połączenie przyjemnego z pożytecznym – zarabia się pie-

niądze, ale robi się to z przyjemnością, a nie z obowiązku.

Droga do jazzu była prosta, czy istniały jakieś przeszkody?

– Nie ma prostych rozwiązań, rzeczywistość bywa inna niż się oczekuje, zaś założenie zespołu to nie jest prosta sprawa. Wiedziałem, że na początku, żeby być w czołówce, muszę ciężko pracować przez parę lat. I to „parę lat" rozciągnęło się w czasie do dziesięciu. Talent, choć bardzo ważny, nie wystarczy, aby osiągnąć sukces. Jeżeli nie jest on poparty ciężką pracą, można grać jedynie „u cioci na imieninach" – i na tym się kończy.

Był jakiś z góry założony plan postępowania?

– Nie. Wszystko rozegrało się spontanicznie. Wyszedłem z założenia, że jeśli coś mam w życiu robić, to musi mi to odpowiadać. Nie pytałem, czy coś będę z tego miał – zupełnie się nad tym nie zastanawiałem. Gdybym to miał robić jeszcze raz od początku, zrobiłbym wszystko dokładnie tak samo. Jazz jest moim sposobem myślenia i życia – zwykłego, prostego. Zastanawianie się *co by było gdyby* jest zupełnie niepotrzebne i niewskazane ze względów zdrowotnych, bo człowiek się zaczyna „motać" i pojawia się stres, a co za tym idzie utrata zdrowia.

Jakim studentem był Andrzej Marchewka, niepokorny młody człowiek, który marzył o graniu jazzu?

– Nauka była na pewno na ostatnim miejscu, na pierwszym zaś niewątpliwie „nieustająca radość życia". Studia były dla mnie przedłużonymi wakacjami – zaliczenie każdego roku zajmowało mi dwa lata. Byłem niepokorny, studia kojarzyły mi się z obowiązkiem, a ja wolałem czerpać przyjemność z życia studenckiego. Byłem najstarszym studentem na pierwszym roku – miałem 26 lat. Teraz niepokornych ludzi jest coraz mniej, bo skupiają się na tym, żeby jak najszybciej skończyć naukę i znaleźć dobrze płatną pracę. Dziś już nie ma czasu na przedłużanie studiów.

Jakim człowiekiem jesteś dzisiaj?

– Są ludzie, którzy do końca życia nie dojrzewają... Ja jestem właśnie takim człowiekiem. I dobrze... Dalej wydaje mi się, że mam 20 lat, tylko że wątroba nie ta... Jestem z natury optymistą. Mam nadzieję, że się nie zmieniłem, bo po co, skoro w tym kraju nic się przecież nie zmienia. Jednostka w tej rzeczywistości nic nie znaczy, nie ma nic do gadania. Nie wolno walić głową w mur, bo od tego tylko głowa puchnie, a mur istnieje nadal. Trzeba być pragmatycznym człowiekiem. Zawsze skupiam się na moim optymizmie. Od jakiegoś czasu jestem już dorosły (w sensie formalnym), pokochałem swoje wady i nie mam zamiaru nic w sobie zmieniać. To nie resocjalizacja przestępców... To kwestia akceptacji samego siebie. Ja po prostu nie mam sobie nic do zarzucenia.

Najważniejsza rzecz, której nauczyło Cię studiowanie...

– Jak można w tym kraju kombinować, jak można załatwić sobie pracę przez „Żaczek".

Co było dla Ciebie istotą studenckiego życia?

– Wolność, wolność, wolność... Nie musiałem rano wstawać.

Co obecnie sprawia Ci największą przyjemność i satysfakcję?

– Wszystko jest istotne, w jakiś sposób wszystko mnie „rajcuje", a już zwłaszcza to, co jest niekonwencjonalne. To ciekawe... Patrząc na ten kraj, widzę w ludziach wiele optymizmu, co napawa mnie nadzieją. Ludzie jednak nie uciekli, choć powinni... Ja też nie wyjechałem dlatego, że jestem za dużym leniem i mam o trzydzieści lat za dużo. W Polsce „upupił" mnie stan wojenny – przyjechałem z Włoch 5 grudnia z zamiarem szybkiego powrotu, ale postanowiłem zostać na święta, które się przedłużyły... Gdyby nie to, pewnie mieszkałbym we Włoszech. Dlatego nie dziwię się młodym ludziom. Jak patrzę na polską rzeczywistość, to wieje grozą, ale ja sobie dam radę.

Czas, kiedy zrozumiałeś, że nie jesteś już studentem, że studenckie życie się skończyło...

– Niczego nie przewidywałem, bo mnie interesuje tzw. życie dzisiejsze. Ważny jest czas teraźniejszy, nie patrzę, co było dzień wcześniej, bo dla mnie to już jest archeologia. Nie pytam, co będzie jutro, bo nie wiem, czy się rano obudzę. Interesuje mnie tylko tu i teraz. Koniec studiów – następny etap w życiu. Ożeniłem się, bo miałem już 35 lat. Naturalną koleją rzeczy było założenie rodziny, z jakiej racji miałem zostać „herosem" i być dalej wolnym ptakiem...

Masz dorosłego syna. Jaką prawdę starałeś się mu przekazać o życiu, kiedy dorastał?

– Chciałem, żeby był tzw. normalnym i uczciwym człowiekiem. Byłem ojcem tolerancyjnym. Ja i mój syn jesteśmy teraz kumplami, bo dorósł do tego, żeby być przyjacielem swojego ojca – i odwrotnie.

Podczas naszego poprzedniego wywiadu, zapytany o receptę na młodość, powiedziałeś: „Młodość nie polega na fizyczności, młodym trzeba być cały czas". Czyżbyś nadal był właśnie takim młodym człowiekiem, typem „wiecznego studenta"?

– Tak, nic się nie zmieniło. I tak będzie jeszcze 30 lat... Dorosłych i tak „mądrych" jest tylu, że ja nie chcę i nie muszę już dorastać. Z tego właśnie względu chcę być dalej taki, jaki jestem...

Najbardziej magiczne zdarzenie w Twoim życiu...

– Zdobycie „Złotej Tarki"... Dowiedziałem się o tym następnego dnia – o szóstej rano zadzwoniła do mnie była żona z gratulacjami. W radio podano informację, że zdobyliśmy tę nagrodę. To najbardziej magiczne wydarzenie, ponieważ jako początkujący muzyk marzyłem, żeby ją zdobyć. To był mój główny cel, bo jazz to moje życie...

Jazz to prosta filozofia życia – czy zawsze było ono dla Ciebie proste i łaskawe?

– Istniały dla mnie wyłącznie problemy techniczne np. kwestia pieniędzy. Prozaiczne rzeczy. Nawet choroba (udar mózgu) nie była dla mnie problemem. Wiedziałem, że wyzdrowieję.

Jaki jest Twój przepis na życie?

– Przede wszystkim zdrowie... Reszta to tylko jego pochodna. Życie jest za krótkie, żeby bawić się w analizę. Trzeba kochać siebie. Wtedy dopiero można kochać innych ludzi. To jest bardzo istotne.

Rozmawiała Marta Regnowska

Iwona Tomasik

Z prac Senatu AP

Grudniowe posiedzenie Senatu rozpoczęto od omawiania rozwoju kadrowego na Wydziałach: Geograficzno-Biologicznym i Matematyczno-Fizyczno-Technicznym. Dziekani przedstawili obecną sytuację kadrową w każdym instytucie wchodzącym w skład poszczególnych wydziałów, a także plany związane z rozwojem młodej kadry naukowej. Zamierzenia uwzględniały liczbę osób, które w poszczególnych latach uzyskają stopnie: doktora habilitowanego i doktora, a także „profesury tytularne". Ten punkt obrad zakończono przyjęciem stanowiska w sprawie sytuacji kadrowej na Wydziale Geograficzno-Biologicznym i Matematyczno-Fizyczno-Technicznym, w którym znalazły się zapisy mające z jednej strony mobilizować młodych pracowników do zdobywania kolejnych stopni naukowych, z drugiej zaś wspomagać ich rozwój naukowy i stworzyć odpowiednie warunki do tego rozwoju.

Przyjęcie *Regulaminu studiów doktoranckich* było kolejnym punktem obrad. Do uchwalenia tego dokumentu zobligowała Uczelnię ustawa *Prawo o szkolnictwie wyższym* z dnia 27 lipca 2005 r. Senat zadecydował także o powołaniu w Uczelni Centrum Języka Rosyjskiego.

W sprawach bieżących rektor H. Żaliński poinformował, że 19 grudnia 2006 r. odbędzie się spotkanie z emerytowanymi pracownikami naszej Uczelni, w ramach obchodów 60-lecia Uczelni, natomiast 9 stycznia 2007 r. odbędzie się spotkanie władz Akademii Pedagogicznej z pracownikami. Rektor poinformował Senatorów, że Uczelnia napisała protest do resortu w sprawie standardów kształcenia nauczycieli, oraz Senacka Komisja Dyscyplinarna ds. Nauczycieli Akademickich prowadzi postępowanie w sprawie popełnienia plagiatu przez nauczyciela akademickiego.

JM Rektor zakończył obrady Senatu życzeniami Świątecznymi i Noworocznymi dla całej społeczności Akademii Pedagogicznej.

Na posiedzeniu w styczniu 2007 r. Senat przyjął plan remontów i inwestycji na 2007 r., który opracowano w oparciu o prośby i sugestie poszczególnych jednostek Akademii Pedagogicznej, z uwzględnieniem prac remontowo-konserwacyjnych we wszystkich obiektach Uczelni.

Kolejny punkt obrad dotyczył realizacji procesu bolońskiego oraz studenckich programów zagranicznych. Punkt ten zreferował prof. Marek Wilczyński – przewodniczący Senackiej Komisji ds. Realizacji Założeń Deklaracji Bolońskiej. W swoim wystąpieniu profesor stwierdził m.in., że niektóre instytuty są już bardzo zaawansowane w pracach nad wdrażaniem systemu bolońskiego, ale wciąż w tej kwestii jest jeszcze dużo do zrobienia. Profesor poinformował, że należy opracować nowe plany studiów (w języku polskim i angielskim); muszą one uwzględniać system transferu punktów. W systemie tym liczą się nie tyle przedmioty, co efekty kształcenia. Aby system transferu punktów – w skali Uczelni – funkcjonował dobrze, trzeba, aby przedmioty występujące na wszystkich kierunkach studiów miały tę samą wartość punktową. Resort zobligował uczelnie, aby wszystkie przedmioty, których liczba godzin waha się od 25 do 30, były premiowane punktami ECTS.

Ulegną zmianie standardy kształcenia nauczycieli. Akademia musi kształcić nauczycieli do nauczania dwóch przedmiotów. Nie jest to jednak „zasługa" procesu bolońskiego, lecz wytyczna naszego resortu. Proces boloński z dwukierunkowym kształceniem nauczycieli nie ma nic wspólnego.

Sprawy dotyczące studenckich programów zagranicznych omówił prof. Mariusz Misztal, informując, że studencka wymiana zagraniczna opiera się na programie SOCRATES - ERASMUS. Studenci na drugim roku mają prawo wyjazdu na stypendium, które trwa od 3 miesięcy do jednego roku. Student może wyjechać na 1 trymestr, 1 semestr lub 1 rok. Nauczyciele zaś wyjeżdżają na okres 2 tygodni. Wymiany studenckie mogą odbywać się z każdą uczelnią w Unii Europejskiej oraz w Norwegii i Szwajcarii. Nasi studenci wyjeżdżają do większości krajów Unii, zainteresowanie wyjazdem jest z roku na rok większe. Jeżeli chodzi o przyjmowanie studentów z zagranicy, to nasza Uczelnia jest na 23. miejscu w skali kraju. W zeszłym roku akademickim przyjęliśmy ok. 40 studentów, w I semestrze tego roku przyjęliśmy już 34 studentów zagranicznych.

W dalszej części obrad Senat przyjął uchwały w sprawie zatwierdzenia narzutów kosztów na rok 2007 oraz zasad rozdziału przychodów pozabudżetowych z działalności dydaktycznej, a także limitów przyjęć na studia stacjonarne i niestacjonarne w roku akademickim 2007/2008. W sprawach bieżących Senat wyraził zgodę na podpisanie umowy o współpracy z Państwowym Uniwersytetem w Odessie.

Posiedzenie Senatu w lutym poświęcone było rozwojowi kadry na Wydziałach: Humanistycznym i Pedagogicznym. Dziekani wydziałów omówili po kolei sytuację kadrową we wszystkich instytutach i katedrach wchodzących w skład wydziałów z uwzględnieniem rozwoju naukowego w tych jednostkach. Kończąc obrady Senat przyjął stanowisko w sprawie sytuacji kadrowej na Wydziałach Humanistycznym i Pedagogicznym.

Rekrutacja na studia doktoranckie w roku akademickim 2007/2008 to kolejny punkt obrad. Senat jednomyślnie wyraził zgodę na uruchomienie studiów doktoranckich z biologii.

W sprawach bieżących Senat przyjął uchwałę w sprawie zasad nawiązywania i rozwiązywania stosunku pracy z nauczycielami akademickimi zatrudnionymi na stanowiskach: profesora zwyczajnego lub profesora nadzwyczajnego, którzy nie ukończyli 70 roku życia, a którzy po przejściu na emeryturę wyrażą gotowość ponownego zatrudnienia w naszej Akademii. Senatorowie przyjęli także do akceptującej wiadomości zmiany w uchwale Senatu z dnia 22 marca 2006 r. w sprawie zasad rekrutacji na studia w roku akademickim 2007/2008. Rektor H. Żaliński wyjaśnił również sprawę nie powołania na Uczelni Rady Pracowniczej. Ustawa zwalnia z tego obowiązku m.in. szkoły wyższe, dodatkowo przemawia za tym fakt, że żadna Uczelnia w kraju nie powołała takiej instytucji.

Wszystkie sprawy personalne zgłaszane przez Dziekanów Wydziałów były przez Senat rozpatrywane na bieżąco, w trakcie każdego posiedzenia Senatu.

Marek Karwala

Mariusz Drohomirecki – malarz Krakowa

Mariusz Drohomirecki urodził się w 1958 r. Studiował malarstwo pod kierunkiem prof. Jana Szancenbacha w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (dyplom 1995). Dotychczas eksponował swoje obrazy na kilku wystawach indywidualnych oraz kilkudziesięciu ekspozycjach zbiorowych. Jego prace posiadają m. in. Polska Akademia Nauk, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Muzeum Sztuki Współczesnej im. Jacka Malczewskiego w Radomiu oraz kolekcjonerzy prywatni w kraju i za granicą. Otrzymał kilka znaczących nagród, a wśród nich medal i dyplom Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie; jest zdobywcą Grand Prix podczas Ogólnopolskiego Triennale Autoportretu w Radomiu (1997)

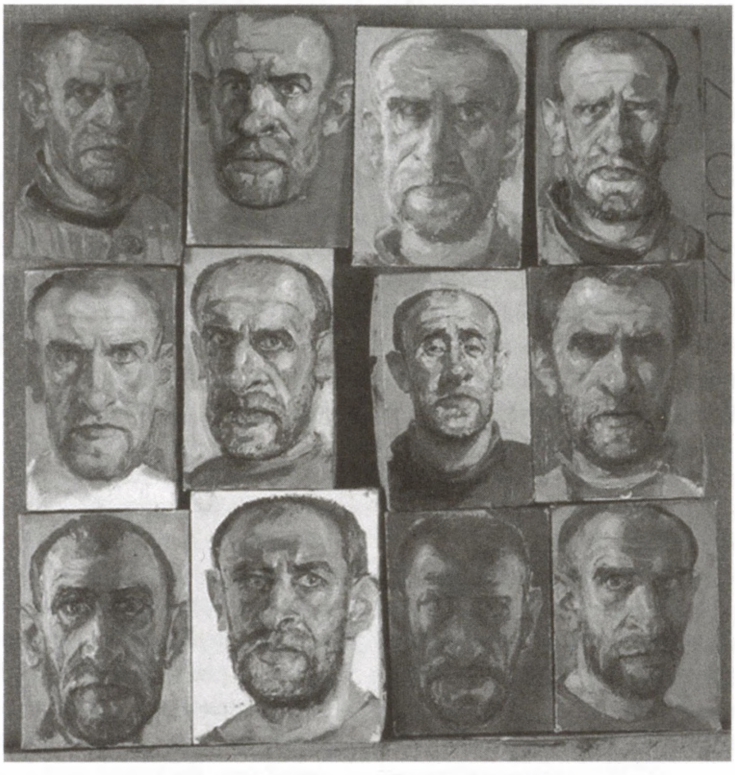

Autoportrety Mariusza Drohomireckiego

Mariusz Drohomirecki jest jedynym malarzem, który zna wszystkie dachy Krakowa. Zakochany w pejzażu od wielu lat uporczywie maluje krajobraz, dążąc do sugestywnego oddania rzeczywistości poprzez barwę i światło. Często można go spotkać idącego «na motyw», objuczonego «warsztatem», czyli z płótnem i słynną sztalugą zwaną «Łunochodem». Czy to zima, czy lato, wiatr i deszcz uparcie maluje w plenerze widząc w tym sens nie tylko oddania charakteru tego, na co patrzy, ale przede wszystkim znalezienia malarskiej formy, która zbuduje obraz". Tak o artyście napisał we wstępie do jego katalogu inny znany malarz, Grzegorz Bednarski, który po fazie malowania płócien monumentalnych, metafizycznych, nasączonych egzystencjalnym dramatem odkrył i docenił wartości jakże tradycyjnego motywu, jakim jest pejzaż[1].

Może istotnie Drohomirecki jest jedynym twórcą, który tak dobrze poznał dachy krakowskich kamienic, ale nie jedynym zafascynowanym architekturą miejską. Nawet gdyby pominąć wieki minione, kiedy tzw. weduty (widoki miast) były bardzo popularnym tematem, to i tak musielibyśmy stwierdzić, że również dziś nie brak artystów realizujących się w tym zakresie (np. Zbysław M. Maciejewski, Maria Zachwieja-Wala, Teresa Zabrzeska, Krystyna Węglarz, Wojciech Kubiczek, Irena Stabryła, Marianna Socha, Kazimierz Pałka, Jacek Mathiasz, Krystyna Laskownicka, Piotr Kidawski i inni). Warto zastanowić się, co sprawia, że w dobie kolorowych fotografii, w dobie wszechobecności precyzyjnych widokówek artyści jednak nie zarzucili malowania pejzażu miejskiego. Czyżby istniał obszar, którego nie może zilustrować nawet najbardziej atrakcyjna pocztówka? Wydaje się, że tak! Trudno bowiem byłoby odnaleźć na niej ducha portretowanego miejsca, *genius loci*, coś, co może rozpoznać, wydobyć i podzielić się tym z widzem jedynie wrażliwy artysta, wykorzystujący do tego celu dostępne sobie środki; jedynie twórca, który w trakcie mozolnej pracy odnajdzie ekwiwalent malarski obserwowanych obiektów. Celnie podkreślił to Stanisław Tabisz: „Artysta, który podejmuje się zmierzyć ze skomplikowanym labiryntem urbanistycznej aglomeracji, musi dysponować benedyktyńską cierpliwością, wnikliwym okiem oraz znakomitym przygotowaniem warsztatowym. Powinien również być umotywowany wewnętrznie. Portretując miasto, zwłaszcza takie miasto jak Kraków, wcześniej czy później malarz styka się z duchem miejsca, atmosferą, klimatem, z czymś, co jest nieuchwytne, ale co stanowi najistotniejszy, chociaż niewidzialny, balast historii i tradycji pomieszanej z agresywną ingerencją dnia dzisiejszego"[2].

Oglądając obrazy Drohomireckiego ma się właśnie wrażenie obcowania nie tylko ze znanymi każdemu mieszkańcowi Krakowa obiektami (kościoły, mosty, kamienice...), ale też z duchem tych miejsc. Artysta nie maluje bowiem jedynie zewnętrznej powłoki miasta, ale udaje mu się wniknąć pod tę pierwszą warstwę, dotrzeć do istoty rzeczy, sportretować – chciałoby się rzec – „psychologiczne oblicze" aglomeracji.

Jakimi środkami osiąga ów cel? Warto pamiętać, że Mariusz Drohomirecki wyszedł ze szkoły Jana Szancenbacha, z której wyniósł szczególny szacunek dla światła i koloru. Chyba właśnie te dwie cechy wysuwają się na plan pierwszy spośród walorów warsztatowych tej sztuki. Punktem wyjścia jawi się natomiast indywidualna odmiana ekspresyjnej wersji realizmu. Najbardziej interesujące jest jednak to, co dzieje się później, a więc sam proces powstawania obrazu. Dzieło rodzi się powoli, „w bólach"; artysta – jakby nie dowierzając samemu sobie – nakłada grubo kolejne warstwy farby, a czyni to aż do momentu, gdy wewnętrzna intuicja oraz osiągnięte doświadczenie podpowiadają mu, że w tym momencie powinien zakończyć pracę, gdyż cel został osiągnięty. Potem jednak rodzi się często potrzeba jeszcze pełniejszego rozpoznania motywu, zgłębienia go i twórca wraca do – z pozoru tylko – tych samych czynności. O ile bowiem punkt widzenia i malowany obiekt bywają te same, o tyle zmieniają się pory doby, a co się z tym wiąże zmianom ulega jeden z dwu

głównych wyznaczników tej sztuki, czyli światło (por. malowany o różnych porach most na Wiśle). Skojarzenia z metodami pracy, jakie przyjmowali impresjoniści (np. Monet) nie są tu zapewne przypadkowe.

Co charakterystyczne, Drohomirecki malując miasto czyni to zwykle z „lotu ptaka"; portretuje kłębowiska kamienic, wieże obiektów sakralnych i świeckich oraz inne urbanistyczne dzieła rąk ludzkich jakby nieco z dystansu, w wyciszeniu. Nawet ulice najczęściej bywają puste, tylko z rzadka pojawiają się na nich pojedynczy ludzie. Tu miasto w swojej „kamiennej istocie" wysuwa się na plan pierwszy. Perspektywa „z góry" daje malarzowi szansę na kontemplowanie tego, co utrwala, w mniejszym stopniu rozpraszają go odgłosy tętniącego życia „tam, na dole". Właśnie aspekt kontemplacyjny wydaje się kolejną istotną cechą sztuki Drohomireckiego.

*

Osobne miejsce w dorobku artysty zajmują portrety, w których – podobnie jak w pejzażach – wykorzystuje światło i kolor. Portretuje znajomych i przyjaciół, ale najczęściej „sporządza" autoportrety. Dzięki tym ostatnim jest rozpoznawalny w wielu galeriach, a całe ich niewielkich rozmiarów cykle stanowią swoisty „dziennik", utrwalający przede wszystkim rozległą gamę nastrojów i emocji malarza.

Sporadycznie wykonuje Mariusz Drohomirecki także rysunki, a niedawno odkrył uroki aglomeracji miejskich południa Europy, co już zaowocowało konkretnymi płótnami o tej tematyce.

Marek Karwala

[1] Por. M. Karwala, *Metamorfozy Grzegorza Bednarskiego*, „Konspekt" 2006, nr 2–3, s. 94–97.
[2] S. Tabisz, *Nad dachami Krakowa. Motywy miejskie w malarstwie Mariusza Drohomireckiego*, „Kraków" 2004, nr 2, s. 84.

Marian Drahomirecki

Planty zimą olej/płótno, 60x60 cm

Ponad dachami Starego Miasta olej/płótno, 120x95 cm

Motyw z południa. Grecja olej/płótno, 120x100 cm

Refleksy na wodzie olej/płótno, 100x80 cm

Motyw z południa. Grecja II olej/płótno, 30x20 cm

olej/płótno, 100x80 cm

Andrzej z instrumentem

olej/płótno, 100x80 cm

Agnieszka

Notatka z Grecji

olej/płótno, 30x20 cm

Edward Chudziński

Był tu wśród nas...

Wspomnienie o Ryszardzie Kapuścińskim

Grudzień 2006 r. Od prof. Kazimierza Wolnego-Zmorzyńskiego dowiaduję się, że Ryszarda czeka niebawem poważna operacja. Z jednej strony jest konieczna, ale z drugiej istnieją poważne, kardiologiczne przeciwwskazania. Ostrzegawcza prognoza niestety się spełniła. A przecież Ryszard zmagał się w swoim życiu z niejedną chorobą i niejeden raz wygrywał, między innymi z gruźlicą, choć wydawało się, że jest blisko śmierci. Jednak lata spędzone w Afryce, Ameryce Południowej i w Azji, nierzadko w ekstremalnych, trudnych do wyobrażenia warunkach, zrobiły swoje.

Rysiek był w pełni świadom stanu swojego zdrowia. W kwietniu ubiegłego roku, odbierając w Nowym Jorku nagrodę Fundacji Kościuszkowskiej, powiedział do jednego z przyjaciół: „Wiem, że umieram, ale tak bardzo chcę jednak dotrzeć w to miejsce, którego nie znam". Miał na myśli Oceanię – przemierzoną i opisaną w latach 20. XX w. przez Bronisława Malinowskiego.

Zadziwiająca była u Ryśka ta niewyczerpana chęć i potrzeba poznawania nowych krajów i ludzi. A przecież mógł się poszczycić nie byle jakimi rekordami. Postawił stopę na terytorium ponad 100 państw, a w liczbie tłumaczeń jego utworów na języki obce nie mógł mu dorównać żaden polski autor – już na przełomie XX i XXI w. było ich pół setki. Być może dopiero jego śmierć uświadomiła nam, jaką ponieśliśmy stratę. Kapuściński był bowiem najbardziej rozpoznawalnym polskim pisarzem na świecie. Świadomie używam określenia pisarz, bo nie zawsze stosowano je do osoby i twórczości autora *Wojny futbolowej*. Oczywiście w kraju, gdyż na świecie najwięksi współcześni pisarze wypowiadali się z najwyższym uznaniem o jego kolejnych utworach i nigdy nie mieli wątpliwości, że jest jednym z nich. Świadczyły też o tym nagrody literackie, których otrzymał tyle, że mógłby obdzielić nimi wielu, jeśli nie większość członków którejś z istniejących krajowych korporacji pisarzy.

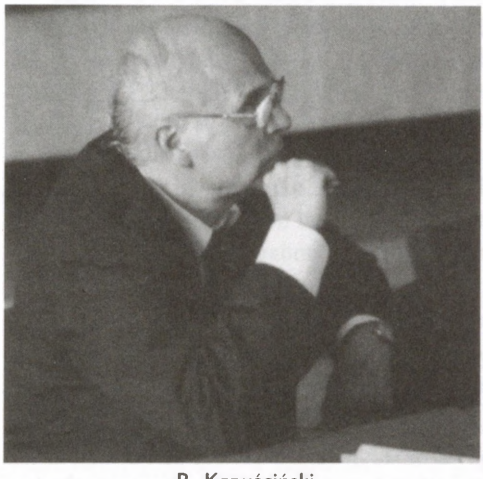

R. Kapuściński

Oczywiście najbardziej prestiżowe organizacje literackie w Polsce, jak PEN Club czy Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, przyjęły go do swojego grona, lecz musiało upłynąć sporo lat, zanim publiczność i spora część krytyki zobaczyła w Kapuścińskim pisarza, a nie tylko reportera i dziennikarza. Tymczasem już w książce *Jeszcze dzień życia* (1976) – dzięki temu, że autor pomieścił w niej depesze wysyłane z Angoli, gdzie

był korespondentem do centrali PAP w Warszawie - widać jak z dziennikarza rodzi się pisarz. W jednej z depesz czytamy: „Dzisiaj wróciłem z frontu południowego, którego granica przebiega teraz brzegiem rzeki Cuvo. Szczegółowe opisy zostawiam na później, teraz chcę przekazać co najważniejsze. Wojna w Angoli zmieniła swój charakter".

To właśnie z tego, co zostawił Kapuściński „na później", powstała książka *Jeszcze dzień życia*, w której Salman Rushdie zauważył niezwykłe połączenie reportażu i artyzmu, dzięki czemu „nieprzekazywalny obraz wojny" okazał się przekazywalny. Dla Rushdiego Kapuściński nie jest typem czysto „literackiego" pisarza, ale właśnie jego opisom „drewnianej Luandy" - czyli tysięcy skrzyń, do których spakowali swój dobytek biali uchodźcy - nie odmówił genialności. To z tego, co zostawił na później, powstał *Cesarz*, uznany przez „Sunday Times" za książkę roku 1983, i wiele następnych, które już nie są klasycznymi reportażami, jak *Busz po polsku*, *Kirgiz schodzi z konia*, *Chrystus z karabinem na ramieniu* czy *Wojna futbolowa*. Czym więc są: *Imperium*, *Heban*, *Podróże z Herodotem* i *Lapidaria*? Esejami, traktatami, szkicami historiozoficznymi, socjologicznymi czy antropologicznymi? Na tym właśnie polega sztuka pisarska Kapuścińskiego, że potrafił przekraczać swobodnie granice gatunkowe i zacierać różnice między literaturą, dziennikarstwem i refleksją naukową.

W ocenie dorobku Kapuścińskiego wyższe notowania mają dzisiaj książki późniejsze, od *Cesarza* począwszy. Jako czytelnik mam jednak nieco inne preferencje. W latach młodzieńczych ogromne wrażenie zrobił na mnie reportaż *Algieria zakrywa twarz* (o wojskowym zamachu stanu) drukowany w „Polityce" w latach 60. Później ważną lekturą w moim życiu, a myślę, że także znacznej części pokolenia '68, czyli kontestacji i kontrkultury, był *Chrystus z karabinem na ramieniu*. Z nie mniejszymi emocjami czekaliśmy na prasowe korespondencje Ryszarda z Angoli, Etiopii i Iranu. Później powstały z nich książki, które przyniosły mu światową sławę.

Osobiście Ryszarda poznałem dopiero w burzliwym roku 1980. Przyjechał do Krakowa, by odebrać nagrodę Kowadła, przyznaną mu przez Stowarzyszenie „Kuźnica". Po kilku godzinach znajomości byliśmy już na „ty". W ten sposób znalazłem się w bardzo licznym gronie szczęśliwców, którym w takiej formie okazał swoją życzliwość. Rysiek miał przy sobie oryginalną ulotkę PPS z 1905 r., wzywającą robotników do strajku. Po minimalnych retuszach mogła być ona odczytana na każdym wiecu, jakich tysiące odbywały się wtedy w Polsce. W Teatrze STU przygotowywaliśmy się do premiery *Donkichoterii*. Ulotka - prezent od Ryśka - wzbogaciła tworzywo słowne spektaklu. Czytał ją z rewolucyjnym zapałem nasz Sancho Pansa, czyli Włodek Jasiński. Ryszard widział przedstawienie i miał odrobinę satysfakcji, że o jakiś element je wzbogacił, a my byliśmy mu za to wdzięczni.

W latach 80. utrzymywaliśmy kontakt korespondencyjny. Mimo że zaczynała się wtedy jego międzynarodowa sława, był jeszcze łatwo dostępny, także pod telefonem. W latach 90. było już z tym gorzej. Do Krakowa, o ile wiem, przyjeżdżał wówczas rzadko. Toteż poczytujemy sobie za sukces, a piszę to także w imieniu Zbyszka Bauera, że udało się nam zaprosić Ryszarda na spotkanie warsztatowe ze studentami Studium Dziennikarskiego. Był to rok 1997. Wieczorem, po zajęciach, zaprosił nas do Chimery na kolację, za którą zapłacił więcej niż wynosiło jego uczelniane honorarium. Dwa lata później przyjechał na publiczną obronę pracy doktorskiej Zbigniewa Bauera (*Antymedialny reportaż Ryszarda Kapuścińskiego*), której był bohaterem. Nie krył wzruszenia, dziękował Zbyszkowi, promotorowi i recenzentom. Dobrze się czuł w naszym gronie w następnej, mniej oficjalnej części tej uroczystości. Bodaj wtedy zapytaliśmy go nieśmiało i niezobowiązująco, czy przyjąłby tytuł doktora *honoris causa* naszej Uczelni, gdyby taką propozycję otrzymał. Odpowiedział bez wahania, że czułby się zaszczycony. Przekazaliśmy tę informację wyżej i na tym nasza rola się skończyła. Studium Dziennikarskie nie miało bo-

wiem (i nie ma nadal) żadnych formalnych uprawnień, żeby z takim wnioskiem wystąpić.

W 2001 r. obchodziliśmy jubileusz 20-lecia istnienia Studium. Z tej okazji zorganizowaliśmy panelową dyskusję *Jak kształcić dziennikarzy?*, do której zaprosiliśmy Ryszarda, dyrektorów dwóch największych Instytutów Dziennikarstwa w Polsce oraz szefów wybranych ogólnopolskich mediów (jej zapis drukował „Konspekt" nr 1/2005). Ryszard zaproszenie przyjął, wziął udział w dyskusji, udzielił „Konspektowi" wywiadu, lecz po południu musiał wracać do Warszawy. Szkoda, bo być może na obiedzie w Klubie Dziennikarzy, w obecności władz Uczelni wróciłaby sprawa doktoratu honorowego i znalazła swój finał. Gdyby tak się stało, bylibyśmy drugą uczelnią w Polsce, po Uniwersytecie Śląskim, która przyznała mu tę godność. Później uczyniły to uniwersytety we Wrocławiu, Krakowie i Gdańsku

W ubiegłym roku jubileusz 25-lecia Studium Dziennikarskiego obchodziliśmy we własnym gronie. Ale do Ryszarda wysłałem zaproszenie wraz z osobistym listem. Wiedząc, jak rozpaczliwie broni się przed lawiną zaproszeń, płynących zarówno z kraju jak i zza granicy, nie wywierałem na niego żadnej presji. Zareagował bardzo życzliwie i przyjaźnie na ten gest z naszej strony, o czym świadczy otrzymany list, który reprodukujemy.

Zapewne w bogatej biografii jednego z największych współczesnych polskich pisarzy trzy wizyty w naszej Uczelni były tylko skromnym epizodem, lecz my zachowamy je we wdzięcznej pamięci.

Edward Chudziński

Sz. Pan
Edward Chudziński
Studium Dziennikarskie
Akademii Pedagogicznej
Ul. Podchorążych 2, pok. 466
30-084 Kraków

Warszawa, 4 czerwca 2006 r.

Drogi Edku,

Dziękuję Ci za zaproszenie na uroczystości Waszego Jubileuszu 25-lecia. Niestety nie będę mógł osobiście przyjechać na to Święto, ale chcę tą drogą złożyć Tobie, Zbyszkowi Bauerowi, pozostałym wykładowcom Studium, a także wszystkich absolwentom i obecnym słuchaczom Studium najlepsze gratulacje i najszczersze życzenia dalszej owocnej, mądrej i jakże potrzebnej nam wszystkim Waszej pracy.

Bądźcie zdrowi, twórczy i tak spełniajcie wszelkie oczekiwania jak w czasie całego minionego 25-lecia.

Pozdrawiam i ściskam Cię serdecznie,

Rz-1

Joanna Bałczyrak

Bohater swoich tekstów

Rzecz o Ryszardzie Kapuścińskim

Ryszard Kapuściński w rozmowie z Magdaleną Lebecką wyznał: „Pytano mnie, dlaczego *Imperium* nie ma bohatera. Jak to – odpowiadam – ja jestem bohaterem *Imperium*! Tak jak jestem bohaterem wszystkich swoich tekstów, które zaświadczam sobą"[1]. Warto zatem zastanowić się, jaka kreacja bohatera wyłania się z owych tekstów. Jakkolwiek bezsprzeczna jest kwestia jej tożsamości z rzeczywistą osobą autora, tak nie powinno być też wątpliwości, iż od jego pisarskiej decyzji zależy to, ile siebie i jakiego siebie ofiaruje swojemu czytelnikowi.

Celowo nie będę się tu posługiwać bliskoznacznym terminem „postać literacka", bynajmniej nie tylko dlatego, że nie posłużył się nim sam Kapuściński. Zależy mi bardziej na tym, by uchwycić znaczenie terminu „bohater" w takim rozumieniu, jakie prezentuje je Henryk Markiewicz twierdząc, iż „«bohater» posiada konotacje z pojęciami: «heroizm»", oraz «pierwszoplanowość»"[2]. Być może dla niektórych pomysł ten wyda się zaskakujący, zwłaszcza w sytuacji, kiedy tak wiele mówi się o pokorze i skromności autora *Cesarza*. Jak się jednak okazuje, w swoich reportażach nie zawsze bywa on tylko obserwatorem ważnych zdarzeń, nie za każdym razem usuwa się w cień, oddając głos swojemu rozmówcy. Nierzadko to właśnie siebie czyni Kapuściński obiektem obserwacji, uczestnikiem, czy też sprawcą wielu niebezpiecznych przygód, stając się przez to pierwszoplanowym bohaterem reportaży. W dodatku bohaterem, który niemalże na każdym kroku wykazuje się wyjątkową odwagą, graniczącą niekiedy z szaleństwem.

Na ów wizerunek nieustraszonego z pewnością wpływ ma częste podkreślanie faktu, iż bohater podąża do krajów ogarniętych wojną, rewoltą, gdzie może go spotkać najgorsze: „Jadę drogą, o której mówią, że biały tędy żywcem nie przejdzie. Jadę zobaczyć, czy nie przejdzie, bo muszę wszystkiego sam doświadczyć"[3]. Decyzja o wyprawie na front lub do miejsca, gdzie sama natura staje się wroga życiu człowieka, nie wiąże się dlań z wielkim dylematem. Przyznać trzeba, że niekiedy trudno nawet mówić o świadomym jej podjęciu, o przemyśleniu wszelkich konsekwencji z niej wynikających: „Powiedziałem: idę, nie zdając sobie sprawy, że idę w śmierć. [...]. Instynkt samozachowawczy powinien powiedzieć mi, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest nie ruszać się [...]. Ale instynkt mnie zawiódł i popychany jakąś zgubną ciekawością, a może najzwyczajniej – bezmyślnością, ruszyłem [...]. Ta bezmyślność wynikała z tego, że nie zdawałem sobie sprawy, co to znaczy znaleźć się nocą za Kołem Polarnym, na śnieżnej pustyni, w mrozie, który mnie trzymał za twarz i dusił tak, że nie mogłem oddychać"[4]. Bohater działa raczej spontanicznie. Częstokroć dopiero po fakcie dociera do niego, na jakie niebezpieczeństwo się naraził:

> – Nie wiem, czy camarada wie, dokąd jedziemy?
>
> Odparłem, że nie wiem.
>
> – I nie wiem, czy camarada wie, co znaczy jechać tą drogą, którą jedziemy.
>
> Znowu odparłem, że nie wiem.
>
> – [...]. W tym buszu, przez który jedziemy, jest nieprzyjaciel i do niego należy ta droga. Do tego oddziału, który jest w Pereira de Eca, od miesiąca nie dojechał żaden nasz konwój. Wszystkie wozy ginęły w zasadzkach. A teraz my próbujemy tam dojechać.[5]

Oczywiście bohater tłumaczy, iż podejmowanie tak ryzykownych przedsięwzięć nie jest niczym innym, jak rzetelnym wykonywaniem pracy korespondenta wojennego. Jednak nie omieszka przy okazji także wspomnieć o zgoła odmiennych postawach kolegów „po fachu", zaświadczając tym, po raz kolejny, o swej wyjątkowości: „Poniesiony ambicją [...], postanowiłem dołączyć do grupy, która zdecydowała się na desperacki marsz. Pod drzewem zostali ci, którzy powiedzieli, że mają chore serce albo, że będą pisać tylko ogólne komentarze i że szczegóły ich nie interesują. Alberto i ja chcieliśmy jechać na front, ale reszta ekipy - to znaczy Carvalho, Fernandez i Barbarossa powiedzieli, że mają żony i dzieci, że zaczęli budować domki jednorodzinne pod Lizboną [...] i że nie będą ginąć na tej szalonej i nieprzytomnej wojnie..."[6].

Sytuacji, w których Kapuściński jawi się niczym bohater sensacyjnych powieści, przytoczyć można sporo: przeprawa przez stado bawołów, walka z kobrą, wyprawa do Górnego Karabachu w przebraniu pilota, przejazd oblanym benzyną peugeotem przez płonące bariery itd. Nie jest jednak prawdą, że zawsze występuje on w roli dzielnego, ukazywanego w działaniu bohatera. Niejednokrotnie znajdował się przecież w beznadziejnym położeniu, a wtedy na pierwszym planie eksponowana była jego bezradność i bezsilność: „Koczownicze miasto, bez dachów i ścian, miasto uchodźców rozłożone wokół lotniska, stopniowo znikało z ziemi. [...]. Od rana wałęsałem się po ulicach, bez celu, bez sensu [...]. Brakowało wody, bo stacja pomp znajdowała się na linii frontu i po każdej naprawie była znowu niszczona w czasie walk. Chodziłem brudny, tak chciało mi się pić, że dostawałem gorączki, widziałem ruchome, pomarańczowe plamy"[7]. Chociaż tak naprawdę nawet w tych okolicznościach nie można mówić o jakiejś niezgodności z omawianym wyżej wizerunkiem reportera. Przecież odmowa wyjazdu z miasta pozbawionego nadziei na przetrwanie również wymagała niesamowitej odwagi.

Ale mniejsza już o to. Pojawia się bowiem zgoła inny problem: czy takie eksponowanie osoby reportera nie jest pewnym nadużyciem, zwłaszcza iż sam Kapuściński przyznaje, że „reportaż ma jednak swoje wymagania i prawidła, swój sposób formułowania obrazu świata, nie powinno się w nim zbyt dużo pisać o osobistych stanach ducha"[8]. Żeby móc wydać sąd na ten temat, należałoby jeszcze przytoczyć inne słowa tegoż autora: „Uważam - zawsze tak uważałem - że nie mogę ani pisać, ani mówić o czymś, czego sam nie przeżyłem i w czym sam nie poniosłem współryzyka"[9]. Wbrew pozorom obie te wypowiedzi nie przeczą sobie nawzajem, jeżeli zrozumiemy, iż wszystkie przedstawione w reportażach przeżycia bohatera nie są czymś wyjątkowym, co mogło być dostępne tylko jego osobie. Poznawani przez niego ludzie, żyjący w tropikach, na Syberii, czy w krajach ogarniętych wojną, z takimi sytuacjami zmagają się na co dzień. W ich bytowaniu nie brak chwil, kiedy muszą dzielnie przeć do przodu lub z pokorą znosić swe cierpienie. Jeśli więc Kapuściński wnikliwie, sugestywnie opisuje swój stan fizyczny bądź psychiczny (na przykład podczas ataku malarycznego), czyni to celowo, by choć w pewnym stopniu przybliżyć czytelnikowi to, co czują leżący na ulicach, pozbawieni opieki ludzie chorzy na malarię. Wydaje się, iż w tej sytuacji zarzut o egotyzm komentatora jest bezpodstawny. Ryszard Kapuściński pisząc o sobie, pisał zawsze o Innych.

[1] M. Lebecka, *Dobre myślenie o świecie i ludziach*, „Kresy", 1994, nr 17. cyt. za: *Ryszard Kapuściński. Autoportret reportera*, wybór i wstęp Krystyna Strączek, Kraków 2005, s. 77.
[2] H. Markiewicz, *Wymiary dzieła literackiego*, Kraków - Wrocław 1984, s. 153.
[3] R. Kapuściński, *Wojna futbolowa*, Warszawa 2006, s. 131.
[4] Tenże, *Imperium*, Warszawa 2006, s. 153-154.
[5] Tenże, *Jeszcze dzień życia*, Warszawa 2000, s. 63-64.
[6] Jw., s. 53-54.
[7] Jw., s. 26-27.
[8] Tenże, *„Dzięki poezji istniejemy". Niepublikowany zapis spotkania z Ryszardem Kapuścińskim z okazji wydania jego tomu wierszy „Prawa natury"*, „Tygodnik Powszechny" 2007, nr 5, dod. „Książki w Tygodniku", s. 17.
[9] M. Lebecka, dz. cyt., s. 53.

Piotr Krywak

Moda na „gdybanie"

Historie alternatywne

Niemal każdy człowiek – choć dobrze wie o nieodwracalności dokonanych faktów – zastanawia się czasem, co by się stało, gdyby przeszłość można było zmienić. Fantazjuje. Jego czysto teoretyczne rozważania znajdują często odbicie w literaturze. Pod koniec lat 60. minionego wieku Max Frisch na takim właśnie „gdybaniu" oparł fabułę dramatu „Biografia". I nie on jeden; czynili to również inni, wybitni twórcy beletrystyki. Na przełomie stuleci XX i XXI spekulowanie pozostaje jednak przede wszystkim domeną prozy popularnej, zwłaszcza fantastyki naukowej. Gatunek ten, mający, jak się do niedawna wydawało, najlepsze dni już za sobą, o dziwo, nie obumiera, i – obok tradycyjnych – wciąż ujawnia nowe oblicza. Zainteresowana niegdyś przyszłością – dalszą lub bliższą – science fiction wyraźnie zmienia dziś wektor poszukiwań. Liczne, alternatywne wizje rzeczywistości świadczą o odwracaniu się kierunku tematycznych penetracji. Przewidywanie coraz częściej zastępowane jest przez rewizję, a przedmiotem domniemań i manipulacji staje się przeszłość. Pisarzy nie interesuje już, co będzie. Ciekawi ich, co by było, gdyby...

Geneza i tradycje beletrystyki odpowiadającej na to pytanie wciąż jeszcze oczekują na naukowy opis. Najprawdopodobniej jednak – jak w przypadku całej *science fiction*, której jest odmianą – sięgają styku wieków XVIII i XIX. W dostępnych dziś opracowaniach wymienia się jako jeden z najwcześniejszych i zarazem najbardziej reprezentatywnych przykładów dzieło Louisa Geoffroya[1] (1803–1858) *Napoléon Apocryphe*. Autor opisuje w nim przebieg zwycięskiej dla Bonapartego kampanii rosyjskiej 1812 r., uwieńczonej sukcesem inwazji na Anglię (dokonanej rzekomo w roku 1814), a dalej – kolejne podboje cesarza, w wyniku których stał się on władcą całego świata. Pod jego mądrymi rządami doszło do autentycznego zjednoczenia ludzkości oraz rozkwitu nauki. Możliwe stało się sterowanie pogodą i uzdatnianie wody morskiej do picia; skonstruowano latające automobile, elektryczne sterowce, maszyny do pisania; wynaleziono cudowne leki. Odkryto też nową planetę Układu Słonecznego: Vulcana.

W zbliżonej, bo tak samo sprzecznej z faktami konwencji, utrzymany jest również – napisany przypuszczalnie w ostatnich miesiącach przed trzecim rozbiorem Polski – traktat Wojciecha Gutkowskiego (1775–1826) *Podróż do Kalopei*. Dzieło to, przedłożone w roku 1817 Warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk, doczekało się druku dopiero w 1956 r., pozostając rękopisem przez 161 lat. Jego twórca dowodził, że wygnany z kraju Bolesław II Śmiały nie umarł bynajmniej na Węgrzech, lecz wraz z grupą zaufanych rycerzy osiedlił się po długiej tułaczce w... Australii. Tam, w głębi kontynentu, udało mu się stworzyć mocarstwo, którego potęgę on i jego następcy zbudowali na postępie technicznym. Opowieść Gutkowskiego jest wprawdzie typową, oświecenio-

wą utopią, z licznymi (o wiele liczniejszymi niż we wcześniejszym *Wojciechu Zdarzyńskim* Michała Dymitra Krajewskiego z 1785 r.) elementami *science fiction*, niemniej odrzucenie przez autora rzeczywistych okoliczności zgonu polskiego króla zbliża ją do historii alternatywnych.

Oba teksty są do siebie pod pewnymi względami podobne, ich twórcy rezygnują bowiem z dziejowego autentyzmu, oddając się fantazjowaniu na temat historii. Zbliża je również optymistyczne spojrzenie na skutki zmyślonych wydarzeń. Rządy utalentowanych, choć despotycznych władców przynoszą poddanym dobrobyt, a źródłem politycznej i gospodarczej siły powstałych za ich sprawą imperiów staje się nauka.

Traktat Gutkowskiego liczy już ponad 210 lat, książka Geoffroya – 170. Sporo. Mimo to, rozkwit opisywanego gatunku nastąpił – tak jak w przypadku wielu innych – dopiero w stuleciu XX, kiedy to pojawiło się masowe zapotrzebowanie na prozę popularną, a rozwój poligrafii umożliwił jego zaspokojenie. Funkcjonujące niegdyś w obiegu elitarnym historie alternatywne rodziły się jednak teraz głównie w kręgu kultury masowej, uproszczonej, o ograniczonych ambicjach, w wyjątkowych tylko przypadkach dostępując nobilitacji. „Więcej" wymuszało wszakże dodatkowo „inaczej" gdyż nawet niewybredny czytelnik uległby znudzeniu formami opartymi na sztywnych schematach, a możliwości urozmaicania tych ostatnich (wymiana postaci, realiów świata przedstawionego, elementarnych cegiełek fabuły) szybko się wyczerpywały. Literatura popularna znalazła wyjście, krzyżując ze sobą odrębne dotąd i funkcjonujące niezależnie od siebie gatunki, takie na przykład, jak *science fiction*, powieść sensacyjna, przygodowa czy historyczna. W rezultacie owych, przynoszących różne owoce zabiegów, narodziły się w drugiej połowie wieku liczne odmiany historii alternatywnych, a wśród nich specyficzny *thriller*, którego bohaterowie – tak całkowicie zmyśleni, jak i mający swe dziejowe pierwowzory – przeżywają niezwykłe przygody w świecie niby naszym, lecz o innej przeszłości.

Refleksje, które pojawią się dalej, nie obejmą wszystkich historii alternatywnych. Książek, które można zaliczyć do tej kategorii i utworów „z pogranicza" ukazuje się bowiem zbyt wiele, by wszystkie przeczytać. Wydaje się jednak, że nawet przegląd wyrywkowy, uwzględniający ograniczoną liczbę reprezentatywnych pozycji, umożliwia wskazanie kierunków rozwoju zjawiska i charakterystykę przybieranych przez nie form.

Mimo że już w 1970 r. Teodor Parnicki (1908–1988) wydał *Muzę dalekich podróży*, dzieło, którego część – *Mogło być tak właśnie* – opisywała krótkotrwały żywot niepodległej Polski po sukcesie powstania listopadowego (z Adamem Mickiewiczem jako ministrem oświaty i premierem), zainteresowanie historiami alternatywnymi wzrosło u nas dopiero w następnej dekadzie, częściej zresztą ujawniając się w środowiskowych dyskusjach, niż w literackiej praktyce. Autor *Srebrnych orłów* i *Nowej baśni* był pisarzem stanowczo zbyt elitarnym, by odświeżyć istniejący od dawna, lecz zatarty szlak... Inne dzieje musiały zafascynować nie intelektualistów poważnie rozważających historyczne szanse, nie historiozofów, lecz autorów próbujących zaspokoić spragnione niezwykłości masy. Drogę fantastyce nowego typu utorowało więc ostatecznie dopiero opublikowanie w 1981 r. przekładu (liczącej już wtedy 19 lat) powieści amerykańskiego pisarza, Philipa Kindreda Dicka (1928–1982), *Człowiek z Wysokiego Zamku* (*The Man in the High Castle*, 1962), której akcja rozgrywa się w świecie pomyślanym jako efekt zwycięstwa Niemiec i Japonii w II wojnie światowej.

Nieco, jakkolwiek niewiele wcześniej, odżyły natomiast tzw. historie przyszłości, w których autorskie spekulacje – nie naruszając zdarzeń minionych – obejmują tylko to, co się dopiero wydarzy. Forma, choć rzadko naśladowana, stosowana była już przez Adama Mickiewicza[2], a popularność zyskała za sprawą spolszczenia głośnej, katastroficznej powieści Nevila Shute'a *Ostatni brzeg* (*On the Beach*, 1957; wyd. polskie 1973), szybko zekranizowanej przez Stan-

leya Kramera (1959). Pesymistyczne wizje ostatnich dni ludzkości dogorywającej po nuklearnej wojnie inspirowały – zapewne na równi z dreszczowcami Fredericka Forsythe'a – twórców *political fiction*, np. Roberta F. Strattona (pseudonim Wiesława Górnickiego), którego *Czas nietoperza* (1981) okazał się sugestywnym opisem hipotetycznych wypadków mogących zainicjować nowy, zbrojny konflikt mocarstw. Tropem tym podążył też w latach 80. Jerry Ahern, tworząc 27-tomową serię *Krucjata* (w Polsce w latach 1991–1993 ukazało się 21 odcinków), stanowiącą dość pomysłowe rozwinięcie założenia: „co by się stało, gdyby" Związek Radziecki dokonał udanej inwazji na Stany Zjednoczone. Podobnych pozycji, głównie tłumaczeń, w latach 90. XX w. ukazało się zresztą wiele.

W tym miejscu należy zauważyć, że stosowana w odniesieniu do „fantastyki historycznej" typologia ma ogromne luki, a nieliczni badacze zainteresowani tematem najwyraźniej nie potrafią nadążyć za inwencją twórców. O ile bowiem podział na historie alternatywne i historie przyszłości jest prosty i czytelny, o tyle kłopot sprawiają – wyraźnie inspirowane „spiskową teorią dziejów" – opowieści o „przeszłości rzekomej", czyli utwory, w których współczesny obraz minionych wydarzeń przedstawiany jest jako efekt niecnych, celowych działań, podjętych niegdyś dla ukrycia prawdy. *Wódz i przeklęci* Colina Forbesa, *Królewski komisarz* Duncana Kyle'a czy wreszcie bestseller ostatnich lat, *Kod Leonarda da Vinci* Dana Browna – to nieliczne przykłady z obszernej grupy takich „demaskatorskich" utworów, które już się w używanej typologii nie mieszczą.

Jedną ze społecznych funkcji, jaką mogły pełnić coraz częściej się w Polsce ukazujące historie alternatywne, była bez wątpienia kompensacja. O jej potrzebie jeszcze w latach 60. wspominał proroczo Kazimierz Wyka w szkicu *O nową drogę do Sienkiewicza*[3]. Znakomity badacz przytoczył tam – na marginesie refleksji o krzepieniu serc – list dziecka, które marzyło o książce opisującej uwieńczony zwycięstwem, niepodległościowy zryw Polaków. Ani tradycyjna, ani awangardowa proza historyczna nie mogły jednak zaspokoić takich, wzbudzanych przez emocje tęsknot. Spełniająca dziecinne marzenie *Muza dalekich podróży* miała dopiero powstać. A przecież jej autor nie był twórcą prozy popularnej i literatury dla młodzieży. Sukces mógł więc odnieść tylko autor fantastyki: jakiś Parnicki *en petit*; dla mas...

Mimo optymistycznych pespektyw, rozwój historii alternatywnych nie potoczył się we wskazanym kierunku zbyt daleko: autorzy interesujący się gatunkiem na ogół unikali podejmowania się roli terapeutów leczących odbiorcę z kompleksu niższości. O tym, że w kręgu twórców fantastyki brano jednak taką możliwość pod uwagę, świadczy opublikowany w „Fantastyce" szkic scenariusza filmu *Burza*[4], w którym Maciej Parowski, zainspirowany pomysłem przyjaciela, opisał kampanię wrześniową zakończoną klęską Niemiec, a dla Hitlera znalazł miejsce (pod międzynarodową strażą) – na Wyspie Św. Heleny. Scenariusz ten przeistoczył się ostatecznie w komiks. Trzeba jednak zaznaczyć, że idea odżywa. Dwa lata temu, w 2005 r. ukazał się dwutomowy *Krzyżacki poker*, powieściowy debiut Dariusza Spychalskiego. Przedstawiony w nim obraz Europy w połowie XX w. zasadniczo różni się od tego, jaki znamy. Półwysep Iberyjski, Francja, Anglia i Irlandia opanowane zostały przez wyznawców islamu. Rzeczpospolita, państwo trzech narodów (Polaków, Litwinów i Ukraińców) ze stolicą we Lwowie, jest kontynentalnym mocarstwem, spod którego zwierzchnictwa – sięgając po atomowy straszak – usiłuje się wyzwolić zwasalizowane ongiś państwo krzyżackie... Sny o potędze kompensujące gorycz dawnych porażek nie słabną, jak widać, z upływem czasu, choć urzeczywistnia je tylko literatura...

Równie silna jak potrzeba kompensacji jest potrzeba lęku. Lubimy się bać. Wydawać by się zatem mogło, że w literackich odpowiedziach na pytanie „co by było, gdyby" obok wizji triumfów pojawić się powinny także obrazy apokaliptyczne. Istotnie, obfituje w nie proza zachodnia, re-

prezentowana na naszym rynku choćby przez *Rok 1948* Jamesa Herberta (wyd. polskie 2001). Znacznie trudniej jednak wskazać przykłady krajowe. Wymieniony już *Czas nietoperza*, historia przyszłości bliskiej ujęta w formułę *political fiction*, był raczej wyjątkiem, a na dodatek odzwierciedlał punkt widzenia uznawany dziś za relikt czasów zimnej wojny. Przyczyn upatrywać więc zapewne należy w nastrojach społecznych, które w minionym ćwierćwieczu były przeważnie minorowe, najpierw ze względu na stan wojenny, a potem konsekwencje ustrojowej transformacji. W tych warunkach masowy czytelnik szukał w literaturze przede wszystkim ucieczki od codzienności, chętniej poznając lęki i tęsknoty cudzoziemców, niż ożywiając własne.

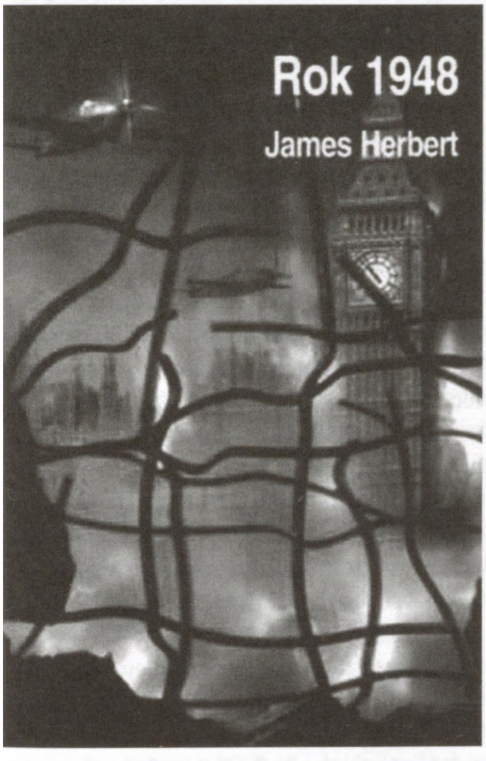

Tłumaczeń historii alternatywnych, tak samo zresztą jak historii przyszłości, nie pojawiło się w latach osiemdziesiątych zbyt wiele. Rzadkie były też ich krajowe naśladownictwa. Dopiero rozwój wolnego rynku wydawniczego po roku 1989 zaowocował sporą ilością przekładów, najpierw prozy angielskiej, później – amerykańskiej. Wtedy to właśnie trafił do rąk polskich czytelników ów specyficzny, wspomniany na wstępie *thriller*, w którym ekscytujące, typowe dla powieści sensacyjnej zdarzenia rozgrywały się w świecie o innej historii. Przykładami tego rodzaju utworów były choćby *SS–GB* (wyd. polskie 1991) Lena Deightona, głośny *Vaterland* Roberta Harrisa (wyd. polskie 1997), czy – spośród książek nowszych – *Wszyscy zdolni do noszenia broni* Andrieja Łazarczuka (2003), rzecz o odradzaniu się potęgi Rosji pokonanej w II wojnie światowej przez hitlerowskie Niemcy i następnie podzielonej między Rzeszę i Japonię. Literackie „gdybanie" stało się na tyle modne, że niebawem zaowocowało nie tylko w beletrystyce popularnej, lecz i w prozie ambitniejszej, o czym świadczy – różnie (i raczej surowo) oceniony przez krytyków – *Krfotok* Edwarda Redlińskiego (1998). Warto też wspomnieć o satyrycznej *Brunatnej rapsodii* Otto Basila (1966, wyd. polskie 1993).

Wizje alternatywne, o jakich była dotąd mowa, i do których przyjdzie jeszcze za chwilę powrócić, rodziły się w wyniku spekulacji na temat innego biegu wydarzeń politycznych lub militarnych (odmienny skutek zamachu, inny wynik pojedynczej bitwy, wojny itp.). Powstaje ich bowiem najwięcej. Pojawiają się jednak i takie, które odpowiadają na pytanie, jak wyglądałby świat, gdyby postęp wynalazczości i nauki dokonał się nie jutro (o to zwykle pyta tradycyjna fantastyka naukowa), a niegdyś, znacznie wyprzedzając osiągnięcia cywilizacji współczesnej. Przykładem takiej *science fiction à rebours* jest *Maszyna różnicowa* (*The Difference Engine*) Bruce'a Sterlinga i Williama Gibsona (1991, wyd. polskie 1997). Akcja utworu toczy się w 1855 r., lecz – właśnie dzięki cudom techniki – jest to świat, jakiego nie znamy i jakiego nigdy nie było. Rewizja historii dokonana została tym razem na innej płaszczyźnie.

Wniosek stąd, że dla twórców „fantastyki historycznej" nie ma tematów tabu i rewizji może zostać poddane wszystko. Niewykluczone za-

tem, że doczekamy się kiedyś powieści, której autor opowie o inspirowanym ideami socjalizmu, zwycięskim powstaniu pańszczyźnianych chłopów w XVI w., inny o budowaniu kapitalizmu przez Kazimierza Wielkiego, a kolejny – o przebiegu rewolucji seksualnej w stuleciu XII. Każdy z tych utworów szokować będzie niezwykłością i sensacją, na nich właśnie opierając swą atrakcyjność, lecz w fabule znacznie większy niż na dzieje nacisk położony zostanie na problematykę obyczajową i społeczną, bohaterem zaś okaże się postać fikcyjna, nieautentyczna. To pierwszy kierunek, w którym rozwijają się historie alternatywne.

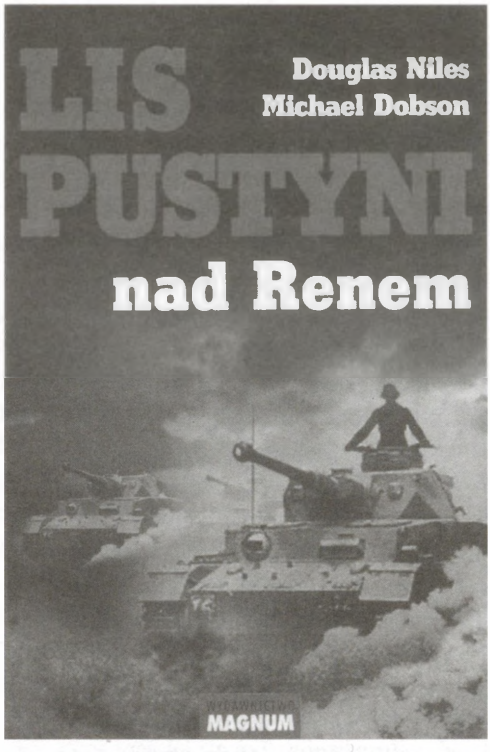

Początek XXI w. dał wszakże znać o sobie powrotem do tradycyjnego, tj. skupionego na zmyślonych wydarzeniach (a nie postaciach i relacjach między nimi) fantazjowania na temat historii. W 2001 r. ukazało się tłumaczenie wydanej rok wcześniej w USA powieści Douglasa Nilesa i Michaela Dobsona *Lis Pustyni nad Renem* (*Fox on the Rhine*)[5], w której autorzy przedstawili inny wariant zakończenia drugiej wojny światowej. W ich książce zdarzenia biegną zgodnie z historią do godz. 11.42 czasu Greenwich 20 lipca 1944 r. – później rozwija się ona inaczej. Utwór opiera się na założeniu, że zamach dokonany przez pułkownika Clausa Schenka von Stauffenberga w Wilczym Szańcu pod Kętrzynem zakończył się powodzeniem[6]. Hitler zginął od wybuchu podłożonej bomby, lecz władzę w Niemczech przejęli nie spiskowcy kierujący operacją „Walkiria", a Heinrich Himmler (co skądinąd wydaje się scenariuszem dość w takiej sytuacji prawdopodobnym). W wyniku jego posunięć wysiłek wojenny Rzeszy skoncentrowano na froncie zachodnim. Ułatwił to pokojowy układ zawarty ze Stalinem, który – zyskawszy wszystko, czego chciał – wycofał się z antyniemieckiej koalicji. W celu zapewnienia wojsku wsparcia i osiągnięcia przewagi lotniczej niemiecki przemysł zwiększył produkcję myśliwców odrzutowych Me-262, a ze wschodu przemieszczono na zachód ocalałe dywizje pancerne. Dowództwo powierzono Erwinowi Rommlowi, któremu przyszło się zmierzyć z oddziałami George'a Pattona. Wynik konfrontacji okazał się zgodny z historią: mimo wielkich strat poniesionych przez oddziały amerykańskie, Niemcy ostatecznie przegrali.

Z powieści Nilesa i Dobsona daje się wyprowadzić teza wspólna nowszym historiom alternatywnym, w *thrillerach* nawiązujących do tej konwencji właściwie niespotykana: choć bieg dziejów mógłby być inny niż w rzeczywistości, jego kierunek i meta niewiele różniłyby się od autentycznych.

Trafność tego spostrzeżenia potwierdza wydana w 2005 r. książka Kazimierza Szarskiego *Bomba w Wilczym Szańcu. Führer zginął*[7]. Autor skupia się na zdarzeniach, w których uczestniczą postacie historyczne, ograniczając jednocześnie do minimum rolę bohaterów zmyślonych, pełniących – jak pisze we wprowadzeniu – jedynie „funkcje służebne, instrumentalne". Sucha, reporterska relacja; seria obrazów ukazują-

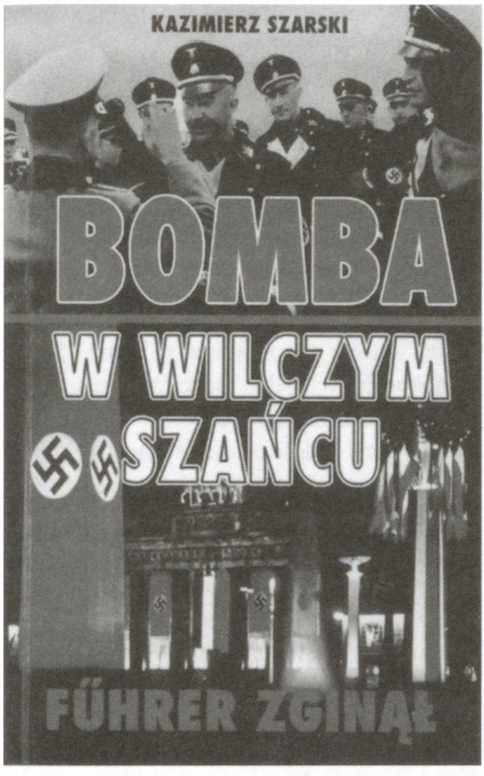

cych ważne dla polityków, dowódców i całej ludzkości chwile oraz unaoczniających skutki podejmowanych decyzji prowokuje skojarzenia z literaturą faktu, choć trafniejsza (mimo swej paradoksalności) byłaby z pewnością formuła „faktu fantastycznego", skoro żadna z opisanych scen nie miała odpowiednika w historii. Fabuła ogranicza się do wydarzeń, jakie nastąpiły po śmierci Adolfa Hitlera. Także i w tej książce punktem wyjścia do rozważań o innym wariancie dziejów staje się bowiem zamach Stauffenberga. Pisarza bardziej interesują jednak jego konsekwencje dla Polski i Polaków. Podobnie jak w *Lisie Pustyni...* historia zmierza tu w dobrze nam znanym kierunku: Polska znajdzie się w strefie wpływów ZSRR, nie dojdzie jednak do wybuchu powstania warszawskiego. W wyniku rozmów podjętych przez przedstawicieli rządu londyńskiego i przywódców Armii Krajowej ze Stalinem zawarta zostanie ugoda: straty terytorialne na wschodzie okażą się nieco mniejsze (nowa granica wschodnia przebiegać będzie wprawdzie wzdłuż linii Curzona, ale Lwów pozostanie polski), a w Rządzie Jedności Narodowej i armii kluczowe funkcje obejmą przedstawiciele obu przeciwnych sobie sił politycznych. Nie mając zresztą złudzeń, co do perspektyw chwilowego kompromisu.

Lis Pustyni nad Renem pozostaje w pełnym tego słowa znaczeniu powieścią. Fikcyjne postacie, choć wykonujące rozkazy bohaterów historycznych, są wykreowane od podstaw: mają swą osobowość, prywatne problemy, indywidualne losy. W książce Szarskiego, gdzie narracja bardziej przypomina zbeletryzowany reportaż lub kronikę wydarzeń, zasięg fikcji zostaje ograniczony, obejmując głównie fakty i rysy postaci autentycznych; w tym ostatnim przypadku z wyraźną dbałością o zachowanie pozorów prawdopodobieństwa. Zastosowana przez autora forma sprzyja wywoływaniu wrażenia, że to, o czym się czyta, zdarzyło się naprawdę. Tak skonstruowane dzieło oddaje bowiem część swej literackości publicystyce i popularyzacji „wiedzy", stając się tym samym tworem „pogranicza". Niemniej, to jeszcze beletrystyka.

Kolejną odmianę historii alternatywnych reprezentuje *Wojna na Pacyfiku*[8], dzieło kilku autorów, zredagowane przez Petera G. Tsourasa (wyd. polskie 2005). Nie ośmielę się już nazwać go powieścią czy zbiorem opowiadań, choć zawiera liczne elementy fikcji zobrazowanej narracyjnie, z wykorzystaniem ewidentnie literackiego języka. Twórcami poszczególnych rozdziałów, poświęconych różnym momentom zwrotnym konfliktu amerykańsko-japońskiego z lat 1941–1945 są eksperci: historycy zawodowi, pasjonaci historii (amatorzy), znawcy problemów wojskowych, politycy lub ich doradcy itp. Każdy z nich – w zbeletryzowanej formie – opowiada o tym, jak potoczyłyby się losy wojny, gdyby... Raymond Spruance nie odniósł sukcesu pod Midway, Japończykom udało się podbić Australię, Kurita zdołał posłać na dno amerykańskie transportowce w bitwie o zatokę Leyte itd. Opanowanie atolu Midway umożliwiłoby na przykład dal-

szą ekspansję krajowi Kwitnącej Wiśni. Kolejnym etapem wojny stałaby się inwazja na Stany Zjednoczone (desant w Zatoce Kalifornijskiej) i Panamę. Tu jednak odmieniłyby się koleje losu: w starciu znaczącą rolę odegrałoby bazujące na lądzie lotnictwo armii USA, kraj byłby też lepiej przygotowany do obrony, uwidoczniłaby się wreszcie przewaga gospodarczego zaplecza obrońców. Wielka bitwa powietrzno-morska stoczona u wybrzeży Kalifornii skończyłaby się klęską Japonii i zainicjowała amerykańską kontrofensywę na Pacyfiku.

Wiarygodność tych opowieści wzmacniają historyczne fotografie, opatrzone wszakże podpisami, z których część odnosi się do zmyślonych wypadków, oraz mapki z zaznaczonymi kierunkami rzekomych uderzeń i miejscami walk. Wywody autorów na temat możliwego przebiegu wydarzeń historycznych uzupełniają swego rodzaju posłowia, w których konfrontuje się fantazję z rzeczywistością, a także, jak w literaturze naukowej, liczne, niekiedy bardzo obszerne przypisy. Ale i w ich przypadku, pragnąc wzmocnić iluzję, autorzy mieszają ze sobą fakty autentyczne z fikcyjnymi[9]. Twórcy odsyłają też czytelnika do fachowej literatury przedmiotu, której wykaz pojawia się po każdym rozdziale. Nie ma wszakże pewności, czy i jej - przynajmniej częściowo - nie zmyślono. Miraż jest więc bardzo sugestywny i przekonujący. Samo „gdybanie" ma formę literacką, choć uwagę pisarzy przykuwają nie ludzie, a fakty (niemal całkowity brak wyrazistych sylwetek bohaterów i związanych z nimi wątków, zdarzają się za to krótkie dialogi, podobne do tych, jakie spotkać można było niegdyś w książeczkach z MON-owskiej serii „Żółtego Tygrysa"). Całość okazuje się tedy formą synkretyczną: ni to literaturą, ni to popularyzacją, ni to nauką.

Przejawem całkowitego już odrzucenia literatury są natomiast - mimo ich przedmiotu, wciąż pozostającego fantastyczną fikcją - sprzedawane pod szyldem historii alternatywnych zbiory wywiadów przeprowadzonych przez Janusza Osicę i Andrzeja Sowę ze znanymi polskimi historykami: Henrykiem Samsonowiczem, Januszem Tazbirem, Jerzym Skowronkiem i Andrzejem Ajnenkielem. Pierwszy taki zbiór ukazał się w 1998 r. (*Co by było, gdyby... Historie alternatywne*), drugi - w 2005 (*Historia alternatywna. Co by było, gdyby...*). Od *Wojny na Pacyfiku* różni je przede wszystkim typowa dla publicystyki forma wywiadu, w której brak po prostu miejsca na środki literackie. Wywody badaczy, pozostając spekulacją, zmierzają na ogół w tym samym kierunku: historia nie mogła potoczyć się inaczej, gdyż albo byłoby gorzej (*Pogańska alternatywa*, *Pakt Ribbentropp–Beck*), albo zmieniłoby się niewiele. Tylko w nielicznych przypadkach dziejowa alternatywa wydawała się znawcom materii obiecująca (*Jan Zamoyski królem Polski*)[10].

Dokonany tu przegląd wskazuje na to, że rozważania o innym - możliwym i niemożliwym - biegu historii stały się niezwykle modne, a w wersji spisanej przybierają zróżnicowane, literackie i pozaliterackie formy: od dreszczowca, w którym determinują tylko w sposób ogólny

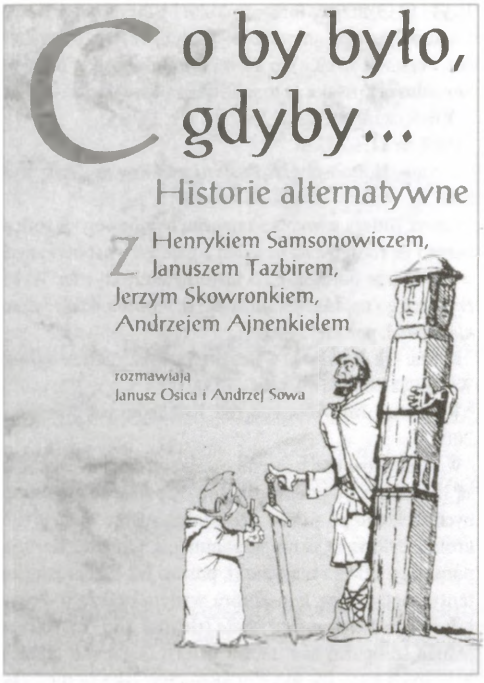

właściwości przedstawionego świata, a główny akcent pada na relacje interpersonalne i obyczajowość, przez niby-historyczne powieści i beletryzowane niby-dokumenty, aż po *quasi*-historyczną publicystykę. W książkach marginalizujących znaczenie modyfikacji dziejów dominuje sensacyjna fabuła, tam zaś, gdzie akcent pada na konsekwencje innego biegu autentycznych wydarzeń, autorzy korzystają z poetyki wypracowanej przez literaturę faktu, popularyzatorów, a nawet i taką, która dotąd zarezerwowana była wyłącznie dla nauki. W niektórych przypadkach (*Wojna na Pacyfiku*) świadomie i niebezpiecznie ocierając się przy tym o mistyfikację. Pierwszy typ pozostaje tradycyjną literaturą, drugi systematycznie się od niej oddala.

Oryginalny i interesujący jest zwłaszcza drugi z wymienionych kierunków ewolucji, ten, w którym daje o sobie znać orientacja na publicystykę i naukową refleksję o historii. Celem, do którego dążą jego twórcy, okazuje się bowiem wzmocnienie wiarygodności iluzji. W związku z tym można odnieść wrażenie, że opowieści o alternatywnych dziejach (a przynajmniej spora ich część) przechodzą aktualnie taki sam proces przemian, jaki „twarda", techniczna fantastyka naukowa (*hard science fiction*) ma już dawno za sobą. W początkowym stadium rozwoju owej odmiany eksponowano bowiem z upodobaniem niezwykłość tworów autorskiej wyobraźni, by wkrótce, gdy owa niezwykłość poczęła razić, podjąć trud jej uprawdopodobnienia a następnie „uzwyczajnienia". Ostatecznie *science fiction* wypracowała w XX w. liczne środki formalne ułatwiające czytelnikowi odbiór zjawisk niemających odpowiedników w świecie realnym jako naturalnych, zwyczajnych, powszednich. W drugiej połowie stulecia, zwłaszcza u jego schyłku (wyjąwszy odmiany mniej ambitne, jak np. *space opera*) zredukowano też obszar penetracji: zamiast ukazywać daleką i z tego już choćby powodu mało wiarygodną przyszłość, obrazowano jutro niezbyt pod względem czasu i przestrzeni odległe, bardziej przewidywalne (fantastyka bliskiego zasięgu), co znacznie ułatwiło asymilację gatunków o tematyce współczesnej i zaowocowało powstawaniem odmian hybrydowych. Ten sam proces objął dziś część prozy o innych wariantach dziejów. Odnosi się jednak wrażenie, że przebiega szybciej. I już teraz można pokusić się o próbę opisu części cechujących go zjawisk.

Pierwszym z nich okazuje się ograniczenie zasięgu spekulacji do jednego tylko faktu historycznego i jego następstw; drugim - skrócenie perspektywy przewidywań, tj. objęcie „gdybaniem" niewielkiego wycinka czasu. Trzecim z kolei okazuje się dbałość, by fantastyczna wizja historii nie odbiegała zbyt daleko od tego, co się w istocie wydarzyło. Zauważyć też można troskę o pozorne obiektywizowanie relacji, przejawiającą się w stopniowym porzucaniu literackości i korzystaniu z chwytów formalnych właściwych publicystyce (reportaż, wywiad), popularyzatorstwu, nauce (warsztat formalny), a nawet - z innej patrząc strony - edytorstwu (ilustracja). Ewolucja gatunku zdaje się tedy przebiegać wzdłuż następującej linii: od buntu przeciw faktom i szokowania czytelnika rozległymi, acz ma-

ło wiarygodnymi obrazami ich następstw, po złagodzenie sprzeciwu i wysiłki zmierzające do uprawdopodobnienia iluzji. Należy jednak podkreślić, że dawne i nowe formy historii alternatywnych wciąż jeszcze funkcjonują obok siebie i trudno wskazać, która z nich osiągnie ostatecznie przewagę.

Moda na „gdybanie" niewątpliwie trwa. Nawet obrazoburczy i prowokujący *Kod Leonarda da Vinci* jest w pewnym sensie jej przejawem, choć to nie tyle alternatywna, co raczej rzekoma historia, a i takich sporo we współczesnej literaturze popularnej. Moda ta ma swe niewątpliwe zalety: wymusza konfrontowanie zmyślenia z rzeczywistością. Odchodząc zatem od faktów, mimowolnie do nich wracamy. Nie sposób przecież łgać, nie wiedząc, co jest prawdą. Ale i nie sposób łgarstwa rozpoznać, zwłaszcza gdy mamią nas spece od iluzji. Uczmy się więc historii, by w ich bajki pochopnie nie uwierzyć.

Piotr Krywak

[1] L. Geoffroy (właściwie: Louis-Napoléon Geoffroy-Château), pisarz francuski, jeden z pierwszych twórców historii alternatywnych. W roku 1836 opublikował dzieło *Historia monarchii uniwersalnej: Napoleon i podbój świata (1812–1832)*. Od drugiej edycji (z 1841 r.) nosi ono tytuł *Napolèon Apocryphe*.

[2] Spośród kilku wersji *Historii przyszłości* Adama Mickiewicza zachowały się jedynie urywki napisane w latach 1833 i 1835, mające formę traktatu historycznego. Powieścią utopijną była natomiast wcześniejsza, tzw. petersburska wersja (z 1829 r.), o której treści donosił w liście do Eugeniusza Kossaka Antoni Edward Odyniec.

[3] „Miesięcznik Literacki" 1967, nr 1, s. 24–35.

[4] 1989, nr 11, s. 41–47.

[5] D. Niles, M. Dobson: *Lis Pustyni nad Renem*, Warszawa 2001.

[6] Śmierć Hitlera w wyniku zamachu bombowego Stauffenberga i jej następstwa to jeden z najczęściej spotykanych w literaturze pomysłów na historię alternatywną. Wykorzystano go np. także w powieści C. Forbesa *Wódz i przeklęci* (wyd. polskie: 1996).

[7] K. Szarski: *Bomba w Wilczym Szańcu. Führer zginął*. Warszawa 2005.

[8] *Wojna na Pacyfiku*. Pod red. P.G. Tsourasa, Warszawa 2005.

[9] W tekst opowieści o innym przebiegu dziejów włączane są nierzadko fragmenty fikcyjnych pamiętników, spisanych rzekomo po wojnie przez uczestników walk. Wielokrotnie cytowane są np. wspomnienia Tameichi Hary, japońskiego oficera marynarki, postaci jak najbardziej autentycznej, a przy tym autora wydanej także w Polsce książki *Dowódca niszczyciela* (Gdańsk 2003). Cytaty są jednak spreparowane, mowa w nich bowiem o faktach, w których Hara nie mógł uczestniczyć, jako że nigdy się nie wydarzyły. Przykładem takiej manipulacji jest opis bitwy w cieśninie Surigao. W rzeczywistości stoczono ją w październiku 1944 r., w trakcie wyzwalania Filipin spod japońskiej okupacji. Zakończyła się pogromem pancerników japońskich. Podług jednego z autorów *Wojny na Pacyfiku* i cytowanego przezeń Hary miała się natomiast rozegrać 30 grudnia 1941 r. (czyli w czasie, gdy Japończycy zajmowali Filipiny) i przynieść druzgocącą klęskę flocie Stanów Zjednoczonych.

[10] Tytuły fragmentów książki z 1998 r.

Dorota Kamisińska

Wyspiański ery komputera*

... mam ten dar bowiem: patrzę się inaczej.
S. Wyspiański, *Noty do Bolesława Śmiałego*

Stanisław Wyspiański znany jest jako dramatopisarz, malarz i witrażysta. Jednak obszary jego twórczej aktywności obejmowały również scenografię, rysunek i grafikę, projektowanie mebli, a także sztukę książki. Dziedziny te, pokrewne sobie, przenikały się wzajemnie i stawały inspiracją dla coraz to nowych rozwiązań, które artysta z niezwykłą konsekwencją realizował w swoich dziełach

Zaczynając we wczesnej młodości od ilustrowania utworów Schillera, Goethego i powieści Kraszewskiego, poprzez szkice z natury architektonicznych zabytków Podkarpacia, polnych kwiatów i ziół, a potem wnętrz francuskich kościołów, studiując dawną sztukę gotycką, doszedł do momentu, w którym rozwinął w pełni własną inwencję twórczą dekorując wnętrze kościoła Franciszkanów w Krakowie. Zgodnie z istotą gotyku, który artysta uważał za szczytowe osiągnięcie sztuki, w dekoracjach tych najważniejsza jest linia, aczkolwiek nowatorsko przez niego przekształcona - falista, naśladująca łodygi pnączy roślinnych i morskich wodorostów. Czyniąc stylizowane kwiaty głównym motywem dekoracyjnym polichromii, kościelnych witraży a potem także druków, zbliżył się zarówno do teorii angielskich prerafaelitów, jak i niemieckich artystów poszukujących nowego stylu w architekturze i sztukach zdobniczych przełomu XIX i XX w. Postulowali oni zerwanie z naśladownictwem stylów historycznych i dążyli do jak największej zwartości architektonicznej i plastycznej kompozycji, której głównym elementem ekspresji była właśnie płynna i falista linia, zaczerpnięta z bardzo popularnej w tym okresie w Europie grafiki japońskiej.

Andrzej Kamisiński, Kolaż-witraż na motywach dzieł Stanisława Wyspiańskiego. Technika własna: druk laserowy, farby witrażowe. 2006

Książka stała się dla Wyspiańskiego polem dla eksperymentów, ponieważ sam uprawiał twórczość literacką. Pisząc utwory sceniczne, mając w wyobraźni scenografię, kostiumy, kolor, światło i ruch, którymi operuje teatr, zdał sobie bowiem sprawę z możliwości, jakie niesie ze sobą druk, a chęć wydobycia podobnych efektów w działaniach i dziełach plastycznych motywowała go do twórczych poszukiwań. Okazja do zrealizowania śmiałych i oryginalnych projektów zestawienia kolumn druku z ilustracjami nadarzyła się wraz z objęciem posady kierownika artystycznego krakowskiego dwutygodnika „Życie". Kształt czcionki, układ kolumny druku i umiejętność posługiwania się światłem w wolnej przestrzeni papieru, w połączeniu z secesyjną linią i splątaną kreską winiety złożyły się na piękno szaty graficznej, która miała potęgować moc słowa i ułatwić odbieranie wrażeń artystycznych czytelnikom pisma. Duża powściągliwość w użyciu roślinnego ornamentu i podporządkowanie go ogólnemu planowi kompozycji, czyli rozmieszczenie go po obu stronach osi kolumny na polach nie zadrukowanych tekstem, różni karty „Życia" od druków prerafaelitów, umieszczających ilustracje nad tekstem lub zawierających je w inicjale, a kolumny pisma otaczających bordiurą. Wyspiańskiemu chodziło raczej o uniknięcie stłoczenia kolumn i wrażenia zlania się ornamentów z pismem, a zarazem o wydobycie przy pomocy motywów ornamentalnych mocniejszych tonów i umocnienie sugestywnej siły nastroju, mocy, barwy oraz projekcji uczuć i myśli poety na wyobraźnię czytelnika. Kwiaty, wybrane jako elementy zdobnicze, odpowiadały treści wierszy i stawały się ilustracją dla słowa. Wyspiański był wielbicielem muzyki i teatru Wagnera, a także poezji symbolistów, stąd być może wrażenie ruchu i rytmiki, uzyskiwane dzięki użyciu czerni i bieli, powtarzaniu tych samych motywów na dwóch tworzących jedną kompozycję sąsiadujących stronach w celu osiągnięcia większej jednolitości artystycznego wyrazu. W projektowanych w tym samym czasie okładkach do książek używał wersalików w kolorze czerwonym, którymi na górze strony pisał nazwisko autora, a na dole tytuł tomu. Wolne miejsce między napisami wypełniał barwnym ornamentem kwiatowym.

Do własnych utworów planował układ tekstu, winiety, format książki. Kompozycje okładek wszystkich dzieł, które ukazały się za jego życia, wyróżniają się stałym układem pisanego dużymi wersalikami w jednym wierszu u góry strony tytułu, roślinnym ornamentem w środku i nazwiskiem u dołu pisanym mniejszymi wersalikami. W okładkach wykonanych w 1904 r. wolne pole wypełniała naklejka z barwną reprodukcją rysunku autora, którą potem uznał za niepraktyczną i zastąpił ornamentem umieszczonym bezpośrednio na okładce. Czasem, jak w okładce do *Iliady*, łączył pismo i winietę w jedną, artystyczną całość.

Jako twórca nowego stylu w polskim zdobnictwie i drukarstwie wprowadził do niego motywy ludowe, kwiaty w płaskim, harmonizującym z kolumną tekstu ornamencie, często powtarzanym zgodnie z ogólnym planem dekoracji. Unikał nadmiaru ornamentów, dążąc do jak największej ekspresji słowa drukowanego poprzez nową koncepcję architektoniki książki projektowanej do utworów, których osią jest przecież sprawa narodowa, a głównym celem budzenie patriotycznych uczuć. W wydawanych przez siebie tekstach dramatów nie używał dużych liter na początku wiersza, by nie rozpraszać uwagi czytelnika i spotęgować wrażenie płynnej rytmiczności. Osnowę dramatu drukował przeważnie antykwą, scenariusz kursywą, nazwiska osób występujących w dramacie wersalikami. Poprzez zmianę charakteru pisma uzyskiwał optyczne wyodrębnienie części tekstu i wzmocnienie tym samym efektów dekoracyjnych i rytmicznych układu drukarskiego. Mimo zachowania renesansowej symetrii kompozycji, ułożonej wzdłuż pionowej osi, podejmował próby kontrastowego komponowania zadrukowanej płaszczyzny i białego pola nie zadrukowanego papieru oraz winiety i ornamentu wnoszących również silne akcenty czerni i bieli. Zerwał z daw-

nym układem zwartej kolumny obramowanej bordiurą, ornament przyporządkował układowi drukarskiemu. Wszystko to przyczyniło się do wydobycia emocjonalnego charakteru poszczególnych części tekstu i w rezultacie do odbioru całego utworu zgodnie z intencją autora, będącego orędownikiem społeczno-narodowej funkcji sztuki i poezji.

Zdumiewa niezwykła wyobraźnia i konsekwencja w realizacji tych śmiałych pomysłów. Tym bardziej, że – powstając w wyobraźni jednego człowieka – były następnie przy pomocy ołówka przelewane na papier będący najbardziej wówczas uniwersalnym oraz dostępnym „polem projektowym". Dbałość o każdy detal, osobiste nadzorowanie składu i druku zarówno czasopisma, jak i książek, projektowanie scenografii do przedstawień, kostiumów dla aktorów, poszukiwanie odpowiednich szkieł dla witraży, dowodzi wielkiej determinacji twórcy, który miał całościową wizję swych dzieł, jak również przekonanie, że tylko on sam jest w stanie zrealizować je od początku do końca. Mimo ogromnych nakładów pracy i energii podejmował się tych czynności z godnym podziwu uporem. Był niezależny i znał swoją wartość, miał też świadomość kontrowersyjności swych projektów.

Jako artysta traktujący książkę całościowo jest zaliczany do twórców *liberatury* – dzieł, w których tekst i obraz stanowią całość i są równie ważne, a każdy najdrobniejszy element kompozycji książki niesie określone znaczenie i jest podporządkowany słowu. W sto lat od jego śmierci nie sposób oprzeć się wrażeniu, że urodził się i działał za wcześnie, a żył zbyt krótko, aby jego geniusz mógł zostać w pełni wykorzystany. W listach pisanych do Józefa Mehoffera, Lucjana Rydla i Tadeusza Stryjeńskiego wielokrotnie wspominał o niemożności uzewnętrznienia i realizacji wszystkich swoich projektów i wizji.

Czy gdyby żył dziś, miałby takie możliwości? Jak wykorzystałby nowoczesną typografię i narzędzia składu komputerowego do kształtowania tekstu i ilustracji? I czy w ogóle wykorzystałby te nowe tendencje? Czy nadmiar możliwości, paradoksalnie, nie spowodowałby zaniku jego twórczej wyobraźni?

Podlegając specyficznym normom estetycznym, sztuka typograficzna była ściśle związana z kulturą i okresem dziejowym, w którym powstawała. Współczesna jej mozaikowa struktura zastąpiła linearność treści podanej tradycyjnie, w postaci jednolitej kolumny tekstu i odpowiada tym samym na zapotrzebowanie czytelnika, który w kontakcie z szybko zmieniającym się obrazem połączonym z tekstem, dźwiękiem i kolorem wykształcił w sobie umiejętność równoczesnego ich odbioru oraz selekcji informacji najbardziej istotnych. Dzisiejszy typograf, dzięki doskonałym narzędziom, może prosto, szybko i skutecznie osiągnąć efekt zgodny z własną koncepcją edytorską. Typografia jest jednak dziedziną artystyczną. Budowa kolumny tekstu, kształt i układ liter w drukowanej publikacji wywołuje skojarzenia i emocje podświadomie wpływające na proces czytania i odbiór treści. Czy można nazwać sztuką efekty pracy twórcy zestawiającego elementy typograficzne pospiesznie, przypadkowo? Aby książka poruszyła czytelnika harmonią słowa, formy i obrazu nowoczesne narzędzia muszą być użyte świadomie, precyzyjnie i z określonym zamysłem, a do tego niezbędne jest przygotowanie teoretyczne albo... „dar patrzenia inaczej", niezwykłe wyczucie proporcji, koloru, kompozycji – intuicja właściwa twórcom totalnym.

Artysta miary Wyspiańskiego, podejmując się wydania współcześnie utworów własnych lub cudzych, skorzystałby być może z komputerowego edytora tekstu do projektowania układu strony, choć wielce prawdopodobne jest, że jego wrażliwość i wyobraźnia plastyczna nie odnalazłaby się na ekranie komputera – ołówek i kartka papieru byłyby zatem narzędziem, za pomocą którego powstałby szkic wstępny. Edytor przydałby się z pewnością, aby sprawdzić wstępną drukowaną wersję projektu strony – rozmieszczenie tekstu, ilustracji, marginesy, kolory i kontrasty. Jeśli ostateczną formą edycji miałby być druk, to bardzo ważny byłby rodzaj papieru – jego gramatura, kolor, kształt, wymiary. Arty-

sta oszczędnie operujący ozdobami w tekście najbardziej byłby zainteresowany doborem odpowiednich czcionek, w różnych wielkościach i kolorach, w zależności od szaty graficznej zaplanowanej dla całej książki. Oszczędność Wyspiańskiego w dekorowaniu tekstów wynikała być może również ze skromnych możliwości technicznych ówczesnej drukarni, nie pozwalających na wydrukowanie książki, o jakiej marzył. Dziś mógłby zawrzeć w jednym tomie wszystkie swe dzieła, dołączając do tekstów dramatów kolorowe projekty kostiumów i elementy scenografii, którą czytelnik mógłby sobie dowolnie zestawiać, a także zapis nutowy muzyki do przedstawień. Aby zobaczyć swe stworzone na kartce papieru dzieła, Wyspiański musiał „wyprowadzić" je do teatru, ponieważ tylko tam mogły zaistnieć w pełni. Rewolucyjne, jak na owe czasy, autorskie dekoracje – zamiast gotowych, malowanych horyzontów sprowadzanych z Wiednia – teraz zapewne projektowane byłyby z pomocą graficznego programu komputerowego i ustawiane na wirtualnej scenie. Stylowe wnętrza dworku głogowskiego w *Warszawiance*, bronowicka izba w *Weselu*, drewniany dwór wawelski w *Bolesławie Śmiałym* byłyby dziś „teatrem ogromnym", który ze sceny „wyszedłby" w plener, gdzie autentyczni aktorzy graliby wraz z postaciami holograficznymi, a widownia skupiałaby się przed diodowymi ścianami wizyjnymi. Wprawdzie nie udało się zrealizować wizjonerskich planów przebudowy Wawelu, ale marzenie Wyspiańskiego o amfiteatrze w tym historycznym miejscu – jak najbardziej. *Wesele*, z powodzeniem sfilmowane przez Andrzeja Wajdę, mogłoby też, jako interaktywny hipertekst, zaistnieć w internetowej sieci. Mogłoby również stać się multimedialną, drukowaną książką czytaną z użyciem skanera w kształcie pióra, które uruchamiałoby aktywne miejsce na karcie książki, rozszerzając tym samym jej przestrzeń o ruchomy, kolorowy obraz i dźwięk dostępny w tym samym momencie na ekranie komputera. Szukając inspiracji do nowych dekoracji dla swych książek, surfowałby swobodnie po trójwymiarowych salach Luwru, przeglądałby wysokiej jakości zdjęcia roślin i kwiatów z całego świata, odbywałby wirtualną wycieczkę ulicami Paryża i Wenecji, zaglądając do każdego kościoła. Zdobywałby informacje nie ruszając się z domu i z Krakowa. Doskonałą jakość laserowego druku wykorzystałby zarówno do tekstu, jak i ilustracji, którą uzyskiwałby z cyfrowej fotografii. Kartki i elementy druku czy obrazu mogłyby być ruchome w książce interaktywnej, która istniałaby nie tylko w sieci, ale także w książce drukowanej – do dowolnego lub określonego przez autora ułożenia jej przez czytelnika, który stałby się w ten sposób współtwórcą tekstu czy szaty graficznej. Autor mógłby też pozostawić swój zamysł do rozszyfrowania czytelnikowi jako warunek właściwego odczytania utworu. Dowolny skład książki umożliwiałby też jej dowolny kształt i wielkość, dopuszczałby również użycie do tworzenia książki różnych materiałów, co znacznie rozszerzyłoby możliwości twórcze autora i zwiększyło atrakcyjność książki, choć oczywiście nie nadawałaby się ona wówczas do produkcji masowej. Tekst dzieła nie musiałby być wydrukowany na typowym papierze, książka w ogóle nie musiałaby mieć kartek, lecz na przykład pasek papieru, który oplatałby lub przenikał okładki. Ale tekst mógłby być też napisany taką techniką, aby jego odczytanie wiązało się z odpowiednimi zabiegami technicznymi, chemicznymi lub z użyciem światła. Przestrzeń książki mogłaby ulec rozszerzeniu poprzez jej opakowanie – etui będące integralną częścią tematyczną i nawiązujące do szaty graficznej samej książki.

Dla genialnej wyobraźni nie ma granic. Jednak osobowość wymykająca się schematom, wyjątkowo wrażliwa i czująca rzeczywistość wszystkimi zmysłami w sposób właściwy jedynie nielicznym, niechętnie wykorzystuje techniczne nowinki. Komputer jest przecież tylko jednym z wielu przydatnych narzędzi wspomagających projektowanie i realizację projektu, nigdy jednak nie będzie miał mocy kreacyjnej równej wyobraźni człowieka. Artysta będzie dążył do reali-

zacji swego dzieła wszelkimi dostępnymi środkami, wykorzystując materiały i narzędzia jak najbardziej wiernie oddające jego wizję, choć niekoniecznie ułatwiające jej materializację. Proces twórczy jest bowiem również elementem powstającego dzieła, którego poszczególne części rozwijając się warunkują następne – przeżywanie procesu twórczego pozwala zatem na powolne dojrzewanie artysty do znalezienia właściwej formy, słowa, koloru i do uzyskania pomiędzy nimi swoistej harmonii, dzięki której dzieło stanie się jednością.

Twórczość Wyspiańskiego powstała pod wpływem konkretnych idei, do których dojrzewał od dziecka w klimacie Krakowa. Wydając drukiem swe prace literackie, adresował je do konkretnego odbiorcy, portretował znanych mu ludzi lub postaci historyczne w określonym celu. Typografia i graficzna oprawa jego dramatów wspomagała emocjonalnie słowo, które było dla tych edycji początkiem. Ich wartość polega między innymi i na tym, że wyszły spod pióra i ręki artysty wszechstronnego, dla którego kartka papieru i ołówek były równocześnie całym światem otwartym dla nieograniczonej kreacji.

Tematami ważnymi dziś są te dotykające kondycji człowieka w świecie zanikających wartości, jego lęków i samotności. Dzieła literackie często są jedynie uzewnętrznieniem przeżyć czy kompleksów artysty i jako zbyt osobiste odbierane jedynie przez niewielkie grono. Możliwość łatwego ogłoszenia ich światu, poprzez wystawienie na internetowych stronach tekstu ozdobionego ilustracjami, nie oznacza wcale, że zostaną one właściwie odebrane, o ile w ogóle ktoś na nie w sieci natrafi. Wydanie ich w formie książki, do zaprojektowania, której użyto najnowszych osiągnięć techniki typograficznej, również nie gwarantuje sukcesu. Ilość publikacji przechodzących bez echa jest najlepszym dowodem na to, że książka, w której tekst i materia istnieją w niezależny od siebie sposób, nie zostaje tak naprawdę doświadczona. Biorąc do ręki książkę, w której zarówno słowo, jak i przestrzeń mają znaczenie, wzajemnie się uzupełniają, warunkują i tworzą nierozerwalną całość, odbiorca staje twarzą w twarz z twórcą książki i całą kulturą. Jej dalekie echa usłyszy w rytmie słowa, dotknie w detalach materii za pośrednictwem artysty, w wyobraźni którego książka powstała, a zaistniała materialnie za sprawą narzędzi, które nie mają tu większego znaczenia.

Dorota Kamisińska

Bibliografia:
Listy Stanisława Wyspiańskiego do Józefa Mehoffera, Henryka Opieńskiego i Tadeusza Stryjeńskiego. Cz. 1. Teksty listów oprac. M. Rydlowa, Kraków 1994.
Listy Stanisława Wyspiańskiego do Karola Maszkowskiego. Cz. 3. Teksty listów oprac. M. Rydlowa, Kraków 1997.
E. Miodońska-Brookes, *Wawel – „Akropolis". Studium o dramacie Stanisława Wyspiańskiego*, Kraków 1980.
E. Skierkowska, *Wyspiański – artysta książki*, Wrocław 1960.
J. Sowiński, *Sztuka typograficzna Młodej Polski*, Wrocław 1982.
Sztuka książki. Historia-teoria-praktyka, pod red. Małgorzaty Komzy, Wrocław 2003.
K. Zbijewska, *Krakowskim szlakiem Stanisława Wyspiańskiego*, Warszawa-Kraków 1986.

* Tekst w skróconej formie pod tytułem *Typographus computericus czyli od Wyspiańskiego do liberatury* został opublikowany w poświęconym liberaturze 17 numerze kwartalnika „Autoportret. Pismo o dobrej przestrzeni."

Wojciech Wiercioch

Ur. w 1966 r. w Nowym Targu. Studiował medycynę i filozofię. Aforyzmy jego autorstwa wykorzystywane są przez kabaret Loch Camelot; zostały również zamieszczone w wielu antologiach aforystyki polskiej. Był redaktorem naczelnym pisma kulturalnego „Futurum" (2003-2004). Jest prezesem Stowarzyszenia Aforystów Polskich i członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy oraz pomysłodawcą i współorganizatorem Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. S. J. Leca w Nowym Targu (kategorie: fraszka i aforyzm). Opublikował dwanaście książek, m.in.: *W cieniu zakwitającej goryczy* (Kraków 1995), *W ogrodzie węchomózgowia* (Kraków 1999), *Przed wieprze* (Kraków 1999), *44 wybory, czyli 77 udręczeń i ukojeń* (Kraków 2002), a także *Księgę anegdot* (Warszawa 2005), oraz *Księgę anegdot świata* (Chorzów 2007).

PUSTYNIA

Sztuczna poza modelki
czy naturalna chwila ciszy
między piaskiem i mandoliną,
między naturą i malarstwem?
Przed oknem: półuśmiech, tajemnica.
Za oknem: dwie palmy kokosowe,
niespokojne jak ręce tonącego –
i strusie chowające się pod farbę.
W szybie odbija się cień:
odrzucone wybory, nierozkwitłe minuty.
„Kobieta z mandoliną przy oknie" –
Henri Matisse i jego obsesje:
powracające motywy, nieumotywowane
tęsknoty, symultaniczność wnętrza
i tego, co jest iluzją zewnętrzności.
Brązowa melodia piasku, żółć
bluzki i futryny, biel spódnicy i nieba.
Po drugiej stronie lustra: kobieta w czerni.

PORT

Dukaciki wiosny, falujące berła,
nowe szaty króla
unoszą się – słońcem – i otaczają
drużynę zbladłych domków,
które uciekają się do podstępu:
pokornie wysuwają ramiona
i topią się w spokoju morza.
Molo – ramię pojednania
lądu z wodą – jak święty Piotr
maszeruje po falach i nagle
załamuje się: upada w otchłań
grzechu... lecz błaga o wzniosłość
rytmicznym chlupotem fal.
Prośba zostaje wysłuchana –
w pojednawczy gest plaży
wpada biała zjawa: rozpięty
żagiel, chwytający westchnienie
Posejdona. Przystań przystaje...

STOGI SIANA

Rano. Świeże słońce umiera
z pragnienia: wypija diamentową rosę,
która błyszczy tylko w godzinie śmierci.
Długie cienie wskazują czas próby.
Południe. Powietrze drży z gorączki,
chmury czyhają na gafę nieba,
źdźbła trawy złocą się po królewsku.
Cienie kurczą się w majestacie prawa natury.
Wieczór. Pomarańczowy horyzont żegna się
znakiem narzędzia tortury i odkupienia,
żegna się z rozpalonymi do nienawiści
kopami siana. Zielona trawa
łudzi się – liczy na dyskrecję cienia.
Claude Monet, wypalony jak dzień,
wróci z pleneru, zapiekłymi powiekami
oderwie się od kolorów i kształtów
krążących we wszystkich neuronach i pędzlach.
Zaśnie. Zobaczy iluminację katedry w Rouen...

Dagmara Mida, absolwentka I LO im. J. Długosza w Nowym Sączu, studentka filologii polskiej na AP w Krakowie, laureatka wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich. W 2002 roku za tomik poezji pt. *Pytajniki* otrzymała Nagrodę Gwoździa, przyznaną podczas XII Międzynarodowej Literackiej Jesieni Pogórza. W 2005 r. uzyskała stypendium „Sapere Auso" Małopolskiej Fundacji Stypendialnej za szczególne osiągnięcia artystyczne.

* * *

pamiętasz?
kiedyś miłość pachniała brzoskwinią
pękała na niby w połowie krągłości
aksamitem pokryta
słodka soczysta
zlewała się nam
wokół ust
na szyję
spijaliśmy ją sobie nawzajem
pamiętasz?
kiedyś miłość...

nie krzycz
już idę
zaraz pozmywam
zupa na stole
smacznego

Toast

Mała mucha utopiła się
w kieliszku czystej wódki

patrzyli z ubolewaniem
wstrętem
żalem
zazdrościł jej tylko pijak

wyjął palcem
i wypił za jej duszę

Marek Karwala

Poezja Dagmary Midy

Nie jest niczym dziwnym ani wyjątkowym, że młodzi ludzie parają się poezją. Przeciwnie, jest to wpisane w ich młodość właśnie, a zatem w skłonność do idealizowania, niekiedy buntowania się lub kreatywnej zapalczywości... Efekty bywają jednak zwykle dalekie od dobrej poezji. Ale czy na pewno o to miałoby chodzić w juweniliach? Chyba nie, bo przecież nie będąc wolnymi od grzechu gadulstwa, od przemożnej chęci wyważania dawno otwartych bram, pełnią one jednakże funkcję katartyczną dla samych autorów, czynią ich „lepszymi" i dają poczucie „spełnienia". Spośród kilku setek młodych poetów... pióra nie odkłada najwyżej jeden, innych zaś pochłania bezlitosna próba czasu.

Z Dagmarą Midą jest zgoła inaczej. Dopiero niedawno ukończyła drugą dekadę życia, a już można o niej mówić – bez cienia przesady – jako o dojrzałej poetce; posiadła bowiem tę wiedzę, do której inni autorzy dochodzą zwykle znacznie później. Doskonale wie, że poezja jest mową skondensowaną, nasyconą znaczeniami, opartą na interesującym pomyśle i spójną w zakresie formy. Nieprzestrzeganie tych tylko z pozoru banalnych prawideł oznacza „wypisywanie się" w miejsce pisania.

Warto przypomnieć, że Dagmara nie jest debiutantką. Pisze już od kilku lat, ma w dorobku tomiki wierszy (także prozę) docenione przez czytelników oraz krytykę, co znalazło potwierdzenie w prestiżowych nagrodach, które jej przyznano. Obecny zbiór przynosi pewne zaskoczenia i świadczy o dalszym rozwoju artystycznym młodej poetki, odważnie penetrującej nowe obszary tematyczne i „testującej" (jakże skutecznie) niemal nieobecne wcześniej w jej warsztacie środki wyrażania (chodzi przede wszystkim o rozwiązania instrumentacyjne i lingwistyczne). Wcześniej w jej lirykach częściej gościły odniesienia religijne, tematyka okolicznościowa, zachwyty nad pejzażem; teraz natomiast na pierwszy plan wysuwają się wątki filozoficzne i miłosne, gry intertekstualne, dowodzące, że autorka poszerzyła swą wiedzę historycznoliterację, sporadycznie jawi się pejzaż, ale nie jako temat autonomiczny, lecz w funkcji tła, scenerii sprzyjającej snuciu określonych refleksji, kilka razy przewijają się akcenty autotematyczne lub nawiązania kulturowe... Co charakterystyczne, podjęte tematy są oświetlane z różnych perspek-

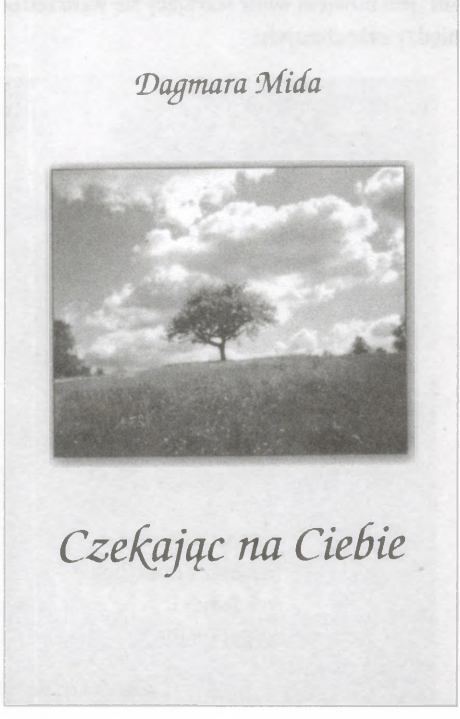

tyw, jakby autorka – nie będąc pewną celności własnych odczytań, prawidłowości rozumowania – wprowadzała dodatkowe punkty widzenia, rozwijała perspektywę. Tak dokonane wybory świadczyć mogą z jednej strony o pokorze twórcy, z drugiej zaś proponują czytelnikowi swoisty układ, mianowicie partnerskie współrozwiązywanie zasugerowanych kwestii, współuczestniczenie w przeżyciach i doznaniach.

Dominującym uczuciem jest tutaj miłość. Autorka prezentuje różne jej obrazy, zaś diapazon emocji układa się pomiędzy tkliwymi wyznaniami a egoizmem. Zatem w jednym miejscu czytamy o potrzebie usłyszenia „cichego dotyku rąk" kochanka bądź „szeptu wrzeszczącego przez wargi serca" (inc. *słyszeć*), a w innym:

koch...
cha cha
cham

Kochamkowie

Miłości zwykła towarzyszyć zazdrość. Poetka mówi o niej, ale w sposób zabawny; tym „trzecim" jest bowiem wiatr starający się wedrzeć pomiędzy zakochanych:

rękami odgarniam
piasek
śmieję się w twarz
wiatrowi
targa ze złością
za włosy

mówisz że
mi tak ładnie

on ryczy

i
gram
z nim o Ciebie
igram z nim o Ciebie
o każdy
gram Ciebie

Ziarenka piasku

Niektóre wiersze tego typu przypominają poniekąd klimat głośnego tomu Anny Świrszczyńskiej *Jestem baba,* w którym autorka prezentowała brutalne obrazy „życia małżeńskiego", ostrzegała przed tym, co może uczynić czas, gdy nie pielęgnuje się uczuć. Dagmara Mida nie sięga po tony aż tak nasycone goryczą, ale pamięta o tej drugiej, ciemniejszej stronie związków:

pamiętasz?
kiedyś miłość pachniała brzoskwinią
(...)
spijaliśmy ją sobie nawzajem
pamiętasz?
kiedyś miłość...

nie krzycz
już idę
zaraz pozmywam
zupa na stole
smacznego

(inc. *pamiętasz?*)

Czasem pisze też o kobiecej naiwności, która prowadzi do łez:

chciałam być
julią
jak tysiące innych
niewiastek

jestem
płaczę
już nie
chcę.....
nie być

(inc. *chciałam*)

Ważną i zarazem liczną w tym zbiorze grupę stanowią wiersze, które dają się zaklasyfikować jako filozoficzne zarówno z tej przyczyny, że wyłania się z nich zarys widzenia świata, określo-

nego światopoglądu, jak też stąd, iż łatwo można tam dostrzec nawiązania do znanych szkół filozoficznych. Jest w nich miejsce na deklarację w rodzaju *credo* (bachantką życia / zostać / nagą od masek / tańczyć na jego / wydeptanych / zmarszczkach), na krytykę postaw oscylujących wokół wyborów zbliżonych do hedonizmu:

zakochana
w swoich kształtach
obłąkana
tańczy z nagim
cieniem
on ją kocha do szaleństwa
wierny jak światło
(...)
zakochana obłąkana
tańczy z cieniem
naga
szczęśliwa
idiotka

mędrcy płaczą
gasząc światło

(inc. *zakochana*),

na zmaganie się z samotnością (gwiazdy się gapią / księżyc się śmieje / ryczę jak bóbr / kocham noc / ona mnie / mNIEj / odchodzi co rano), na nadzieję spotkania drugiego człowieka (kocham / moje samobycie / skrycie // skryć cię / w nim spróbuję / kiedyś).

W klimacie refleksji utrzymane są wiersze mówiące o przemijaniu i śmierci. Młodzi twórcy (poeci, ale też malarze) zwykle prezentują śmierć w ujęciach nasyconych emocjami i hiperbolicznie; lubią uderzać w dramatyczny dzwon. Dagmara Mida i tu zachowuje się nietypowo dla swego wieku, bo... dojrzale. Całkowicie obce są jej wymienione nastroje; w ich miejsce pojawia się wyciszenie, łagodna akceptacja, a nawet dyskretny uśmiech. Uśmiech towarzyszy zresztą wszystkim obecnym w zbiorze tematom, stanowiąc cenne narzędzie oglądu świata. Rodzi on dystans do przedmiotu opisu, ale też dla samej siebie, trzeba bowiem pamiętać, że autorka bez zbędnych oporów sięga po autoironię.

Spośród odmian komizmu bodaj najczęściej gości tutaj humor. Tak jest chociażby w przypadku żartobliwego nawiązania do filozofii Kartezjusza:

w łepetynie
strumień płynie

plącze się wciąż
myśli pnącze
(...)
męczy się kora mózgowa
myśl każdą przyjąć gotowa
(...)
pnącze i kłącze
się plącze
i wije

więc żyję

(*Cogito ergo sum*)

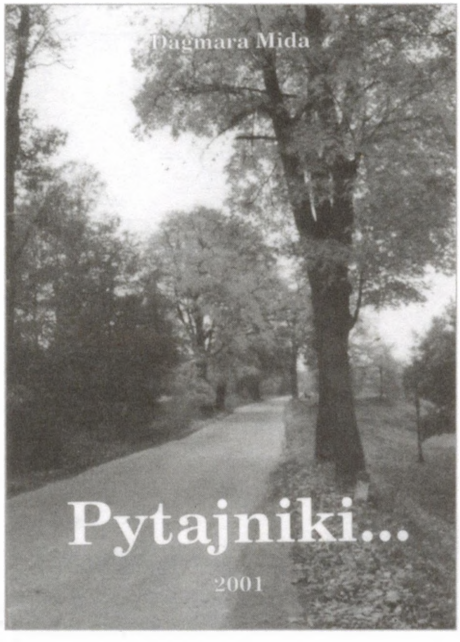

Jak już zostało powiedziane, poetka we wcześniejszych wierszach sporo miejsca poświęcała tematyce religijnej; szczególnie udane były jej „liryki-modliwy", w których starała się być blisko Nienazywalnego i ogarniać to, co Nieogarnialne. Teraz ta problematyka pojawia się niejako na marginesie, ale jej wydźwięk jest donośny. Autorka podkreśla wagę ciszy w relacjach pomiędzy człowiekiem i Bogiem. Harmonię tych kontaktów zakłócają nie tylko odgłosy doczesności, ale – jak się okazuje – dźwięki immanentne (np. dzwony) oraz obrzędy i system nakazów i zakazów, a więc to wszystko, co wiąże się z zewnętrzną formą religijnych postaw (inc. *znowu nam*).

Gama tematów podjętych przez Dagmarę Midę jest bogata, co dobrze świadczy o jej otwartości zainteresowań, a równocześnie zachęca do lektury. Wśród tych kilkudziesięciu wierszy trudno nie dostrzec też takich, które wyróżniają się tkliwością, ciepłem i dowcipnym konceptem o proweniencji jeszcze chyba barokowej. Do nich należy np. portrecik babci:

Babcia ma
srebro (na głowie)
platynę (w nodze)
porcelanową koronę
(na zębie)

i złote serce.

Czyż nie jest cenna?!

Można odnieść wrażenie, iż komizm tej liryki wiele zawdzięcza barokowemu poecie Józefowi Bace. Tego prekursora poetyckich gier słownych cenił szczególnie Miron Białoszewski i właśnie on jest kolejną postacią, która na zasadzie intertekstualnych nawiązań gości w poetyckim świecie Dagmary Midy. Przeprowadzanych przez nią eksperymentów brzmieniowych, „testowania" w nowych kontekstach utartych związków frazeologicznych, przełamywania znaczeń przez wprowadzanie nowych elementów leksykalnych, semantycznych zawirowań osiąganych na drodze „gry" małych i dużych liter oraz wielu innych operacji językowych – nie powstydziłby się sam autor *Karuzeli z madonnami*.

Marek Karwala

Maria Duszka

Bliżej Bogoprzestrzeni

Nie lubię długich i monotonnych wierszy bez puenty. Lubię te krótkie, z przebłyskiem. Uważam, że ciągły pośpiech, życie w biegu, jest głupotą (jeśli nie grzechem). Ale mam też świadomość, że większość ludzi tak właśnie żyje. Oni nie mają czasu na czytanie poematów. Stąd – jeśli wiersze mają trafiać do współczesnego czytelnika – powinny być krótkie i celne, jak (ośmielę się powiedzieć) dobre hasło reklamowe.

Autorką takich właśnie utworów jest młoda krakowska poetka Małgorzata Lebda. Urodziła się 23 sierpnia 1985 r. w Nowym Sączu. Jest studentką Akademii Pedagogicznej w Krakowie. W 2006 r. w Wydawnictwie i Drukarni Towarzystwa Słowaków w Polsce ukazał się jej debiutancki tomik pt. *Otwarta na 77 stronie*. Książka ma ciekawą, pełną ekspresji, współgrająca z treścią wierszy oprawę graficzną autorstwa Jerzego Walickiego. Dopełnia ją fotografia na ostatniej stronie okładki – profil poetki na tle starej drewnianej chaty. Wszystkie elementy tej książki świetnie się uzupełniają.

Andrzej Sikorowski śpiewał niegdyś: „Czemu wam, poeci miodu w sercach brak...?". I pojawiła się poetka, która pisze nie tylko o swoich i tego świata problemach, ale w której wierszach odnajdujemy wiele ciepła, dobrych uczuć, właśnie tego „miodu", którego spragnieni są czytelnicy poezji.

Ktoś powiedział, że ojczyzną poety jest dzieciństwo. Wiele utworów Małgorzaty Lebdy nawiązuje do tego właśnie okresu jej życia. Tak jest np. w wierszu *Pierzyna*:

mama w kakaomiodzie
tata pszczelowonny
pierzynolandia
nade mną

ja sześcioletni pytajnik

Pytajnik – dziecko, które bezustannie zadaje pytania a zarazem jest zagadką, znakiem zapytania dla bliskich: kim będzie, co ześle mu los. Podobne nawiązanie do dzieciństwa można odnaleźć w dedykowanym ojcu wierszu *Razowy głos*:

[...] skazywał na
dotykanie drzew
wąchanie kamieni
zostawiał w oceanie traw
na pastwę krasuli [...]
razowym głosem gładził
rozczochrane myśli

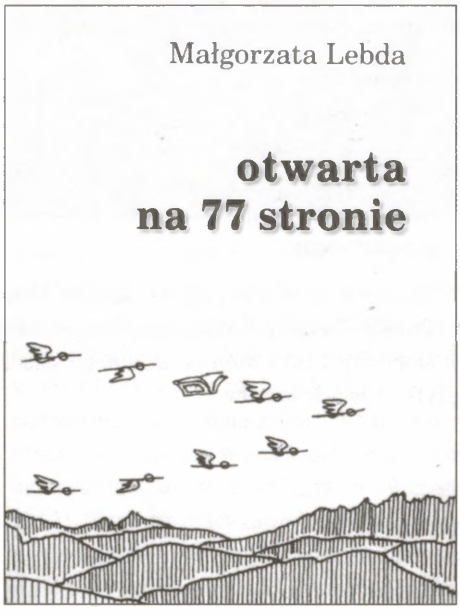

Nic dziwnego, że dorosła już poetka potrafi zachwycać się pięknem dzikiej przyrody. Na przykład w wierszu *Pajda Bieszczad*:

w bieszczadoprzestrzeni
[...] dryfować [...]

łapać na stopa
bieszczadzkiego anioła [...]

z Tarnicy mieć
1346 metrów
ponad poziom świata
bliżej do

Bogoprzestrzeni

Wiersz *Gosha* jest poetyckim autoportretem:

przed użyciem kilkakrotnie spojrzeć w oczy
właściwości i działanie:
przeciwdepresyjne rozweselające [...]

Jakże rzadko współcześni poeci chcą oddziaływać na czytelnika przeciwdepresyjnie. Odwrotnie: ma się czasem wrażenie, że ich ambicją jest odebranie czytelnikowi chęci do życia. W wierszach Małgorzaty Lebdy również znajdujemy smutek, nostalgię i głęboką refleksję, ale zachowuje ona właściwe proporcje. Swoją bezradność, słabość, nieumiejętność poradzenia sobie z życiem wyraża poetka w wierszu *świat*:

za szeroki
spada
z nóg
gubię
naokoło wąsko nieporadnie nie
posznurowany

Wiersze krakowskiej poetki są krótkie i bardzo krótkie. Niektóre przypominają epigramaty lub aforyzmy. Utwór *dom bezdomnego* składa się tylko z dwóch wersów:

od Gdzie Okiem Sięgnąć
do Gdzie Oczy Poniosą

A oto erotyk *Pachniesz*

(...) umieram na miłość otwartą

krok za myślą
podpalam paznokcie

wariuję jak pachniesz

Wiele dzieci, także tych już dorosłych chciałoby zorganizować swoim rodzicom takie spotkanie jak w wierszu zatytułowanym *Samolubnie*:

tato
poznaj
mamę
pokochacie się
dla mnie

W wierszu *narcyzoholizm* podmiot liryczny wyróżnia się skrajnym egocentryzmem:

[...] lustrami winno
być powietrze
którym sunę
zapachem róż
mi się ścielić

dość
dosyć o mnie
a Ty?

jak bardzo
mnie kochasz?

Zachęcam do zapoznania się z twórczością Małgorzaty Lebdy, choć wiem, że jej tomiku raczej nie dostanie się w księgarni. W końcu duże wydawnictwa nie zawsze dostrzegają młode, utalentowane osoby. A szkoda.

Maria Duszka

Małgorzata Lebda, Otwarta na 77 stronie. Kraków 2006

Zygmunt Ruta

Prof. dr Ignacy Zarębski (1905–1974)

Wspomnienie w 33. rocznicę śmierci

Trudno jest zdobyć się na właściwy dystans, pisząc o uczonym i człowieku najbliższym, a zarazem tak wyjątkowym i urzekającym, jakim pozostaje w pamięci kolegów, przyjaciół i uczniów Profesor Ignacy Zarębski – wybitny humanista, historyk edukacji, społecznik, długoletni nauczyciel akademicki, tak przyjazny i życzliwy dla otoczenia. Był postacią znaną i cenioną zarówno w środowisku akademickim Krakowa, jak i kraju.

Profesor Ignacy Zarębski urodził się 6 listopada 1905 r. w Głogowie Małopolskim w powiecie rzeszowskim. Był synem Józefa, z zawodu robotnika, i Marianny z domu Mazanek. Po ukończeniu nauki elementarnej w rodzinnej miejscowości, uczęszczał początkowo do gimnazjum klasycznego w Rzeszowie, potem do prywatnego gimnazjum w Krakowie, gdzie 19 czerwca 1925 r. złożył egzamin dojrzałości. Studia uniwersyteckie na Wydziale Filozoficznym UJ rozpoczął w roku akademickim 1926-27 na historii z polonistyką, specjalizując się w dziedzinie historii kultury pod kierunkiem jednego z najwybitniejszych humanistów polskich XX w., profesora Stanisława Kota. Dyplom magistra filozofii w zakresie historii uzyskał 26 czerwca 1930 r. Po praktyce w Bibliotece Jagiellońskiej – przed niedoszłymi studiami bibliotekarskimi w British Museum – pracował w zawodzie nauczycielskim. Najpierw, w specyficznych wówczas warunkach bezrobocia, jako nauczyciel prywatny w Gra-

bownicy Starzeńskiej k. Brzozowa oraz jako nauczyciel kontraktowy historii, języka polskiego, a także łaciny w szeregu szkół średnich ogólnokształcących i seminariów nauczycielskich w Krakowie (1933–1936). W latach 1936–1939 był etatowym nauczycielem historii w Państwowym Gimnazjum i Liceum w Solcu nad Wisłą. Dyplom nauczyciela szkół średnich uzyskał 29 czerwca 1939 r. W trakcie pracy zawodowej kontynuował studia z zakresu kultury, przygotowując rozprawę doktorską nt. *Stosunki Eneasza Sylwiusza*

z Polską i Polakami. Na podstawie tej pracy uzyskał 3 czerwca 1937 r. stopień doktora filozofii w zakresie historii kultury. Po kilkumiesięcznej praktyce w Wydawnictwie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie w dniu wybuchu wojny objął kierownictwo Oddziału Ossolineum w Krakowie. Nie do przecenienia był jego wkład w ratowanie dóbr kultury narodowej oraz wybitnych reprezentantów nauki i kultury polskiej w okresie okupacji hitlerowskiej. W lutym 1941 r. został aresztowany przez gestapo i osadzony w więzieniu Montelupich za kolportaż książek szkolnych do tajnego nauczania. Usunięto go także ze stanowiska i ukarano zakazem zajmowania się działalnością księgarsko-wydawniczą na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Po powrocie z więzienia do końca okupacji prowadził akcję przygotowującą warunki do wznowienia działalności wydawniczej Ossolineum. W wyzwolonym kraju stanął w szeregach ludzi odbudowujących wydawnictwa naukowe i szkolne: w maju 1945 r., obok kierownictwa w krakowskiej placówce Ossolineum, podjął się zorganizowania w Krakowie Oddziału Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych i kierowania nim. W 1948 r. za pracę w PZWS został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie podjął w 1951 r., mając przy tym spory kapitał doświadczeń życiowych i pedagogicznych, które wraz z autentycznymi zainteresowaniami poznawczymi i sumiennością ukształtowały jego sylwetkę wybitnego uczonego, specjalisty w zakresie epoki wczesnego humanizmu w Polsce, znakomitego wykładowcy i wychowawcy wielu pokoleń nauczycieli i pracowników nauki.

Działalność naukowa, dydaktyczna, organizacyjna i społeczna Profesora Zarębskiego przedstawia się bogato: podziw wzbudza nie tylko szeroki wachlarz zamiłowań, ale i niespożyty zasób sił życiowych i pochłaniająca go bez reszty pasja naukowa. Jego zainteresowania dotyczyły głównie dziejów nauki i kultury odrodzenia w XV w. (przeszczepianych na grunt Polski), natomiast warsztat badawczy i zakres działalności wiązał go ściśle z historią literatury i nauki europejskiej w XV-XVI w. Długoletnia praca dydaktyczna skłoniła zapewne Profesora do zajmowania się dziejami oświaty, wychowania, nauki i dziejami kultury: w rozumieniu Profesora Zarębskiego kultura to przede wszystkim dzieje myśli ludzkiej zawarte w literackich i filozoficznych utworach. Warto przypomnieć, że Profesor był głębokim erudytą i subtelnym analitykiem. Wzorowe opanowanie warsztatu filologa i historyka literatury pozwoliło mu na dokonywanie zabiegów krytycznych, dzięki którym dochodził do wniosków – jak w przypadku dyskusji o wczesnym humanizmie – pozwalających np. na rewizję poglądów dotyczących czasu i form recepcji renesansu włoskiego w Polsce.

Szczególnym zainteresowaniem darzył Profesor te prądy umysłowe, które wiązały się z zagadnieniami oświaty i wychowania. Sam – wytrawny dydaktyk – wiele własnej twórczości poświęcił pracom omawiającym rolę szkoły w XV–XVI w. ze szczególnym uwzględnieniem jej stosunku do języka ojczystego. Jego rozprawy o najwcześniejszym polskim traktacie humanistycznym z II połowy XV w. czy analiza okresu wczesnego humanizmu na Uniwersytecie Krakowskim stanowiły dobry punkt wyjścia do badań nad kulturą umysłową społeczeństwa staropolskiego. Większość prac to opracowania drobne, ale – jak podkreśla jeden z badaczy – były to „prawdziwe perły erudycji i głębokiej refleksji" zamieszczane w różnych czasopismach. W imię tego, co winniśmy Jego pamięci i dla dobra nauki polskiej, prace te winny być zebrane i opublikowane drukiem.

Twórczość naukowa to jedna strona działalności Profesora Zarębskiego. Chcąc scharakteryzować wszechstronniej jego wybitną indywidualność należy spojrzeć na niego jako na nauczyciela historii, historii wychowania, oświaty i nauki. Przygotowanie do pracy naukowej i dydaktycznej zawdzięczał udziałowi w seminarium prof. S. Kota, uczestniczył również przez krótki czas w seminarium prof. Ignacego Chrzanowskiego. Z seminarium prowadzonego przez

S. Kota wyniósł Profesor Zarębski przekonanie, że dzieje myśli pedagogicznej mają określone znaczenie kształcące, a rola badań w tym zakresie nie może ograniczać się wyłącznie do celów poznawczych, mają one bowiem określony cel praktyczny. Tym celem jest otwieranie szerszych horyzontów przed nauczycielami, pogłębianie ich ogólnej wiedzy o przeszłości i rozwoju kultury, ściślejsze związanie z rodzimymi tradycjami. Historia wychowania, szczególnie dla nauczycieli przedmiotów ścisłych, ma jeszcze i tę wartość, że wprowadzając odmienne treściowo i metodycznie zagadnienia pozwala uniknąć jednostronności i daje poznać wartości myślenia humanistycznego. Przyczynić się może i powinna do kształtowania postawy humanistycznej, co w przygotowaniu do zawodu nauczyciela i wychowawcy nie może być sprawą obojętną. Dzieje wychowania i myśli pedagogicznej traktował Profesor szeroko, bo w powiązaniu z historią kultury na tle przemian ustrojowych w poszczególnych epokach. Od swojego Mistrza przejął głębokie przekonanie, że wychowanie jest funkcją społeczną, a więc zjawiskiem historycznym podlegającym ewolucji w zależności od zmian w stosunkach politycznych i ekonomiczno-społecznych. Bez znajomości warunków ekonomicznych, politycznych czy kulturalnych epoki nie można zrozumieć procesu rozwojowego w dziedzinie edukacji.

Profesor w pełni doceniał rolę pomocy naukowych, map, tekstów źródłowych i podręczników w kształceniu akademickim, dlatego czynnie uczestniczył w przygotowaniu uniwersyteckiego podręcznika do historii wychowania. Najpierw brał udział w opracowaniu konspektu I i II tomu podręcznika *Historia wychowania*, następnie opracował wnikliwą recenzję, która w dużym stopniu przyczyniła się do nadania ostatecznej formy i treści wielu rozdziałów I tomu podręcznika (*Historia wychowania*, praca zbiorowa pod red. Ł. Kurdybachy, t. I: Warszawa 1965, t. II: Warszawa 1967).

Określony wkład wniósł Profesor jako członek wielu komisji, zespołów opracowujących plany nauczania na zlecenie ministerstwa, w tym także z historii wychowania. W komisjach tych zabiegał, zwłaszcza w okresie zmian w systemie kształcenia nauczycieli, aby w szkołach pedagogicznych przeznaczyć odpowiednią liczbę godzin na historię wychowania jako na ważny element przygotowania pedagogicznego studentów do pracy w szkolnictwie.

Troska o poziom prac magisterskich i doktorskich, stałe ich doskonalenie, szlifowanie, udzielanie uwag dotyczących bibliografii i metod pracy badawczej charakteryzowały z kolei jego pracę ze studentami i doktorantami. Był człowiekiem życzliwym, ogromnie wyrozumiałym, ale nie posuwał nigdy swej wyrozumiałości tak daleko, aby tolerować lenistwo. Seminaria z historii kultury, oświaty i nauki skupiały niewielką grupę studentów o autentycznych zainteresowaniach. Na jego seminariach magisterskich, a prowadził je przez kilkanaście lat, prace wykonało ok. 80 studentów. Był promotorem kilku prac doktorskich, brał udział w przewodach doktorskich i habilitacyjnych w innych uczelniach, przygotowywał też opinie w sprawie wniosków o nadanie tytułu naukowego.

W ostatnim okresie swej działalności w Uczelni zajął się Profesor problemem miejsca historii nauki i techniki w nauczaniu szkolnym. Jako historyk nauki związany z Zakładem Historii Nauki i Techniki PAN w Warszawie od 1953 r., a od 1963 r. członek Komitetu Historii Nauki PAN podjął wspólnie, zwłaszcza z prof. Olszewskim, akcję mającą na celu wprowadzenie w szkołach wyższych zajęć dydaktycznych z tego przedmiotu. Środowisko krakowskiej WSP jako pierwsze w kraju umieściło historię nauki i techniki w programie kształcenia nauczycieli historii na początku lat 70.

W okresie pracy w WSP w Krakowie jako nauczyciel akademicki zdobywał kolejne stopnie i tytuły naukowe, a także pełnił różne funkcje akademickie. Początkowo jako wykładowca prowadził wykłady zlecone z historii wychowania, a od roku akademickiego 1952-53 pracował w charakterze docenta. W 1955 r. uzyskał tytuł

naukowy profesora nadzwyczajnego nauk humanistycznych w zakresie historii Polski. W miarę uzyskiwania kolejnych awansów naukowych władze i społeczność akademicka powierzały Profesorowi. Zarębskiemu obowiązki: w latach 1952–1956 był prodziekanem Wydziału Filologiczno-Historycznego, następnie w latach 1956–1959 dziekanem tego Wydziału. Jednocześnie od 1954 r. kierował Katedrą Historii Polski, zaś od 1 stycznia 1972 r. Zakładem Historii Oświaty i Wychowania. Brał też aktywny udział w pracach organizacji społecznych: w latach 1966–1971 kierował uczelnianą organizacją ZNP, uczestnicząc równocześnie w pracach Komisji Nauki Zarządu Oddziału w Krakowie oraz Zarządu Głównego ZNP. Przez szereg lat był również kuratorem uczelnianego klubu Akademickiego Związku Sportowego oraz współpracował z Zrzeszeniem Studentów Polskich, co wyraziło się przyznaniem Mu Odznaki XX-lecia ZSP i Złotej Odznaki AZS.

Zasługą Profesora Zarębskiego było stworzenie stałego ośrodka badawczego w dziedzinie historii oświaty, wychowania i historii nauki w WSP w Krakowie. Był gorącym orędownikiem badań regionalnych. To właśnie głównie dzięki niemu w wielu opracowaniach regionalnych, podejmowanych w krakowskiej Uczelni, w szerokim zakresie uwzględniane były dzieje oświaty i szkolnictwa jako istotny element naszej przeszłości.

Bardzo istotnym elementem działalności Profesora była praca społeczna w dziedzinie organizacji i popularyzacji nauki historycznej, nie mówiąc już o Jego udziale w pracach Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, różnych komitetach naukowych i wydawniczych. Należał do czołowych organizatorów Kongresu Nauki Polskiej na terenie Krakowa, obchodów rocznic: Kopernikańskiej, Komisji Edukacji Narodowej i Akademii Umiejętności. Trzeba podkreślić Jego aktywny udział w zjazdach naukowych historyków polskich (VII, VIII, IX, XI ogólnopolskie Zjazdy Historyków we Wrocławiu, Krakowie, Warszawie), a do ostatnich niemal chwil życia interesował się organizacją Powszechnego Zjazdu Historyków w Toruniu, współopiekując się sekcją „Kształtowanie się nowoczesnej kultury polskiej".

Jako długoletni wiceprezes i prezes (1962–1971) Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, a następnie wiceprezes (1967–1971) Zarządu Głównego PTH wywierał istotny wpływ na podejmowanie zadań badawczych oraz popularyzatorskich i na integrację zróżnicowanego i rozległego środowiska naukowego.

Talent popularyzatorski ujawnił w pełni w pracach Towarzystwa Wiedzy Powszechnej jako przewodniczący Sekcji Historycznej TWP w Krakowie, członek Zarządu i Prezydium, przewodniczący Rady Naukowej Zarządu Wojewódzkiego TWP w Krakowie oraz jako członek Rady Naukowej w Zarządzie Głównym TWP w Warszawie. Dążył do popularyzacji wiedzy, do pogłębienia kultury historycznej w społeczeństwie, i była to jego wielka pasja życiowa. Nigdy nie żałował czasu, aby wyjechać w teren dla wygłoszenia odczytu, przewodniczenia zebraniu naukowemu, różnego rodzaju sesjom, udzielenia poparcia dla zainicjowanych prac nad historią regionalną. Starał się swym entuzjazmem pozyskać dla sprawy towarzystwa regionalne, instytucje społeczne, władze państwowe i polityczne.

Profesor Ignacy Zarębski wykazał też głębokie zrozumienie dla spraw muzealnictwa, archiwistyki i popularyzacji książki, a działalność na tym polu przyniosła mu godność członka i wiceprezesa Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Narodowego w Krakowie oraz przewodniczącego Sekcji Miłośników Książki.

Wyrazem uznania dla wieloletniego doświadczenia zdobytego w księgarstwie w okresie okupacji, szerokiego horyzontu naukowego oraz pełnego zrozumienia dla funkcji książki w procesie kształcenia stało się powierzenie Profesorowi Zarębskiemu w styczniu 1959 r. stanowiska wicedyrektora Biblioteki Jagiellońskiej do spraw nauki, zbiorów specjalnych i wydawnictw. Jako wicedyrektor sporo uwagi po-

święcił problemowi rozwoju kadry naukowej tej instytucji. Temu celowi służył m.in. redagowany przez niego „Biuletyn Biblioteki Jagiellońskiej" oraz wydawnictwa poświęcone dokumentacji tej placówki. Pracując w BJ do września 1965 r. przeprowadził na jej rzecz rewindykację kodeksu Jana Długosza *Banderia Pruthenorum* przez kilka wieków przechowywanego w bibliotece Kapituły Krakowskiej.

Profesor I. Zarębski działał aktywnie w wielu instytucjach i organizacjach o charakterze naukowym. Od 23 VI 1949 r. był współpracownikiem Komisji Dziejów Oświaty i Szkolnictwa Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, od 9 V 1957 r. członkiem Komisji Nauk Historycznych oraz Komisji Nauk Pedagogicznych PAN, Oddział w Krakowie. Od 1953 r. współpracował z Zespołem Odrodzenia Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN, poza tym do roku 1959 zajmował stanowisko samodzielnego pracownika nauki w Pracowni Dziejów Oświaty PAN w Warszawie. Od 1963 r. był członkiem Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN w Warszawie, zaś od roku 1964 członkiem Rady Naukowej Pracowni Dziejów Oświaty PAN.

Za wysiłek badawczy - uwieńczony wysokiej klasy pracami naukowymi, które weszły na stałe do kanonu wiedzy o kulturze polskiej XV w. - Profesor Ignacy Zarębski był wielokrotnie nagradzany rektorskimi i resortowymi nagrodami oraz odznaczeniami, m.in. poza wspomnianym Złotym Krzyżem Zasługi (1948), Medalem X-lecia Polski Ludowej (1955), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1967), Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego (1966), Złotą Odznaką ZNP, Złotą Odznaką Honorowy Popularyzator Wiedzy (1964) oraz wyróżniony tytułem Zasłużony Nauczyciel PRL (1972).

W niniejszym wspomnieniu używam czasu przeszłego. Pisanie w ten sposób o Mistrzu, którego nie ma wśród nas już ponad 30 lat, nie należy do rzeczy łatwych tym bardziej, że był to człowiek wielkiego serca, umysłu i charakteru. Kiedy wiosną u progu lata 1974 r. odwiedzałem Profesora w domu po ciężkiej operacji, nie chciałem dopuścić do mojej świadomości myśli, że będą to ostatnie spotkania. W czasie tych odwiedzin Profesor omawiał swoje plany badawcze, interesował się życiem Instytutu Historii i podległych mu pracowników, odkładając na październik realizację niewykonanych planów. Optymizm Profesora brał się stąd, że był człowiekiem o olbrzymiej dyscyplinie wewnętrznej, o dużej sile charakteru i niepospolitym harcie ducha. Profesor wymagał wiele od podwładnych, najwięcej jednak od siebie. Początkowo znaliśmy Profesora powierzchownie, onieśmielał swoją powagą. Dopiero lata bliższej współpracy pozwoliły dostrzec tkwiące w nim poczucie humoru i - co ważniejsze - życzliwość dla ludzi, ich spraw i potrzeb. Profesor w ocenie ludzi nie kierował się żadnymi względami ubocznymi, małostkowością czy uprzedzeniem, ale ich autentyczną pracą, zaangażowaniem naukowym i społecznym. Był bardzo towarzyski, chętnie uczestniczył w różnych imprezach uczelnianych, szczególnie w corocznych balach historyków organizowanych przez starsze roczniki dla studentów, którzy rozpoczynali studia. Wielokrotnie podejmował sprawę rozwoju życia artystycznego w Uczelni, zwłaszcza ubolewał nad niemożnością zorganizowania międzywydziałowego chóru, który mógł się przyczynić do kształtowania zainteresowań estetycznych przyszłych nauczycieli.

Profesor Ignacy Zarębski był żonaty, miał dwie córki - Ewę Barbarę (zm. 1964) i Dorotę, po mężu Piotrowską, która ukończyła studia na UJ, a następnie uzyskała stopień doktora w zakresie psychologii.

Profesor Ignacy Zarębski zmarł po ciężkiej chorobie 18 lipca 1974 r. w Krakowie i został pochowany w rodzinnym grobowcu na cmentarzu Rakowickim.

Zygmunt Ruta

Marek Glogier

Oazy Księdza Blachnickiego

Rzecz o „pedagogice nowego człowieka"

27 lutego 2007 r. upłynęła 20 rocznica śmierci księdza Franciszka Blachnickiego. Był osobą, o której w latach 70. i 80. z podziwem rozmawiali chrześcijanie na kilku kontynentach. Był zarazem jednym z niewielu duchownych w powojennej Polsce, przeciwko którym tajna policja prowadziła działania operacyjne na szeroką skalę, tak w Polsce jak i za granicą. Dla części duchownych był żywym ideałem zaangażowania duszpasterskiego, dla innych zaś przyczyną zakłopotania, źródłem zamętu i sprzecznych ocen

Kim był człowiek, którym zajmował się od września 1977 r. specjalny zespół do spraw dezintegracji ruchu oazowego utworzony przy Wydziale IV KW MO w Krakowie? Kim był człowiek, którego w latach 80. XX w. moskiewska „Prawda" (organ KC KPZR) nazywała „dywersantem w sutannie" oraz „pasterzem kontrrewolucji", a warszawska „Trybuna Ludu" (organ KC PZPR) oraz „Żołnierz Wolności" określały mianem „teologa narodowej zdrady" i „polskim Ajatollahem". Kluczem do zrozumienia tej postaci są słowa Jana Pawła II wypowiedziane po śmierci Blachnickiego w roku 1987: „Ksiądz Franciszek Blachnicki był gorliwym apostołem nawrócenia, wewnętrznej odnowy człowieka i wielkim duszpasterzem młodzieży. Z jego inspiracji zrodził się specyficzny kształt życia oazowego na polskiej ziemi. Swoje liczne talenty umysłu i serca oddał sprawie budowy Królestwa Bożego. Dziękujemy Bogu za wszelkie dobro, jakie stało się udziałem ludzi przez Niego". Warto więc przyjrzeć się bliżej postaci, która mając wpływ na setki tysięcy młodych ludzi całe swe życie oddała sprawie głoszenia prawdy o „nowym życiu", którego przyjęcie kształtuje „nowego człowieka" zdolnego tworzyć „nową kulturę".

Godło Oaz Nowego Życia i Ruchu Światło-Życie

Człowiek z misją (lata 1921–1950)

Urodził się w Rybniku 24 III 1921 r. w wielodzietnej rodzinie Marii i Józefa Blachnickich. Ojciec, z zawodu pielęgniarz, pracę otrzymywał w różnych miastach Górnego Śląska, stąd młody Franciszek szkołę podstawową ukończył w Orzyszu, maturę zaś uzyskał w Tarnowskich Górach, gdzie aktywnie też działał w harcerstwie. We

wrześniu 1938 r. powołany został do wojska. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 r. Do niewoli dostał się w randze plutonowego. Po ucieczce wrócił do Tarnowskich Gór, gdzie do marca 1940 r. działał w konspiracji. Ujęty przez Gestapo, został wywieziony do obozu koncentracyjnego KL Auschwitz, gdzie z numerem 1201 więziony był przez 14 miesięcy w bloku XIII, w tym przez miesiąc w bunkrze, w którym 14 VIII 1941 r. został zabity późniejszy święty – ojciec Maksymilian Kolbe, franciszkanin z Niepokalanowa. We wrześniu 1941 r. Blachnickiego wywieziono do aresztu śledczego w Zabrzu. W marcu 1942 r. został skazany na karę śmierci przez zgilotynowanie za działalność konspiracyjną przeciw Trzeciej Rzeszy. Oczekując na wykonanie wyroku w katowickim więzieniu 17 VI 1942 r. przeżył nagłe i głębokie nawrócenie religijne. Odtąd uważał to za najważniejsze wydarzenie w swoim życiu. W sierpniu 1942 r., po interwencjach rodziny, karę śmierci zamieniono na 10 lat ciężkiego więzienia, które miał rozpocząć z chwilą zakończenia wojny, do tego zaś czasu miał być resocjalizowany w obozach pracy. Do kwietnia 1945 r., kiedy został uwolniony przez armię amerykańską, przebywał w obozach i więzieniach w Raciborzu, Rawiczu, Borgermoor, Zwickau i Lengenfeld (KL Flossenburg). Zaraz po zakończeniu wojny zgłosił się do Śląskiego Seminarium Duchownego (z siedzibą w Krakowie przy Al. Mickiewicza 3) studiując jednocześnie na Wydziale Teologicznym UJ, gdzie uzyskał magisterium. Dnia 25 VI 1950 r. w Katowicach przyjął święcenia kapłańskie i oddał się pracy parafialnej w Tychach, Łaziskach Górnych, Rydułtowach, Cieszynie i Bieruniu Starym.

Kapłan niezłomny (lata 1950–1975)

Od 1950 r. na zlecenie kurii w Katowicach ks. Blachnicki prowadził rekolekcje dla ministrantów. W latach 1951-1954 wypracował nowy, 15-dniowy program rekolekcyjny zwany Oazą Dzieci Bożych. Pierwsza „historyczna" oaza grupująca 60 chłopców w wieku 10-14 lat zrealizowana została w okolicy Tarnowskich Gór w 1954 r. (w 1957 r. w oazie wzięło udział już 400 ministrantów). W okresie wysiedlenia biskupów śląskich (lata 1954-1956) Blachnicki uczestniczył w pracach tajnej kurii w Katowicach, w roku 1955 zamieszkał w Niepokalanowie, gdzie studiował duchowość i metody pracy o. Maksymiliana Kolbe. W październiku 1956 r. rozpoczął pracę w redakcji tygodnika „Gość Niedzielny". W latach 1957-1960 prowadził diecezjalną akcję antyalkoholową, która skupiła tysiąc kapłanów oraz 100 tysięcy wiernych pracujących na rzecz apostolstwa trzeźwości. „Krucjata Wstrzemięźliwości" – ruch oparty na duchowości Maksymiliana Kolbe – została zdelegalizowana w sierpniu 1960 r., a w marcu 1961 r. ks. Blachnickiego osadzono w tym samym więzieniu, w którym podczas okupacji przeżył swoje nawrócenie. Pół roku później, z wyrokiem 13 miesięcy więzienia w zawieszeniu na 3 lata, rozpoczął w październiku 1961 r. studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Do roku 1972 uzyskał tam licencjat i doktorat, opublikował ponad 100 prac naukowych i popularnych, pracował jako asystent i adiunkt oraz był organizatorem Instytutu Teologii Pastoralnej. Przez 10 lat był redaktorem „Biuletynu Odnowy Liturgii", a od 1967 r. Krajowym Duszpasterzem Służby Liturgicznej, równolegle z pracą naukową aktywnie włączył się w przemiany soborowe w polskim Kościele. Odtąd latem mieszkał w Krościenku koło Szczawnicy, zimą zaś w Lublinie, gdzie przygotowywał habilitację. W 1972 r. zrezygnował z pracy na KUL-u po tym, gdy władze zemściły się za jego działania i nie zatwierdziły habilitacji.

W 1963 r. podjął na nowo organizowanie 15-dniowych wakacyjnych oaz rekolekcyjnych w Krościenku. Tam też opracował 400-stronicowe studium *Metoda przeżyciowo-wychowawcza dziecięcych rekolekcji zamkniętych*, którą zastosował w „Oazach Niepokalanej" – programie dla dziewcząt ze szkół średnich. W 1967 r. metodę zastosowano z myślą także o młodzieży męskiej, tworząc dla niej „Oazę Nowego Życia" oraz 10-letni program formacji służby liturgicz-

nej ołtarza oparty o soborową zasadę mówiącą, że liturgia jest źródłem i szczytem działalności Kościoła. W 1969 r. prawną opiekę nad rodzącym się nurtem objęła Komisja Episkopatu ds. Duszpasterstwa Służby Liturgicznej. Odtąd datuje się nieustanny rozwój oaz tworzących masowe zjawisko społeczne zwane Oazowym Ruchem Żywego Kościoła. W krótkim czasie ruch rozwinął się we wszystkich diecezjach, stając się najważniejszą formą duszpasterstwa dzieci i młodzieży. Odtąd też przez 20 lat trwały nieustanne represje władz państwowych i gry operacyjne podejmowane z ruchem przez Służbę Bezpieczeństwa. Niestety do tajnej agentury rozpracowującej oazy dali się wciągać tak wierni jak i księża. Szczegóły takich działań opisuje ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski w książce *Księża wobec bezpieki na przykładzie diecezji krakowskiej* (Kraków 2007), gdzie na stronach 146–157 przytacza fragmenty doniesień proboszczów obłudnie przyjaźniących się z ks. Blachnickim.

Centrum „Światło – Życie". Krościenko – Kopia Górka'

Mimo zatrzymań, przesłuchań, rewizji, kontroli korespondencji, nakładanych kar finansowych, nękania różnymi kontrolami, ruch nabiera błyskawicznego tempa. Od 1967 r. organizowane są oazy dla kapłanów i kleryków, od 1971 oazy dla zakonnic i katechetek oraz oazy studenckie i dla młodzieży pracującej. W 1972 r. po latach przerwy wraca zreformowana „Oaza Dzieci Bożych", a od 1973 r. organizowane są „Oazy Rodzin". W czerwcu 1973 r. wydarzeniem dla Centrali Ruchu Oazowego w Krościenku była wizyta kardynała Karola Wojtyły oraz wyrazy solidarności z wizją apostolstwa ks. Blachnickiego. W 1974 r. ustalono zasadę, że animator prowadzący wakacyjne grupy rekolekcyjne staje się także animatorem wszelkich działań apostolskich na swoim terenie w ciągu całego roku. Ilość parafialnych grup pozwalała organizować już w całej Polsce, co 6 tygodni, regionalne spotkania różnych wspólnot. Rok następny (1975) staje się przełomowy: ogółem we wszystkich typach oaz uczestniczy 15 tysięcy osób. Nadto w lipcu tegoż roku w Polsce zawiązują się pierwsze grupy modlitewne „Odnowy w Duchu Świętym", które wkrótce staną się zalążkiem nowego ruchu odnowy charyzmatycznej już od kilku lat ogarniającej Kościół Katolicki w Europie Zachodniej i Ameryce Północnej. Odtąd nurt odnowy liturgicznej i odnowy charyzmatycznej staną się głównymi magnesami przyciągającymi „duchowo letnich katolików" zwanych także „katolikami niedzielnymi". Podtrzymywanie jedności z centralą tylu grup rozproszonych po całym kraju było możliwe tylko poprzez nielegalny masowy druk literatury formacyjnej oraz licznych konspektów zajęć dla animatorów prowadzących spotkania w ciągu całego roku.

Spotkałem duchowego giganta (lata 1975–1981)

Doświadczenia roku 1975 w Krościenku, wreszcie i z moim udziałem, były przez wielu odebrane jako swoisty „znak czasu", jednakże trudny do odczytania. Najbardziej zdumiewające zdarzenia społeczne i kościelne, z Polską w roli głównej, nadejść miały dopiero za kilka lat. Ksiądz Blachnicki modlił się o rozeznanie nowego kierunku swej działalności, a liderzy ruchu żyli w przeświadczeniu, że Bóg chce ich powołać do większego niż dotychczas dzieła. Nikt jednak nie wiedział dokładnie jak ma to wyglądać. Ze

względu na niewielką odległość Krościenka od Krakowa oraz dużą liczbę animatorów studenckich, zespół ten na kilka lat stał się jedną z najbliższych grup współpracowników założyciela oaz (oprócz księży moderatorów mających szczególny status w ruchu). Sześć lat osobistego kontaktu z centralą ruchu przekonywało o jego szczególnej misji. W 1976 r. (po wydarzeniach radomskich) zorganizowano turnusy rekolekcyjne dla 22 tysięcy uczestników Oaz Żywego Kościoła (dyskretny udział brały także grupy ze Słowacji). Nowością była Oaza dla proboszczów oraz nawiązanie współpracy z międzynarodowym ruchem Campus Crusade for Christ, który ze względów bezpieczeństwa występował w Polsce pod nazwą „Agape" działając z aprobatą kardynała Wojtyły. Z czasem ruch CCC (z centralą w USA) stworzył własną bazę w Polsce i obecnie działa tutaj pod nazwą „Ruch Nowego Życia". Ponieważ istniało już 1500 grup spotykających się co tydzień na studium biblijnym, zorganizowano dla nich cykliczne dwudniowe „Oazy Modlitwy". Nowością owego roku była I Krajowa Kongregacja Odpowiedzialnych (rodzaj parlamentu odtąd określającego kierunki pracy w każdym kolejnym roku). W 1977 r. w letnich oazach uczestniczyło 27 tys. osób, zaś wydarzeniem była prezentacja ruchu papieżowi Pawłowi VI przez uczestniczącego w synodzie biskupów kardynała Wojtyłę. Rok 1977 przyniósł alternatywę nie tylko dla studenckiej działalności publicznej. Powstał KOR, ROPCiO i SKS (po śmierci Stanisława Pyjasa). Mimo tego w Krakowie nadal zwiększała się ilość oazowych wspólnot studenckich. W 30 duszpasterstwach akademickich działało już ponad 50 grup liczących łącznie około 400 członków ruchu. Taki stan rzeczy nie mógł być tolerowany przez państwo, któremu coraz bardziej wymykał się monopol na wychowanie młodzieży. Neutralizację Ruchu Światło-Życie SB kontynuowała poprzez rozszerzanie sieci płatnej agentury i tajnych współpracowników. Dopiero w 2004 r., po uzyskaniu w IPN statusu poszkodowanego, miałem sposobność poznać swoje akta oraz materiały dotyczące inwigilacji działaczy ruchu w tamtej epoce.

W roku 1978 w Niepokalanowie na III Kongregacji Odpowiedzialnych zgromadziło się 220 delegatów. Nowością był udział 2 biskupów. Dokumentem programowym stało się przyjęcie papieskiej adhortacji *O ewangelizacji w świecie współczesnym*, która była ostatnim dokumentem Pawła VI. Odtąd organizowane są „Oazy Animatorów Wielkiej Ewangelizacji" przygotowywanych do pomocy w odnowie każdej z 6 tysięcy polskich parafii. W roku 1979 kolejna kongregacja w Kalwarii Zebrzydowskiej ofiarowała papieżowi Polakowi dar w postaci „Krucjaty Wyzwolenia Człowieka", która była ruchem dobrowolnych abstynentów od alkoholu, nikotyny i narkotyków. Latem organizowano oazy już na skalę międzynarodową. W Tatrach Słowackich – dla młodzieży czechosłowackiej, która zdążyła założyć u siebie 100 grup formacyjnych, w RFN i Wielkiej Brytanii – dla młodzieży polonijnej. W Boliwii oazy organizowali franciszkanie z Krakowa – uczestniczyły w nich setki młodych Indian należących do tamtejszej hiszpańskojęzycznej wspólnoty „Światło-Życie". W Polsce zaś owego roku tysiąc animatorów prowadziło oazy dla 30 tysięcy osób. Wydarzeniem roku było otwarcie w Lublinie stacjonarnego rocznego

M. Glogier i ks. F. Blachnicki (Krościenko, wrzesień 1979)

Studium Formacji Ewangelizacyjnej, które przygotowywało dużą grupę do pracy misyjnej podczas letnich igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. Wykładowcami naszego studium byli instruktorzy z amerykańskiej centrali „Agape" oraz z Wielkiej Brytanii i wykładowcy z KUL, m.in. ks. prof. Jan Chrapek – późniejszy biskup radomski. Wyjazd niestety uniemożliwiła nam blokada granic z powodu strajków (lipiec-sierpień 1980) owocujących powstaniem „Solidarności". Niezorientowanym wyjaśnić wypada, że program wakacyjnej oazy (do dnia dzisiejszego) zbudowany jest na 15 tematach, z których każdy realizuje się w ciągu całego dnia. W ciągu 3 lat (czyli III stopni oazy) omawia się 45 teologicznych zagadnień. Zaleca się, aby III stopień był realizowany w Rzymie. W pierwszej tego typu oazie w 1979 r. uczestniczyło 120 osób. W programie znalazło się 6 spotkań z Janem Pawłem II (w tym na Jego zaproszenie 2-godzinne ognisko w ogrodach watykańskich). Rok 1980 powitano na 40 sylwestrowych oazach modlitwy wstawienniczej za Polskę i jej duchowe przebudzenie. Rozpoczęła się w ten sposób akcja 3-letniej ewangelizacji kraju. V kongregacja odpowiedzialnych za ruch zgromadziła na Jasnej Górze 700 delegatów, a w Lublinie uruchomiono „Centrum Wielkiej Ewangelizacji" koordynujące prace podejmowane w 49 województwach podzielonych na 200 rejonów. Z mandatu centrali odpowiedzialny byłem za animację dzieł apostolskich w województwie rzeszowskim oraz przemyskim. Na spotkania z odpowiedzialnymi za tamtejsze rejony dojeżdżałem raz w miesiącu z centrali w Lublinie. W roku 1980 na wakacyjne oazy przyjęto 42 tysiące osób. Program realizowano równolegle w 65 miejscowościach przez 5 turnusów. Wydarzeniem organizacyjnym było utworzenie nowych struktur ruchu – Unii Kapłanów Chrystusa Sługi oraz Wspólnoty Chrystusa Sługi, grupującej mężczyzn, animatorów ruchu z różnych stron Polski, oddanych wyłącznie i przez cały rok dziełom misyjnym. W ramach dodatkowych zadań powierzono mi redakcję jednego z 8 pism ruchu. „Dojrzałość Ucznia" (pismo członków Ruchu Światło-Życie w seminariach i nowicjatach zakonnych) do roku 1981 ukazało się 4 razy (dziś egzemplarze dostępne są w Bibliotece Jagiellońskiej). Pozostałymi periodykami były: „Kościół Domowy" (pismo oaz rodzinnych), „Siloe" (pismo grup modlitewnych), „Eleuteria" (Pismo Krucjaty Wyzwolenia), „Koinonia" (pismo popularyzujące odnowę parafii), „Ad Christum Redemptorem" (pismo grup ewangelizacyjnych), „Biuletyn Informacyjny" (komunikaty i kalendarium zdarzeń w ruchu), „Głos Papieża" (zeszyty dokumentujące działalność Jana Pawła II).

Pozostawanie w stałej diakonii było obciążone znacznymi zadaniami. Jednym z moich ostatnich były kontakty z Diakonią Ewangelizacji Hipisów i ich duszpasterzem ks. Andrzejem Szpakiem z Przemyśla. Rok 1981 był czasem mojego pożegnania z ruchem, a ks. Blachnickiego z Polską – ale w ciągu 11 miesięcy tego roku jeszcze wiele się zdarzyło: choć na letnie oazy znowu zgłosiło udział 50 tysięcy osób, już podczas podróży do Skandynawii (na zaproszenie międzynarodowego ruchu Młodzież z Misją) ks. Blachnicki przedstawił kłopoty (z racji pustych półek sklepowych) związane z aprowizacją oaz. Owocem tej podróży stała się wobec tego m.in. pierwsza od czasów Reformacji na tamtym terenie akcja pomocy polskim katolikom. Tylko z Norwegii przesłano wówczas żywność wypełniającą 240 tirów. Natomiast w Danii ofiarowano na ten cel 90 tysięcy dolarów. Ale nie był to koniec „cudów"... Z USA nadeszło zaproszenie dla ks. Blachnickiego od ruchu CCC czyli „Agape" z propozycją budowy wspólnego planu nowej ewangelizacji Ameryki Południowej (w oparciu o indiańskie oazy działające w Boliwii i wspólnotę językową całego kontynentu, z wyjątkiem portugalskojęzycznej Brazylii). Z Rzymu zaś nadeszła wiadomość, że ruch otrzymał dar w postaci domu oraz prawo użytkowania 10 tysięcy hektarów gruntu z myślą o tworzeniu miasteczka namiotowego dla młodych Włochów, ewentualnych uczestników oaz na tamtejszym terenie.

W Skandynawii zajmowano się także realizacją prośby o zorganizowanie dla Polski ładunków z milionem egzemplarzy Pisma Świętego niezbędnych dla dzieła „Wielkiej Ewangelizacji"... Czas jednak przyśpieszał - na oczach całego świata powstawał 10-milionowy ruch „Solidarności" tworzący z dnia na dzień nowy program społeczny. Część działaczy „Solidarności" wywodziła się właśnie z Ruchu Światło-Życie. Tymczasem w wizji ks. Blachnickiego już pojawiły się 4 kolejne inicjatywy: w Gdańsku utworzono Diakonię Ewangelizacji Świata Pracy. Przyjechała tam także grupa ewangelizacyjna ruchu, która przygotowała wraz z ks. Blachnickim pierwsze wyjazdowe rekolekcje dla działaczy „Solidarności" w duchu charyzmatu oazy. Owocem tej misji w Gdańsku było zawiązanie Diakonii Ewangelizacji Ludzi Morza, która swą troską miała ogarniać środowisko branżowe. W tym okresie powołano nadto Krucjatę Obrony Życia Nienarodzonych oraz pracowano nad projektem Związku Wolnych Więźniów (czyli grup oporu społecznego wzorujących się na działalności Mahatmy Gandhiego). Ostatnim etapem zaangażowania ruchu w działania na rzecz wyzwolenia narodu był ogłoszony dnia 11 listopada 1981 r. program Niezależnej Chrześcijańskiej Służby Społecznej. 28 listopada ks. Blachnicki przestawił program na KUL-u inaugurując tym samym strajk okupacyjny pracowników i studentów połączony z zawiązaniem pierwszego komitetu założycielskiego NChSS „Prawda-Krzyż-Wyzwolenie". Miał on działać w duchu chrześcijańskiej nauki społecznej jako ruch wyzwolenia bez przemocy. Ogłoszenie stanu wojennego przerwało rozwój tej inicjatywy w Polsce. Tymczasem służby specjalne przygotowały na ks. Blachnickiego pułapkę tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Polegała na tym, że urzędnik MSW przyjechał do księdza z jego paszportem (jak pamiętamy dawniej ten dokument był własnością państwa) i sugestią, że jeśli go pilnie nie wykorzysta, to więcej nie trafi mu się taka możliwość. Czy ktoś jeszcze wiedział o tej zdumiewającej sytuacji, oprócz osobistego kierowcy księdza, trudno dziś powiedzieć. Wydaje się jednak, że był to kolejny znak Opatrzności. Jak pisze ks. Zaleski - inwigilację ks. Blachnickiego w kraju przerwał dopiero jego wyjazd do Rzymu, gdzie od 10 XII 1981 r. - zaraz po przyjeździe - na zaproszenie włoskiego ruchu „Comunione e Liberazione" (Wspólnota i Wyzwolenie) - zajął się przygotowywaniem I Europejskiego Kongresu Ruchów Katolickich. Służby specjalne miały natomiast pewność, że wreszcie od tego momentu największa w Europie Środkowo-Wschodniej radykalna organizacja katolicka została rozbrojona i przez dłuższy czas pozostanie bez charyzmatycznego kierownictwa. W czerwcu 2006 r. IPN opublikował raport o agenturalnej działalności pracującego w Rzymie dominikanina Konrada Hejmo. Również i założyciel oaz - na zlecenie wywiadu PRL - był obiektem jego meldunków.

Emigracja wojownika (lata 1982-1987)

Uzyskany pół roku wcześniej dom w okolicach Rzymu planowano przygotować na siedzibę Międzynarodowego Ruchu Światło-Życie. Stał się on też miejscem pielgrzymek różnych oazowiczów, których stan wojenny zastał poza Polską. Do pozostania na emigracji nakłonił księdza Blachnickiego duszpasterz emigracji polskiej biskup Szczepan Wesoły, który zachęcił go do krzewienia ruchu oazowego wśród Polonii. Na ten konkretny cel przekazał w 1982 r. obiekty w Carlsbergu (Palatynat, RFN).Wcześniej były one koszarami Polskich Oddziałów Wartowniczych armii amerykańskiej, później zaś ośrodkiem wychowawczym dla polskich dzieci prowadzonym przez amerykańskie i polskie zakonnice. Na wzór Niepokalanowa powstało tam „Marianum" czyli Międzynarodowe Centrum Ewangelizacji Światło-Życie. Wkrótce stało się ono miejscem spotkań Polaków z całych Niemiec i innych krajów. Carlsberg stał się też ośrodkiem wydawniczym, gdzie wydawano zakazany w Polsce biu-

letyn „Prawda-Krzyż-Wyzwolenie". Od czerwca 1982 r. „Marianum" było też siedzibą „Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów", czyli stowarzyszenia niosącego pomoc religijną, moralną i duchową Polsce i - jak pisał Blachnicki - narodom zniewolonym przez sowiecki komunizm.

Dnia 14 XI 1982 r. na zamku Hambach zorganizowano wielką konferencję, gdzie ogłoszono „Manifest wyzwolenia narodów Europy Środkowo-Wschodniej". Ks. Blachnicki zakładał bowiem, że blok sowiecki można rozbić przez współdziałanie wszystkich narodów zniewolonych, oraz że oczekiwane zmiany wymagają przebudzenia narodowego i religijnego. W tym celu podjął kontakty z dysydentami z Europy Wschodniej, wygłaszał konferencje w Radiu Wolna Europa, kontaktował się z „Kulturą" paryską oraz Funduszem im. Sołżenicyna. Spowodowało to ponowną inwigilację Blachnickiego oraz rozpracowanie operacyjne Carlsbergu przez komórki polskiego wywiadu w RFN i przez tajną policję NRD. Jak wspomina ks. Zaleski - w otoczeniu Blachnickiego zaroiło się od konfidentów. I jak pisze Andrzej Grajewski w „Więzi„ (maj 2001) agentka Departamentu I MSW udając uciekinierkę z Polski zyskała tak duże zaufanie ks. Blachnickiego, że mianował ją przewodniczącą antykomunistycznej ChSWN... 28 XI 1983 r. Naczelna Prokuratura Wojskowa w Warszawie oskarżyła ks. Blachnickiego o zdradę kraju i rozesłała list gończy zobowiązujący wszystkie polskie placówki dyplomatyczne do jego zatrzymania.

Dnia 27 II 1987 r. ks. Blachnicki zmarł nagle w niewyjaśnionych okolicznościach (istnieje podejrzenie, że został otruty). Jak pisze Antoni Macierewicz w tygodniku „„Głos"„ (nr 31, sierpień 2006) IPN obecnie prowadzi śledztwo w tej sprawie. Pogrzeb ks. Blachnickiego odbył się w Carlsbergu 2 III 1987 r. Dnia 17 XI 1994 r. pośmiertnie odznaczony został Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, a 5 V 1995 r. Krzyżem Oświęcimskim. Dnia 9 XII 1995 r. w diecezji katowickiej rozpoczął się proces beatyfikacyjny Sługi Bożego ks. Franciszka Blachnickiego. 1 IV 2000 r. jego szczątki zostały przeniesione do Krościenka nad Dunajcem i złożone w kościele pod wezwaniem Dobrego Pasterza. W 2001 r. materiały zebrane podczas diecezjalnego etapu procesu beatyfikacyjnego - liczące 6 tysięcy stron i kilkadziesiąt pozycji książkowych - przekazane zostały rzymskiej Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych. Jeśli zdarzy się uznany i przez papieża zatwierdzony cud za wstawiennictwem Franciszka Blachnickiego, wówczas zostanie wyznaczona data jego beatyfikacji.

Nowe pokolenie (lata 1987–2007)

Do roku 1981 w oazach udział wzięło ponad 150 tysięcy osób (w tym 80% uczniów) oraz ponad tysiąc kapłanów. Aktualnie Ruch Światło-Życie jest najliczniejszym w polskim Kościele - gromadzi 83 tysiące osób, w tym: 8 tysięcy „Dzieci Bożych", 21 tysięcy osób tworzących „Kościół Domowy" oraz 53 tysiące uczniów. Proporcjonalnie niewielką grupę stanowią studenci, dorosły laikat oraz księża. Subiektywnie

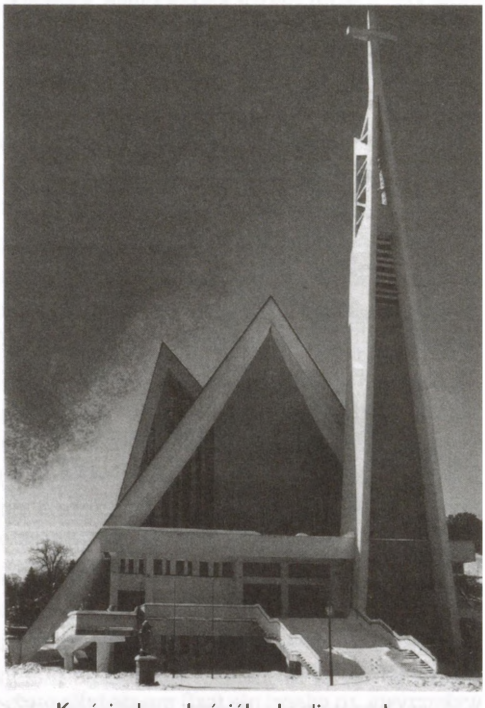

Krościenko – kościół z kaplicą grobową ks. Blachnickiego

rzecz biorąc formacja stała się dziś bardziej „metodą" niż „ruchem", mimo to ani odrobinę nie uległ zmianie program oazy zawarty w greckich słowach umieszczonych w godle ruchu Fos-Dzoe: Liturgia, Diakonia, Martyria, (Światło-Życie: służba boża, służba ludziom, świadectwo).

Odbyło się już 30 krajowych kongregacji odpowiedzialnych za ruch, istnieje prężne wydawnictwo, opracowano wiele własnych stron internetowych, założono fundację wspierającą dzieło oraz stowarzyszenie publiczne mogące w razie potrzeby reprezentować ruch wspólnot religijnych. Pieczołowicie dba się o pamięć i rozwija kult Założyciela - najprawdziwszego pedagoga (co w grece oznacza niewolnika opiekującego się dziećmi swego pana i odprowadzającego je do szkoły). Spełnił się także testament ks. Blachnickiego, aby hierarchia kościelna zatwierdziła dwie wspólnoty o zakonnym charakterze wyrastające z ducha oazy: Instytut Niepokalanej Matki Kościoła (dla kobiet) oraz Wspólnotę Chrystusa Sługi (dla mężczyzn).Spełniło się też jego marzenie o dozgonnym patronacie papieża. W 1997 r. Jan Paweł II na Błoniach krakowskich powiedział: „Odwiedzałem oazy w różnych miejscach krakowskiej archidiecezji, także broniłem ruchu oazowego przed zagrożeniami pochodzącymi od ówczesnych służb bezpieczeństwa. Wszyscy o tym wiedzieli - zarówno kapłani, jak i sama młodzież - że kardynał z Krakowa jest z nimi, że ich wspiera, wspomaga i jest gotów bronić w razie zagrożeń".

Nadeszła jednak taka epoka, że Ruch Światło-Życie jest dziś nie jedyną, ale zaledwie jedną z setek organizacji, stowarzyszeń, związków, fundacji czy ruchów katolickich współcześnie działających w Polsce. O osiągnięciach Ruchu Światło-Życie w minionym ćwierćwieczu winno się wypowiadać nowe „pookrągłostołowe" pokolenie oazowiczów. Starsza generacja zajmuje się raczej utrwalaniem wspomnień o ks. Blachnickim - duchowym gigancie, pedagogu, patriocie i proroku. Obywatele uwieczniają pamięć o nim jeszcze inaczej. Jego imię nadano szkołom podstawowym w Rydułtowach, Białymstoku i Nowym Sączu oraz Wyższej Szkole Służby Społecznej w Suwałkach. Jego imię noszą także ulice w Tarnowskich Górach, Tychach, Sosnowcu, Katowicach, Krościenku, Lublinie i Krakowie. Radni Miasta Krakowa w 1991 r. przemianowali dotychczasową ulicę 15 Grudnia w okolicach Hali Targowej w dzielnicy Grzegórzki (upamiętniającą Kongres Zjednoczeniowy PPR z PPS i utworzenie w 1948 r. PZPR) na ulicę Ks. Franciszka Blachnickiego (męczennika dwóch totalitaryzmów). Ruch, zgodnie z wizją swego Założyciela, z roku na rok staje się coraz bardziej międzynarodowy. Metodę „oazy" rozumianej jako miejsce odpoczynku (dla zmęczonych życiem i spragnionych nowego ducha) w odnowionym (czyli żywym) Kościele stosują duszpasterze na Białorusi, Ukrainie i w Kazachstanie, na Islandii i Sycylii. Pierwsze próby oaz pojawiły się w Brazylii. O Europie Zachodniej nie wspominamy, bo jest to oczywistość. Jednak ten wątek stanowi już całkiem nową opowieść.

Marek Glogier
mglogier@ap.krakow.pl

Piotr Daszkiewicz, Radosław Tarkowski

Kontuary mineralogiczne

Działalność Jakuba Malinowskiego (1808–1897) w zakresie nauczania nauk przyrodniczych

Jakub Malinowski (1808–1897), pedagog, pisarz, uczestnik powstania 1830 r., jeden z najwybitniejszych przedstawicieli Wielkiej Emigracji. Jego biogramy opublikowane zostały w PSB i w *Słowniku biologów polskich*. Przechowywana w zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu autobiografia i korespondencja Malinowskiego była przedmiotem badań naukowych Barbary Konarskiej. O ile aktywność polityczna J. Malinowskiego na emigracji i bogaty dorobek w dziedzinie historiografii i nauk humanistycznych są stosunkowo dobrze znane badaczom i biografom autora, o tyle jego prace z zakresu nauk przyrodniczych oraz osiągnięcia w zakresie dydaktyki nauk przyrodniczych pozostają nieznanymi dla historyków nauki i geologów, zarówno we Francji, jak i w Polsce. Autorzy niniejszego artykułu przebadali zatem pod względem związków z historią geologii spuściznę Jakuba Malinowskiego przechowywaną w zbiorach archiwalnych we Francji (m.in. w Bibliotece Polskiej w Paryżu). Wyniki prac pozwalają stwierdzić dużo większe niż dotychczas przypuszczano znaczenie jego badań dla rozwoju francuskiej dziewiętnastowiecznej geologii.

Kilka informacji biograficznych

Jakub Malinowski urodził się w Warszawie w 1808 r. Po studiach pracował jako wykładowca miernictwa i geodezji oraz budownictwa w Instytucie Agronomicznym w Marymoncie. Jako uczestnik powstania listopadowego walczył w szeregach Wojska Polskiego. Po upadku insurekcji krótko przebywał w Prusach i Belgii, a następnie dotarł do Francji, gdzie w 1834 r. podjął studia z architektury na Beaux Arts i nauk przyrodniczych na Sorbonie. Z przyczyn finansowych przerwał edukację. Najpierw pracował jako urzędnik kolejowy, a następnie jako nauczyciel języków obcych, matematyki i nauk przyrodniczych w licznych liceach w Burgundii i w południowych departamentach Francji (m.in. w Semur, Mâcon, Dijon, Cahors, Alès). W 1843 r., po kilkuletnich studiach, uzyskał na Uniwersytecie w Dijon tytuł licencjata nauk przyrodniczych. W 1870 r. otrzymał prawo stałe-

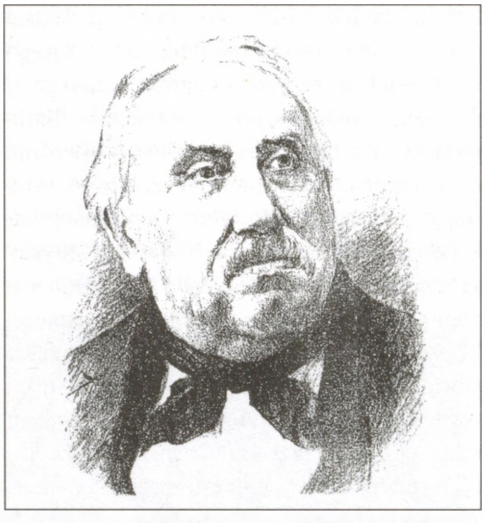

Jakub Malinowski

go pobytu we Francji, a cztery lata później francuskie obywatelstwo. Był jednym z nielicznych polskich wychodźców, którzy zaczynając emigrację bez jakiegokolwiek własnego majątku, zdołali osiągnąć stosunkowo wysoką pozycję zawodową. Pracował jako ceniony profesor w prestiżowych liceach południa Francji oraz był autorem licznych publikacji, zaliczał się tym samym do francuskiej klasy średniej, co wśród emigrantów polistopadowych było osiągnięciem dość rzadkim. Zmarł w Cahors w 1897 r.

Jakub Malinowski miał wielostronne zainteresowania. Pozostawił wiele ciekawych prac z dziedziny językoznawstwa, chemii, przyrody, geologii i historii. Był współtwórcą polskiego towarzystwa naukowego w Dijon, francuskiego w Semur, w Alès i Cahors. Był członkiem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, od roku 1869 członkiem-korespondentem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego i Akademii w Aix-en-Provence. Mimo przyjęcia obywatelstwa francuskiego uważał za obowiązek patriotyczny pisanie o Polsce i informowanie w ten sposób opinii francuskiej. Pozostawił ponad 100 pozycji drukowanych oraz litografowaną biografię emigracji polskiej poprzedzoną krótkim zarysem historii emigracji.

Zasłużony pedagog nauk geologicznych

Jakub Malinowski położył szczególnie duże zasługi w dziedzinie pedagogiki nauk przyrodniczych, a zwłaszcza geologii i mineralogii. W Królestwie Polskim, przed przymusową emigracją, wykładał nauki inżynieryjne w Instytucie Agronomicznym w Marymoncie. We Francji przez długie lata był profesorem języków, przyrody i matematyki. Uczył w elitarnych liceach w Semur, Macon, Alès, Dijon i Cahors. Francuski rząd docenił jego pracę pedagogiczną, honorując go najstarszym i najwyższym cywilnym odznaczeniem przyznawanym za zasługi dla edukacji - *Ordres des Palmes Académiques*. Uczony ten był ponadto autorem oryginalnej metody nauki języków, ćwiczeń do nauki niemieckiego, metody nauki czasowników nieregularnych, programów nauczania z fizyki i zoologii, opisu chińskiej metody liczenia i możliwości jej stosowania w szkołach francuskich, a także kilkudziesięciu publikacji popularnonaukowych, adresowanych głównie do nauczycieli oraz młodzieży szkolnej. Zapraszano go z wykładami do towarzystw naukowych oraz na uniwersytety. Na Sorbonie wygłosił np. na temat francuskich złóż fosforanu wapnia. Już w pierwszym okresie emigracji prowadził zajęcia dla zgromadzonych we Francji byłych oficerów powstania listopadowego. Na zlecenie generała Bema starał się upowszechniać nad Sekwaną metodę mnemotechniczną Antoniego Jaźwińskiego, ucznia René Just Haüy. Doświadczenie pedagogiczne Jakuba Malinowskiego było więc imponujące. Okres jego szczególnie intensywnej działalności naukowej przypadł na czas rządów cesarza Napoleona III Bonaparte (1852-1871), a następnie III Republiki. Autorytarne cesarskie rządy doprowadziły do relatywnej prosperity gospodarczej Francji. Otoczenie cesarza zdawało sobie sprawę z konieczności reformy szkolnictwa średniego i częściowo także wyższego. Reforma edukacji przeprowadzona w tamtym okresie doprowadziła do rozdzielenia systemu maturalnego na maturę humanistyczną oraz maturę z zakresu nauk ścisłych. O ile w końcu pierwszej połowy XIX w. nastąpiło ograniczenie nauk ścisłych w szkołach średnich z racji słabych postępów uczniów, to w okresie rządów Napoleona III powszechnie wskazywano na użyteczność wiedzy z zakresu nauk ścisłych w różnych dziedzinach życia, jak i na niezbędność naukowego wykształcenia kadr dla potrzeb dynamicznie rozwijającej się gospodarki. Celem reformy było (jak to ujęto w raporcie rządowej komisji): „abyśmy w miejsce maturzystów bez przyszłości, zgorzkniałych z racji swojej niemocy, urodzonych urzędników pragnących jedynie zajmowania państwowych posad, zobaczyli maturzystów pełnych energii, dobrze przygotowanych do konkurencji gospodarczej". Zapoczątkowane w tym czasie reformy były kontynuowane w okresie III Republiki.

W 1855 r. Jakub Malinowski zabrał głos w tej przełomowej dla francuskiego szkolnictwa dyskusji. Z dzisiejszego punktu widzenia większość jego propozycji wydaje się oczywistością, lecz w drugiej połowie XIX w. były to jednak pomysły często nowatorskie. Postulował rozdzielenie nauczania poszczególnych nauk ścisłych, podkreślał konieczność dużych i dobrze oświetlonych klas dla potrzeb manualnej prezentacji doświadczeń. Wskazywał na znaczenie kolekcji przyrodniczych jako podstawowego narzędzia pracy nauczycieli, przypominał także o konieczności przygotowania pedagogów do umiejętnego wykorzystania tego narzędzia dydaktycznego. Wielokrotnie powtarzał, że nauczyciel sam musi być przyrodnikiem, który powinien m.in. „dobrze znać geologię swojego departamentu i móc wskazać uczniom wszystkie użyteczne minerały występujące w okolicy". Postulat ten pokrywał się zresztą z wolą władz oświatowych, które „przyznawały szczególne miejsce w nauczaniu geologii terenom użytecznym dla człowieka i praktycznemu zastosowaniu geologii".

Zdaniem Malinowskiego koniecznym było, by w bliskiej przyszłości przygotowująca nauczycieli Ecole Normale otworzyła specjalne sekcje przeznaczone dla młodych przyrodników, którzy po uzyskaniu licencjatu z dziedziny nauk przyrodniczych i licencjatu z fizyki, trafialiby do liceów, gdzie poświęcaliby się wyłącznie nauczaniu nauk przyrodniczych. Dopuszczał także możliwość wyłaniania nauczycieli przyrody drogą konkursu wśród lekarzy i farmaceutów, posiadających szeroką wiedzę przyrodniczą. Uznawał, że w liceum dwie lub trzy półtoragodzinne lekcje nauk przyrodniczych powinny na początku wystarczać, przynajmniej w programie niższych klas.

Na odrębną uwagę zasługuje opracowane i wydane przez Malinowskiego: *Tablice Synoptyczne Geologii Cote-d'Or* (departament będący częścią Burgundii). Przeznaczone dla uczniów Cesarskiego Liceum w Dijon, są jednym z najbardziej interesujących dokumentów pedagogicznych dziewiętnastowiecznej Francji. Praktyczne, łatwo czytelne tablice były z pewnością bardzo cenną pomocą dla prowadzenia zajęć terenowych. Zastanawiać musi także wysoki poziom licealnego nauczania geologii i to w dodatku w okresie, w którym powszechnie uskarżano się zarówno na niewystarczającą liczbę godzin dydaktycznych, jak i na zbyt pobieżne traktowanie geologii w programach szkół średnich. Ten unikalny dokument, jak potwierdzają przeprowadzone przez autorów poszukiwania we francuskich bibliotekach, jest jeszcze jednym świadectwem ogromnego talentu pedagogicznego i znacznej wiedzy geologicznej jej autora.

Kontuary mineralogiczne

Utworzenie kontuarów mineralogicznych (miejsc oddawania za wynagrodzeniem okazów geologicznych) było jednym z najbardziej interesujących pomysłów Jakuba Malinowskiego w dziedzinie nauczania nauk o Ziemi. W połowie dziewiętnastego wieku większość francuskich szkół średnich posiadała już kolekcje przyrodnicze o bardzo zróżnicowanej wielkości i zawartości. Były one z lepszym lub gorszym skutkiem wykorzystywane przez nauczycieli jako pomoc naukowa podczas lekcji nauk przyrodniczych. Jednakże, zdaniem Malinowskiego, owe szkolne kolekcje nie były pomocą naukową wystarczającą dla prawidłowego nauczania geologii i mineralogii, albowiem – by zainteresować uczniów i przekształcić ich z biernych, często znudzonych słuchaczy w aktywnych uczestników lekcji przyrody – niezbędnym było, aby młodzież tworzyła swoje własne kolekcje minerałów. Początkiem owych kolekcji powinny stać się okazy zebrane wspólnie z nauczycielem bądź rozdane podczas lekcji.

Wybór rozdawanych okazów nie był oczywiście przypadkowy. Celem programu proponowanego władzom oświatowym było, aby każdy profesor mineralogii mógł każdemu ze słuchaczy rozdać przykładowe okazy minerałów które były tematem lekcji, a z drugiej strony, by rozdawane okazy pomogły w utworzeniu kolekcji reprezentatywnej dla danego regionu. Malinowski

zdawał sobie oczywiście sprawę, że proponowane przez niego rozdawanie okazów związane jest z dodatkowymi kosztami dla władz oświatowych. Jak słusznie podkreślał – w kraju o wysokich podatkach i długiej tradycji całkowicie bezpłatnego szkolnictwa wymaganie finansowego uczestnictwa było nie do przyjęcia. Jedynie na poziomie uniwersyteckim można by, jego zdaniem, wprowadzić niewielką odpłatność dla wynagrodzenia preparatorów przygotowujących okazy. Radził także, aby okazy mineralogiczne traktować jako nagrody dla pracowitych i wzorowych uczniów i przyznawać je na wniosek rady pedagogicznej.

Rozpowszechnienie kontuarów mineralogicznych w szkołach państwowych i prywatnych oraz na uczelniach miało przyczynić się nie tylko do udoskonalania nauczania geologii i mineralogii, ale także stać się podstawą dla utworzenia nowej gałęzi wytwórczości, ważnej z gospodarczego punktu widzenia. W każdym ośrodku górniczym miałby powstać kontuar zajmujący się zakupem i wysyłką okazów. Górnicy i inżynierowie górnictwa zbieraliby okazy znajdowane w kopalniach „zamiast je rozbijać lub porzucać jak ma to miejsce dzisiaj". Każdej niedzieli zanosiliby swoje znaleziska do kontuaru, którego dyrektor wypłacałby im od ręki należne wynagrodzenie. Skuteczność podobnych instytucji Malinowski opierał na obserwacji pracy dyrektora archiwów w Dijon, który ustanowił system odkupywania od robotników prowadzących roboty ziemne, wykopywanych przez nich monet i innych przedmiotów o wartości archeologicznej. Pragnął zastosować i upowszechnić ten system we Francji dla wzbogacania kolekcji geologicznych i mineralogicznych.

Dodatkową korzyścią z utworzenia kontuarów mineralogicznych miał być ich udział w geologicznym badaniu Francji. Inżynierowie górnictwa, górnicy, przyrodnicy-amatorzy, zachęceni możliwością zarobku mieli, przemierzając francuskie góry „niczym pionierzy lasu Ameryki", zacząć zwracać uwagę na zjawiska dotychczas mało ich interesujące i przez to pozostające nieznanymi, jak choćby na żyły metali: „zbyt małe by ich eksploatacja była opłacalna". Poznane miały zostać także złoża „zbyt małe by mieć znaczenie przemysłowe", lecz posiadające „znaczenie naukowe", i interesujące dla kolekcjonerów, przedstawiające realną wartość ekonomiczną. Możliwość zarobienia niedużych choćby pieniędzy miała przyczynić się także do rozpowszechnienia zainteresowania geologią i naukami przyrodniczymi w ogóle. Eksploatacja dawnych sztolni i jaskiń miałaby zabezpieczyć odnajdowane w nich przedmioty przed niszczeniem i umożliwić opisanie ich przez specjalistów.

Malinowski był przekonany, że wkrótce po wprowadzeniu w życie jego pomysłu nauczyciel w każdej szkole będzie miał do dyspozycji kilka okazów minerałów niezbędnych do nauczania. Dzięki powstałym w ten sposób ekspozycjom dzieci z łatwością i przyjemnością uczyłyby się rozpoznawać minerały i to niemal równocześnie z poznawaniem alfabetu. Było to w okresie, gdy we Francji toczyła się dyskusja na temat reformy nauczania nauk przyrodniczych. Jednakże w rządowym projekcie wskazywano raczej na konieczność przesunięcia ciężaru nauczania nauk przyrodniczych do klas wyższych, gdy uczniowie są już w stanie zrozumieć wykładane tematy z zakresu, uznawanych za trudniejsze, nauk ścisłych. Malinowski, doświadczony pedagog, przyrodnik i humanista, reprezentował odmienny punkt widzenia; uznawał, że zaznajamianie uczniów z naukami przyrodniczymi powinno odbywać się już od najwcześniejszych klas, i to właśnie kolekcje pedagogiczne miały za zadanie przemawiać do wyobraźni najmłodszych.

Aby przekonać władze oświatowe o celowości upowszechnienia systemu kontuarów mineralogiczych, zwłaszcza w ośrodkach górniczych, Malinowski podkreślał, że nie jest to pomysł istniejący jedynie w teorii i że tytułem eksperymentu wprowadził go w wyższych klasach szkoły podstawowej (*collège*) w Alès. Dzięki pomocy kilku mistrzów górniczych i inżynierów zdobył znaczną ilość skał i skamieniałości z okolicy miasta. Wzbogacił tym sposobem kolekcję oraz

stworzył podstawy dla kilkudziesięciu niewielkich kolekcji uczniowskich: „niektóre z nich liczą dzisiaj kilkaset okazów, starannie przechowywanych, dobrze oznaczonych, sklasyfikowanych, skatalogowanych i opatrzonych w etykiety". Było to bardzo cenne doświadczenie pedagogiczne, albowiem „wszyscy uczniowie starali się powiększyć swoje kolekcje poprzez zbieranie kolejnych okazów w trakcie wycieczek, drogą wymiany z kolegami, prezentów ze strony rodziny i przyjaciół". W zamyśle Malinowskiego następnym etapem rozbudowywania owych kolekcji miałaby być wymiana z uczniami z innych regionów kraju i – co za tym idzie – możliwość posiadania okazów i poznania geologii całej Francji. Wskazywał także na możliwość umiędzynarodowienia owego „ruchu" kontuarów i eksportu francuskich okazów przyrodniczych za granicę, wskazując na sukcesy ekonomiczne dużych firm handlujących okazami przyrodniczymi w Paryżu, Bonn i Londynie.

Rozprawa Malinowskiego na temat utworzenia kontuarów mineralogicznych niewątpliwie wzbudziła spore zainteresowanie. Świadczy o tym kilkakrotne jej wydanie, jak i zainteresowanie prestiżowego towarzystwa naukowego, jakim było Société d'agriculture, histoire naturelle et arts utiles w Lyonie, na posiedzeniu którego rozprawę Malinowskiego przedstawiono 12 listopada 1869 r. Autor nie zdołał jednak zainteresować władz oświatowych swoimi pomysłami na tyle, aby zdecydowano się zrealizować je w praktyce. Nie bez wpływu na to był zapewne fakt, że nauki przyrodnicze we francuskich liceach były przez ich administrację traktowane „po macoszemu", nauczyciele tych przedmiotów zarabiali mniej, a w programach lekcje przyrody traktowano często jedynie jako uzupełniające dla nauczania matematyki, chemii i fizyki.

Podsumowanie

Przedstawione materiały pokazują, że Jakub Malinowski odegrał znaczącą rolę dla pedagogiki nauk geologicznych w dziewiętnastowiecznej Francji. Zważywszy na to, że wiele innych krajów przyjmowało w tamtej epoce francuskie rozwiązania jako modelowe, jego wkład dla rozwoju nauczania nauk o Ziemi wykracza poza granice Francji. Przypomnienie wkładu i postaci Jakuba Malinowskiego jest również interesujące dla ukazania funkcjonowania europejskiej nauki z dala od dużych ośrodków akademickich, na peryferiach centrów naukowych, a także istotne dla ukazania znaczącego wkładu polskiej emigracji w rozwój nauk przyrodniczych w dziewiętnastowiecznej Francji.

Piotr Daszkiewicz
Muséum national d'Histoire naturelle,
USM 308 – Service du Patrimoine Naturel,
61, rue Buffon, 75005 Paris ; piotrdas@mnhn.fr

Radosław Tarkowski
Instytut Geografii Akademii Pedagogicznej
w Krakowie, ul. Podchorążych 2,
30-084 Kraków; tarkowski@min-pan.krakow.pl

Portret Jakuba Malinowskiego (dzięki uprzejmości dr J. Pezdy z Muzeum Czartoryskich w Krakowie)

Michał Rogoż

Jana Bujaka opisywanie Bukowiny

Jan Bujak – w latach 1966–2000 związany z krakowską WSP/AP – jest jednym z najaktywniejszych w Polsce badaczy historii Polaków z Bukowiny – krainy historycznej rozciągającej się między Karpatami a środkowym Dniestrem. Krainy, która zanim stała się ziemią jego urodzenia, była na przestrzeni ostatniego tysiąca lat częścią Rusi Kijowskiej, potem Mołdawii, od 1775 r. częścią Austrii (najpierw w Galicji, później jako osobna prowincja), zaś po I wojnie światowej została przyznana Rumunii, a od 1940 r. przynależy Ukrainie. Krainę tę przez ostatnie 150 lat zamieszkiwali Rusini (Ukraińcy), Rumuni, Polacy, Niemcy, Żydzi, Węgrzy, Czesi, Ormianie, Słowacy i Cyganie. Była zatem tyglem wielu kultur, religii i języków...

Autor i jego aktywność

Latem 2004 roku w 19. numerze „Konspektu" Henryka Kramarz napisała: „To co robimy, nosi zazwyczaj piętno naszego życiorysu. By zrozumieć dzieło, trzeba przybliżyć koleje losu jego twórcy" (s. 130). Wpisała te słowa do biogramu Jana Bujaka, otwierającego poczet bibliologów i prasoznawców Instytutu Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie. Autor urodził się w 1935 r. w miejscowości Nowa Żadowa na ziemi bukowińskiej. Dziesięć lat później, po wielkiej migracji Polaków, osiadł w Lubaniu. Polonistykę ukończył na Uniwersytecie Wrocławskim, doktorat napisał pod kierunkiem prof. Wincentego Danka, rektora WSP w Krakowie. Do emerytury był wykładowcą w Instytucie Bibliotekoznawstwa oraz, w czasach narodowego przełomu, członkiem komisji uczelnianej „Pierwszej Solidarności". Od 32 lat Jan Bujak jest także członkiem Komisji Prasoznawczej PAN w Krakowie. Na ukierunkowanie jego badań naukowych oczywisty wpływ miał własny rodowód geograficzno-kulturowy. Ponieważ w dorobku naukowo-literackim dr. Jana Bujaka dominuje tematyka historyczna, prasoznawcza, biograficzna i bibliograficzna – wszystkie te narzędzia badawcze wprzągł w ostatnim 20-leciu w dokumentowanie śladów i znaków polskości na ziemiach historycznej Bukowiny. Wydaje się, że publikacją swego obszernego studium bibliograficznego: *Informacje o książce i prasie w tygodnikach galicyjskich 1772–1900* (Wydawnictwo Naukowe WSP, Kraków 1989) zamknął rozdział wielotematycznych badań prasoznawczych. Odtąd jego publikacje zmierzają do przybliżenia coraz bardziej zapomnianej „polskiej" Bukowiny: stąd seria życiorysów Bukowińczyków, ogłaszana przez lata w *Polskim słowniku biograficznym* oraz *Ilustrowanym słowniku biograficznym Polonii świata*, stąd animacja działalności „Fundacji Bukowińskiej Bratniej Pomocy", stąd wreszcie udział w licznych zjazdach i konferencjach naukowych – w Polsce i na Bukowinie.

W latach 1986–2006 Jan Bujak opublikował ponad 140 artykułów, studiów i bibliografii o tematyce bukowińskiej (w tym 2 książki, których edycje przygotowało Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce). Pierwsza ukazała się w 2005 r. w nieczęsto spotykanym dziś nakładzie 1000 egz. Pełny tytuł tego jubileuszowego wydawnictwa brzmi: *Święta Anna. Kościół i parafia Storożyniec – Stróżeniec (1864–2005). Przypomnienie ludzi, rzeczy i zdarzeń w 100-lecie konsekracji neogotyckiego kościoła parafialnego i w 140-lecie erygowania parafii*. Drugą publikację stano-

wią *Zaczyny dziennikarstwa polskiego na Bukowinie* - książka wydana w Krakowie w 2006 r. To właśnie ta publikacja jest przedmiotem naszego szczególnego zainteresowania. Należy zauważyć, że to zaledwie fragment obszernego tematu badawczego dotyczącego historii polskiej prasy i książki na Bukowinie, nad którym autor wciąż pracuje.

Polskie czasopisma na Bukowinie (do roku 1888)

Pierwsza część opublikowanego zarysu dziejów czasopiśmiennictwa obejmuje 6 tytułów pism o krótkiej żywotności, wydawanych w Czerniowcach w latach 1864-1888 r. Książka o objętości 143 stron ujmuje treść w 8 rozdziałach, wzbogaconych 36 reprodukcjami - głównie stron tytułowych omawianych periodyków oraz ważniejszych zabytków miasta stołecznego Bukowiny. Jako że Bukowinę, a szczególnie Czerniowce, zamieszkiwali urzędnicy, lekarze, ziemianie i rzemieślnicy, a ponadto jeszcze w 1863 r. powstał tam trzeci, po lwowskim i krakowskim, polski teatr funkcjonujący pod panowaniem austriackim, w kręgu miejscowego Towarzystwa Sceny Polskiej (wśród jej artystek była m.in. Helena Modrzejewska) pojawiła się potrzeba wydania pierwszego czerniowieckiego i polskiego pisma poświęconego sztuce. Był to „Bratek", ukazujący się od 15 marca 1864 r., z podtytułem „Literatura i Sztuka Piękna". Dwutygodnik ten ukazał się prawdopodobnie 8 razy, lecz do dnia dzisiejszego nie zachował się ani jeden jego egzemplarz. Inne pismo, „Ogniwo", ukazało się przynajmniej czterokrotnie, ale zachował się zaledwie pierwszy numer, z 1 lipca 1869 r. (przechowywany w Bibliotece Jagiellońskiej). Pismo zrodziło się w kręgu członków Polskiego Towarzystwa Bratniej Pomocy i Czytelni Polskiej w Czerniowcach.

Trzecie z omawianych przez Jana Bujaka czasopism było inicjatywą indywidualną, ale opartą o zamysł współpracy terenowej elit zamieszkałych w Kołomyi (na Pokuciu) i we wspomnianych już Czerniowcach. Dzięki tej współpracy, od grudnia 1880 do października 1881 r., ukazało się ogółem 18 numerów periodyku „Osa", noszącego podtytuł „Pismo Satyryczno-Polityczne i Humorystyczne". W swej książce badacz zamieszcza pełną bibliografię zawartości „Osy", która liczy 289 różnego rodzaju utworów dziennikarskich. Nadto w omawianej publikacji dodano 18 stron wypisów z oryginalnych tekstów drukowanych (w tym wiersze oraz quasi-kabaretowe kuplety i przekorne przyśpiewki).

Jan Bujak wspomina też o „Przedświcie" - dwutygodniku literackim, artystycznym, naukowym i społecznym. Znanych jest jego 19 numerów, wydawanych od listopada 1882 r. do października roku następnego. Kolejnym czasopismem był „Przegląd Czerniowiecki" - dwutygodnik informujący głównie o zagadnieniach politycznych, ekonomicznych i literackich. Znane są 4 numery, wydane od 8 sierpnia do 22 września 1883 r. Ich treść została przedstawiona w liczącej 95 pozycji bibliografii zawartości pisma.

Ostatnim wzmiankowanym w tomie serii tematycznej był tygodnik „Diablica", czyli „Pismo Społeczne, Powieściowe i Satyryczne", którego 3 numery wydane w lipcu 1888 r. ukazały się w dużym (jak na ówczesne realia) nakładzie czterech ty-

sięcy egzemplarzy. Autor skatalogował zawartość 60. zamieszczonych w piśmie tekstów.

Przystępując do napisania historii prasy polskiej na Bukowinie Jan Bujak podjął się realizacji niezwykle trudnego zadania badawczego, m.in. ze względu na ograniczony dostęp do materiałów źródłowych. Dzięki dociekliwości i staranności połączonej z pasją poznawczą, miłością do Bukowiny oraz mistrzowskim opanowaniem warsztatu prasoznawczego, zdołał z powodzeniem przezwyciężyć obiektywnie istniejące niedogodności. Opisywane przez siebie pisma słusznie traktuje jako ważne źródło służące poznaniu historii a zwłaszcza życia codziennego Polaków na Bukowinie. Trafnie zatem zauważa: „biorąc pod uwagę stopień zgermanizowania i zaustriaczenie Bukowińczyków w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku i znaczne rozproszenie Polaków [...] wszystkie te pierwociny dziennikarskie, mimo wielu niedoskonałości, są świadectwem ogromnego wysiłku duchowego, umysłowego, społecznego i materialnego - rzetelnej pracy dla zachowania i rozwinięcia polskości tudzież odzyskania należnej Polakom bukowińskim pozycji".

Autor zapowiada, że kolejny tom tej serii tematycznej poświęcony będzie „dojrzałej" prasie wydawanej przez Polaków (także w części Bukowiny Rumuńskiej w Suczawie) w latach 1883-1940 wraz z suplementem doprowadzonym do czasów najnowszych. Z pewnością kompendium tego rodzaju stanie się podstawą do nowszych zarysów dziejów prasy polskiej i polonijnej.

Michał Rogoż

Piotr Pragacz

Humor w matematyce

Wstęp

W kwietniu 2006 r. miałem wykład w Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Po wykładzie mój kolega – Tomek Szemberg (matematyk pracujący na AP) oraz redaktorzy kwartalnika „Konspekt" poprosili mnie o artykuł o matematyce. Początkowo planowałem napisać coś bezpośrednio związanego z moim wykładem, ale szybko doszedłem do wniosku, że taki artykuł – ze względu na swoją wyspecjalizowana tematykę – nie miałby zbyt wielu czytelników.

Postanowiłem zatem napisać tekst pokazujący, że matematycy to ludzie obdarzeni poczuciem humoru, lubiący anegdoty i dowcipy. Są książki, gdzie można znaleźć anegdoty o matematykach (patrz, np. [K], [Wr]). Nie jest moim zamiarem tych anegdot tu powtarzać (może za wyjątkiem jednej, wybranej z [K]). Opieram się głównie na własnych obserwacjach, niepublikowanych anegdotach opowiedzianych mi przez znajomych, a także na materiałach z sympatycznego wątku internetowego forum „Gazety Wyborczej" *Humor w nauce* (patrz [Hn]).

Zamieszczone niżej karykatury matematyków są dziełem Leona Jeśmanowicza i pochodzą z [J].

1. Wykłady, seminaria, egzaminy

Wilno, Uniwersytet Stefana Batorego, lata 30. XX w. Na seminarium Antoniego Zygmunda (nauczyciela moich nauczycieli), pewnego dnia powstaje problem, czy pewne twierdzenie jest prawdziwe. Nikt nie potrafi znaleźć jego dowodu, nikt też nie potrafi podać kontrprzykładu. Co zrobić? Zygmund zarządza... głosowanie. Wynik demokratycznego głosowania: „twierdzenie jest fałszywe". Aż tu po 3 tygodniach, zjawia się na seminarium młody matematyk – Józef Marcinkiewicz – z dowodem poprawności twierdzenia. Zygmund pointuje:

– Oto do czego prowadzi demokracja!

(usłyszane od Stanisława Balcerzyka)

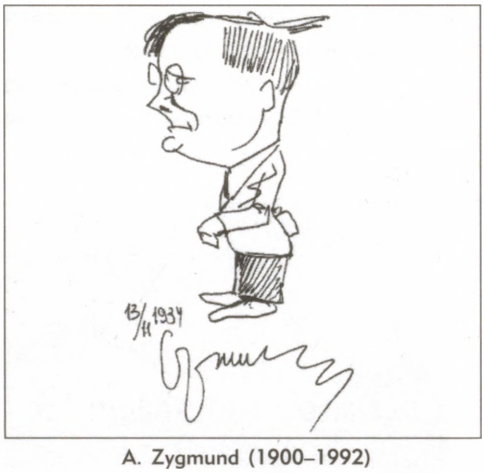

A. Zygmund (1900–1992)

J. Marcinkiewicz (1910–1940)

* * *

Pewnego dnia u Franciszka Leji w Krakowie zdawał egzamin wyjątkowo zdolny student (wyrósł później na jednego z wybitnych polskich matematyków). Leja zadał pytanie:

– Proszę napisać asymptotyczny wzór Stirlinga na funkcje Gamma.

Nastąpiła chwila wiele mówiącej ciszy, przerwana wyznaniem studenta:

– Niestety, zapomniałem.

Na to Leja:

– Wie pan, ja też zapomniałem, ale tak się składa, że to pan zdaje egzamin.

(usłyszane od L. Jeśmanowicza)

F. Leja (1885–1979)

* * *

Krąży taka anegdota o Hugonie Steinhausie. Kiedyś prowadził on wykład, podczas którego na sali było tylko dwoje słuchaczy. Powstał problem, czy warto odbyć tak nielicznie obsadzony wykład. Steinhaus stwierdził:

– *Tres faciunt collegium* (co znaczy „Troje czyni kolegium") i wykład się odbył. Następnym razem na sali oprócz Steinhausa był tylko jeden słuchacz. Powstał podobny problem. Steinhaus spokojnie rozpoczął wykład. Wówczas ten słuchacz zapytał:

– Ale przecież nas jest w sumie dwóch?

Steinhaus odpowiedział:

– Bóg jest zawsze obecny.

(opowiedziane przez Marka Kaca)

* * *

H. Steinhaus (1887–1972)

Na jednym z Konwersatoriów dla Doktorantów w Instytucie Matematycznym PAN, referujący powiedział:

– Ten rezultat uzyskał już Nevanlinna* 150 lat temu!

Na to obecny na wykładzie Bogdan Bojarski stwierdził:

– To bardzo ciekawe, bo ja rozmawiałem z Nevanlinną w roku 1972.

Sala parsknęła śmiechem. Chairman długo uspakajał audytorium mówiąc, że matematycy powinni być długowieczni!

B. Bojarski

* Rolf Nevanlinna – wybitny matematyk fiński (1895–1980).

* * *

Kiedyś na seminarium Andrzeja Mostowskiego doszło do ostrego starcia dwóch oponentów (jednym z nich był Janusz Korwin-Mikke, znany dziś polityk Unii Polityki Realnej, wówczas student filozofii i matematyki). Wywiązała się mała awantura, w czasie której oponenci przekrzykiwali się nawzajem, używając „mocnych" argumentów. Gdy już emocje trochę wystygły, Mostowski – człowiek niezwykle spokojny – zwrócił się do nich cichym głosem, prawie szeptem:

– Ależ panowie, o racji w nauce nie decyduje siła płuc.

(usłyszane od Piotra Mankiewicza)

A. Mostowski (1913–1975)

* * *

Kiedyś Stanisław Łojasiewicz na początku dwugodzinnego wykładu kursowego wypowiedział twierdzenie mające postać równoważności, po czym przez prawie dwie godziny pracowicie dowodził je w jedną stronę. Udowodnił. Na dwie minuty przed końcem wykładu spojrzał na tablicę i stwierdził:

– A w drugą stronę twierdzenie jest trywialne.

Słuchacze byli już tak zmęczeni „dwugodzinnym dowodem", że uwierzyli na słowo. Przed egzaminem nikt jakoś owej trywialności dostrzec nie mógł, nikt też nie miał śmiałości zapytać profesora. Cóż, poszli na egzamin nie znając dowodu w drugą stronę. Jeden z pierwszych egzaminowanych studentów został poproszony o wypowiedzenie i przedstawienie szkicu dowodu tego właśnie twierdzenia. Wypowiedział, przedstawił szkic w jedną stronę i rzekł:

– A w drugą stronę twierdzenie jest trywialne.

Łojasiewicz zamilkł i zamarł w bezruchu. Trwał tak kilka minut po czym powiedział:

– Ma pan rację, jest trywialne.

(usłyszane od eilean_donan)

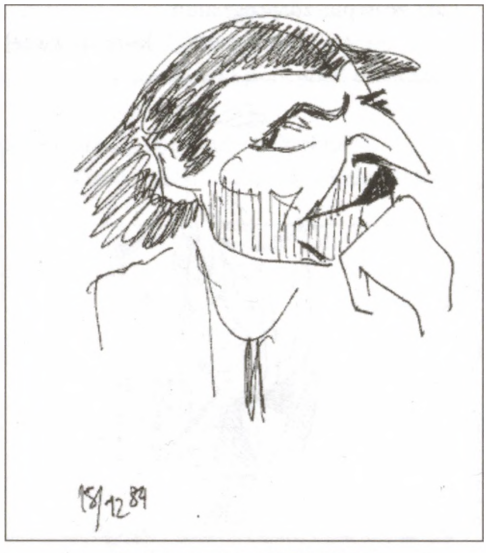

S. Łojasiewicz (1926–2002)

* * *

Niezwykle malowniczą postacią jest Shizuo Kakutani – związany głównie z Uniwersytetem Yale. Kiedyś w czasie wykładu napisał on na tablicy lemat* i stwierdził, że jego dowód jest oczywisty. Ale jeden student nieśmiało powiedział, że dla niego ten dowód nie jest oczywisty i poprosił o przedstawienie dowodu. Kakutani zaczął myśleć przy tablicy, ale po pewnym czasie spasował. Obiecał, że na następnym wykładzie przedstawi dowód. Po wykładzie udał się do swego gabinetu i myślał nad

* Lemat jest to pomocniczy fakt matematyczny.

dowodem przez następne dwie godziny. Bez rezultatu. Ale przypomniał sobie, że przecież ten lemat figuruje w pewnej pracy. Udał się więc do biblioteki, zajrzał do owej pracy. Rzeczywiście, rzeczony lemat był w niej jasno sformułowany. Ale jeżeli chodzi o jego dowód, to autor napisał: „Dowód pozostawiamy czytelnikowi jako ćwiczenie." Autorem tej pracy był... Kakutani (patrz [K]).

* * *

Kiedyś na wykładzie Andrzej Białynicki-Birula używał wielokrotnie dwu liter: psi oraz ksi. W pewnym momencie jeden ze słuchaczy podniósł się zdenerwowany z miejsca i ruszył do wyjścia z sali, oświadczając sąsiadom:

– Na tym wykładzie mi się psi-ksi.

(usłyszane od Janusza Grabowskiego)

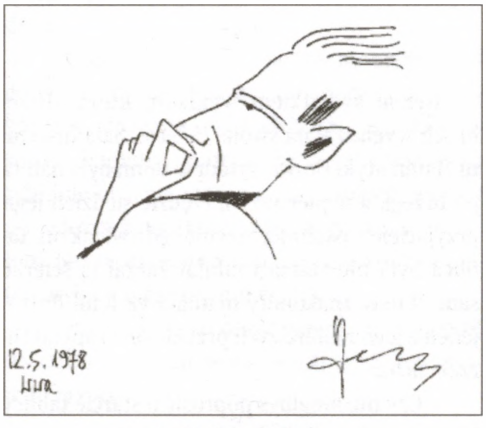

A. Białynicki-Birula

2. Stefan Banach

To co najlepsze w polskiej matematyce, kojarzy się z postacią Stefana Banacha – twórcy analizy funkcjonalnej.

Banach znany był ze swej niechęci do formalnych procedur akademickich. Przyszedł taki moment, że był sławny na całym świecie ze swoich osiągnięć naukowych, a nie miał doktoratu. Żeby uzyskać doktorat należało złożyć pracę doktorską oraz zdać egzamin przed specjalną komisją. Z tym pierwszym nie było problemu – wystarczyło zebrać jego prace naukowe. Poważnym problemem był ów egzamin, bowiem Banachowi absolutnie nie chciało się go zdawać. Jego koledzy wy-

S. Banach (1892–1945)

myślili fortel. Banach był entuzjastą dyskusji naukowych (zajmował się nauką raczej dyskutując z innymi, a nie ślęcząc po bibliotekach). Koledzy poinformowali go, że jest grupa osób, która chce przedyskutować z nim szereg problemów. Banach się zapalił, przybył na spotkanie z tą grupą i z zapałem odpowiadał na pytania. Jakież było jego zdziwienie, gdy następnego dnia dowiedział się, że znakomicie zdał egzamin doktorski.

(usłyszane od Krzysztofa Ciesielskiego)

* * *

Banach nie znosił posiedzeń akademickich. Gdy dostawał zaproszenie na takowe, stwierdzał:

– Wiem, gdzie nie będę.

* * *

Fundamentalna książka Banacha, w której zbudował on podwaliny analizy funkcjonalnej, nosiła tytuł *Teoria operacji liniowych*. Podobno lwowscy księgarze mieli problem z właściwym umieszczeniem tej książki w odpowiednim dziale tematycznym i w końcu umieścili ją w dziale książek... medycznych.

(usłyszane od K. Ciesielskiego)

* * *

W czasie swojej wizyty we Lwowie, niedługo przed wybuchem II wojny światowej, John von Neumann nakłaniał Banacha do emigracji do USA, by (podobnie jak w przypadku Stanisława Ulama) wykorzystać jego talenty matematyczne do prac dla potrzeb militarnych. Otóż von Neumann miał czek, podpisany przez Norberta Wienera, na którym tenże postawił tylko jedną cyfrę: „1". Banach miał dopisać za tą „1" tyle zer, ile tylko zechce. I co zrobił Banach? Odpowiedział spokojnie, że nie zna liczby zer, które by mu zrekompensowały Polskę, Lwów i Kawiarnię Szkocką. Podobno był to jeden z rzadkich momentów, gdy von Neumann nie mógł z siebie wydusić słowa.

(opowiedziane przez S. Ulama)

3. Friedrich Hirzebruch

Wzorzec 1 metra znajduje się w Sèvres pod Paryżem. Wzór Europejczyka znajduje się w Bonn, w Instytucie Matematycznym Maxa Plancka. To Friedrich Hirzebruch, jeden z najwybitniejszych matematyków drugiej połowy XX wieku, u którego miałem zaszczyt pracować przez ponad 4 lata.

Hirzebruch jest autorem takiej oto recepty na „udany wykład". Taki wykład powinien składać się z 3 części:

– Pierwsza część powinna być zrozumiała dla każdego słuchacza.

– Drugą część powinien rozumieć wykładający.

– No i jest jeszcze trzecia część... .

* * *

W Instytucie Matematycznym Maxa Plancka w Bonn dała się zauważyć następująca prawidłowość. Tylko jeden z pracowników przychodził do instytutu w garniturze i krawacie, wszyscy inni – bardziej na luzie: koszule, sweterki... . Gdy raz ktoś zapytał tego pracownika w garniturze i krawacie – a był nim Hirzebruch – dlaczego tak się katuje, tenże odparł:

– Jeżeli ktoś z zewnątrz odwiedzi nasz instytut, to nie pytając nikogo zaraz zauważy, kto jest jego dyrektorem!

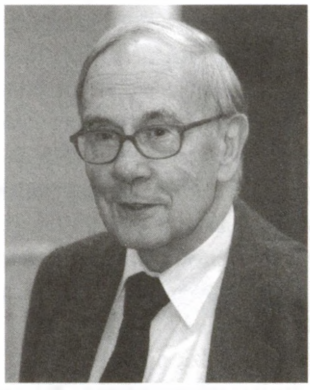

F. Hirzebruch

* * *

Byłem świadkiem wykładu, który Hirzebruch wygłaszał na swoje 75-lecie. Sala Instytutu Matematyki Uniwersytetu w Bonn była nabita po brzegi, a w pierwszym rzędzie siedzieli jego przyjaciele – osobnicy równie sędziwi jak on. Tablica była nie starta i jubilat zaczął ją ścierać sam. Wtedy znakomity matematyk Raul Bott – jeden z jego najbliższych przyjaciół – zapytał Hirzebrucha:

– Czy nie mógłbyś poprosić o starcie tablicy któregoś z Twoich (byłych) asystentów?

Jubilat uśmiechnął się i powiedział:

– Za starzy!

* * *

Hirzebruch był przez długi czas przewodniczącym Rady Naukowej Międzynarodowego Centrum im. Stefana Banacha w Warszawie. Kiedyś w czasie uroczystej kolacji z okazji posiedzenia tejże rady, ktoś z zebranych opowiedział następujący dowcip:

Dwóch zapaleńców wybrało się w podróż balonem. Początkowo pogoda im sprzyjała, lecz

nieco później nadeszły chmury i stracili orientację. Na szczęście chmury rozeszły się i nasi bohaterowie spostrzegli człowieka siedzącego na drzewie. Zakrzyknęli więc do niego:

– Gdzie my jesteśmy?

Człowiek zwlekał z odpowiedzią około godziny, wreszcie powiedział:

– W balonie.

– Dziękujemy panie matematyku – odkrzyknęli aeronauci.

– A skąd wiecie, ze jestem matematykiem? - zapytał człowiek na drzewie.

Aeronauci odpowiedzieli:

– Z trzech powodów: po pierwsze długo się pan zastanawiał, po drugie odpowiedź jest dokładna, a po trzecie do niczego się nie przyda.

Wszyscy obecni śmiali się z tego dowcipu – z jednym wyjątkiem. Tym wyjątkiem był Hirzebruch. Gdy śmiech umilkł, Hirzebruch powiedział:

– Panowie, jeżeli my będziemy opowiadali dowcipy, że matematyka jest nieużyteczna, to kto przy zdrowych zmysłach będzie chciał finansować badania matematyczne? Matematyka znajduje obecnie mnóstwo zastosowań. Weźmy np. telefon komórkowy; tego wynalazku nie byłoby bez teorii kodowania, którą stworzyła matematyka w ciągu ostatnich 30 lat...

I publika zamiast deseru musiała wysłuchać wykładu na temat współczesnych zastosowań matematyki.

* * *

Hirzebruch jako stosunkowo młody naukowiec odwiedził IAS (Institute for Advanced Study) w Princeton na początku lat 50-tych. Ponieważ nie miał tam samochodu, więc dla dostania się do centrum handlowego w celu zrobienia zakupów, używał autobusu uniwersyteckiego. Autobus ten miał tak poprowadzoną trasę, by jeden z jego przystanków wypadał przy domu Alberta Einsteina. Było to spowodowane tym, że Einstein był kiepskim kierowcą. Często zdarzało mu się zabłądzić wśród uliczek Princeton; gdy wjeżdżał pod prąd w uliczkę jednokierunkową, to pozostawiał samochód tam, gdzie stanął i szedł na posterunek policji prosząc by „odstawić Profesora Einsteina do domu". Autobus uniwersytecki miał rozwiązać te problemy. Hirzebruch często spotykał w tym autobusie Einsteina dyskutującego z Kurtem Gödlem i... notorycznie zapominającego wysiąść na „swoim" przystanku.

(usłyszane od F. Hirzebrucha)

4. Alain Lascoux

Najwięcej w matematyce nauczyłem się od Alaina Lascoux. Znam go od 1978 roku. Jest to osobnik wysoce oryginalny, o dużym poczuciu humoru. To o takich oryginałach, wielki matematyk angielski J.E. Littlewood mawiał:

– Oczywiście, każdy człowiek jest jedyny sam w sobie, ale niektórzy ludzie są „bardziej jedyni" niż inni.

Kilka lat temu, wykład na Seminarium Historii Nauki w L'École Normale Supérieure w Paryżu miał wygłosić René Thom. Jest on twórcą „Teorii katastrof" – głębokiej teorii matematycznej, mającej sporo odniesień do biologii. Nabita po brzegi sala czeka na zjawienie się prelegenta, a ten nie nadchodzi. Minął już kwadrans od wyznaczonej pory rozpoczęcia wykładu, a Thoma

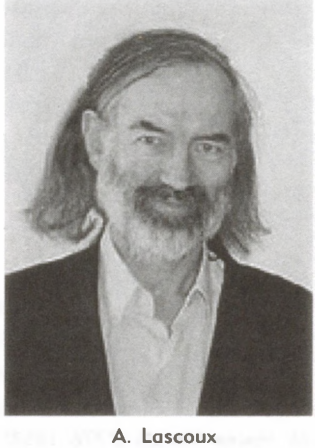

A. Lascoux

wciąż nie ma. Nagle w ciszy panującej na sali daje się słyszeć uwaga Lascoux:

– Miejmy nadzieje, że Profesorowi Thomowi nie przydarzyła się jedna z jego katastrof.

Sala ryczy ze śmiechu i w tym momencie na salę wchodzi... Thom.

* * *

Byłem kiedyś na wykładzie Lascoux, który nie mógł się rozpocząć z powodu spóźnienia się chairmana, mającego zapowiedzieć prelegenta. Kiedy wreszcie chairman się zjawił w drzwiach z kilkuminutowym opóźnieniem, prelegent powiedział do sali:

– Niech wolno mi będzie zapowiedzieć „zapowiadającego".

* * *

Istnieje dylemat jak prawidłowo pisać nazwisko Leibniza: Leibniz czy Leibnitz? Zdania są mocno podzielone, choć wydaje się, że pierwsza z możliwości przeważa. Lascoux jest zwolennikiem drugiej opcji i w związku z tym zdobył się na taki dowcip. W książce, którą napisał nazwisko to pojawia się po raz pierwszy na stronie 17. Otóż w skorowidzu widnieje:

Leibnitz, 17

Leibniz: patrz Leibnitz, 17

J.M. Hoene-Wroński (1776–1853)

5. Józef Maria Hoene-Wroński

J.M. Hoene-Wroński to jeden z najoryginalniejszych ludzi nauki, jakich wydała polska ziemia. Choć (do tej pory) nie doceniony należycie w swojej ojczyźnie, my poświęcamy mu tu osobny rozdział.

Kilka anegdot o Hoene-Wrońskim:

* * *

Szacownych członków Akademii Francuskiej nazywał „urodzonymi wrogami nauki" lub „uczonymi patentowanymi" i toczył z nimi wieloletnie boje.

* * *

Przekonał bankiera Arsona, że zna „Teorię Wszystkiego" i obiecał go w nią wprowadzić. W zamian Arson finansował badania i publikacje Wrońskiego. Po kilku latach Arson poczuł się oszukany i wytoczył Wrońskiemu proces. Wroński jednakże przekonał sędziego, że zna „Teorię Wszystkiego" i proces wygrał.

* * *

Słał listy do władców Europy instruując ich jak powinni sprawować rządy. Listy te zawierały dokładne wzory matematyczne jak rządzić. Oto przykład wzoru z *Epitre Sècrete a son Altesse le Prince Louis-Napoléon*, Dépôt des Ouvrages Messianiques, Metz 1851.

Niech a będzie stopniem anarchii, d – stopniem despotyzmu. Wówczas

$$a = ((m+n)/m \cdot (m+n)/n)^{p-r} \cdot (m/n)^{p+r},$$

$$d = ((m+n)/m \cdot (m+n)/n)^{r-p} \cdot (n/m)^{p+r},$$

gdzie m = numeryczny wpływ partii liberalnej, p = standardowe odchylenie filozofii partii liberalnej od prawdziwej religii, n = wpływ partii religijnej, r = odchylenie religii od prawdziwej filozofii.

(usłyszane od A. Lascoux)

Honoriusz Balzac określił Wrońskiego „najtęższym umysłem ówczesnej Europy" i uczynił go jednym z bohaterów *Komedii ludzkiej*. Po-

dobnie wysokie zdanie miał o nim Cyprian Kamil Norwid.

6. Varia

Ten rozdział wypada zacząć od anegdoty o Wienerze, który jest uważany w kręgach matematycznych za czołowego ekscentryka. Krąży o nim wiele anegdot (patrz [Wr], [K]). Oto anegdota, która wydaje się być mało znana:

Wiener miał zwyczaj przysypiać na wykładach. Nie ma w tym nic specjalnego, bo wielu naukowców traktuje wykłady jako dobre miejsce na drzemkę. Pewnego razu odbywał się wykład i siedzący na sali Wiener jak zwykle drzemał. Ale za każdym razem gdy wykładowca wymieniał jego nazwisko, cytując jakieś osiągnięcie naukowe, Wiener zrywał się i wołał:

– Obecny!

po czym opadał na krzesło i spał dalej.

(usłyszane od Z. Alexa Melzaka)

* * *

Był taki okres w Ameryce, gdy wśród firm wynajmujących samochody było dwóch zdecydowanych liderów, powiedzmy A i B. Firma A znajdowała się na pierwszym miejscu, ale firma B była tuż za A. W związku z tym firma B reklamowała się że jest „1.5".

W tym samym czasie za największego matematyka świata uchodził Carl Siegel. W czołówce matematyków znajdował się, młodszy od niego, André Weil (brat Simone Weil). Siegel miał wykład na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, bodaj z okazji przyznania mu doktoratu honorowego. Sala była wypełniona po brzegi, a w pierwszym rzędzie siedział Weil. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że na policzku Weil miał namalowane grubym flamastrem „1.5".

(usłyszane od Z.A. Melzaka)

* * *

Połowę roku 1991 spędziłem w Bergen. W czasie mego pobytu G. Ellingsrud i S. A. Stromme, tamtejsi geometrzy algebraiczni, próbowali znaleźć liczbę gładkich krzywych wymiernych, leżących na ogólnej kwintyce w 4-wymiarowej przestrzeni rzutowej. Pracochłonnymi rachunkami uzyskali tę liczbę. Ale w tym samym czasie ukazała się tajemnicza praca fizyków, gdzie bez dowodu anonsowana była inna liczba jako rozwiązanie tego samego problemu. Matematycy początkowo zlekceważyli pracę fizyków twierdząc: „Co tam będą nas fizycy uczyli rachunków". Ale po jakimś czasie zauważyli błąd w swoim rozumowaniu. Siedli do rachunków ponownie i po kilku miesiącach ciężkiej pracy wyszła im... liczba fizyków.

* * *

Widziałem kiedyś pracę wybitnego włoskiego matematyka Iacopo Barsotti'ego, w której w miejscu podziękowań umieścił on taki mniej więcej tekst:

Jest w zwyczaju, że autor dziękuje fundacjom naukowym za sponsorowanie jego badań. Otóż ja chcę w tym miejscu oskarżyć Włoską Narodową Fundację Naukową o rujnowanie włoskiej nauki poprzez niekompetentne i niesprawiedliwe wydawanie państwowych pieniędzy....

Praca była znakomita i mogła się ukazać w czasopismach z „górnej półki". Ale redakcje zażądały by wycofać ten fragment. Barsotti, znany ze swej bezkompromisowości, był jednak nieugięty. W rezultacie praca ukazała się (w całości) w podrzędnym czasopiśmie, które dzięki niej stało się sławne.

* * *

W swojej dysertacji doktorskiej napisanej w MIT (Massachusetts Institute of Technology), autor – D.R. Worley dziękował:

1. swoim rodzicom, że zechcieli go w ogóle spłodzić;

2. swojej sympatii, za to, że jej obecność przy nim w czasie przygotowania tej żmudnej pracy, nie pozwoliła mu do końca zidiocieć.

* * *

Nazewnictwo matematyczne zapożycza wiele nazw z języka potocznego. W matematyce mamy wiec: ciała, pierścienie, ideały, ciała doskonałe, rozmaitości, snopy, kiełki, źdźbła, wiązki; istnieją także pewne „podobiekty" zawarte w wiązkach, które nazywa się „podwiązkami". Kiedyś Koło Naukowe Matematyków Uniwersytetu Warszawskiego zorganizowało szkołę poświęconą teorii wiązek. Szkoła ta odbywała się w Domu Kultury w pewnej wiosce na Suwalszczyźnie. Na drzwiach wejściowych i w kilku innych miejscach rozwieszono plakaty informujące o szkole i jej tematyce. Ku wielkiemu zdziwieniu uczestników, następnego dnia po rozwieszeniu plakatów, ktoś zamazał wszystkie „podwiązki" czarnym flamastrem. Okazało się, że zrobiła to w nocy kierowniczka Domu Kultury, bo uznała, że pisanie o podwiązkach w takim miejscu jest nieprzyzwoitością.

* * *

Czasem zabawne rzeczy zdarzają się przy tłumaczeniu nazw matematycznych z jednego języka na inny. Pewien typ ciągów liczb naturalnych został nazwany w języku angielskim „perversion" (perwersja). Niemcom ta nazwa wydała się zbyt frywolna i ten sam typ ciągów nazywają „Toleranz" (tolerancja). Wniosek: w Niemczech tolerancja to perwersja.

(usłyszane od Jean-Paul Brasseleta)

* * *

Goszcząc kiedyś w Chicago u Williama Fultona, wybitnego amerykańskiego geometry algebraicznego, tenże zaprosił mnie pewnego wieczoru do Filharmonii Chicagowskiej (grał Yo-Yo Ma). W drodze powrotnej zapytałem Fultona o wrażenia z tego koncertu. Po chwili namysłu, odpowiedział mi:

– Lemat trzeci jest fałszywy, ale twierdzenie czwarte chyba da się uratować.

* * *

Lars Ahlfors – wielki fiński mistrz analizy zespolonej i laureat Medalu Fieldsa lubił tęgo popić. Był znany z tego, że wieczorem zdrowo zakrapiał, a następnego dnia rano, trzeźwy i świeży, wygłaszał znakomity wykład. Miał cudowną małżonkę, która na party, gdzie serwowano „tylko" piwo przynosiła w torebce butelkę whisky, a wręczając mu ją mówiła:

– Lars, tak będzie szybciej!

(usłyszane od Dana Laksova – wieloletniego dyrektora Instytutu Mittag-Lefflera)

* * *

Weil jako młody (lecz już sławny) matematyk został zaproszony przez Goste Mittag-Lefflera do jego willi w Djursholm pod Sztokholmem, w celu napisania wspólnej książki. Każdego dnia sędziwy Mittag-Leffler, ubrany w strój doktora honorowego Oxfordu lub Cambridge, siadał przy swoim ulubionym biurku i rozpoczynał z Weilem dyskusje na temat książki. Po jakimś kwadransie, zmęczony, zapadał w drzemkę. Młodemu Weilowi nie wypadało go budzić, więc cicho wycofywał się z gabinetu starego mistrza. „Przepracowawszy" tak tydzień, Weil zrozumiał, że z książki nic nie będzie.

(tę anegdotę opowiedział D. Laksovowi sam A. Weil, w czasie wizyty w Instytucie Mittag-Lefflera w latach 80., a Laksov opowiedział ją mnie)

* * *

Oto anegdota o Alfredzie Tarskim, światowej sławy matematyku, urodzonym w Warszawie w rodzinie zamożnego kupca, Ignacego Teitelbauma. W wieku 22 lat, Alfred zmienił nazwisko z żydowskiego na polskie. Gdy później zwrócił

się do ojca po pomoc finansową, ten mu odpowiedział:

– Idź z tym do starego Tarskiego.

(usłyszane od steinbock)

* * *

Pasquale del Pezzo, wielki geometra włoski, pochodził z arystokratycznej rodziny. Raz ta okoliczność mu pomogła, innym razem – nie. Pomogła mu, gdy przebywając w Szwecji zapałał miłością do siostry Mittag-Lefflera, Anny Charlotty, która była protestantką. Arystokratycznymi kanałami udało się uzyskać od papieża zgodę na ślub. Nie pomogła – gdy Del Pezzo kiedyś nagle zaniemógł. Konieczna była szybka operacja, a w okolicy nie było żadnego lekarza o „dostatecznie" arystokratycznym pochodzeniu, który mógłby operować del Pezzo. I on zmarł.

(usłyszane od A. Lascoux)

* * *

W latach 40. dwaj matematycy angielscy – D.E. Littlewood i A.R. Richardson – znaleźli pewną interesującą regułę kombinatoryczną na liczenie krotności reprezentacji nieprzywiedlnej pełnej grupy liniowej w iloczynie tensorowym dwu takich reprezentacji. Niestety, wkrótce okazało się że ich dowód zawierał poważną lukę, której nikt nie potrafił naprawić. Reguła była jednak tak sugestywna, że wszyscy byli przekonani o jej prawdziwości. Była ona masowo stosowana w obliczeniach związanych z programem Apollo. Dzięki niej człowiek poleciał na Księżyc i powrócił. I dopiero w kilka lat później owa reguła, zwana dziś „Regułą Littlewooda-Richardsona", została ściśle udowodniona przez francuskiego matematyka Marcela-Paula Schützenbergera.

(usłyszane od Iana G. Macdonalda)

* * *

John von Neumann staje po śmierci przed obliczem Pana Boga.

– Johnny, tak naprawdę to ty nie masz do końca czystego sumienia; będzie trzeba dokładnie prześwietlić twoje życie – mówi Bóg.

– Ależ Panie Boże, jeśli taka będzie Twoja wola to gotów jestem nawet pójść do piekła, ale proszę zdradź mi odpowiedź na jedno pytanie, bo wprost umieram z ciekawości – odpowiada Johnny.

– Jakie to pytanie?

– Czy hipoteza Riemanna jest prawdziwa?!

(usłyszane od Z. A. Melzaka)

7. Aforyzmy Matematyczne

Wśród matematyków krąży następujące powiedzenie (przypisywane Gian-Carlo Rocie):

„Twoja kariera matematyczna zaczyna się kiedy jesteś najmłodszym uczestnikiem konferencji, a kończy się – kiedy jesteś najstarszym."

Wśród refleksji Simone Weil, znajduje się i taka (patrz [W], str. 176):

„Pieniądz, maszyna, algebra. Trzy monstra cywilizacji współczesnej. Całkowita analogia."

Następne aforyzmy pochodzą z [Z]:

„Matematyka jest trochę jak znajdowanie ropy. Ale matematyka ma jedną wielką przewagę nad ropą, mianowicie w tym, że do tej pory nikt nie znalazł sposobu by używać tej samej ropy jednocześnie na całym świecie."

Andrew Wiles

* * *

„Taniyama miał wielki dar do popełniania wielu błędów, ale... w dobrym kierunku. Zazdrościłem mu tego i próbowałem go naśladować, ale uświadomiłem sobie, że to jest całkiem trudne robić dobre błędy."

Goro Shimura

* * *

„Aksjomaty teorii zbiorów są niekoherentne, ale dowód tej niekoherentności jest zbyt długi dla naszego fizycznego świata."

Pierre Cartier

* * *

„Jest coś takiego w statystyce, co czyni ją podobną do astrologii."

G-C. Rota

* * *

„Największą krzywdę jaką można zrobić problemowi, to rozwiązać go do końca."

Daniel Kleitman

* * *

„Nie jest moim interesem robić pieniądze - jestem profesorem matematyki."

George Papanicolau

* * *

„Mój zawód jest pytaniem otwartym. Kiedyś byłem asystentem matematyki. Potem spędziłem jakiś czas żyjąc w lasach Montany."

Theodore J. Kaczynski („Unabomber")

Wypada zakończyć ten artykuł jakimś mocnym akcentem. Pál Erdős napisał:

„Bóg ma pozaskończoną księgę, w której są zapisane wszystkie twierdzenia i najlepsze dowody i gdy jest dobrze usposobiony, pokazuje nam na moment jej fragment. Myślę, że nie trzeba nawet wierzyć w Boga, a tylko w istnienie takiej księgi."

Podziękowania

Serdecznie dziękuję wszystkim wyżej wymienionym osobom, które opowiedziały mi zamieszczone tu anegdoty. Dziękuję także uczestnikom wątku „Humor w nauce" [Hn] o nickach: 3bezatu, eilean_donan, ewa, Onufry i steinbock za inspirację, pomoc i uśmiech.

Bibliografia

[Hn] Wątek Gazety Wyborczej - Forum Humorum „Humor w nauce", strona internetowa: http://forum.gazeta.pl/forum/72,2.html?f=384&w=26429889

[J] L. Jeśmanowicz, *Caricatures of Polish mathematicians*, UMK Toruń, 1994.

[K] S.G. Krantz, *Mathematical Apocrypha*, Mathematical Association of America, Washington, D.C., 2002.

[W] S. Weil, *Wybór Pism*, przekł. i oprac. Cz. Miłosz, Kraków, 1991.

[Wr] A.K. Wróblewski, *Uczeni w Anegdocie*, Warszawa, 1999.

[Z] D. Zeilberger, Strona internetowa: http://www.math.rutgers.edu/~zeilberg/PLAN.html

Piotr Pragacz

Instytut Matematyczny PAN
http://www.impan.gov.pl/~pragacz

Barbara Kamińska-Czubała, Dorota Witczak

Perspektywy i problemy rozwoju Pedagogicznej Biblioteki Cyfrowej

W maju ubiegłego roku odbyła się inauguracja Pedagogicznej Biblioteki Cyfrowej, która w zamierzeniu jej inicjatorów ma stworzyć techniczne warunki udostępniania publikacji elektronicznych zgodnie z potrzebami środowisk akademickich oraz nauczycieli, pedagogów praktyków i kadry zarządzającej edukacją. Ułatwienie dostępu do książek i czasopism z zakresu pedagogiki i nauk pokrewnych daje wyjątkową szansę prezentacji poglądów i doświadczeń odnoszących się do aktualnych problemów edukacji i wychowania.

Realizacja wizji biblioteki cyfrowej, pełniącej funkcje repozytorium polskiej myśli pedagogicznej, powoduje konieczność wspólnych działań organizacyjnych i pozyskania źródeł finansowania. Biblioteki cyfrowe, które nie posiadają stałych źródeł finansowania, poszukują innych rozwiązań, np. wykorzystując środki pochodzące z grantów lub fundacji, które pozwalają na pokrycie kosztów realizacji projektu. Funkcjonowanie biblioteki cyfrowej polega bowiem na wykonywania szeregu czynności ujętych w starannie przemyślane procedury. Biblioteka cyfrowa jest więc instytucją o swoistej organizacji, strukturze, relacjach i zakresach odpowiedzialności za poszczególne moduły jej działania. Jednak w wielu funkcjach (jak np. gromadzenie, opracowanie) jest podobna do tradycyjnej biblioteki, inny jest jedynie nośnik informacji oraz sposób udostępniania.

Podobnie jak w tradycyjnej bibliotece konieczne jest prowadzenie jednolitej polityki gromadzenia kolekcji, czyli określenia zasad typowania dokumentów, które mają podlegać procesowi digitalizacji. Trudno wyobrazić sobie przygotowanie doborowej kolekcji bez wsparcia specjalistów z obszaru szeroko pojmowanej pedagogiki, działających w porozumieniu z bibliotekarzami, aby w racjonalny sposób wykorzystać z trudem zdobywane środki. Przy doborze dzieł do kolekcji cyfrowej szczególnej analizy wymaga ich status prawny oraz znajomość aktualnie obowiązujących przepisów z zakresu prawa autorskiego i umiejętność ich interpretacji (Ustawa z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Ustawa z dnia 1 kwietnia 2004 r. o zmianie ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych), aby poza cennymi starymi drukami w bibliotece cyfrowej mogły znaleźć się również repliki najnowszych dzieł – chronionych ustawą. Udostępnienie większości dokumentów wymaga uzyskania pisemnej zgody autora lub innej osoby czy instytucji, będącej w posiadaniu autorskich praw majątkowych. Takie działania, jak kontakty z autorami lub wydawcami, przygotowanie wzorów umów o udzielenie odpowiedniej licencji, przechowywanie dokumentacji, zwykle są powierzane osobom na zasadzie pełnomocnictwa.

Najbardziej kosztownym działaniem jest przygotowanie elektronicznych replik drukowanych dokumentów. Digitalizacja polega na skanowaniu poszczególnych stron dokumentu, które może trwać kilka godzin (w zależności od klasy posiadanego sprzętu). Analiza jakości otrzymanych „skanów", przeprowadzenie niezbędnej korekty graficznej (przy pomocy specjalistycznego oprogramowania), scalenie uzyskanych plików i nadanie im właściwego formatu za pomocą programów graficznych, to również bardzo czasochłonne zabiegi, nawet przy dużej biegłości w obsłudze programów. Kolejną czynnością jest porząd-

kowanie plików przy wykorzystaniu tzw. wirtualnej drukarki, a dopiero potem zapisanie książki w postaci pliku DjVu lub PDF (z zastosowaniem programów konwertujących np. Adobe Acrobat, Document Express Professional). Aby umożliwić przeszukiwanie tekstu należy dodatkowo zastosować program typu OCR (Optical Character Recognition) zamieniający obraz liter na kody cyfrowe . Przygotowaniem tradycyjnego dokumentu do umieszczenia w bibliotece cyfrowej zajmują się specjalistyczne firmy opłacane najczęściej z funduszy pozyskanych z grantów lub fundacji (jak w przypadku cyfrowych bibliotek regionalnych np. Kujawsko-Pomorskiej Biblioteki Cyfrowej) lub przeznaczonych na rozwój studiów niestacjonarnych (w tym *e-learning*). Korzystanie z profesjonalnych usług zapewnia wysoką jakość i szybki przyrost zbiorów znajdujących się w bibliotece cyfrowej. Alternatywą jest utworzenie własnej pracowni digitalizacji wyposażonej w odpowiedni sprzęt i oprogramowanie obsługiwane przez wykwalifikowany personel.

Zaimplementowany na serwerze AP program dLibra do budowy bibliotek cyfrowych umożliwia udostępnianie publikacji w pełnym lub ograniczonym zakresie, np. tylko na dedykowanym komputerze lub w sieci z dostępem zabezpieczonym hasłem. Zarządzaniem publikacjami cyfrowymi na serwerze muszą zajmować się przeszkoleni administratorzy. Do ich obowiązków należy między innymi zakładanie kont osobom pracującym w systemie dLibra z przypisaniem uprawnień, stosownie do wykonywanych zadań (np. redaktorom - katalogerom sporządzającym opisy dokumentów cyfrowych w formacie DublinCore). Zarządzanie i praca w programie wymaga specjalistycznego szkolenia, ze względu na złożoność poszczególnych czynności oraz specyfikę programu dLibra.

Obecnie przygotowywane są materiały niezbędne do wystąpienia o grant zawierające między innymi cele projektu, opis procedur, kosztorysy, a także informacje o planowanej liczbie i rodzajach obiektów w poszczególnych kolekcjach. Rozpatrywane są również możliwości zaproszenia do współpracy innych bibliotek pedagogicznych w Polsce. Zakłada się, że szczególne miejsce w tworzonej elektronicznej kolekcji stanowić będą publikacje pracowników Akademii Pedagogicznej (i innych uczelni), na których udostępnienie wyrażą zgodę. Osoby, które zechcą zamieścić swoje teksty w PBC, proszone są o zgłoszenie propozycji pod adresem e-maliowym: pbc@tessa.ap.krakow.pl, w celu podpisania umowy licencyjnej o zakresie udostępniania.

Obiektami biblioteki cyfrowej mogą być nie tylko dokumenty tekstowe, jak: książka, artykuł w czasopiśmie lub wydawnictwie zbiorowym, ale także dokumenty audiowizualne i graficzne (plansze, fotografie, obrazy). Elektroniczna kolekcja materiałów dydaktycznych obejmująca prace chronione prawem autorskim, będzie przyrastać efektywnie po dostarczeniu wykazów literatury szczególnie zalecanej studentom i najczęściej przez nich poszukiwanej i uruchomieniu procedur zmierzających do udostępnienia ich w PBC.

Stopniowe pokonywanie zasygnalizowanych problemów przyczyni się do rozwoju PBC - instytucji opartej o najnowsze technologie wykorzystywane w społeczeństwie informacyjnym.

Barbara Kamińska-Czubała
Dorota Witczak

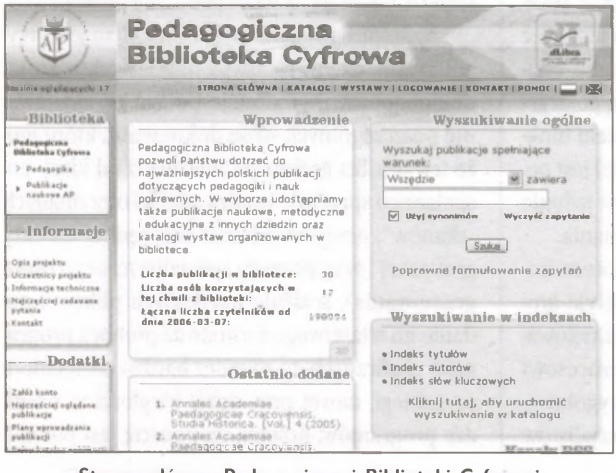

Strona główna Pedagogicznej Biblioteki Cyfrowej

Bartosz Ochoński

Jacek Kaczmarski w świecie pieśni

Z perspektywy prelegenta

Niewątpliwie szczytną ideą jest organizowanie sesji naukowych poświęconych osobom zasłużonym dla kultury określonej społeczności; osobom być może zapomnianym, ale nadającym wysoki ton refleksjom jej członków, którzy sensowność specyficznego pojmowania świata przez określoną postać chcieliby też przełożyć na swe codzienne życie. Niewątpliwie również słuszną okazała się koncepcja zorganizowania konferencji poświęconej Jackowi Kaczmarskiemu: poecie zmarłemu przed trzema laty na raka krtani, który dziś – gdyby żył – obchodziłby swe 50. urodziny. Pomysłodawcą sesji był twórca najpełniejszej dotąd monografii poświęconej Kaczmarskiemu, dr Krzysztof Gajda z Instytutu Filologii Polskiej przy Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Oficjalne otwarcie konferencji miało miejsce już w wieczór poprzedzający rocznicę urodzin Jacka Kaczmarskiego. 21 marca o godz. 20.00 przy „Scenie na piętrze" (ul. Masztalarska 8) w Poznaniu zebrali się nie tylko goście konferencyjni, ale liczne grono sympatyków twórczości Kaczmarskiego, dawni przyjaciele poety, a także część poznańskiej inteligencji z Prezydentem Miasta Poznania – Maciejem Frankiewiczem – na czele. Głos zabrał m.in. dr Krzysztof Gajda, pomysłodawca i organizator całego projektu, oraz Dyrektor Instytutu Filologii Polskiej UAM, prof. Katarzyna Meller, która w kilku słowach wyraziła swą wdzięczność wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania konferencji. Zebrani goście mieli okazję zobaczyć film Piotra Załuskiego *Dni przedostanie, dni następne*, którego reżyser, będąc przez lata przyjacielem Kaczmarskiego, mógł towarzyszyć poecie w jego ostatnich dniach życia. Nie bez kozery wziął się więc tytuł reportażu, w prostej linii nawiązujący do Norwidowego poematu *Fortepian Szopena*.

Najwięcej emocji wzbudził jednak koncert kwartetu Pro Forma (w składzie: Przemysław i Piotr Lembicz, Wojciech Strzelecki oraz Marcin Żmuda). Muzycy wykonali szereg pieśni z repertuaru barda, odświeżając bądź to znane i najczęściej kojarzone z postacią Kaczmarskiego protest-songi (jak *Mury*, *Obława* czy *Katarzyna II*), bądź też utwory właściwie nieznane (jak *Dance Macabre*), pochodzące z pośmiertnego tomu *Tunel*, do których kwartet już sam skomponował muzykę. Istną perłą koncertu okazało się wyśpiewanie *Requiem rozbiorowego* – 12-minutowego utworu, który trio Kaczmarski-Gintrowski-Łapiński na koncertach w latach 80. wykonało zaledwie trzy razy.

Po koncercie nastąpił skromny bankiet jednoczący sympatyków poety z internetowego forum kaczmarski.art.pl, prowadzonego i moderowanego przez Krzysztofa Nowaka z Warszawy.

Właściwa, merytoryczna część konferencji rozpoczęła się 22 marca o godz. 9.00. Sala posiedzeń Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (przy ul. Mielżyńskiego 27) stała się areną zmagań i nierzadko sporów wielu prelegentów.

W zastępstwie prof. Jana Poprawy jego referat, *Jacek Kaczmarski w nurcie piosenki studenckiej*, odczytał prof. Jerzy Szmulski, zaś za nieobecną prof. Jadwigę Sawicką referat poświęcony współczesnemu rozumieniu roli barda (i dookreślających go pojęć typu: pieśń autorska, przestrzeń macierzysta czy bezdomność rozumiana jako forma protestu i sposobu na życie) wygłosiła prof. Seweryna Wysłouch. Zwłaszcza w drugim odczycie pojawiła się ciekawa myśl, że istota barda polega na dotarciu do słów prawdziwych - w dzisiejszym świecie słowa zostały splugawione, toteż by mówić o rzeczach wielkich, należy posługiwać się najprostszym językiem. Bard, dążąc do wolności - tej jedynej wartości, o jaką warto walczyć - odrzuca ideały piękna i staje po stronie prawdy. Z kolei problemy terminologiczne (które przewijały się zresztą przez cały czas trwania konferencji) próbował ująć wieloletni przyjaciel poety, mgr Krzysztof Gozdowski. Stwierdził on, że pieśń autorska właściwie nie funkcjonuje poza twórczością Kaczmarskiego, stąd nawet termin „świat pieśni" nie powinien funkcjonować jako obszar zamknięty, skoro artystyczne dokonania Włodzimierza Wysockiego, Jana Kleyffa czy innych twórców nie konstytuują jednolitego kręgu tematycznego oraz stylistycznego, lecz stanowią ich wielowarstwową mozaikę.

Po krótkiej przerwie z referatami nastawionymi już na pełniejszą interpretację tekstów Kaczmarskiego wystąpili mgr Marek Karpiński (*Piewca materii przetworzonej*) oraz mgr Marta Margiel (*„Spójrz na płótno artysty...". Jan Vermeer van Delft w piosenkach Jacka Kaczmarskiego*). Prelegenci mieli szansę przedstawić m.in. własny sposób odczytania takich utworów jak: *List miłosny*, *Alegoria malarstwa* czy *Kobieta trzymająca wagę*. Interesującym dopełnieniem tej części konferencji był pokaz montażu filmowego *Rublowa* Andrieja Tarkowskiego, do muzyki i słów poety inspirowanych dziełem radzieckiego reżysera.

W trakcie dyskusji, podsumowującej wyprowadzone dotychczas wnioski, zaczął się rysować wyraźny spór między zwolennikami twórczości Jacka Kaczmarskiego: te bowiem osoby, które miały okazję znać go osobiście, wykazywały tendencję do odczytania jego artystycznych dokonań przez pryzmat jego sylwetki twórczej, czyli - mówiąc konkretniej - kierowała nimi skłonność do refleksji nad inspiracjami poety, a nie faktycznym materiałem literackim. Pozostała część referentów, którzy szansy osobistego spotkania z poetą nigdy nie mieli, odnosili się jedynie do zastanych tekstów poetyckich, by z nich czerpać wiedzę o sposobie pojmowania świata i kultury przez Kaczmarskiego. Prowadzony pośrednio konflikt dawał się odczuć przez cały czas trwania konferencji i ustanowił pewną linię demarkacyjną między sympatykami Kaczmarskiego *sensu stricto* a sympatykami jego twórczości.

Interesujące referaty, podejmujące kwestię stosunku poety wobec tradycji, wygłosiła prof. Ewa Paczoska (*Jacek Kaczmarski i polski kanon*) oraz dr Agnieszka Kwiatkowska (*Kaczmarski - antysarmata?*). W swoim odczycie prof. Paczoska szczególną uwagę zwracała na analizę programu *Muzeum*: przypomniała, iż podobne próby rozpatrzenia lat rzeczywistości Polski porozbiorowej wysuwali już Stanisław Wyspiański czy Maria Konopnicka, ale dopiero Kaczmarskiemu udało się przekroczyć granice indywidualnego odbioru i spojrzeć na polską kulturę ostatnich dwustu lat z ważnej dla ogółu perspektywy. Z kolei w wystąpieniu dr Kwiatkowskiej, ograniczonego właściwie do rzetelnego omówienia programu *Sarmatia*, w ciekawy sposób przedstawione zostały kontrasty w pojmowaniu świata zarówno przez szlachcica doby późnego baroku, jak i współczesnego, mającego się za wyedukowanego, obywatela IV RP. Badaczka *Sarmatii* nie postawiła jednak wyraźnego znaku wartościującego - i chyba słusznie, bo takowego uczynić nie można zważywszy na niespójny charakter Polaka-sarmaty, który z jednej strony uważa się za bojownika o czystość wiary, a z drugiej - jest grzesznikiem ulegającym pokusom, których nie wstydziliby się najbardziej za-

twardziali poganie. Który z jednej strony chełpi się narodowymi wartościami uprawiając swego rodzaju regionalny nacjonalizm, z drugiej zaś - czerpie pełną garścią z zachodnich pomysłów nie potrafiąc zdobyć się na własne, oryginalne myślenie. Jak wykazała dr Kwiatkowska, zasadność obserwacji Kaczmarskiego jest niestety aktualna do dziś.

Ostatni referat w tej części wygłosił student III roku filologii polskiej UAM, Stanisław Krawczyk, który pod nieco zwodniczym tytułem przemówienia - *Dialog z romantyzmem. Dialog z samym sobą* - ujął twórczość Kaczmarskiego od strony teoretycznej, dopatrując się w niej śladów relacji wielogłosowej. Posługując się terminem „ja dialogowego" według koncepcji Huberta Hermansa i uznając sposób konstruowania poszczególnych tekstów poety za przejaw budowania pewnych autonarracji, zaproponował pojęcie „poezji narracyjnej" i „poezji polifonicznej" jako terminów najpełniej oddających wieloaspektowość twórczości autora *Epitafium dla Wysockiego*.

W dalszej części programu krótkie wystąpienie poświęcone najwcześniejszym utworom honorowanego poety podjął dr Krzysztof Gajda. Zebrani mieli okazję zobaczyć kilkanaście szczegółowych szkiców wykonanych ręką młodego Kaczmarskiego, a także cyfrowe reprodukcje jego pierwszych prób literackich adresowanych do rodziców (jak np. pisany bezbłędnie na maszynie i obity skórą brulion z okuciami zawierający niepublikowany nigdzie dramat *Bolesław Śmiały* czy cykl krótkich opowiadań-parabol inspirowanych najpewniej bajkami dalekowschodnimi). W planach jest wydanie zbioru tych pouczających juweniliów, tym bardziej ciekawych, iż pisanych przez nastoletniego poetę.

Z referatami nieco odbiegającymi od toku analiz próbek poetyckich (czy piosenek autorskich, jak chcieli niektórzy) wystąpili: Ewa Kretkowska - stosująca kryterium psychoanalityczne do jednej w pierwszych, bodajże najbardziej interesującej powieści Kaczmarskiego, jaką jest *Autoportret z kanalią*, oraz Piotr Załuski - przytaczający szereg barwnych anegdot z okresu współpracy z poetą w RWE.

Długi dzień konferencyjnych zmagań znalazł swe ujście podczas kolacji, tym razem w klubie „Pod Pretekstem". Już w nieco mniej galowej atmosferze ponownie wystąpił kwartet Pro Forma, wykonując bardziej ucieszne pieśni zapominanego od tej strony barda (m.in. fenomenalny *Hymn wieczoru kawalerskiego* czy przezabawną *Mufkę*), zaś dzięki uprzejmości Teresy Drozdy wyemitowano jej radiowy reportaż, *Nadzieja dla zaawansowanych*, w którym można było usłyszeć głosy i opinie wielu przyjaciół i znajomych Jacka Kaczmarskiego niedługo po jego śmierci (10 IV 2004 r.).

W drugim dniu obrad tematykę konferencji zdominował problemowy sposób podejścia do materiału badawczego: z referatem poświęconym motywom tanatycznym wystąpił dr Igor Borkowski, zauważając, że w twórczości Kaczmarskiego śmierć poddana zostaje pewnemu sfunkcjonalizowaniu i staje się rewelatorem nie tylko tej najbardziej pewnej wiedzy o świecie. Pod kątem transtekstualności archetypowe wyobrażenia z programu *Raj* omówił piszący te słowa, zaś mgr Stanisław Wójtowicz zajął się problemem transgresji pojmowanej u Kaczmarskiego jako rodzaj uzewnętrznienia emocji (głównie cierpienia), które na gruncie poszczególnych utworów ewokowane jest krzykiem lub - będącym przedłużeniem krzyku - milczeniem. Równocześnie wskazał on, iż w człowieku transgresję rodzi najczęściej zderzenie z historią, wyrzucenie poza przyjmowany przezeń dyskurs (rozumiany jako kontekst macierzysty najbardziej osobisty dla danej jednostki). Z kolei rozważania na temat historii podjęli: mgr Małgorzata Lisecka (szczegółowo analizując *Przejście Polaków przez Morze Czerwone* i *Krajobraz po bitwie* oraz rozwijając zawarte w nich analogie względem konkretnych wydarzeń politycznych) i Piotr Stankiewicz - uogólniając wymiary odczytań twórczości Kaczmarskiego do dialogów: z tradycją (sztuką), z literaturą oraz z historią. W podobnym tonie wypowiedział się też mgr

Bartłomiej Krupa – szczególnie interesowały go odwołania do tekstów poświęconych II wojnie, toteż dużo miejsca poświęcił słabo znanemu utworowi *Kredka Kramsztyka*.

Po przerwie, w wystąpieniach dr. Jarosława Borowskiego (*Z zagadnień wersyfikacji Jacka Kaczmarskiego*), mgr Iwony Traczyk (*Dialogiczność poezji Jacka Kaczmarskiego*) oraz szczególnie mgr. Michała Traczyka (*Poeta czy tekściarz*) powróciła kwestia zastosowania terminologii teoretycznej do utworów, które – choć w obiegu popularnym istnieją jako piosenki – przez zwolenników merytorycznego i bogatego semantycznie odczytania twórczości Kaczmarskiego będą zawsze uznawane za teksty poetyckie. Podobne wnioski towarzyszyły całej zresztą konferencji: być może musi minąć sporo czasu, by twórczość Kaczmarskiego nie wymagała oparcia w tej grząskiej linii obrony, jaką jest jej odbiór przez pryzmat biografii twórcy, i – o ile w pełni na to zasługuje – mogła obronić się sama. Nie można jednak było nie zauważyć, iż twórczość poety gromadzi określony krąg odbiorców, którym poczucie obcowania ze Sztuką daje poczucie sublimacji, co prowadzić może do niebezpiecznych obserwacji, iż kiedyś słuchanie Kaczmarskiego stanie się modne. Osłabi to wówczas nośność interpretacyjną tych przede wszystkim tekstów, które szerokiej opinii publicznej znane są z promocyjnych tylko albumów. O tym, czy o taki odbiór poeta rzeczywiście zabiegał, niech odpowiedzą ci, którzy mieli okazję znać go dłużej niż jeden dzień.

Bartosz Ochoński

Magdalena Stoch

Polonistyczne Forum Dyskusyjne

Zgodnie z zapowiedzią, Koło Naukowe Polonistów AP zorganizowało trzy kolejne spotkania w ramach Polonistycznego Forum Dyskusyjnego.

Pierwsze z nich odbyło się dnia 17 stycznia. Gościem wieczoru był prof. Stanisław Stabro, który wygłosił odczyt: *Nowa Fala po latach*. Wystąpienie swoje urozmaicił wspomnieniami z okresu działalności w krakowskiej grupie „Teraz", dzięki czemu nabrało ono charakteru naukowo-anegdotycznego. Okazało się, że Nowa Fala nie była monolitem. Jako zjawisko literackie charakteryzowała się wewnętrznym zróżnicowaniem i wielogłosowością. U jej początków leżała nie tylko ówczesna sytuacja polityczna, ale również swoisty bunt młodych artystów wobec pokolenia ojców oraz tęsknota do wolności i możliwości podróżowania, również w sensie metaforycznym.

Odczyt prof. Stabry poprzedziło wystąpienie grupy teatralnej Barbary Serwatki, w skład której wchodzą obecnie: Anna Ryglowska, Agnieszka Żuber, Patrycja Synowiecka, Paweł Budziński, Marcin Serwatka, Maciej Wnękowicz (gitara, podkłady muzyczne), Michał Wojtusik (pianino, muzyka, śpiew) i Joanna Światłowska (obsługa techniczna). Przygotowali oni wiersze prof. Stabro, które odczytali przy akompaniamencie gitary. Kameralny nastrój przypieczętowała długa dyskusja na temat Nowej Fali i poezji, jaką tworzył prof. Stabro.

Kolejne spotkanie odbyło się dnia 21 lutego, w podziemiach gmachu Akademii Pedagogicznej. Tam swoją „siedzibę" ma dr Henryk Kotarski, znakomity historyk, interesujący się m.in. zamkiem i miastem Żółkiew, założonym w roku 1597 przez hetmana polnego koronnego Stanisława Żółkiewskiego. Swój wykład dr Kotarski urozmaicił prezentacją licznych rekwizytów, takich jak: fragment kopii husarskiej, panorama miasta Krakowa z wieku siedemnastego czy własnoręcznie wykonane rysunki obiektów architektonicznych. Interesujący był również film nakręcony w Żółkwi, doskonale oddający klimat panujący tam w okresie panowania Jana III Sobieskiego (była to ulubiona rezydencja króla). Dr Kotarski „zaraził" wszystkich swoją pasją i wnikliwością historyka i już zapowiedział chęć wygłoszenia kolejnego odczytu.

Natomiast ostatnie spotkanie w ramach Polonistycznego Forum Dyskusyjnego miało miejsce w Cafe „Spotkanie z Balladą" przy Placu Szczepańskim, gdzie zawisły obrazy prof. Stanisława Tabisza. Na początku wystąpiła wyżej wspomniana grupa teatralna, która przy akompaniamencie gitary i fortepianu zaprezentowała wiersze gościa wieczoru. Później, po krótkiej przemowie dr. Marka Karwali, opiekuna koła nauko-

prof. S. Tabisz

wego, prof. Tabisz wygłosił wykład na temat związków poezji i malarstwa. Podkreślił, że sztuka, którą tworzy, jest głęboko związana z życiem codziennym. Mimo to zalicza się ją do nurtu zwanego surrealizmem. Nie ma w tym jednak żadnej sprzeczności, gdyż – podobnie jak marzenie senne – sam obraz może być zakorzeniony w otaczającej nas rzeczywistości, a z drugiej strony tworzyć odrealnioną wizję. Jak pisał prof. Tabisz w jednym ze swych katalogów: „dzięki sztuce można nawiązać głębszy kontakt z rzeczywistością i nie zmarnować życia bezmyślnym i destrukcyjnym zachowaniem".

się tylko domyślać. Obrazy oczarowują niezwykłą atmosferą, jaka na nich panuje.

Dużo mroczniejsze, aczkolwiek bardzo dobrze przemyślane, są wiersze prof. Tabisza. Próbuje on odkryć w nich prawdę o życiu człowieka. Szczególne wrażenie zrobił na zebranych utwór *Chrystus ze śmietnika*, zainspirowany rzeczywistym wydarzeniem: odnalezieniem na tyłach uczelni porzuconej figurki Jezusa. Tym sposobem wiersze Stanisława Tabisza pokazują, że w nasze codzienne życie wpisane jest ciągłe obcowanie z cierpieniem i jego tajemnicą.

Po zakończeniu części oficjalnej, gość wieczo-

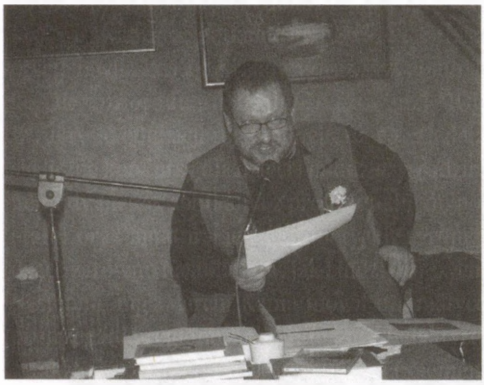

Jak się okazuje, analiza i interpretacja obrazów prof. Tabisza nie jest łatwym zadaniem. Na płótnach trudno dopatrzyć się elementów realistycznych. Dominują owalne, abstrakcyjne figury, fantastyczne zwierzęta i tajemnicze przedmioty, których symbolicznego znaczenia można

ru zaśpiewał kilka piosenek z repertuaru Piwnicy pod Baranami, a prof. Roman Mazurkiewicz odczytał dwa limeryki własnego autorstwa. Atmosferę spotkania do późnej nocy umilała też uczelniana grupa artystyczna.

Magdalena Stoch

Aleksandra Budrewicz-Beratan

Region i edukacja. Literatura – kultura – społeczeństwo

Promocja książki w Bukownie

28 lutego 2007 r. odbyła się uroczysta promocja pracy zbiorowej *Region i edukacja. Literatura – kultura – społeczeństwo* pod redakcją Zofii Budrewicz i Marcina Kani. Książka jest pokłosiem konferencji naukowej[1], która odbyła się 9 czerwca 2006 r. w Miejskim Ośrodku Kultury w Bukownie. Współorganizowały ją władze MOK, Urząd Miasta Bukowna oraz Instytut Filologii Polskiej Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie. Konferencja zainicjowała Bukowieńskie Spotkania Naukowe.

Promocja odbyła się w Sali Regionalnej MOK. Po uroczystym powitaniu bukowieńskiej publiczności prowadząca spotkanie mgr Ewa Stachurska przedstawiła gości z Krakowa oraz przypomniała, jak różnorodną działalność prowadzi MOK w zakresie edukacji regionalnej[2], na co składają się liczne konkursy dla dzieci i młodzieży, rodzinne rajdy piesze, spotkania z profesjonalnymi poetami oraz amatorskie koła poetyckie, gromadzące zarówno nastolatków, jak i ludzi starszych. Następnie mgr Marcin Kania mówił o tematyce postrzegania regionu w literaturze i dydaktyce, a także o programie wykorzystywania elementów regionalizmu w toku dydaktycznym. Wspominając czerwcową konferencję zwrócił uwagę na projektowaną cykliczność Bukowieńskich Spotkań Naukowych, które odbywać się będą raz w roku, przed Dniami Bukowna. Najwięcej uwagi poświęcił bohaterce wieczoru – promowanej książce: omówił jej zawartość, a także podziękował władzom Bukowna oraz Akademii Pedagogicznej, za pomoc finansową w wydaniu pracy.

Prof. Zofia Budrewicz mówiła o postrzeganiu regionalizmu przez pryzmat potrzeb edukacyjnych i wychowawczych, o tym, że myślenie o sztuce regionalnej jest dziś nie tylko modne, ale i potrzebne. Przytaczając dobre tradycje wychowania regionalnego z okresu dwudziestolecia międzywojennego oraz nazwiska znanych polskich pisarzy, którzy bezpośrednio służyli

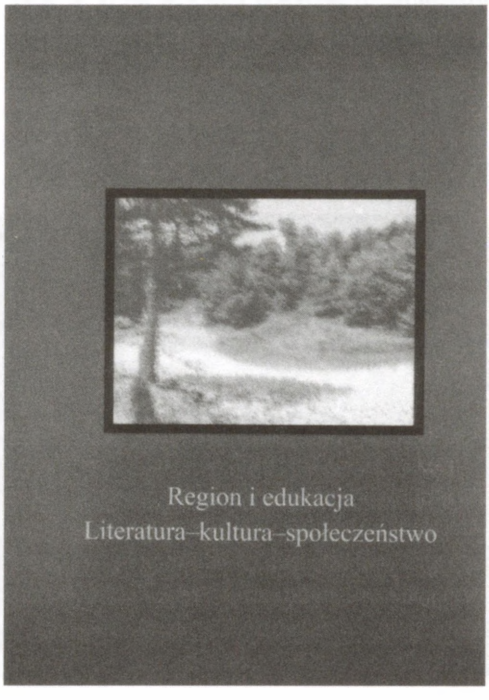

swym talentem szkole, zachęcała zgromadzonych na sali pedagogów i animatorów życia kulturalnego do dyskusji nad współczesnymi zadaniami edukacji regionalnej, a zwłaszcza nad rolą literatury pięknej w formowaniu postaw ideowych młodzieży.

Obecna na spotkaniu mgr Elżbieta Świć - doświadczona poloniśtka z Bukowna, opiekunka wielu różnorodnych przedsięwzięć literacko-artystycznych, podkreślała pilną potrzebę napisania naukowej, rzetelnej monografii miasta Bukowna. Wysoko oceniła walory poznawcze książki *Region i edukacja*, a także wyraziła nadzieję, że znajdą one bezpośrednie zastosowanie w praktyce szkolnej wielu regionów Polski, także i Bukowna.

W toku dyskusji, wypowiedzi burmistrza Bukowna Mirosława Gajdziszewskiego oraz prorektora Akademii Pedagogicznej w Krakowie, prof. Tadeusza Budrewicza, podtrzymały pozytywną ocenę Bukowieńskich Spotkań Naukowych, świadczących o wielokierunkowych twórczych poszukiwaniach działań dydaktyczno-kulturowych, służących efektywnemu formowaniu tożsamości regionalnej młodych ludzi. W nurt tych poszukiwań aktywnie włącza się bukowieński MOK, o czym informowała na spotkaniu mgr Aneta Karlik - dyrektor ośrodka.

Trzeba jeszcze wspomnieć o kuluarowej części spotkania, w której powracały plany włączenia w dyskurs o regionalizmie nauczycieli-praktyków. Słowa zachęty do prezentowania autorskich inicjatyw metodycznych kierowała do pedagogów ze szkół bukowieńskich prof. Z. Budrewicz. Innowacyjne działania nauczycielskie w zakresie wychowania regionalnego mają dziś, w zmieniającym się i niepewnym świecie, do spełnienia szczególnie doniosłą rolę. Bowiem bez świadomości rangi „okolic dzieciństwa" w dziedzictwie kulturowym trudno jest kształtować z dobrym skutkiem postawy czynnego uczestnictwa w kulturowym życiu kraju. Miejmy nadzieję, że udokumentowane i sprawdzone projekty działań edukacyjnych poznamy podczas II Bukowieńskich Spotkań Naukowych, które odbędą się 14-15 czerwca b.r. pod hasłem: *Zapisane w krajobrazie. Lekturowe obrazy regionów dawniej i dziś*. Tym razem organizatorzy planują konferencję dwudniową, połączoną z atrakcjami kulinarnymi i krajoznawczymi.

Aleksandra Budrewicz-Beratan

[1] Zob. I. Jarno-Kurach, *I Bukowieńskie Spotkania Naukowe: Regionalizm w dydaktyce*, „Konspekt" 2-3/2006 (26), s. 68-69.

[2] Zob. też: A. Karlik, *O regionalizmie w Miejskim Ośrodku Kultury* [w:] *Region i edukacja. Literatura-kultura-społeczeństwo*, Kraków 2006, s. 157-161.

Od lewej: prof. Z. Budrewicz, mgr M. Kania, mgr E. Świć

Maria Buczek

Ekonomia społeczna a rozwój lokalny

Dnia 2 kwietnia 2007 r. w Starej Auli Akademii Ekonomicznej w Krakowie, odbyła się konferencja: *Ekonomia społeczna a rozwój lokalny*. Główny punkt spotkania stanowiła debata oksfordzka pt. *Ta izba twierdzi, że ekonomia społeczna nie wspomoże rozwoju lokalnego*. Eksperci zastanawiali się, czy hasło to jest ekonomicznie uzasadnionym faktem, czy też stereotypem, przeczącym rzeczywistości i potrzebom obywateli. Tak postawionej tezy bronili: Andrzej Madej (Dom Maklerski PENETRATOR SA), Piotr Frączak (Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego) i Jacek Kowalczyk (Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej w Krakowie). Po stronie przeciwników tezy znaleźli się: prof. Anna Karwińska (Akademia Ekonomiczna w Krakowie), Danuta Szymońska (Ośrodek Kultury im. C. K. Norwida, Kraków), Jan Jakub Wygnański (Stowarzyszenie Klon/Jawor) oraz dr Jarosław Flis (Uniwersytet Jagielloński).

Przed konferencją został przeprowadzony sondaż, w którym słuchacze mieli ustosunkować się do tezy postawionej w tytule debaty. 72% spośród 160 respondentów uznało, iż ekonomia społeczna wspiera rozwój lokalny, 12% zgodziło się ze stwierdzeniem, że ekonomia ta nie wspomoże rynku lokalnego, natomiast 14% nie miało zdania na ten temat.

Po przerwie nastąpiło ogłoszenie wyników ankiety i podsumowanie konferencji, czego dokonał prof. Jerzy Hausner. Zaskakująca okazała się zmiana opinii publicznej. Aż 74% uznało tezę debaty za prawdziwą.

Prof. Hausner w swoim podsumowaniu podkreślił, iż ta różnica zdań wynika z niepełnego zrozumienia istoty ekonomii i przedsiębiorczości społecznej oraz różnych punktów widzenia panelistów. Gdyby rozłożyć na czynniki pierwsze takie pojęcia jak: ekonomia, gospodarka społeczna, przedsiębiorczość, kapitał społeczny, to zarówno eksperci, jak również uczestnicy konferencji zrozumieliby, iż ekonomia społeczna przenika do każdej dziedziny gospodarki (nawet jeżeli tego nie zauważamy) i jest niezwykle istotnym, a wręcz koniecznym elementem rozwoju lokalnego.

Niniejsza konferencja zainaugurowała serię debat regionalnych, służących integracji środo-

wisk działających na rzecz wzmacniania i konsolidacji przedsiębiorczości społecznej oraz promocji ekonomii społecznej w środowisku akademickim. Dlatego, oprócz praktyków związanych z projektami EQUAL, do udziału zaproszeni zostali studenci wszystkich krakowskich uczelni. Organizatorem tego wydarzenia była Małopolska Szkoła Administracji Publicznej, realizująca – przy wsparciu Europejskiego Funduszu Społecznego – projekty: „W poszukiwaniu polskiego modelu ekonomii społecznej " oraz „Krakowska Inicjatywa na rzecz Gospodarki Społecznej – COGITO".

Projekt „Krakowska Inicjatywa na rzecz Gospodarki Społecznej – COGITO" organizuje również cykl bezpłatnych szkoleń prowadzonych przez specjalistów w blokach 8 i 12 godzinnych. Warsztaty te, organizowane pod wspólnym tytułem *Budowanie kompetencji dla przedsiębiorczości społecznej*, mają za zadanie zapoznać uczestników z ideą ekonomii społecznej, przykładami przedsiębiorczości społecznej oraz zapewnić zdobycie konkretnych kwalifikacji i wiedzy przydatnej osobom, które zechcą się włączyć w ten sektor działalności gospodarczej lub już pracują na jego rzecz. Osoby obecne na warsztatach otrzymają bogaty pakiet materiałów szkoleniowych oraz certyfikat ukończenia kursu. Zagadnienia poruszane na szkoleniach to m.in.: *Komunikacja i public relations w organizacjach ekonomii społecznej*, *Źródła i instrumenty finansowania przedsięwzięć społecznych* (fundusze strukturalne, pisanie wniosku o grant*), Zarządzanie organizacjami NGO/projektami finansowanymi z funduszy UE* – aspekty finansowe, organizacyjno-koordynacyjne i prawne (gwarancje i kredyty, sprawozdawczość finansowa, audyt i kontrola, zarządzanie strategiczne, zamówienia publiczne), zarządzanie małą firmą, ocena projektów i przedsięwzięć.

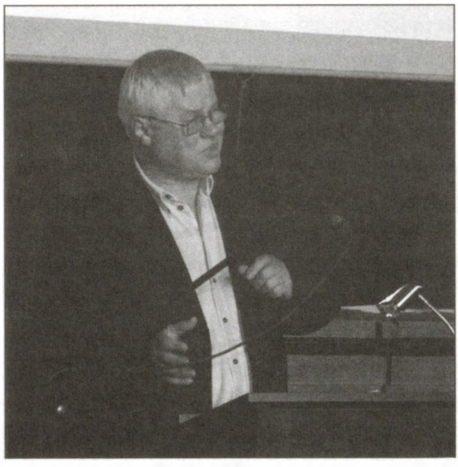

Prof. J. Hausner

Zachęcamy również do skorzystania z organizowanych przez nas staży w przedsiębiorstwach społecznych. Zapraszamy do wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu: studentów pragnących poszerzać swoją wiedzę i zdobywać bogate doświadczenie zawodowe oraz organizacje NGO.

Wszelkie wyżej wymienione działania mają na celu promocję i rozwój przedsiębiorczości społecznej, dziedziny przeżywającej rozkwit w krajach Zachodniej Europy. Organizowane są przez Małopolską Szkołę Administracji Publicznej przy wsparciu ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Inicjatywy Wspólnotowej EQUAL.

Szczegółowe informacje dotyczące działań w ramach projektu znajdują się na: www.cogito.msap.pl. Wszelkie pytania proszę kierować na adres: maria.buczek@msap.pl.

Maria Buczek

Helena Ples

Jesienna wyprawa na Moskwę

Działające od niedawna w naszej Uczelni Centrum Języka Rosyjskiego wspólnie z Działem Nauki i Współpracy z Zagranicą zorganizowało wyjazd do Moskwy dla studentów geografii, historii i filologii polskiej. Zrealizowany w dniach 17 IX - 2 X 2006 r. wyjazd miał charakter zarówno dydaktyczny - studenci uczestniczyli w kursie języka rosyjskiego na Uniwersytecie Pedagogicznym w Moskwie - jak i turystyczny. Ten ostatni był szczególnie atrakcyjny, o czym najlepiej świadczą opinie uczestników. Poniżej zamieszczamy niektóre wypowiedzi studentów oraz zdjęcia wykonane przez nich podczas zwiedzania Moskwy i okolic: „Moje oczekiwania a rzeczywistość, z jaką się spotkałem w Moskwie, mocno się od siebie różniły. Wcześniej miałem całkowicie inne wyobrażenia o stolicy Rosji. Oczywiście spodziewałem się znaleźć tam wiele pięknych i ciekawych miejsc, ale to, co zobaczyłem, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Ogrom wieżowców, pięknych cerkwi, pałaców, galerii, muzeów, dróg, mostów był przytłaczający. Kreml, Plac Czerwony, Cerkiew Chrystusa Zbawiciela, Mauzoleum Lenina, Galeria Tretriakowska, Muzeum im. Puszkina, Łużniki, Klasztor Nowodziewiczy, Park Izmajłowski - to tylko część miejsc, które udało mi się zobaczyć. Inne musiały być równie piękne i fascynujące" (Jacek, II rok geografii). „Na szczególną uwagę zasługuje wycieczka do Klasztoru Nowodziewiczego i zwiedzanie słynnego cmentarza. Poznaliśmy tam jego historię i ciekawostki z nim związane. Dla mnie najważniejsze jest to, że mogłam zobaczyć mogiły znanych pisarzy rosyjskich, a szczególnie grób mojego ulubionego Gogola" (Irena, IV rok filologii polskiej). „To, co zobaczyłam, przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Nigdy nie zapomnę przepięknych cerkwi. W pamięci utkwiła mi zwłaszcza ta przy Placu Czerwonym. Zwróciłam też uwagę na mnóstwo urokliwych uliczek, jak np. Stary Arbat, z których każda ma swój niepowtarzalny klimat. Na każdym kroku spotykamy tam cudowne fontanny - najpiękniejsze z nich to *Przyjaźń Narodów* i *Kamienny Kwiat*" (Paulina, II rok geografii). Ciekawe są spostrzeżenia natury społeczno-obyczajowej, jakie poczynili po moskiewskiej wyprawie jej uczestnicy: „Bardzo zaskoczyli mnie mieszkańcy rosyjskiej stolicy. Swoista mieszanka narodowościowa. A ilość ludzi w metrze czy samochodów na wiecznie zatłoczonych ulicach była nie do ogarnięcia. Chociaż

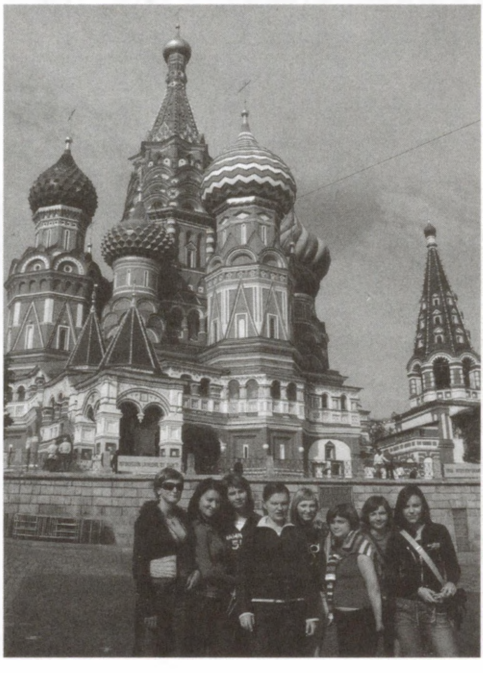

można to było jeszcze zrozumieć. Najbardziej zaskakujący był styl życia mieszkańców Moskwy. Nie jest tak, jak mogłoby się wydawać, że Rosjanie to naród zamknięty w sobie, poniekąd ubezwłasnowolniony i trzymany twardą ręką panujących mu włodarzy. Jest wręcz przeciwnie: panuje wolność, życzliwość, bezkompromisowość, otwartość i optymizm, a najczęściej powtarzanym zdaniem jest: «Wszystko będzie dobrze». Na ulicach można było spotkać przeróżnych ludzi, dowolność w ubiorze panuje nawet w uniwersytetach, gdzie młodzież jest w stanie przekroczyć granice dobrego gustu i skromności, co u nas byłoby niedopuszczalne" (Jacek, II rok geografii). „Moskwa jest dziś miejscem, gdzie na każdym kroku daje się zauważyć zetknięcie Azji i Europy. Moskwy nie da się pojąć samym rozumem. Zbyt wiele rzeczy sprzecznych, zaskakujących, a nawet odpychających może zrazić turystów przy pierwszym spotkaniu z tym miastem. Warto jednak zdobyć się na odwagę i zanurzyć się w chaosie moskiewskiej codzienności, wybrać się na targ, przejechać metrem. Kto się z tym zetknie, zobaczy jeszcze, jak Rosjanie czczą pamięć np. Siergieja Jesienina, recytując jego wiersze czy pieśni – i dopiero wtedy odkryje prawdziwych ludzi Moskwy, a sama stolica wyda się jeszcze ciekawsza" (Arkadia, IV rok historii). „Nasi studenci wysoko ocenili również kurs językowy, który zorganizowali dla nich wykładowcy z Uniwersytetu Pedagogicznego, a także samą uczelnię. Jeszcze raz oddajmy głos jednemu z uczestników „wyprawy na Moskwę": „Miejscem, które najbardziej mnie zaskoczyło i jednocześnie najbardziej mi się spodobało, był Moskiewski Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny. Już z zewnątrz gmach wydawał się piękny i nasycony bogactwem architektonicznych detali. W środku było podobnie: bogato wyposażone sale, muzea z tysiącami eksponatów i pomocami naukowymi, a do tego liczna i wysoko wykwalifikowana kadra nauczycielska, są gwarancją dobrego wykształcenia. Wiadomo przecież, jak dobrze jest się uczyć o rzeczach, których można dotknąć bądź zobaczyć na własne oczy. Tak właśnie było na wydziale geografii. Równocześnie była to gotowa odpowiedź na pytanie, dlaczego Rosja ma tak wysokie osiągnięcia naukowe".

Zajęcia z języka rosyjskiego odbywały się codziennie za wyjątkiem sobót i niedziel, i trwały po kilka godzin. Studenci podkreślali znakomitą pracę rosyjskich wykładowców, która pozwoliła im znacznie wzbogacić słownictwo.

Uczestnicy wyjazdu pragną w tym miejscu podziękować Rektorowi AP, pracownikom Działu Nauki i Współpracy z Zagranicą, a także dyrekcji Instytutów Geografii i Filologii Polskiej za pomoc przy organizacji wycieczki do stolicy Rosji.

Współpraca naszej Uczelni z Moskiewskim Uniwersytetem Pedagogicznym rozwija się od wielu lat: od roku 2003 studenci filologii rosyjskiej AP co roku odbywają tam semestralne staże, zaś moskiewscy studenci filologii polskiej przybywają na analogiczne praktyki do naszej Uczelni.

Helena Ples

Łukasz Stach

Multikulturalizm – tolerancja czy konflikt cywilizacji?

W spółczesny świat oglądany przez pryzmat telewizyjnych wiadomości jawi nam się jako wyjątkowo niespokojne miejsce. Zamachy z 11 września 2001 (World Trade Center, NY) oraz z 11 marca 2004 (Madryt), a także doniesienia z Bliskiego Wschodu mogą stanowić potwierdzenie modnej tezy Samuela P. Huntingtona, mówiącej o „zderzeniu cywilizacji". Czy jednak wizja ta nie jest nadmierną symplifikacją tego, co dzieje się w naszej „globalnej wiosce"? Czy nie jest zbyt prostą rekapitulacją wydarzeń, których stajemy się świadkami? I najważniejsze z pytań: czy owo „zderzenie cywilizacji" jest nieuniknione? Czy dialog kultur będzie odbywał się pod dyktando bomb – zrzucanych z wojskowych samolotów lub detonowanych przez fanatyków w zatłoczonych miejscach publicznych?

Swoistą próbą odpowiedzi na te pytania stała się konferencja *Trialog dla Europy*, która odbyła się 7 marca 2007 r. w Auli Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie. Jej patronem był Instytut Politologii AP oraz Fundacja Kultury Chrześcijańskiej „Znak".

Po raz pierwszy w środowisku krakowskim udało się zorganizować spotkanie, na które przybyli przedstawiciele trzech wielkich religii monoteistycznych: chrześcijaństwa (red. Stefan Wilkanowicz – prezes Fundacji Kultury Chrześcijańskiej ZNAK), islamu (imam Ali Abi Issa – dyrektor Muzułmańskiego Centrum Kulturalno-Oświatowego we Wrocławiu) oraz judaizmu (dr Zofia Radziszewska – Stowarzyszenie Dzieci Holokaustu

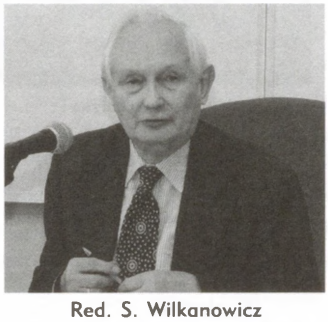

Red. S. Wilkanowicz

w Polsce). Celem spotkania stało się ukazanie wagi trialogu religii i kultur oraz jego wpływu na życie społeczne tak narodów, jak i poszczególnych jednostek ludzkich w XXI w.

Religie nie mają dzielić, ale łączyć, zaś wizerunek fundamentalnych różnic pomiędzy reli-

giami, często kreowany przez media, jest z gruntu fałszywy, co podkreślał red. Wilkanowicz. Wypowiedź imama Ali Abi Issa zwracała uwagę na istnienie niewielkich różnic pomiędzy wielkimi religiami, różnic poniekąd wynikających z doktryny niż z wyznawanych rudymentarnych wartości. Dr Radziszewska uwypukliła problem

Dr Z. Radziszewska

skrajnie radykalnych ruchów odwołujących się do języka nienawiści, w których wydaniu religia jest jej katalizatorem. Postawiła również pytania dotyczące praktycznego wymiaru porozumienia

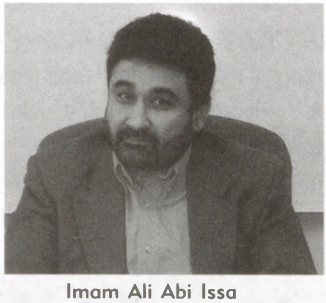

Imam Ali Abi Issa

Chrześcijan, Żydów i Muzułmanów. Zwrócono też uwagę, że dyskusja dotycząca omawianego zagadnienia jest ograniczona praktycznie rzecz biorąc do wąskiego kręgu akademickiego. Tymczasem edukacja w duchu wzajemnego poszanowania wydaje się być jednym z kluczy do porozumienia i dostrzeżenia tego, że tak wiele nas nie dzieli. Fakt ten podkreślili wszyscy uczestnicy spotkania, a jego istotę celnie ujął imam Ali Abi Issa: „powodem powstawania problemów i konfliktów jest przede wszystkim ignorancja".

Podsumowując, to właśnie wzajemne niezrozumienie, ignorancję i postrzeganie siebie przez pryzmat li tylko stereotypów i uprzedzeń wydaje się być najlepszą pożywką dla wszelkiej maści ekstremistów nawołujących do nienawiści i stosowania przemocy wobec „innowierców". Religia staje się wtedy swego rodzaju podkładem ideologicznym i uzasadnieniem konfliktu, mającego często genezę polityczną czy ekono-

Prof. A. Jaeschke

miczną. Na ten fakt zwrócił uwagę Dyrektor Instytutu Politologii prof. Andrzej Jaeschke w głosie podsumowującym spotkanie. Spotkanie, które w opinii uczestników powinno przyczynić się do wzajemnego zrozumienia i poznania.

Zapis dyskusji, wraz z dodatkowymi materiałami, można odnaleźć na stronie: http://www.znak.org.pl/

Łukasz Stach
Fot. M. Pasternak

Bartosz Ochoński

Wystawa Eugenii Gortchakovej

Działająca przy Instytucie Sztuki AP Galeria Zejście - od podstaw założona w 1982 r. przez studentów koła artystyczno-naukowego i jego opiekunkę, prof. Grażynę Borowik - wielokrotnie była już areną zmagań profesjonalnych twórców z kraju i zagranicy. Na przestrzeni ostatnich lat otworzono w niej kilkadziesiąt wystaw plastyczno-malarskich, wyświetlono szereg filmów, zagrano kilkanaście koncertów. Obecnie, po dwuletniej przerwie spowodowanej remontem, Galeria wznowiła swą działalność. Pierwszym tego sygnałem była wystawa „Wzory i modele" (w ramach realizowanego od roku 2000 cyklu „Gry i zabawy"), na której swe prace prezentowali twórcy zgromadzeni wokół IS oraz wykładowcy z krakowskiej ASP, a także artyści zagraniczni: Claus Groh (Niemcy), Emilio Morandi (Włochy), Antoni Miró (Hiszpania). Drugim zaś dowodem prężnej inicjatywy była wystawa malowideł Eugenii Gortchakovej.

8 marca w Galerii Zejście, na ul. Mazowieckiej 43, miało miejsce otwarcie jej wystawy poświęconej m.in. sposobom przejawiania się czasu. Obok licznie zaproszonych gości, pracowników Instytutu Sztuki, na wernisaż przybyli również: prof. Jan Pamuła - Rektor ASP, prof. Zenon Uryga - były Rektor AP, prof. Adam Wsiołkowski, prof. Janusz Orbitowski, prof. Tomasz Gryglewicz oraz dyrektor Biennale Grafiki, Witold Skulicz. Wystawę wspólnie otwarli prof. Grażyna Borowik i prof. Stanisław Sobolewski.

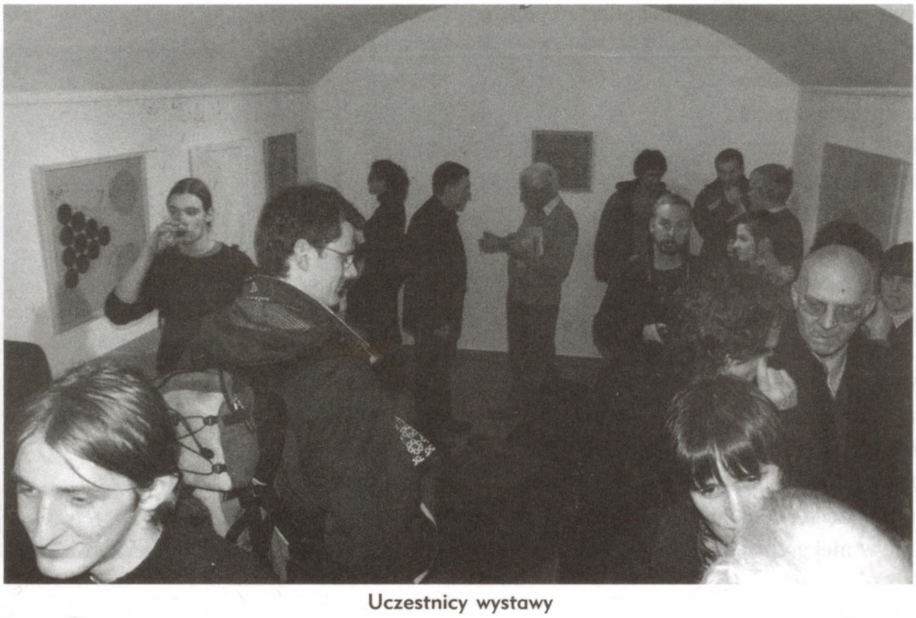

Uczestnicy wystawy

E. Gortchakova

Eugenia Gortchakova, artystka rosyjskiego pochodzenia, na co dzień mieszkająca w Niemczech, zaprezentowała kilkanaście prac poświęconych własnemu rozumieniu czasu. Większość jej prac wielkoformatowych cechuje dwudzielny układ kompozycyjny: górna część każdego niemal płótna sugeruje koncentryczny układ czasu, zaś część dolna stanowić może jego linearne, ale i równocześnie wielowymiarowe wyobrażenie. Rozróżnienie na te dwa poziomy osiąga artystka głównie przez szczególny układ uderzeń pędzla: właściwie każde uderzenie – jak przekonująco zaznaczała Eugenia Gortchakova – niesie dla niej niepowtarzalny ładunek semantyczny, a jako że kojarzy się z konkretną chwilą, ich zbiór stanowić musi intrygującą syntezę doznań i emocji. Pod taką zewnętrzną płaszczyzną kryje się warstwa wewnętrzna, którą można rozumieć dosłownie jako drugie dno obrazów: jak w lustrze bowiem odbijają się w niej grzbiety stojących na półce ksiąg (podejmujących często tematykę filozoficzną czy socjologiczną), które stanowią odzwierciedlenie podjętych przez malarkę rozważań. W efekcie, podczas pracy nad płótnami, w umyśle Eugenii Gortchakovej skrystalizowały się myśli, którym dała upust niejako na marginesie własnych obrazów – w tłumaczeniu z języka francuskiego można by je czytać między innymi jako: *Gdzie indziej są zawsze ludzie, którzy umierają* czy *Świat się nie rozwija. Świat jest*. Przedstawiona w ten sposób twórczość uwydatnia nie tylko kolisty charakter naszego istnienia, ale częstokroć stanowi odpowiedź na pytania, o jakie trudno u przeciętnych bo oto, w dobie nieuchronnego postępu, Eugenia Gortchakova zastanawia się nad intelektualno-emocjonalną kondycją dzisiejszego człowieka. Być może jej twórczość, łącząc tendencje sztuki nowoczesnej z wyrażającą się w technice pracy, polegającej na setkach tysięcy drobnych pociągnięć pędzla, benedyktyńską cierpliwością (co słusznie podkreślił opiekun wystawy, prof Sobolewski), umożliwi kiedyś znalezienie właściwej odpowiedzi.

Bartosz Ochońsk
fot. auto

Barbara Serwatka

«KASKADERZY» z AP

11 stycznia 2007 r., o godz. 20:15 rozpoczęła się premiera spektaklu poetycko-muzycznego pt.: *Kaskaderzy*, do którego przygotowania trwały od połowy listopada.

Scenariusz przedstawienia napisany został w oparciu o teksty autorów zwanych „kaskaderami literatury" (Haliny Poświatowskiej, Andrzeja Bursy, Edwarda Stachury, Rafała Wojaczka i Ryszarda Milczewskiego-Bruno) – stąd tytuł spektaklu. Jest też inne jego wyjaśnienie: spektakl opowiada o młodych ludziach, w których życiu zabrakło prawdziwego uczucia. To wycinek zdarzeń, które rozegrały się pewnej sobotniej nocy w miejskim parku. Atmosfera nocy prowokuje różne wyznania, nie tylko miłosne... pojawiają się też następujące refleksje: „Zginąć by można jak nic / do żył jest nóż / lub w dół / na bruk / z wysoka". Młody, wchodzący w życie człowiek to kaskader: balansujący na krawędzi, zmagający się z przeszkodami, których nie szczędzi mu los. Łatwo można to odnieść do otaczającej nas rzeczywistości i o to nam, twórcom chodziło.

W urzeczywistnieniu tego przedsięwzięcia bardzo pomógł nam Samorząd Studentów naszej Uczelni, jak również obsługa Klubu Studenckiego „Bakałarz". Przed licznie zgromadzoną widownią wystąpili studenci różnych uczelni krakowskich, prym zaś wiodła nasza, zwłaszcza Instytut Filologii Polskiej: Anna Ryglowska (filol. pol. AP), Agnieszka Żuber (pedagogika AP), Paweł Budziński (filol. pol. AP), Marcin Serwatka (filol. pol. AP), Kuba Mann (filozofia AP); muzycy: Hania Gruszka (filol. pol. UJ) – pianino, Paulina Druch (AM) – wiolonczela, Johnn Schmidt – wiolonczela, Maciej Wnękowicz (historia AP) – gitara elektryczna; asystentka: Patrycja Synowiecka (filol. pol. AP); reżyser: Barbara Serwatka (filol. pol. AP).

Joanna Konarska

Asystent osoby niepełnosprawnej

Brakujące ogniwo w procesie rehabilitacji

W bieżącym roku akademickim po raz drugi młodzi ludzie ubiegający się o status studenta mogli wybrać nową specjalność w ramach pedagogiki, powstałą z inicjatywy Katedry Pedagogiki Specjalnej Akademii Pedagogicznej w Krakowie

Dotychczasowe studia z zakresu pedagogiki specjalnej przygotowują absolwentów do podjęcia pracy w ośrodkach kształcących dzieci i młodzież z różnego typu niesprawnościami i chorobami przewlekłymi, w szkołach integracyjnych, w otwartych i zamkniętych placówkach rehabilitacyjnych, w domach opieki społecznej, w ośrodkach wczesnej interwencji psychopedagogicznej, poradniach i wszystkich miejscach, gdzie z uwzględnieniem odpowiednich metod dostosowanych do organicznych i intelektualnych możliwości ucznia można prowadzić zajęcia rewalidacyjne. Te wszystkie działania, bez których nie można doprowadzić osoby z niepełnosprawnością do maksymalnego poziomu samodzielnego funkcjonowania, są w pierwszej fazie rehabilitacji niezbędne. Niemniej jednak często po wielu latach ogromnego wysiłku specjalistów, gdy teoretycznie proces rehabilitacji uznany zostaje za zakończony, człowiek z niepełnosprawnością pozostawiony jest samemu sobie i może liczyć jedynie na pomoc rodziny.

W dobie ostatnich przemian społeczno-ekonomicznych w kraju, sytuacja osób niepełnosprawnych i przewlekle chorych znacznie się pogorszyła. Szczególnie dotkliwa – nie tylko dla nich – stała się transformacja gospodarki regulowanej w wolnorynkową oraz zmiany społeczne, polegające na przejściu od polityki państwa opiekuńczego do bliżej nieokreślonego stanowiska wobec niepełnosprawności. Przede wszystkim brakuje systemowych rozwiązań prawno-ekonomicznych, a krótkoterminowe plany i koncepcje, zmieniające się wraz ze zmianami rządu, nie dają poczucia stabilizacji i powodują stałe pogarszanie się sytuacji życiowej osób niepełnosprawnych. Nie zamierzam w tym miejscu gloryfikować dawnej opiekuńczości państwa, ponieważ niejednokrotnie wkraczała ona w te sfery życia jednostki, w które wkraczać nie powinna. Odgórne decyzje o izolacji dzieci niepełnosprawnych od ich naturalnego środowiska w imię ich dobra spowodowały zerwanie wielu emocjonalnych więzi rodzinnych, bez uwzględnienia woli i odczuć rodziców, a także z pogwałceniem praw dziecka do wyrażania własnego zdania. Także przygotowanie zawodowe większości osób z niepełnosprawnością było wyrazem polityki wyższości dobra ogółu nad dobrem jednostki. Spektakularne kariery zawodowe szczególnie uzdolnionych lub utalentowanych pod jakimś względem osób niepełnosprawnych dokonywały się pod specjalnym „kloszem" ochronnym, a dalsza nadopiekuńczość państwa „zwalniała" te wybitne jednostki od codziennej troski, nie sprzyjała samodzielności i samorealizacji, ale za to dawała poczucie bezpieczeństwa.

Dzisiaj zobowiązani jesteśmy jako państwo Unii Europejskiej do respektowania Traktatu Europejskiego, wprowadzającego nowe zasady w polityce społecznej: niepełnosprawność została włączona do osobnej kategorii wśród pięciu pozostałych (wiek, płeć, rasa, przekonania oraz preferencja seksualna), które należy chronić przed dyskryminacją. Jednocześnie w środkach masowego przekazu pojawiają się informacje, których celem jest przybliżenie ogółowi społeczeństwa problematyki niepełnosprawności i tym samym ułatwienie osobom niepełnosprawnym odnalezienia się w swoim naturalnym środowisku społecznym. Tego typu działania zmierzają do zmiany mentalności zdrowej części społeczeństwa, która w sposób nieświadomy często manifestuje postawy niesprzyjające integracji, a nawet akceptacji osób niepełnosprawnych. Z drugiej strony od samych ludzi niepełnosprawnych wymaga się przystosowania do warunków życia w środowisku, które nie do końca (i wcale nie ze złej woli) rozumie, z jakimi barierami fizycznymi, społecznymi i psychicznymi borykają się na co dzień osoby na wózkach inwalidzkich, niewidomi, niesłyszący, czy z obniżoną sprawnością intelektualną. Zrozumieć drugiego człowieka można wtedy, gdy jest się z nim w różnych sytuacjach bez żadnych uprzedzeń, a to możliwe jest tylko wówczas, gdy takie współistnienie zaczyna się od dzieciństwa. Takiego przywileju pozbawieni byli zarówno pełnosprawni, jak i niepełnosprawni członkowie naszego społeczeństwa. Wszyscy oczekują od osoby z niepełnosprawnością, że „udowodni", iż nadaje się do życia w normalnych warunkach.

Gąszcz zmieniających się uregulowań prawno-ekonomicznych, dawanych i odbieranych różnym grupom społecznym i zawodowym przywilejów, likwidacja niektórych departamentów ministerialnych (np. Departamentu Kształcenia Specjalnego w ME, czy Departamentu Rehabilitacji w Ministerstwie Zdrowia), a także chwiejna pozycja PFRON-u nie sprzyja podejmowaniu przez osoby niepełnosprawne życiowych decyzji i wzmaga tylko poczucie dezorientacji i zagrożenia realizacji podstawowych potrzeb życiowych. W liczbie zmieniających się przepisów gubią się także osoby całkowicie sprawne, ale im łatwiej dotrzeć fizycznie do aktualnych informacji.

Wobec współczesnych wyzwań społecznych pojawiła się potrzeba wykształcenia kompetentnej osoby, która zna ograniczenia człowieka z różnego typu niepełnosprawnością i jego możliwości, potrafi służyć pomocą w trudnych życiowych sytuacjach nie tylko jemu, lecz również jego rodzinie; będzie konsultantem, doradcą, ale nie osobą wyręczającą swoich podopiecznych. Taką rolę powinien spełniać asystent osoby niepełnosprawnej. Wprawdzie w wielu obszarach opieki społecznej funkcjonuje termin asystent socjalny, a jego kształcenia podejmuje się wiele ośrodków nie tylko akademickich, to jednak profil tego kształcenia bądź wcale nie uwzględnia znajomości specyfiki funkcjonowania osób niepełnosprawnych, bądź traktuje tę grupę społeczną bardzo pobieżnie, nie dając właściwego przygotowania teoretycznego do pracy z nimi.

Pojawiła się potrzeba wykształcenia kompetentnej osoby, która zna ograniczenia człowieka z różnego typu niepełnosprawnością oraz jego możliwości, potrafi służyć pomocą w trudnych sytuacjach życiowych nie tylko jemu, lecz również jego rodzinie; będzie konsultantem, doradcą, ale nie osobą wyręczającą swoich podopiecznych. Taką rolę powinien spełniać asystent osoby niepełnosprawnej

Ostatnio spotyka się coraz częściej oddolne inicjatywy społeczne uwzględniające potrzeby środowiska ludzi niepełnosprawnych i organizujące ośrodki asystentów osób niepełnosprawnych. W obecnych strukturach polityki społecz-

nej nie ma jeszcze sprecyzowanego statusu zawodu asystenta osoby niepełnosprawnej, chociaż istnieje duże zapotrzebowanie środowiska osób niepełnosprawnych na taką usługę. Wychodząc naprzeciw temu zapotrzebowaniu niektóre organizacje wprowadziły usługę asystenta osoby niepełnosprawnej. Należą do nich: Polskie Towarzystwo Stwardnienia Rozsianego, które w 2002 r. wyszkoliło 48 asystentów na własne potrzeby, Fundacja *Fuga Mundi*, Fundacja Pomocy Chorym na Zanik Mięśni oraz Stowarzyszenie na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym. W większości wypadków asystentami są wolontariusze, ale różne ośrodki szukają najbardziej korzystnych dla siebie rozwiązań. Na przykład od 2001 r. szczecińska Fundacja Pomocy Chorym na Zanik Mięśni zatrudnia asystentów w ramach odrabiania służby wojskowej. Asystent otrzymuje wynagrodzenie 1,5–2 zł za godzinę, pozyskując część środków z Urzędu Miejskiego w Szczecinie. Szkolenie asystentów osób z niesprawnością intelektualną w Szczecinie zostało dofinansowane przez Unię Europejską w ramach Małych Dotacji Phare Access 2000.

Asystent ułatwia osobie niepełnosprawnej wykonywanie czynności dnia codziennego, pomaga jej w uzyskaniu jak największej samodzielności oraz współpracuje z instytucjami i organizacjami społecznymi w celu zapewnienia optymalnych warunków do samodzielnej rehabilitacji

Doświadczenia wspomnianych stowarzyszeń w ramach pracy asystentów osób niepełnosprawnych dają cenne informacje i wskazują kierunek kształcenia oraz możliwości zatrudnienia przyszłych absolwentów nowo powstałej specjalności. Asystenci najczęściej pomagali: w załatwianiu spraw urzędowych, przy wizytach lekarskich, w kontaktach towarzyskich, przy dostarczaniu leków bądź też w trakcie imprez kulturalnych.

Rola osoby wykształconej pod względem umiejętności niesienia pomocy osobie niepełnosprawnej i jej bliskim w trudnych sytuacjach życiowych nie powinna sprowadzać się jedynie do bezpośredniego kontaktu z podopiecznymi. Z racji wiedzy i zdobytych umiejętności osoba asystenta powinna również zajmować się werbowaniem i szkoleniem wolontariuszy, a także sprawować pieczę nad ich działaniem, służyć im pomocą i radą. W miarę powiększania się liczby fachowo przygotowanych asystentów, powinni oni mieć przydzieloną określoną ilość osób niepełnosprawnych, dla których stworzą sieć wolontariuszy przez siebie wyszkolonych i będą koordynować ich pracę. Wspólnie z wolontariuszami powinni także opracowywać indywidualne formy i etapy rehabilitacji podopiecznych, czuwać nad ich właściwą realizacją i wiedzieć, do jakiego fachowca zwrócić się o pomoc w przypadkach, które przekraczają ich kompetencje. Asystent osoby niepełnosprawnej powinien także znać aktualne przepisy prawne dotyczące wszystkich kwestii związanych z zatrudnieniem, udzielaniem różnych form pomocy w postaci wsparcia finansowego czy rehabilitacyjnego, włącznie z możliwością zastosowania sprzętu elektronicznego i komputerowego w celach rehabilitacyjnych.

Zadania, które powinny być realizowane przez asystenta osoby niepełnosprawnej, są bardzo szerokie, wymagają od niego kompetencji osobowościowych i rzetelnej wiedzy. Najbardziej korzystne byłoby, gdyby znaleźli zatrudnienie przy wszystkich przychodniach zdrowia, gdzie dostęp do ewidencji osób potrzebujących pomocy i do nich samych jest najłatwiejszy. To mają być ludzie, którzy są blisko swoich podopiecznych i są z nimi w stałym kontakcie. Żeby nie zatracić indywidualnej więzi międzyludzkiej, liczba osób przypadająca na jednego asystenta powinna być ograniczona.

Od szeregu lat w Unii Europejskiej propagowana jest koncepcja niezależnego życia (*independent living*), która polega na udzielaniu osobie niepełnosprawnej pomocy w odzyskaniu kontroli nad własnym ciałem i stylem życia, kontroli, która dla osoby pełnosprawnej jest oczywistością.

W Polsce w roku 2001 do oficjalnej klasyfikacji zawodów został wprowadzony zawód asystenta osoby niepełnosprawnej i oznaczony kodem 346 101. Zawód ten został opisany następująco: „Asystent ułatwia osobie niepełnosprawnej wykonywanie czynności dnia codziennego, pomaga jej w uzyskaniu jak największej samodzielności oraz współpracuje z instytucjami i organizacjami społecznymi w celu zapewnienia optymalnych warunków do samodzielnej rehabilitacji; wspiera osoby niepełnosprawne w realizacji programu rehabilitacji społecznej i zawodowej". Zadania zawodowe asystenta to: współtworzenie programów rehabilitacji i pomocy osobie niepełnosprawnej; doradzanie w zakresie usług medycznych, rehabilitacyjnych, przekwalifikowania zawodowego, kontaktów społecznych, usług kulturalnych, rekreacji i integracji ze środowiskiem; diagnozowanie warunków życia i dążenie do usuwania wszelkiego typu barier (psychologicznych, społecznych, architektonicznych, komunikacyjnych itp.); pobudzanie aktywności osoby niepełnosprawnej, jej rodziny oraz najbliższego otoczenia celem udzielania jak najefektywniejszej pomocy; planowanie, kontrolowanie, ocenianie indywidualnego programu, planu pomocy osobie niepełnosprawnej; włączanie osoby niepełnosprawnej w programy instytucji i placówek świadczących usługi rehabilitacyjne; współpraca z mediami ułatwiająca poszukiwanie sponsorów i sojuszników w działaniach na rzecz osób niepełnosprawnych.

Zasady finansowania pracy asystenta osoby niepełnosprawnej są różnie rozwiązywane w poszczególnych krajach europejskich. W Szwecji za korzystanie z usług asystenta do 20 godzin tygodniowo płaci budżet gminy, a jeśli asysta przekracza wyznaczony czas, koszty pokrywane są z ubezpieczenia społecznego osoby niepełnosprawnej. W Anglii zakres usług asystenta określają każdorazowo lokalne władze, uwzględniając indywidualne potrzeby podopiecznych. Ośrodek pomocy określa też, w jakim stopniu osoba niepełnosprawna może pokrywać koszty opieki, ponieważ może ona korzystać z dodatkowych funduszy. W Belgii specjalna komisja zajmująca się niepełnosprawnymi ustala wysokość pomocy pieniężnej dla danej osoby w celu zatrudnienia osobistego asystenta.

W Polsce, wobec faktycznie nieistniejącego społecznego statusu asystenta osoby niepełnosprawnej, zasady finansowania tego zawodu nie są jednoznaczne, a poszczególne ugrupowania działające na rzecz środowiska osób niepełnosprawnych radzą sobie z tym problemem we własnym zakresie. Taka sytuacja musi się zmienić w momencie, gdy oficjalne uprawianie zawodu asystenta osoby niepełnosprawnej stanie się faktem i pierwsi absolwenci nowo powstałej specjalności będą gotowi do pracy. Uznanie i wpisanie do rejestru zawodów profesji asystenta osoby niepełnosprawnej zobowiązuje również państwo do sprecyzowania zasad finansowania pracy tych bardzo potrzebnych specjalistów.

Joanna Konarska

Czesław Michalski

30-lecie Klubu Sportowego AZS AWF Kraków

W lutym 2007 r. krakowski klub sportowy AZS przy Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie obchodził 30-lecie. Uroczysta akademia z udziałem wybitnych sportowców i działaczy klubu, połączona z wręczeniem sztandaru, odbyła się 2 lutego. Warto z tej okazji przybliżyć dzieje tego klubu, którego działalność przyniosła wiele znaczących wyników dla sportu polskiego, a w jego barwach startowało wielu reprezentantów Polski, uczestników i medalistów mistrzostw świata i Igrzysk Olimpijskich. Okazją do przypomnienia jego historii jest też udany występ reprezentantów AZS AWF na ostatniej XXIII Zimowej Uniwersjadzie, która odbyła się w dniach 17–27 stycznia 2007 r. w Turynie (Włochy). Złote medale zdobyli Katarzyna Karasińska w narciarstwie alpejskim (slalom), Michał Ligocki w snowboardzie, Katarzyna Wójcicka w łyżwiarstwie szybkim (1500 m); srebrne medale: Aleksandra Kluś-Zamiedzowy w narciarstwie alpejskim (slalom), Katarzyna Wójcicka w łyżwiarstwie szybkim (3000 m); brązowe: Sebastian Druszkiewicz i Konrad Niedźwiedzki w łyżwiarstwie szybkim (sztafeta mężczyzn) oraz Katarzyna Wójcicka w łyżwiarstwie szybkim (1000 m).

Klub Uczelniany AZS AWF kontynuuje chlubne tradycje krakowskiego AZS, który od blisko stu lat upowszechnia sport na polskich wyższych uczelniach dążąc do ukształtowania człowieka sprawnego intelektualnie i fizycznie. W latach międzywojennych AZS Kraków skupiał młodzież akademicką wszystkich uczelni miasta. Po zakończeniu II wojny światowej powiększyła się ogólna liczba klubów akademickich. W dążeniu do objęcia swą działalnością coraz szerszego grona studentów i pracowników wyższych uczelni, uległa zmianie struktura organizacyjna AZS. Utworzone w 1948 r. koła uczelniane AZS na podstawie uchwały Krajowego Zjazdu AZS w 1969 r. otrzymały rangę klubów uczelnianych AZS, które są podstawową jednostką organizacyjną Związku. Na terenie środowisk wielouczelnianych powołano Zarządy Środowiskowe AZS, reprezentujące interesy środowisk i koordynujące działalność sportu akademickiego na ich terenie. Powstają różnorodne formy współzawodnictwa sportowego dla ogółu studentów, jak na przykład akademickie mistrzostwa szkół wyższych czy środowiskowe ligi międzyuczelniane. W zakresie sportu wyczynowego powstały przy Zarządach Środowiskowych Kluby Międzyuczelniane AZS, którym stworzono warunki do uprawiania sportu kwalifikowanego.

Dalsze zmiany organizacyjne nastąpiły w roku 1973. Przystąpiono wówczas do wspólnego działania w zakresie sportu kwalifikowanego ze Szkolnym Związkiem Sportowym. Te integracyjne związki sportu szkolnego i akademickiego przypadły na okres pogarszającej się kondycji finansowej sportu wyczynowego, projektowanych zmian administracyjnych w kraju i zmian strukturalnych polskiego sportu. W tym celu powołano Komisję Koordynacyjną AZS i SZS, która miała opracować ścisłe zasady współpracy sportu akademickiego i szkolnego. Wynikiem tego była uchwała VIII Zjazdu AZS, stwarzająca formalne podstawy do powoływania do życia

wspólnych jednostek organizacyjnych w środowiskach klubów SZS-AZS. W Krakowie taki Klub Środowiskowy SZS-AZS powstał 28 października 1974 r., a uzyskując osobowość prawną stał się członkiem Polskiej Federacji Sportu. Były to jednak nieudane próby stworzenia jednej organizacji sportowej młodzieży uczącej się na szczeblu centralnym i środowiskowym. W tej atmosferze niepewności o dalszy rozwój sportu wyczynowego w Polsce i obniżającej się pozycji sportu akademickiego zrodziła się myśl ścisłego powiązania klubów akademickich AZS z uczelniami wychowania fizycznego, wykorzystując ich bazę kadrową i obiekty sportowe. Koncepcja zyskała pełną akceptację władz Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki i znalazła poparcie w *Zarządzeniu Przewodniczącego GKKFiT* z dnia 26 lutego 1976 r. Koncepcja ta pozwoliła uporządkować zasady finansowania sportu wyczynowego w Akademickim Związku Sportowym i przynależność klubową studentów sportowców. Akademie Wychowania Fizycznego przejęły wiodącą rolę w zakresie sportu wyczynowego środowiska akademickiego.

Początki powstania Klubu Sportowego AZS AWF Kraków datują się na rok 1976, kiedy to 18 października na Nadzwyczajnym Zjeździe Delegatów kierownictwo klubu i władze uczelni zaakceptowały nazwę AZS-AWF Kraków. Statut Klubu zatwierdzony został 9 listopada przez przewodniczącego GKKFiT. I Walne Zebranie Delegatów w dniu 6 grudnia 1976 wybrało Zarząd w składzie: Kazimierz Toporowicz (prezes), Emil Dudziński (wiceprezes ds. sportowych), Jan Żurek (wiceprezes ds. organizacyjnych), Maciej Rek (wiceprezes ds. ekonomicznych), Leonia Michalus (wiceprezes ds. wychowawczych), Zygmunt Szewczyk (wiceprezes ds. sportu szkolnego), Witold Mączka (sekretarz). Klub z końcem 1976 r. liczył 686 zawodniczek i zawodników, szkolonych przez 19 trenerów (w tym jedynie 2 zatrudnionych na pełnych etatach) i 7 instruktorów pracujących w niepełnym wymiarze czasu. Prowadził działalność w 11 sekcjach. Do najsilniejszych należały: sekcja brydża sportowego (pierwsze miejsce w I lidze, drugie miejsce w Pucharze Polski; reprezentanci kraju: Henryk Grządziel, Jerzy Michałek); sekcja wioślarska (II miejsce w punktacji drużynowej mistrzostw Polski; reprezentanci Polski: Zdzisław Bromek, Barbara Gwóźdź, Tadeusz Okoński, Grzegorz Ranisz, Andrzej Skowroński); sekcja lekkiej atletyki (I liga – XIV miejsce; kadra narodowa: Franciszek Gorczyca, Zofia Moryc, Krystyna Pulczyńska, Wiesław Stachura, Stanisław Wyrobek i Stanisław Żaba). W rozgrywkach II ligi występowały sekcje piłki koszykowej kobiet (reprezentantka Polski Małgorzata Waga), sekcja piłki koszykowej mężczyzn, sekcja piłki ręcznej mężczyzn (reprezentanci Polski: Waldemar Lach i Jan Urbańczyk); w lidze okręgowej; sekcja piłki ręcznej kobiet, sekcja siatkówki kobiet, sekcja piłki siatkowej mężczyzn.

O sile Klubu AZS AWF w minionym 30-leciu decydowały sekcje sportów indywidualnych: lekka atletyka, kajakarstwo górskie, wioślarstwo, szermierka, gimnastyka sportowa, narciarstwo i snowboard. Trudno dokonać bilansu osiągnięć sportowych, jest to długa lista sukcesów w mistrzostwach krajowych, Europy i świata. Przypomnimy zatem tylko największy dla sportowców sukces – udział w Igrzyskach Olimpijskich.

Pierwszym olimpijczykiem klubu był lekkoatleta, mistrz Polski Adam Starostka, który wystąpił na Olimpiadzie w Moskwie w reprezentacyjnej sztafecie 4x400 m. Kolejnymi reprezentantami klubu na Igrzyskach Olimpijskich byli saneczkarze: Leszek Szarejko i Adrian Przechewka, którzy zajęli 16. miejsce w dwójce męskiej w Lillehammer (1994). Na Letnich IO w Atlancie (1996 r.) startowała Bogusława Knapczyk w kajakarstwie. Kolejne Letnie IO w Sydney (2000) przyniosły srebrny medal Michałowi Staniszewskiemu w kanadyjkach, który wywalczył razem z Krzysztofem Kołomańskim (Gerlach Drzewca). W tej samej konkurencji Andrzej Wójs i Sławomir Mordarski uplasowali się na 6. miejscu. Na tej Olimpiadzie startowali również sprinterzy: Marcin Urbaś i Marcin Nowak, którzy w repre-

zentacyjnej sztafecie 4x100 m uzyskali 8. miejsce. Marcin Urbaś wystąpił cztery lata później na IO w Atenach, także w sztafecie 4x100 m, uzyskując 5. miejsce. Od 1996 r. Zarząd AZS AWF i AZS Zakopane powołały sekcje pod Tatrami. Akademicy z tego regionu startują po szyldem AZS AWF Kraków/Zakopane. Wspólne działania przyniosły efekty w postaci sukcesów sportowych. Na XIX Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Salt Lake City (2002) blisko zdobycia medalu była Jagna Marczułajtis, zajmując 4. miejsce w snowboardzie - slalomie równoległym. Andrzej Bachleda Curuś jr. był 10. w slalomie specjalnym. Najwięcej zawodników Klubu Sportowego AZS AWF startowało w 2004 r. w Atenach. Najliczniejszą grupę stanowili lekkoatleci: Wioletta Frankiewicz-Janowska, Piotr Klimczak, Grzegorz Sudoł, Marcin Urbaś oraz kajakarze górscy: Agnieszka Stanuch, Paweł Sarna i Marcin Pochwała. Najlepszy rezultat uzyskał wspomniany wyżej Marcin Urbaś, Grzegorz Sudoł w chodzie sportowym zajął 7. miejsce, Piotr Klimczak w sztafecie 4x400 m - 10. miejsce, zaś Wioletta Frankiewicz-Janowska w biegu na 1500 m zdobyła 23. miejsce. Paweł Sarna i Marcin Pochwała w konkurencji C-2 uzyskali 10. pozycję, zaś Agnieszka Stanuch w jedynkach 13. Natomiast w XX Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Turynie reprezentanci AZS AWF Kraków/Zakopane uzyskali następujące rezultaty: w łyżwiarstwie szybkim Katarzyna Wójcicka (10. miejsce na 3000 m, 8. miejsce na 1000 m, 16. miejsce na 5000 m), Konrad Niedźwiedzki (13. miejsce na 1000 m, 12. miejsce na 1500 m); Dagmara Krzyżyńska (25. miejsce w slalomie gigancie); w snowboardzie: Jagna Marczułajtis (17. miejsce w eliminacjach slalomu równoległego), Mateusz Ligocki (44. miejsce w konkurencji halfpipe (rynna) i 20. miejsce (w konkurencji snowcrossu), Rafał Skarbek-Malczewski 22. miejsce (w konkurencji snowcrossu).

Medalistami mistrzostw świata byli kajakarze górscy. Złoty medal zdobył Sławomir Mordarski (1999), srebrny Beata Grzesik (1999), natomiast brązowe - Andrzej Wójs i Sławomir Mordarski (2003) oraz Wojciech Sekuła i Jarosław Miczek (2003). Lekkoatleta Piotr Klimczak w halowych mistrzostwach świata w 2006 r. w sztafecie 4x400 m zdobył srebrny medal. Zawodnik ten zdobył również złoty medal na Uniwersjadzie w 2005 r. w tej samej konkurencji.

Na podium w mistrzostwach Europy stawali lekkoatleci: Wioletta Frankiewicz-Janowska (3000 m z przeszkodami - 2006 r.); Marcin Urbaś - 200 m w hali - 2005 r.): Marcin Nowak - 4x100 m w hali - 2002) i kajakarz górski Michał Staniszewski (2000). Kajakarze górscy i wioślarze wielokrotnie zdobywali medale na akademickich mistrzostwach świata.

W samym tylko 2006 r. sportowcy Klubu AZS AWF zdobywali medale mistrzostw Polski (łyżwiarstwo szybkie - 18 medali; lekka atletyka - 17 medali: kajakarstwo - 14 medali, snowboard - 9; wioślarstwo - 3; szermierka - 3; narciarstwo alpejskie - 2).

Aktualnie klub prowadzi działalność w 12 sekcjach sportowych, zrzesza około 500 sportowców, z którymi pracuje 40 trenerów. Prezesem klubu jest dr Andrzej Mleczko, wiceprezesami: Edward Bodzioch, Edward Krupa, Renata Nieroda, Joanna Nowicka, Kazimierz Szewczyk, a sekretarzem Jacek Majka. Wspomniany Zarząd zaprasza studentów-sympatyków sportu na niektóre imprezy jubileuszowe: 31 marca - LII Nadwiślański Bieg na Przełaj - obiekty sportowe AWF; 15 kwietnia - akademickie mistrzostwa Polski w chodzie sportowym; 2- 3 czerwca mistrzostwa Polski w gimnastyce sportowej; 29-30 września - regaty ósemek wioślarskich na Wiśle.

Czesław Michalski

Elżbieta Sionko

Gry i zabawy na świeżym powietrzu

Wraz z nadejściem ciepłych dni coraz częściej wolny czas spędzać będziemy na spacerach i sobotnio-niedzielnych wyjazdach za miasto; warto te chwile połączyć z aktywnym wypoczynkiem. Do radości z długo oczekiwanych promieni słonecznych i cieplejszych dni dołączmy radość z zabawy z dziećmi, która na pewno wywoła ich uśmiech

Tradycyjne formy rekreacji: gra w siatkówkę, koszykówkę, piłkę nożną czy jazda na rowerze warto urozmaicić grami i zabawami wykorzystującymi m.in. ukształtowanie terenu naszego wypoczynku. **Gry i zabawy na świeżym powietrzu** dają poczucie swobody, uczą orientacji w terenie i pokonywania przeszkód - warunkiem jest oczywiście dobra jego znajomość oraz przygotowanie naszego organizmu do wysiłku poprzez rozgrzewkę. Przykłady zabaw i ćwiczeń w terenie: **„Kukułki i zięby"**: dzieci *zięby* stają każde przy innym drzewie, a 1 lub 2 *kukułki* - na środku placu. Na dany znak *zięby* zmieniają drzewa, a *kukułki* starają się zająć ich miejsce. *Zięby*, dla których braknie miejsca zostają *kukułkami*; **„Kto szybciej stanie przy drzewie?"**: dzieci biegają między drzewami, a na sygnał stają przy drzewie. Prowadzący zapowiada, że przy drzewie może stanąć tylko dwoje dzieci; **„Przejście tunelem"**: dzieci przechodzą na czworaka lub pełzając pod gałęziami krzewów, lub ustawionym tunelem z gałęzi; **„Kryj się"**: na hasło *kryj się* dzieci rozbiegają się na wyznaczonym wcześniej terenie i chowają się; **„Sardynki"**: to odwrócenie chowanego, jedno dziecko się chowa, a cała grupa wyrusza na poszukiwanie ukrytej osoby, *sardynki*; gdy któreś z dzieci ją odnajdzie, zamiast wskazać znalezioną osobę, ukrywa się razem z nią. Przegrywa ta osoba, która jako ostatnia znajdzie całą grupę; **„Wąż"**: dzieci biegają jedno za drugim, wężem kieruje wyznaczone dziecko lub prowadzący zabawę; **„Rzuty szyszkami"**: dzieci zbierają szyszki, a następnie rzucają nimi do wyznaczonego celu lub na odległość; **„Co słyszysz?"**: dzieci nadsłuchują głosów z otoczenia, potem jedno z nich mówi co słyszy i z którego kierunku. Pozostałe dzieci je poprawiają; **„Obserwacja drogi"**: dzielimy dzieci na grupy i polecamy obserwować wybrany odcinek drogi, którą maszerujemy. Na końcu drogi grupy opowiadają, co zaobserwowały (rośliny, zwierzęta). Grupa, która udzieli najwięcej odpowiedzi wygrywa; **„Liście"**: prowadzący rozdaje dzieciom różne liście i poleca odszukać drzewo o takich liściach; **„Lis i gąska"**: dzieci siedzą w siadzie skrzyżnym w kole, w środku koła jest dziecko *gąska* z zawiązanymi oczami. Wyznaczone dziecko z koła to *lisek*, który cicho skrada się do gąski. Gdy *gąska* usłyszy szmer i poprawnie wskaże kierunek to *lisek* wraca na miejsce. Jeżeli *liskowi* uda się podejść i dotknąć *gąski* to sam zostaje *gąską*; **„Po tropie"**: jedna grupa dzieci rusza w teren, zaznaczając drogę umówionymi znakami (np. strzałkami z patyczków), druga grupa ma ich wytropić.

Ukształtowanie terenu i wykorzystanie naturalnych przeszkód daje nam możliwość wytycze-

nia **toru przeszkód**, który dorosłym pozwoli sprawdzić swoje umiejętności, a dla dzieci stanowi bardzo atrakcyjną formę zajęć. Naturalne przeszkody, które możemy wykorzystać, to np.: drzewa, krzewy, zwalone pnie drzew, kałuże, rowy, skarpy, mniejsze i większe kamienie, szyszki, kasztany. Wyznaczając trasę w zależności od „wyposażenia" terenu możemy uwzględnić następujące przeszkody i zadania do wykonania: bieg na wyznaczonym odcinku lub do wyznaczonego miejsca; pełzanie lub marsz na czworakach na wyznaczonym odcinku; przeskok lub przejście po pniu zwalonego drzewa; pokonanie rowu w wyznaczony sposób (np. na czworakach) lub dowolny, skok dosiężny do gałęzi drzewa; rzuty szyszkami prawą i lewą ręką do celu; przechodzenie na czworakach lub czołganie pod bramkami ustawionymi z gałęzi; przechodzenie z kamienia na kamień.

W zależności od stopnia trudności toru przeszkód i sprawności osób go pokonujących, sukcesem może być samo pokonanie toru lub uzyskanie najlepszego czasu. Możemy porównywać czas pokonania toru kilkakrotnie przez jedną osobę albo w formie rywalizacji w grupie lub zespołach.

Spędzając czas w miejscowościach uzdrowiskowych możemy skorzystać z istniejących tam **ścieżek zdrowia**, gdzie będziemy mieli już wyznaczoną gotową trasę do pokonania z zaznaczonymi stacjami i dokładnym opisem, jakie ćwiczenie mamy wykonać na danej stacji. Gry i zabawy w terenie uczą samodzielności, wytrwałości, pomysłowości, w zależności od formy wyrabiają umiejętność zespołowego działania lub są podstawą do współzawodnictwa. W połączeniu z odpowiednią dawką wiedzy uczą poszanowania przyrody i pomagają w poznawaniu jej tajemnic.

Elżbieta Sionko

Bibliografia

Gniewkowski W., Wlaźnik K., *Wychowanie fizyczne*. Warszawa 1985.
Kołodziejowie M. J., *Wybrane lekcje wychowania fizycznego w klasach IV – VIII*. Rzeszów 1994.
Rice W., Yaconelli R., *400 Gier i zabaw*. Kraków 1996.
Wlaźnik K., *Wychowanie fizyczne w przedszkolu*. Warszawa 1988.

Piotr Pacholarz

Niepołomicki renesans

Wydawać by się mogło, że miejscowości położone w pobliżu dużych miast skazane są na pozostawanie w ich cieniu. Bycie satelitą metropolii ma w tym przypadku charakter negatywny, zaś bliskość takiego położenia pozostaje najczęściej w relacji odwrotnie proporcjonalnej do rzeczywistej samodzielności i atrakcyjności niewielkiej społeczności. Od tej zasady istnieją jednakże wyjątki

W XIV w. na wschód od Krakowa rozpościerała się olbrzymia puszcza, która ciągnęła się nieprzerwanie aż po Sandomierz. Dla rezydujących na Wawelu władców stanowiła ona atrakcyjny obszar polowań. Jednakże dopiero Kazimierz Wielki – król pracowity i twórczy – postanowił usankcjonować wcześniejszą tradycję i kazał wznieść na zachodnim skraju puszczy ceglano-drewniany zamek myśliwski. Tak rozpoczęła się kariera osady służebnej wobec zamku, rozrastającej się na przestrzeni stuleci. Jako że tutejsza puszcza stanowiła obszar trudny do przebycia (głównie z powodu niezliczonych podmokłości i rozlewisk), zaczęto zwać ją „niepołomną", czyli niełatwą do wykarczowania i nie poddającą się ludzkiej woli. Przodkowie współczesnych mieszkańców Niepołomic trudnili się głównie obsługą królewskiego dworu oraz racjonalną eksploatacją puszczy. A ponieważ przybywający tu władcy musieli mieć zapewniony dostatek zwierzyny łownej – drzewostan i puszczańska fauna były pielęgnowane i pilnie chronione. Warto dodać, że za nielegalne upolowanie jelenia kłusownik musiał dać głowę...

Aż do XVII w. niepołomicki zamek ulegał stałym modernizacjom. Gotycka część została włączona w obręb czworobocznego renesansowego założenia, składającego się z dwóch pięter. Arkadowy dziedziniec przypominać miał Wawel. Już Jan Długosz nazwał Niepołomice „drugą stolicą Polski". Władysław Jagiełło również upodobał sobie to miejsce – być może niepołomicka puszcza przypominała mu litewskie ostępy. Zygmunt August spędził tu szczęśliwsze chwile z miłością swego życia – Barbarą Radziwiłłówną. W Niepołomicach przyjmowano obce poselstwa, naradzano się, podejmowano gospodarcze i polityczne decyzje, wydawano nowe rozporządzenia bądź potwierdzano dotychczasowe. Dwór królewski przebywał tu najdłużej latem, z dala od... wielkomiejskiego, upalnego Krakowa.

Zamek w Niepołomicach

Obok niepołomickiego zamku królowa Bona kazała urządzić ogród, w którym, oprócz kwiatów, uprawiano przywiezione z Włoch warzywa. Stąd zatem pochodzi włoszczyzna, którą królewscy poddani, wzorując się na niepołomickich ogrodach, zaczęli sadzić również i w swych posiadłościach.

Arkadowy dziedziniec zamku w Niepołomicach

Niestety, przeniesienie przez Zygmunta III Wazę dworu królewskiego do Warszawy, rozpoczęło trudniejszy okres w dziejach nie tylko Krakowa, ale i Niepołomic. Mimo burz dziejowych następni królowie wciąż przyjeżdżali tu na polowania, korzystając z zamku, o który dbać mieli niepołomiccy starostowie. Ostatni władca Rzeczypospolitej przybył doń niejako turystycznie, przekraczając legalnie (łaskawie otrzymał pozwolenie...) granicę zaboru austriackiego.

Na szczęście okres rozbiorów nie przyczynił się do zupełnego upadku Niepołomic. W roku 1772 nadano im prawa miejskie; w wieku XIX działały tu m. in. Sąd Grodzki, Urząd Skarbowy, Urząd Celny (ten ostatni miał swą rację bytu ze względu na bliskość granicy z Rosją, biegnącej wzdłuż brzegów Wisły). Również z tego powodu stacjonowało tu wojsko, na potrzeby którego zaadaptowano (dewastując bezlitośnie) królewski zamek. W roku 1858 na północ od Niepołomic przeprowadzono linię kolejową (władze samorządowe nie godziły się, aby miasto oszpecone zostało tą nowinką techniczną), od której później odprowadzono bocznicę w stronę Niepołomic. Pociągi przestały tu kursować dopiero z końcem XX w.

Pomimo komunikacyjnej „wpadki" władze miasta, na miarę ekonomicznych i prawnych możliwości, dbały o rozwój Niepołomic. Powstały zakłady przemysłowe (np. fabryka cegieł i dachówek, której produkty mieli okazję rozpoznawać nawet polscy żołnierze walczący w ZSRR i w Syrii); rozwinęło się szkolnictwo, powstały organizacje patriotyczne, w tym Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół".

W okresie międzywojennym Niepołomice wciąż były jednak miasteczkiem małym, ożywianym nieco przez stacjonujących w nim polskich żołnierzy (warto nadmienić, że zlokalizowano tu Dywizjon Pociągów Pancernych). II wojna światowa boleśnie dotknęła społeczność Niepołomic – żydowska część populacji miasta uległa praktycznie całkowitej zagładzie. W roku 1942 na skraju Puszczy Niepołomickiej Niemcy dokonali masowych egzekucji (w rejonie tzw. Kozich Górek), puszcza kryje w sobie także groby żołnierzy polskich – poległych podczas walk we wrześniu 1939 r., oraz mogiły około stu żołnierzy włoskich.

Po II wojnie światowej, aż do zapoczątkowanych w roku 1989 przemian polityczno-gospodarczych, Niepołomice stanowiły niewielki, ospale funkcjonujący ośrodek miejski, pozostający w cieniu prężnie rozwijającej się Nowej Huty. W zamku działały m. in. poczta, szkoła i izba porodowa...

Dzisiejsze Niepołomice stały się miastem mogącym zaskoczyć szczególnie tych odwiedzających, którzy pamiętają je sprzed roku 1989. Wytrwała i uparta praca samorządu miejskiego doprowadziła miasto (i gminę) do wyraźnego rozkwitu. Zbudowano m.in. sieć kanalizacyjną i oczyszczalnię ścieków. Niepołomice otrzymały Dyplom Rady Europy, wygrały także w konkursie *Miasto 2000*. Korzystna atmosfera inwestycyjna przyciąga obecnie kapitał międzynarodowy – w mieście powstają kolejne zakłady przemysłowe, zmniejszone zostało bezrobocie, zaś liczne miejsca pracy przyciągają do Niepołomic nawet mieszkańców Krakowa. Powstają nowe budynki mieszkaniowe i zakłady użyteczności publicznej (np. kryta pływalnia, szkoły).

Po roku 1989 Niepołomice stały się również miastem atrakcyjnym turystycznie, oferującym przybyszom szereg godnych uwagi obiektów. Jednym z ważniejszych jest oczywiście Zamek Królewski, zadziwiający swym arkadowym dziedzińcem. Doszukać się tu można zarówno gotyc-

kich, jak i renesansowych oraz barokowych elementów. Pomieszczenia zamku przeznaczone zostały na działalność Centrum Kultury (wernisaże, koncerty, ogólnopolskie konkursy i festiwale), zlokalizowano tu muzea - przyrodnicze (większość zbiorów znakomitego fotografa Włodzimierza Puchalskiego) i astronomiczne. W otoczeniu zamku dostrzec można tereny przeznaczone do jazdy konnej, hipoterapii, pole do gry w... królewskiego golfa, a także kilkumetrową postać odzianego w zbroję rycerza, który strzeże ogrodu (nawiązującego lokalizacją do ogrodów królowej Bony). Warto nadmienić, że pod bukszpanowymi szpalerami znajduje się system ogrzewania geotermalnego. Ten nowoczesny i ekologiczny sposób dogrzewania zamku pozwala zdecydowanie obniżyć koszty utrzymania tego wielkiego obiektu.

Dopiero kilka lat temu władze Niepołomic ufundowały miastu pomnik Kazimierza Wielkiego. Niewątpliwie taki wyraz wdzięczności należał się temu władcy za jego troskę - nie tylko o materialną formę Niepołomic, ale także za to, iż interesował się losem prostych ludzi. Legenda mówi, że król w młodości przebierał się za ubogiego wędrowca, aby dowiedzieć się, czym tak naprawdę żyje jego lud. Pewnego razu zajrzał do chaty ubogiego chłopa. Ten godnie ugościł nieznanego wędrowca, zwierzył się również z problemu, jaki go trapił. Nikt bowiem nie chciał trzymać do chrztu nowo urodzonego syna biedaka. Oczywiście król stał się jego ojcem chrzestnym, obdarowując swego chrześniaka ziemią i pełnym trzosem. W ten sposób dowodzi się, że osoby noszące w Niepołomicach nazwisko Trzos są potomkami tamtego dziecka. Dlatego też obok postaci siedzącego króla znajduje się chłopiec - symbol troski Kazimierza Wielkiego o swych poddanych.

Figura Matki Bożej Niepokalanie Poczętej (koniec XVIII w.)

Kościół p.w. 10 Tysięcy Męczenników w Niepołomicach

Rynek i przyległe doń uliczki są przykładem zachowanego układu urbanistycznego. W południowo-wschodnim narożniku rynku znajduje się zabytkowa figura Matki Bożej Niepokalanie Poczętej (z końca XVIII w.). Wcześniej, w tym miejscu, zlokalizowana była drewniana kaplica, starsza nawet niż pobliski kościół. Natomiast w narożniku północno-wschodnim usytuowano niedawno fontannę zwieńczoną figurą leśniczanki Justyny. Zasłynęła ona przytomnością umysłu i celnością, kiedy strzałem z kuszy dobiła rannego żubra, niespodziewanie szarżującego w kierunku króla Stefana Batorego.

Kościół p.w. 10 Tysięcy Męczenników nawiązuje swą nazwą do dnia 22 czerwca 1349 r., kiedy wojska dowodzone przez Kazimierza Wielkiego odniosły zwycięstwo podczas walk na Rusi. Tego dnia Kościół obchodzi święto upamiętniające męczeństwo chrześcijan na stokach góry Ararat, w II w. n.e. Świątynia została wzniesiona i jako wotum za zwycięstwo, i jako kościół dla

późniejszego monarchy. Konsekrowany w 1358 r., otrzymał relikwie kilku świętych i bogate uposażenie. Gotycki, początkowo dwunawowy, z kruchtą i kaplicą dla króla (św. Męczennic), w ciągu wieków był przebudowywany i powiększany. Dobudowano kaplice: od południa rene-

Cmentarz Żydowski

sansową - poświęconą rodowi Branickich (jej autorem jest Santi Gucci); od północy zaś - barokową (Lubomirskich), poświęconą św. Karolowi Boromeuszowi. Znajduje się tam cudami słynący obraz świętego, przywieziony w 1604 r. z Bolonii. Wnętrze, poza gotyckim sklepieniem, to przykład baroku z elementami rokoka. W ołta-

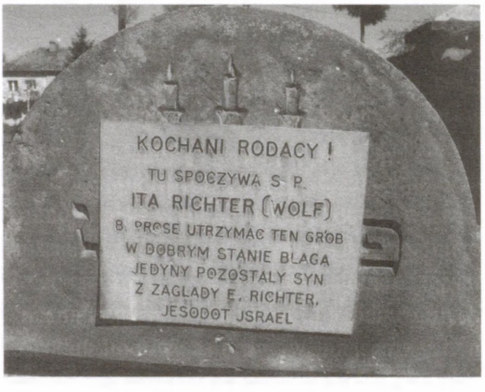

rzu głównym dostrzec można tabernakulum w kształcie Arki Przymierza. Nawa główna przykryta została sklepieniem kolebkowym. W kilku miejscach (m.in. w zakrystii) odsłonięto XIV-wieczne malowidła, określane jako włoskie (toskańsko-umbryjskie). Również otoczenie kościoła zasługuje na uwagę. W murze otaczającym dawny przykościelny cmentarz znajdują się pięknie wykute w kamieniu bramy - renesansowa i barokowa. Dzwonnica, lipy i jawory (pomniki przyrody), epitafia i małe ossarium z ludzkim szczątkami (z dawnego cmentarza) uzupełniają kompozycję niepołomickiej świątyni.

Nieopodal centrum Niepołomic mieści się też Kopiec Grunwaldzki, usypany w roku 1910 jako symbol patriotyzmu mieszkańców miasta i wszystkich Polaków, którym bliska była troska o niepodległość ojczyzny. Złożono tu ziemię spod Grunwaldu oraz z różnych części dawnej Rzeczypospolitej. Dziś, dodatkowo, Kopiec Grunwaldzki jest doskonałym punktem widokowym na miasto i na Puszczę Niepołomicką.

Niepołomicki ratusz to piętrowa, neogotycka budowla, wzniesiona w latach 1902-1903 według projektu uznanego architekta Jana Sasa-Zubrzyckiego. Jest to obiekt interesujący architektonicznie, z czerwonej cegły i z dwupiętrową wieżą w narożniku.

Młodzieżowe Obserwatorium Astronomiczne w Niepołomicach

Młodzieżowe Obserwatorium Astronomiczne to jedno z nielicznych osiągnięć, które swój początek wzięło w latach 60. XX w. Grupa zapaleńców, miłośników astronomii, doprowadziła wówczas do wybudowania małego obserwatorium, które w założeniu służyć miało przede wszystkim kształceniu młodzieży. Aktualnie jest to prężnie działający ośrodek edukacyjny z ambicjami prowadzenia badań naukowych. W po-

godne noce przyjechać tu może właściwie każdy, bez względu na wiek, aby wraz z doświadczonymi fachowcami obserwować interesujące zjawiska astronomiczne.

Izba Regionalna to placówka usytuowana w dawnej, bardzo obszernej stodole. Ekspozycja

Pomnik Kazimierza Wielkiego

zawiera nie tylko różnego rodzaju sprzęty używane niegdyś w Niepołomicach, ale i jest niejako „interaktywna", gdyż niekiedy zwiedzający mogą skosztować (domowego?) chleba ze smalcem.

Na uwagę zasługuje też Park Miejski z figurą św. Floriana, obszerną altaną i Dębem Wolności posadzonym na pamiątkę odzyskanej po zaborach niepodległości, a także Cmentarz Żydowski. Społeczność żydowska Niepołomic była dosyć liczna. Zajmowała się głównie handlem, nadając miastu specyficzny koloryt. Działała tu synagoga i cheder. Dziś pozostało około trzydzieści macew, zazwyczaj z silnie już zatartymi inskrypcjami.

Dostojne miejsce w krajobrazie Niepołomic zajmuje Puszcza, do dziś zaskakująca swą wielkością. To 110 km kwadratowych różnogatunkowego i różnowiekowego drzewostanu. W jej sercu znajduje się, zamknięty dla postronnych, ośrodek hodowli żubrów. W miejscu zwanym Posyna upamiętniono tragiczne zdarzenie, kiedy królowa Bona, spadając ze spłoszonego przez niedźwiedzia konia, poroniła męskiego potomka i potencjalnego następcę tronu. Odnaleźć można również dęby upamiętniające polowania z udziałem królów Stefana Batorego i Augusta II Mocnego.

Z powyższego przeglądu widać wyraźnie, że Niepołomice nie są miastem mało znaczącym jeśli chodzi o ilość atrakcyjnych obiektów i miejsc. Warto zauważyć, że wiele zależy tu od pracy samych mieszkańców, którzy sprawnie kształtują wygląd otaczającej ich aglomeracji. Najlepszym chyba dowodem na prężność i atrakcyjność współczesnych Niepołomic jest fakt czasowego przeniesienia zbiorów z remontowanego Muzeum w Sukiennicach do niepołomickiego zamku. Niektórzy mogliby fakt ten łączyć z legendą, która mówi o przeniesieniu części wawelskiego czakramu, który posłużył jako kamień węgielny wznoszonego tu w średniowieczu zamku. To życiodajne promieniowanie miałoby pozytywnie oddziaływać na tutejszych mieszkańców...

Fontanna z figurą leśniczanki Justyny

Ze słów piosenki Edwarda Wasilewskiego: *Płynie Wisła, płynie* dowiadujemy się, że choć Wisła „Zobaczyła Kraków, Pewnie go nie minie" to jednak potem schowała się „W Niepołomskie lasy". Wiele zatem wskazuje na to, że jeszcze dużo może odpłynąć z dumnego (nazbyt?) Krakowa do niegdyś drugiej stolicy Polski.

Informacje praktyczne

Liczące około 8 tysięcy mieszkańców Niepołomice leżą kilkanaście kilometrów na wschód od centrum Krakowa. Administracyjne obszary obydwu miast graniczą ze sobą bezpośrednio poprzez Wisłę. Położenie w dolinie Wisły, na zachodnim krańcu Kotliny Sandomierskiej, impli-

kuje częste mgły, które według niektórych nadają Niepołomicom nimb tajemniczości.

Dojazd do Niepołomic jest bardzo dogodny, gdyż miasto jest dobrze skomunikowane dzięki autobusom i prywatnym firmom przewozowym jadącym z centrum Krakowa lub od strony dzielnicy Nowa Huta. Liczne są połączenia z Wieliczką i z innymi miejscowościami należącymi do gminy niepołomickiej. Jeśli jednak turysta pragnie wzbogacić swe wrażenia o spacer po Puszczy Niepołomickiej, powinien wysiąść na stacji kolejowej w Staniątkach (główny szlak łączący Kraków z Tarnowem). Po zwiedzeniu kościoła i klasztoru Benedyktynek warto udać się za znakami niebieskiego szlaku turystycznego aż do samych Niepołomic. Po drodze można skorzystać z oznaczeń ścieżki dydaktycznej, która uwzględnia wątki przyrodnicze i martyrologiczne. Z Niepołomic wybiegają również inne szlaki – rowerowe i przeznaczone do jazdy konnej. I jeszcze bardzo cenna rada – w cieplejszej porze roku, podczas leśnych wędrówek, koniecznie należy zaopatrzyć się w skuteczny środek przeciw komarom...

Piotr Pacholarz

Michał Apollo, Marek Żołądek

Miyar Himalaya Expedition 2006

Relacja z wyprawy SKNG w indyjską część Great Himalaya

W okresie 02.08-24.09.2006 r. przebywał w Indiach zespół „Miyar Himalaya Expedition 2006", którego skład stanowili członkowie Studenckiego Koła Naukowego Geografów Akademii Pedagogicznej w Krakowie: Michał Apollo, Michał Król, Przemysław Wójcik oraz Marek Żołądek. Głównym celem wyjazdu była eksploracja słabo poznanej Doliny Miyar Valley oraz wytyczenie nowych dróg wspinaczkowych na sąsiadujące z nią wybrane dziewicze szczyty

Dolina Miyar, leżąca w indyjskiej części Great Himalaya, ciągnie się na długości ponad 100 kilometrów – od okolic miejscowości Udaipur do przełęczy Kang La. Mieszkańcy doliny, Tharangowie, na co dzień zajmujący się pasterstwem i uprawą roli, chętnie pomagają nielicznym ekspedycjom odwiedzającym ten teren. Autochtoni nie odmówili jej także „Miyar Himalaya Expedition 2006" – drugiej polskiej wyprawie eksplorującej tę dolinę.

Pierwszy etap wyprawy obejmował osiemnastogodzinną podróż autobusem z Delhi do Manali, a następnie całodzienny przejazd krętymi, kamienistymi drogami samochodem terenowym z Manali do Tingrat, leżącego w dolinie Miyar Valley.

Pokonawszy trudności związane z zerwanymi mostami na rzece Miyar (efekt wezbrania wody po wiosennych roztopach) i niemożliwością wynajęcia koni do transportu ekwipunku, zatrudniwszy 11 tragarzy, po dwóch dniach wędrówki wśród dzikich koni i jaków, osiągnięto Bazę Główną Doliny Miyar Valley (3950 m n.p.m.). Po szybkiej aklimatyzacji, ze względu na trudne warunki panujące w dolinie (obrywy skalne), zdecydowano się na działanie w dwóch zespołach: Michał Apollo i Marek Żołądek oraz Michał Król i Przemysław Wójcik.

Zespół Apollo–Żołądek udał się na dziewiczą górę o wysokości około 6000 m n.p.m., leżącą po południowej stronie doliny. Po kilkudniowym biwaku na wysokości około 5000 m n.p.m.,

Od lewej: P. Wójcik, M. Król, M. Żołądek i M. Apollo

zespół został zmuszony do odwrotu z powodu ciągłego pogarszania się pogody.

Ekspedycja Miyar Himalaya

*

W tym czasie Michał Król z Przemysławem Wójcikiem wytyczyli nową drogę wspinaczkową na szczycie Tama Donog (około 5250 m n.p.m.), którą nazwali „Skazani na Miyar". Było to prawdopodobnie drugie wejście - pierwszego dokonali Hiszpanie w 2002 r. Przejście prawie kilometrowej drogi zajęło 32 godziny i zmusiło do przymusowego biwaku na eksponowanej półce skalnej (VIII-, OS, ok. 1000 m, 31 h).

*

Po powrocie do BC i krótkiej regeneracji sił 24 sierpnia 2006 r. czteroosobowy zespół wyruszył do bazy wysuniętej na lodowcu Tawa Glacier (około 4950 m n.p.m.). Pokonanie tej trasy zajęło 2 dni. Pierwszy dzień po osiągnięciu bazy wypełnił rekonesans Tawa Glacier. Po gruntownym zlustrowaniu warunków panujących na trasie skorygowano plany wspinaczkowe. Korzystając z dobrej pogody 24 sierpnia 2006 r. zespół Apollo-Żołądek, po 14 godzinach akcji górskiej, zdobył dziewiczy szczyt w grani rozdzielającej lodowce Tawa Glacier i Thunder Glacier. Szczyt został ochrzczony Masala Peak (5650 m n.p.m.). Droga ma charakter mikstowy, liczy około 800 m, a stopień trudności określono na WI4. Podczas zejścia nastąpiło znaczne pogorszenie pogody, trwające kilka dni (WI 4, lód 80 st., ok. 800 m, 14 h).

*

27 sierpnia 2006 r., korzystając z okna pogodowego, o godzinie drugiej w nocy Michał Apollo wraz z Markiem Żołądkiem wyruszyli na „podbój" najdalej wysuniętej na północ góry w Dolinie Tawa Valley. O godzinie ósmej zespół osiągnął podstawę góry, jednakże po siedmiogodzinnej, wyciągowej wspinaczce lodowo-skalnym kuluarem został zmuszony do odwrotu ze względu na gwałtowne załamanie pogody. Osiągnął jednak przełęcz o wysokości 5690 m n.p.m., którą nazwano St. Christopher Pass (Przełęcz Świętego Krzysztofa). Mgła, intensywne opady śniegu oraz spadek temperatury utrudniały zejście przez lodowiec. Po dotarciu do Bazy Wysuniętej okazało się, że drugi zespół - Król-Wójcik - jest ciągle w ścianie. Warunki atmosferyczne pogarszały się z minuty na minutę. Gęsta mgła, intensywne opady śniegu oraz ujemna temperatura znacznie utrudniała wspinaczkę w stylu klasycznym. O pierwszej w nocy Michał Król wraz z Przemysławem Wójcikiem zeszli do obozu.

*

Dolna część drogi wytyczonej przez zespół Michał Król-Przemysław Wójcik prowadziła najpierw terenem mikstowym, by później przejść w pionowe kominy i rysy. Trzy wyciągi przed szczytem warunki pogorszyły się, śnieg i deszcz ze śniegiem utrudniły wspinanie, co przyczyniło się do tego, że Michał Król na przedostatnim wyciągu zmuszony został do przyazerowania[1]. Szczyt został nazwany Geruda Peak. Droga o długości około 900 m została pokonana w 21 godzin (VII+, 1 x A0, lód 50-60 stopni, ok. 900 m, 21h).

Dalsze dni przyniosły ciągłe pogarszanie się pogody, co zmusiło ekipę do odwrotu. Po dotar-

Marek Żołądek na grani szczytowej *fot. M. Apollo*

Dolina Miyar Valley fot. M. Apollo

W osadzie Parolem fot. M. Apollo

Jogg Falls fot. M. Apollo

M. Żołądek wspina się na St. Christopher Pass

ciu do BC zdecydowano o wcześniejszym zejściu do miejscowości Tingrat. Pozostawiono żywność oraz część sprzętu przebywającym tam pasterzom, resztę – około 160 kilogramów – zniesiono na własnych barkach w dół doliny. Do Manali zespół dotarł samochodem terenowym, zaś do Delhi autobusem.

*

Upalną indyjską stolicę opuszczono kilka godzin później na pokładzie samolotu lecącego do Mumbaju (dawny Bombaj). Miasto to, położone na malowniczym półwyspie, wywarło bardzo duże wrażenie na członkach ekspedycji. Odwiedzono pobliską wyspę Elefanta Cave, położoną na Morzu Arabskim. Tamtejsze – wykute w skale – świątynie uświadamiają potęgę starożytnych Indii. Dalszy etap podróży to dotarcie linią kolejową (zwaną Konakan) do plaż stanu Goa. Na odpoczynek po himalajskim wysiłku wybrano osadę Parolem. Tam, wśród palm, zespół oddał się surfowaniu, nurkowaniu i połowom z miejscowymi rybakami. Lokalne restauracje doskonale trafiały

Ekwipunek wyprawy

w kulinarne upodobania uczestników wyprawy – codzienne menu stanowiły: banana pancake, banana shake, fruits of the sea, shark...

Po kilku dniach wyruszono na południe do największych wodospadów w Indiach – Jogg Falls, z których najwyższy swobodny spadek wody liczy 263 m. Kolejnym etapem był najdalej wysunięty na południe punkt wyprawy – miasto Murdeshwar nad Morzem Arabskim. Po drodze do leżącego w stanie Goa Panaji zespół zatrzymał się w znanym kurorcie Gokarna, pełnym piasz-

M. Apollo na 3. wyciągu na St. Christopher Pass

czystych bądź kamienistych plaż, a nadto wyśmienitych do surfowania fal. Na koniec pobytu w tej byłej portugalskiej kolonii udano się do historycznej miejscowości Vasco da Gama, miejsca gdzie kilkaset lat wcześniej przybył znany podróżnik. Pozostałe do powrotu dni przeznaczono na zwiedzanie miasta Delhi oraz „wycieczkę" do Agry, gdzie znajduje się Taj Mahal. A podczas kilkugodzinnego lotu do Polski w głowach uczestników wyprawy zaczęły kiełkować plany na kolejne ekspedycje...

Serdeczne podziękowania za pomoc w organizacji wyprawy kierujemy do prof. Jana Lacha.

Michał Apollo, Marek Żołądek
Zapraszamy na naszą stronę internetową:
www.afryka2007.w8w.pl

[1] W tym wypadku było to wykorzystanie wbitego wcześniej haka asekuracyjnego, jako uchwytu do podciągnięcia się wspinającego.

Jerzy Stefan Ossowski

Srebrna Natalia

O, zielony Konstanty, o, srebrna Natalio!
Cała wasza wieczerza dzbanuszek z konwalią;
Wokół dzbanuszka skrzacik chodzi z halabardą,
Broda siwa, lecz dobrze splamiona musztardą,
Widać podjadł, a wyście przejedli i fanty –
o, Natalio zielona, o, srebrny Konstanty!

O naszym gospodarstwie (1934)

Westchnienie nad biedą domostwa Natalii i Konstantego dyskretnie przechodzi w stoicką pochwałę „być przed mieć". Ów romantyczny ideał stale towarzyszył szczęśliwemu małżeństwu Gałczyńskich, które – pomimo wielu burz życiowych i zawirowań losu – trwało dwadzieścia trzy lata, aż do śmierci poety w roku 1953. Dokładnie tyle samo lat Natalia przeżyła bez Konstantego.

Kira Gałczyńska, córka „srebrnej Natalii", zaprezentowała czytelnikom kilka romantycznych konterfektów niezwykłej żony, przyjaciółki i muzy wielkiego poety w kolejnych, interesujących książkach: *Mazurskie szlaki Gałczyńskiego* (1986), *Jak się te lata mylą* (1989) *K. I. Gałczyński – Kriegsgefangener 5700* (1993), *Splątało się, zmierzchło* (1995), *Gałczyński* (1998), *Zielony Konstanty, czyli opowieść o życiu i poezji K. I. Gałczyńskiego* (2000) oraz w zbiorze korespondencji *Pozdrowienia dla Czarodzieja* (2005). Od dawna nosiła się też z zamiarem napisania biografii Natalii, odnalezienia pamiątek po jej dalekich przodkach zamieszkujących ziemie, które ongiś stały się przystanią dla Arki Noego. Tutaj – za wykradzenie niebu ognia i dania go ludziom, aby poprawić ich nędzny byt – cierpiał przykuty do skał Kaukazu Prometeusz.

Swoją wyprawę do mitycznej Kolchidy u podnóża Kaukazu, gdzie ongiś dotarli Argonauci, Kira Gałczyńska odbyła dopiero w roku 2005 podczas reporterskiej podróży do Gruzji i dzięki temu zakończyła prace nad książką *Srebrna Natalia*. W estetycznej szacie graficznej, wzbogacona wieloma unikatowymi zdjęciami z epoki, barwna saga rodzinna Gałczyńskich ukazała się w wydawnictwie Świat Książki[1]. Dla autorki złotym runem biograficznym stały się rodowe tajemnice dziadka, gruzińskiego księcia Konstantego Nikołajewicza Awałowa (rosyjska forma nazwiska Awaliszwili), którego śladów już wcześniej poszukiwała sama Natalia.

W słowniku *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury* pod hasłem Natalia Gałczyńska (1908–1976), powieściopisarka i tłumaczka, czytamy: „Urodzona 29 VIII 1908 roku w Kaliszu, córka Konstantego Awałowa, rosyjskiego oficera gwardii, i Wiery Snaksarew. Po śmierci ojca wyjechała w 1918 z rodziną do Warszawy, gdzie uczęszczała do Gimnazjum im. K. Hoffmanowej. W 1927 zdała maturę. W 1930 wyszła za mąż za K. I. Gałczyńskiego. Studiowała w 1930–31 historię sztuki w UW. Następnie przebywała z mężem w Berlinie, a od 1934 w Wilnie. W 1936, po urodzeniu córki Kiry, zamieszkała w Aninie pod Warszawą. W czasie okupacji niemieckiej, gdy mąż znalazł się w obozie jenieckim, zarabiała na utrzymanie pracując jako kelnerka. Równocześnie brała udział w działalności konspiracyjnej jako łączniczka AK. Po wojnie, od 1946 przebywała w Krakowie, w 1948 przeniosła się do Szczecina, w 1949 powróciła do Warszawy. Kontynuowała twórczość przekładową z rosyjskiego i w 1954 została członkiem ZLP. Po śmierci męża brała udział w pracach nad publikacją jego dzieł. W 1962 zaczęła publikować utwory dla dzieci, a w 1963 również powieści dla młodzieży (pod pseud. Anna Glińska). Odbyła kilka podróży na polskich statkach do Brazylii, Peru, na Daleki Wschód, co posłużyło jej za tworzywo kolejnych powieści. Zmarła 22 XI 1976 w Warszawie"[2].

Prawnuczce rosyjskiego radcy stanu i naczelnika powiatu kaliskiego Piotra Dmitriewicza Snaksarewa i Jelizawiety Justinowny z Sołogubów – Kirze Gałczyńskiej – udało się odkryć nieznane fakty z życia dziadka, oficera pułku dragonów, który poślubił Wierę Pietrownę i osiadł w jej rodzinnym Kaliszu. Walcząc pod sztandarem elitarnego pułku gwardii carskiej w roku 1917 dostał się do niewoli tureckiej, a następnie bolszewickiej, skąd trafił do rodzinnego kraju ojców i dziadów. Wojenno-rewolucyjne wypadki sprawiły, że samotnym wychowaniem dzieci zajęła się Wiera, od roku 1929 teściowa Konstantego, która po śmierci syna Mikołaja (1905–1937) swój los na stałe związała z rodziną Gałczyńskich, nie wiedząc, że w tym czasie jej mąż Konstanty Awaliszwili – cieszący się sławą budowniczego pierwszego w Tbilisi hipodromu i zwycięzcy prestiżowych zawodów jeździeckich – zmarł w ukochanej Gruzji. Książęca krew gruzińskich przodków i miłość do ojca odegrały szczególną rolę w ukształtowaniu bogatej osobowości oraz niezłomnego charakteru Natalii, co potwierdziły dalsze koleje jej życia.

Od tego miejsca pojawiają się po raz pierwszy udostępnione, spisywane na przełomie roku 1968/69 przez Kirę, osobiste wspomnienia jej matki z lat 1929–1939, których osnową stały się dzieje jej miłości do męża. Ze wspomnień tych wynika, że Konstanty był człowiekiem tragicznie rozdartym wewnętrznie, a przy tym religijnym, bezgranicznie oddanym swej sztuce i swej żonie. Stale, z powodu kłopotów materialnych, zawiści ludzi ze środowiska pisarskiego i chorobie dypsomanii, borykał się z niepewnym losem. Wśród zwierzeń Natalii na temat sekretów i tajemnic jej życia, szczególnie ciekawe są opowieści o wspólnej z mężem fascynacji muzyką, sztuką i literaturą, codziennych troskach domowych i dzielnym przezwyciężaniu kłopotów, przyjaciołach i wrogach rodziny, o mądrości przebaczania, dobroci i wiernej miłości do męża, za którą on sam odpłacał się tym, co było sensem jego życiowego powołania – poezją.

Po latach dom wileński przy Połockiej, w którym Gałczyńscy zamieszkali w roku 1935, Natalia wspominała z czułością:

„Zima była bardzo śnieżna. Rano, otwierając oczy, widziałam zaspy śniegu aż pod okna. Łopaty zgrzytały o bruk. Nasze landary były nie do ogrzania. Borykałam się z dymiącymi piecami, zwłaszcza w kuchni. Kot przynosił mi węgiel, rąbał drzewo, chodził po zakupy. Mieliśmy bardzo mało pieniędzy. Ale w tym okresie biedy, niepokoju i jakiegoś odcięcia od świata miłość jeszcze się wzmogła, jeżeli to było możliwe. Nikt do nas nie przychodził, nie chcieliśmy nikogo. Lgnęliśmy do siebie z jakąś głęboką czułością. Pamiętam nasze codzienne dalekie spacery po dziwacznych ulicach Zarzecza. [...] Po powrocie do domu zamykaliśmy okiennice. Konstanty palił

jeszcze raz w piecu w najcieplejszym pokoju. Kładł na żar węglowy wielkie brzozowe polana. Siadaliśmy na derce pod piecem – my i koty. Razem czytaliśmy książki – Błoka, Kochanowskiego, Andersena. Noce były mroźne, bardzo długie. [...] Gasiliśmy lampkę. Zasypiał, kurczowo trzymając mnie za rękę. Rzucał się we śnie, krzyczał. Długo nie mogłam zasnąć. Budził się, głaskał mnie po twarzy, szeptał, nawet opowiadał bajki. Dobrze pamiętam te ciężki noce w Wilnie przed urodzeniem dziecka, ten niepokój i biedę, czułość i miłość. [...] Dziś nie mamy pieniędzy i jest nam smutno, a jutro znów będziemy bogaci i szczęśliwi jak królewska para" (s. 116–117).

Kaukaska genealogia książęcego rodu Awaliszwilich stwarzała podnietę dla wyobraźni artystycznej, dzięki czemu – w *Krzyczysz przez sen* – poeta rozważał możliwość powrotu Natalii do mitycznej krainy jej gruzińskich przodków:

Krzyczysz przez sen. Lampa dymi.
Natalia! Natusia!! Natałka!!!
Czemu, czemu nie uciekłaś na Kaukaz
Razem z ojcem i braćmi twoimi?

Tutaj, widzisz, dni niechętnie płyną,
Z katarami i aspiryną,
A chmury są coraz bardziej trwożliwe.

Tam byś miała mauretański zamek
i winnice, i konie stadami –
oczywiście, gdyby to było możliwe.

Wiersz ten ukazał się jako jeden z czterech liryków cyklu *Carmina*, zamieszczonych w wileńskim kwartalniku „Środy Literackie" (1936, nr 4) obok tekstów opatrzonych później tytułami: *Wizyta*, *Farlandia* i *Piosenka*, których adresatką także była Natalia.

Przyszedł wreszcie okres małej stabilizacji anińskiej, lata wytężonej pracy, kształtowania własnej drogi poetyckiej, „niełatwego zdobywania chleba i ciągle ogromnej miłości, przyjaźni jak najczulszej, małych domowych radości, muzyki, przyrody" (s.130), ale także, prawie zawsze na wiosnę powracających, kilkutygodniowych okresów dypsomanii, rodzących konflikty, cierpienia oraz stugębną plotkę w warszawskim światku artystyczno-towarzyskim. „Co prawda i bez tych okresów pijacko-depresyjnych nasze życie nigdy nie było łatwe – wspominała Natalia – Może ten świat uczuć był zbyt bogaty? Nasz dwudziestotrzyletni związek był ciągłym romansem – namiętne burze, ślepa zazdrość, zachwyty, krótkie, nagłe kłótnie. A ile w tym wszystkim było uczucia, ile nieprawdopodobnej bliskości, kiedy zaciera się granica – czy to ty, czy ja? I ta przyjaźń, wspólne przeżywanie najdrobniejszych i największych (dla nas) zdarzeń, porozumienie bez słów, cały świat zawarty w jakimś jednym geście. Pamiętam jak nieraz wracaliśmy z Warszawy w zimowy zmierzch: tramwajem do Gocławia, a potem pieszo szosą. To była daleka droga, znacznie dalsza niż od stacji kolejowej i bynajmniej nie piękna. Po prostu miejska szosa między drewniakami Wawra. Mówiliśmy o wszystkich naszych sprawach domowych i redakcyjnych, o planowanym wierszu i że «teatr to korona twórczości», i że dług w sklepiku za bardzo urósł, a Kirze trzeba kupić buty, i że kiedyś pojedziemy do Hiszpanii – ile śmiechu, czułości, nagłych pocałunków na środku szosy..." (s. 130–131).

Spoglądanie na niesione wiatrem chmury, wsłuchiwanie się w świst sosen na szosie pod Wawrem pozwalało poecie – jak w wierszu *A la russe* – na dotarcie do sensu istnienia, wyrażenie myśli, że życie człowieka jest bytem ku śmierci:

Ej, pod Wawrem, ej, na szosie lubelskiej
rozhulał się, rozbisurmanił się wiatr
wrześniowy!
Zaczarowane ćmy przypadły do latarni
naftowej,
świszczą sosny, tańczą sosny farandole
diabelskie.

W niebie rozpacz. Ale jaka! Zielone chmury
się piętrzą;
strach, strach jest w każdej rzeczy;

a ten kurz, moja miła, to nic, że nam usta
kaleczy –
on ma w sobie gorycz najświętszą.

Śpiewa wiatr. Co za ból! Lecz świstem jakich
to sosen
wyświstać nam ból stokroć większy, że
urwie się kiedyś piosenka!
Choć wiem, że tu po śmierci wrócimy.
I przez tę lubelską szosę
znów cię poniosę na rękach.

To, co niepojęte, i to, czego widzieć się nie da, Gałczyński odczytywał jako religijne misterium, które uczynił symbolem zwycięstwa miłości – uczucia i sensu życia. Innymi słowy: tajemnicze napięcie grozy stało się dobrem pociągającym i fascynującym, uzupełnionym o element oczarowania, wprawienia w zachwyt kochanej osoby.

Biografia Natalii daje dodatkową sposobność do poszukiwania prawdy o życiu jej męża, a w obrazach tego życia motywacji zastosowanych rozwiązań artystycznych. Związek sytuacji realnych z ich konsekwencjami artystyczno-literackimi pozwala bowiem w fikcjonalnym materiale tematycznym i treściowym poezji Gałczyńskiego widzieć jedno ze względnie wiarygodnych źródeł informacji o faktach jego życia. Widoczna w cytowanym wierszu paralela między tym, co doświadczone, przeżyte, a tym, co literacko wyrażone w języku poezji, umożliwia dostrzeżenie zależności między zasobem doświadczeń biograficznych autora a jego osobowością i konwencjami liryki osobistej. Innymi słowy bywa tak, że bohaterowie tej liryki „życiem-pisanej" wyposażani zostają w zespół cech sugerujących możliwość wiarygodnego utożsamiania ich z poetą, ze światopoglądowymi i mitycznymi elementami jego biografii.

Kolejne rozdziały ukazują dalsze etapy życia „srebrnej Natalii", jej mężną postawę w roku 1939 i podczas okupacji w Warszawie, gdzie także była kolporterką prasy konspiracyjnej (z wojennymi wierszami męża) i po powstaniu, kiedy przez obóz w Pruszkowie oraz dom Iwaszkiewiczów na Stawisku dotarła z matką i Kirą do Kalisza, a potem Krakowa. Jej powojenne lata to etap zmagania się z chorobą nowotworową, skutkami dawnych romansów męża z innymi kobietami, wspieranie go w ciężkich chwilach zaciekłych ataków na jego twórczość, wyczerpującej walki o jego zdrowie. Przez lata kolejne, po nagłej śmierci Konstantego i zaraz potem matki Wiery, doskwierało jej osamotnienie, które starała się przezwyciężać pracami edytorskimi nad jego dziełem oraz wytrwałą tego dzieła popularyzacją.

Podobne zadania dzisiaj stały się sensem życia córki poety. Z wielką determinacją, pieczołowitością i powodzeniem ona również kontynuuje prace edytorskie i popularyzacyjne podjęte przez jej niezwykłą matkę. Dla Kiry Gałczyńskiej retrospektywna podróż po śladach jej przodków i własnej rodziny równocześnie stała się podróżą w głąb siebie. Skłoniła do ponownego odkrycia więzi łączących ją z gruzińskimi antenatami, ale uświadomiła także, jak wiele z tego stosunku do własnych przodków, rodziny i przyjaciół zawdzięcza miłości do swoich rodziców, a zwłaszcza matki, portretowanej pisarsko jako żona, przyjaciółka i muza „zielonego Konstantego", która odegrała najważniejszą rolę w jego w życiu i twórczości.

Kira Gałczyńska o tych faktach mówiła także na zorganizowanej w Akademii Pedagogicznej w Krakowie międzynarodowej konferencji naukowej (3–5 XII 2003), na której wygłosiła referat *Natalia i dom w twórczości Gałczyńskiego*, pomieszczony następnie w dedykowanej jej księdze pokonferencyjnej *Dzieło i życie Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego* (Kraków 2005)[3] i przy okazji promocji tej monumentalnej pracy „gałczyńskologicznej", gdy ponownie odwiedziła naszą Uczelnię (8 czerwca 2006)[4]. Zapewne dojrzał już czas, aby autorka *Srebrnej Natalii* stanęła na czele zespołu badaczy literaturoznawców zamierzających przygotować narodową edycję dzieł wszystkich Gałczyńskiego, twórcy uznawanego powszechnie za klasyka liryki współczesnej.

W kanonie polskiej współczesnej poezji miłosnej mieści się wiele utworów, których inspiratorką tudzież adresatką była wiotka, smagła i czarnooka Natalia, na których odcisnęła swój duchowy stygmat kobiecości oraz piękna. Któryż z poetów polskich tyle czarownych, znakomitych wierszy miłosnych poświęcił żonie – opiewając przy tym uczucie wzajemne, spełnione, rodzinne – co Gałczyński? Sięgając po teksty poetyckie Staffa, Tuwima, Przybosia, Miłosza, Różewicza, Herberta, Zagajewskiego, w których postaci kobiet zazwyczaj pojawiają się anonimowo, niewiele dowiemy się dziś o ich żonach, o miłości w ich życiu rodzinnym. Tymczasem wspomnieć wystarczy znane frazy: „A ty mnie na wyspy szczęśliwe zawieź...", „Aniele Boży, Stróżu mój / do żony mojej steruj..." „Już kocham cię tyle lat ...", „Kochanie moje, kochanie, / dobranoc, już jesteś senna ...", by uzmysłowić sobie siłę uczuć opiewanych przez ich autora. Pełniej zrozumieć możemy przesłanie tych wierszy w świetle prezentowanej książki biograficznej Kiry Gałczyńskiej, która realistyczny portret swej matki stworzyła z miłością i szacunkiem.

Jerzy Stefan Ossowski

[1] K. Gałczyńska, *Srebrna Natalia*. Świat Książki. Warszawa 2006.

[2] Zob. E. G. [Ewa Głębicka], *Gałczyńska Natalia*. [w:] *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny*. Oprac. zespół pod red. J. Czachowskiej i J. Szałagan. T. 3. Warszawa 1994, s. 12.

[3] *Dzieło i życie Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego*. T. 1. Pod redakcją A. Kulawika i J. S. Ossowskiego. Kraków 2005, s. 423–429.

[4] Zob. A. Luberda, *Spotkanie z córką „Zielonego Konstantego" i „Srebrnej Natalii"*. „Konspekt" 2006 (26) nr 2/3, s. 76–77.

Kornela Grzegorczyk-Dłuciak

Pedagogika przedszkolna

Metamorfoza statusu i przedmiotu badań

Jako pedagog specjalny od lat pracuję z dziećmi cierpiącymi na autyzm oraz inne zaburzenia rozwojowe. Kieruję również placówką przedszkolną dla najmłodszych. W związku z faktem, że naczelnym celem metody, którą wykorzystuję w pracy z dziećmi – analizy behawioralnej stosowanej (ABA) – jest wyrównanie deficytów rozwojowych na poziomie wczesnej interwencji, moja sytuacja jest szczególna, albowiem – niejako z definicji – wymaga ode mnie ciągłego poszukiwania nowych metod pracy z dzieckiem. W samodzielnych poszukiwaniach jednak, sięgając do literatury przedmiotu, niejednokrotnie ulegałam rozczarowaniu, często bowiem odnosiłam wrażenie, że twórcy każdego kolejnego podręcznika osadzają go wyłącznie w granicach historycznych i terminologicznych, mocno rozmijając się z rzeczywistymi potrzebami środowiska pedagogów przedszkolnych.

Niejako z obowiązku i przyzwyczajenia sięgnęłam zatem po nowość na rynku wydawniczym – książkę prof. Danuty Waloszek *Pedagogika przedszkolna – metamorfoza statusu i przedmiotu badań*. Sięgnęłam – i już na pierwszej stronie poczułam się pozytywnie zaskoczona. Przeczytałam: „można powiedzieć, że dzieciństwo, czy tego chcemy czy nie, ustawicznie zagląda nam w twarz, a my wciąż go nie rozumiemy, idziemy drogą którą zgubiliśmy, a mimo to ciągle coś pcha nas do przodu. Może to droga donikąd, a może w stronę rozwiązania ważnych kwestii dzieciństwa człowieka. Ważne by pokonać ów granitowy mur, który gdzieś najgłębiej jest w nas, od którego wszystko się odbija. W opracowaniu próbuję ten mur pokonać i zachęcić czytelnika do tego samego [...] wierzę głęboko, że uda mi się znaleźć wspólne myśli z zaciekawionym czytelnikiem, odpowiedzialnym czytelnikiem, że uda nam się pokonać granicę niemocy, złudzeń [...]".

Co było źródłem mojego zaskoczenia? Przede wszystkim magiczny, poetycki język, którym przemówiła do mnie autorka. Lektura kolejnych stron tylko umacniała moje zainteresowanie książką. Dlaczego? W podręczniku znalazłam opisane pięknym, literackim językiem, podróże przez psychikę dziecka, przez prawa rządzące nim w grupie, przez historię pedagogiki, wreszcie – przez współczesne realia opieki i wychowania.

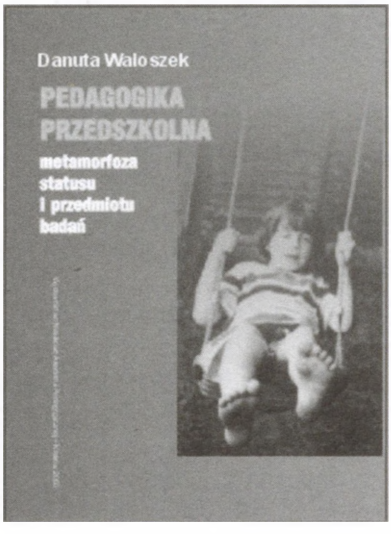

Moją uwagę przykuł rozdział: *Codzienność dziecka jako źródło celów w jego edukacji,* a w nim opis: *Wymiary codzienności dziecka.* Niezwykle cenną, w moim odczuciu, jest surowa krytyka, której poddaje autorka wiele aspektów współczesnego wychowania. Znalazłam tam m.in. bliskie moim refleksjom stwierdzenie odnoszące się do polskiej rzeczywistości edukacyjnej: „Ponownie wejdziemy w fazę ogólnopolskiej gadaniny o sprawach wychowania, zamiast po prostu wychowywać – na ulicy, w domu, w teatrze, w kinie, sklepie, szkole".

Bardzo interesującym dla mnie, jako dla praktyka, był rozdział poświęcony zabawie. Jednakże moje wątpliwości – wynikłe z lektury tekstu – wzbudziła zawarta w nim teza, mówiąca że zabawy: „nie można wywołać, organizować, kontrolować, zaplanować. Ona po prostu jest lub nie". Uważam, że praktyka pedagogiczna nieco rozmija się w tym stwierdzeniem. Uczenie zabawy (a więc – jak pisze autorka – jej „wywoływanie, organizowanie, kontrolowanie, zaplanowywanie") jest jednym z priorytetów w edukacji dzieci o zaburzonym rozwoju, szczególnie na poziomie wczesnej interwencji. W literaturze przedmiotu możemy zresztą znaleźć liczne odnośniki mówiące o sposobach jej nauczania (np. Gudstein S., Scheely R. K. 2002; Vail T., Freeman D. 2002; Weiss J. M., Harris S. L. 2001). W świetle takiej analizy teza postawiona przez profesor D. Waloszek wydaje się być częściowo zawężona.

Przed napisaniem tej noty, wielu osobom z kręgu praktyki pedagogicznej, zadałam pytania o istotę, rolę i treści dobrego podręcznika pedagogiki przedszkolnej. Oczywiście: ile osób, tyle odpowiedzi, jednakże zdecydowana większość wskazywała na opis czynników wpływających na kształtującą się psychikę dziecka oraz informacje porządkujące cele, zadania i sposoby realizacji pracy z dzieckiem i grupą przedszkolną. W tym rozumieniu *Pedagogika przedszkolna...* jest dziełem szczególnym – dogłębnie i kompleksowo przemierza bowiem te obszary, osadzając je ponadto w perspektywie historycznej, kulturowej i filozoficznej.

Dla mnie kontakt z myślą profesor D. Waloszek wyrażoną na stronach *Pedagogiki przedszkolnej...* stał się początkiem wielu nowych przemyśleń, pytań i konkluzji, całkiem nowych pomysłów. Ufam, że w moich odczuciach nie będę osamotniona i że podzielą je inni czytelnicy książki.

Kornela Grzegorczyk-Dłuciak

Danuta Waloszek, *Pedagogika przedszkolna – metamorfoza statusu i przedmiotu badań*, Wyd. Naukowe AP, Kraków 2006

Bożena Krupa

O miejscu niepełnosprawnych w kulturze

Każdy człowiek odbiera otaczającą rzeczywistość na swój własny sposób, nie podlegający schematom, kanonom i regułom. To własny świat widziany, odczuwany, słyszany i przemierzany wielkimi lub małymi krokami. To, na ile potrafimy opowiedzieć o swoich emocjach, przeżyciach, przekazać obrazy, efekty przemyśleń i wyobrażeń, zależy zapewne od wielu czynników: fazy rozwoju, zdolności, aktywności poznawczej, talentu, odpowiednich warunków czy wyposażenia biologicznego. Dzieło rodzi się w umyśle i nie ma żadnego związku ze sprawnością czy niepełnosprawnością twórcy. Wyobraźnia jest nieograniczona, niezmierzona, i to dzięki niej powstają wytwory zachwycające kolejne pokolenia. Nie zastanawiamy się przecież, jaką muzykę słyszał głuchy Beethoven tworząc swe arcydzieła, ani czy płótno nie jest wytworem malarza posługującego się pędzlem trzymanym w ustach lub między palcami stóp. Równocześnie nie zastanawiamy się, obcując z literaturą, że tworzący ją poeta albo pisarz mógł nigdy nie wypowiedzieć ani jednego słowa, a może nie dane mu też było oglądać świata, tak wyraziście przez niego przedstawianego. W większości przypadków taka świadomość nie jest potrzebna, bo dzieło swoją wielkością broni się samo.

Historia kultury nie klasyfikuje artystów ze względu na pełno- czy niepełnosprawność. Wyznacznikami wartości dzieł są środki artystycznego wyrazu, oryginalność w zakresie wykorzystanej techniki czy zawartej głębi przekazu. Każdy z nas odbiera jednakowo impulsy płynące z zewnątrz i wewnątrz, ale ich przyswajanie i przetwarzanie jest już indywidualne, niepowtarzalne. Subiektywna ocena tych informacji przynosi rezultaty w postaci różnorodnych podejść, znaczeń i wartości.

Świat pełen znaczeń – kultura i niepełnosprawność to opracowanie podejmujące nakreśloną powyżej relację między niepełnosprawnym twórcą a otaczającą go materią. Tematem przewodnim pierwszej jego części, zatytułowanej *Osoba niepełnosprawna jako twórca i odbiorca kultury*, jest miejsce osoby niepełnosprawnej w kulturze, jej uczestnictwo w aktywnej i receptywnej formie. Autorzy, Jolanta Baran i Sławomir Olszewski, podjęli próbę ukazania

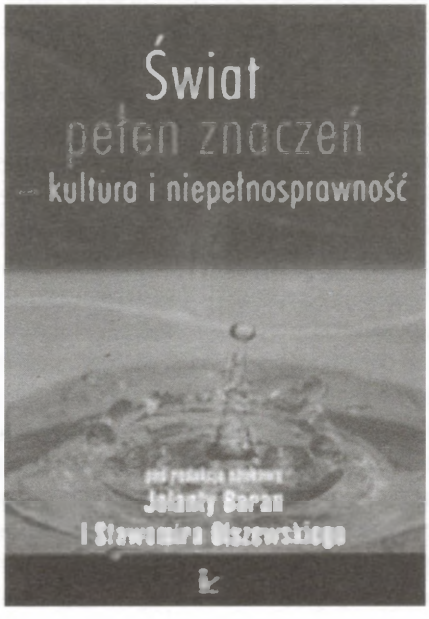

twórczości jako sposobu komunikowania się osób niepełnosprawnych z otaczającym ich światem; twórczości jako sposobu wyrażania pragnień i emocji oraz budowania dialogu z losem ograniczającym życiową przestrzeń, twórczości będącej często formą terapii i autorewalidacji. Analizie poddano profesjonalną i amatorską aktywność twórczą osób z różnorodnymi dysfunkcjami. Umieszczone w książce biografie niepełnosprawnych artystów i ich dokonania na polu kultury i sztuki stanowią punkt wyjścia do poszukiwania motywów skłaniających do podejmowania twórczych wysiłków. W przypadku kultury można zatem dojść do wniosku, że pełna sprawność i niepełnosprawność wzajemnie się przenikają, a nawet są dla siebie pewnego rodzaju uzupełnieniem. Wyniki badań niniejszego opracowania wskazują na spowodowane wieloma czynnikami niedostatki w zakresie uczestnictwa osób niepełnosprawnych w kulturze. Idzie tu o ograniczony dostęp do instytucji, w których można rozwijać różne zainteresowania, bowiem bariery komunikacyjne i sposób postrzegania niepełnosprawności przez otoczenie wręcz uniemożliwia korzystanie z dóbr kultury, a przecież to właśnie odpowiednio przystosowane placówki dla wielu stają się motywacją do podejmowania nieprofesjonalnej twórczości artystycznej wyrażającej chęć oderwania się np. od pewnych kłopotów zdrowotnych. Ekspresja twórcza przybiera wówczas formę ucieczki w świat fantazji i stanowi sposób utrzymania równowagi psychicznej czy kompensacji nie posiadanych wartości. U podstaw takich zachowań, jak podkreślają autorzy opracowania, leży chęć bycia zauważonym przez innych i poczucie identyfikacji ze społeczeństwem.

II część opracowania, *Nowe koncepcje upowszechniania kultury i nowe idee aktywności kulturalnej osób niepełnosprawnych*, skupia się wokół kulturoterapii, a więc działań zmierzających do wielopłaszczyznowej integracji osoby niepełnosprawnej z otoczeniem z równoczesnym naciskiem na samorealizację i autorehabilitację. Szczególna rola w rozwijaniu aktywności twórczej przypada szkole, która już od najmłodszych lat przygotowuje osoby z dysfunkcjami do uczestnictwa w kulturze. Autorzy zwrócili uwagę na kształtowanie kompetencji niezbędnych do aktywnego działania, jak również do podejmowania roli odbiorcy, przypomnieli również znaczenie nauczycieli, rodziców i terapeutów pracujących z dziećmi i młodzieżą, jako tych osób, od świadomości których zależy rozwój funkcjonowania poznawczego i społecznego ich podopiecznych.

Okres szkolny ponadto nierozerwalnie wiąże się z aktywizacją skomplikowanych funkcji fizycznych i psychicznych skierowanych na zdobywanie wiedzy i umiejętności przypisanych danemu okresowi rozwojowemu. Kulturoterapia, oprócz roli psychoterapeutycznej, spełnia wiele innych funkcji: chociażby poznawczą, kompensacyjną czy wychowawczą. Podobnie przytaczane w tej części książki formy upowszechniania kultury, biblioterapia, arteterapia, muzykoterapia, aktywność ruchowa czy teatr, poparte licznymi opisami i przykładami prac uczniów dowodzą skuteczności podejmowanych działań i stanowią zachętę do kontynuacji i rozwijania analogicznych metod pracy. Należy przy tym nadmienić, że wszystkie rodzaje proponowanych sfer działalności przedstawione zostały jako warstwa teoretyczna ukazująca mechanizmy i procesy związane z fizycznością i psychiką osób niepełnosprawnych, a także jako warstwa praktyczna zawierająca gotowe propozycje rozwiązań.

Rozdział III: *Kulturowe aspekty niepełnosprawności* podejmuje rozważania na temat niepełnosprawności w zmieniającym się świecie i miejsc przypisanych na przestrzeni wieków osobom z dysfunkcjami. Wychodząc z odmiennych perspektyw naukowych i w szczególności odnosząc się do kontekstu kulturowego, autorzy dokonali przeglądu podejść do zjawiska niepełnosprawności począwszy od wierzeń starożytnych poprzez literaturę aż do wymiaru ezoterycznego. Postawienie problemu w świetle psychologii poznawczej, religii, antropologii czy fi-

lozofii wskazuje na obecność tej tematyki w różnych nurtach nauki i czasem na kontrowersyjny wręcz sposób jej postrzegania. W tej części opracowania podjęto ponadto próbę odpowiedzi na pytania związane z istotą rozwoju osobowego człowieka (dotyczące procesu wzrastania w kulturze i do twórczości), zajęto się też kwestią postaw wobec cierpienia i nadziei w życiu człowieka. Autorzy zauważyli również, iż wobec zmian codziennego życia, wobec rozwoju technologii, przeobrażeń współczesnego świata na przestrzeni ekonomii, polityki czy edukacji, zaznacza się wyraźna potrzeba redefinicji pojęcia niepełnosprawności i konieczność nowego podejścia do zagadnień związanych z funkcjonowaniem jednostki w społeczeństwie. Miałoby się to dokonać niezależnie od jej sprawności fizycznej czy intelektualnej, zwiększenia wysiłków na rzecz integracji i wspomagania rozwoju osób ze

Idea integracji edukacyjnej kształtuje dalszą problematykę podnoszoną przez autorów omawianej książki. Zarówno spostrzeżenia dotyczące jakości kształcenia integracyjnego w percepcji uczniów uczęszczających do klas integracyjnych, jak i badania, którymi objęto nauczycieli klas integracyjnych, potwierdzają obranie właściwego kierunku i przekonują o adekwatności tego typu kształcenia – choć w dalszym ciągu nie wszystkie problemy zostały rozwiązane, a poziom świadomości społecznej dotyczący niepełnosprawności nie jest wystarczający. Niepokój budzi niedostateczne zainteresowanie problemem edukacji niepełnosprawnych w placówkach ogólnodostępnych, szczególnie, że wyniki osiągnięć szkolnych uczniów z upływem lat są niższe, czego nie odnotowuje się w przypadku nauczania specjalnego, a co w konsekwencji prognozuje niepowodzenia szkolne uczniów

Świat pełen znaczeń – kultura i niepełnosprawność. Red. Jolanta Baran, Sławomir Olszewski. Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2006

specjalnymi potrzebami oraz kształtowania postaw sprawnej części społeczeństwa wobec niepełnosprawnych.

Z kolei przeważającą część czwartego rozdziału, zatytułowanego *Edukacyjne i rehabilitacyjne konteksty niepełnosprawności*, stanowią analizy przeprowadzonych badań. Przedmiotem owych badań jest pomiar zdolności twórczych uczniów z wadami słuchu, niedosłyszących lub z niepełnosprawnością intelektualną. Przedstawione wnioski pozwalają na określenie skuteczności dotychczasowej działalności, dają podstawę do wieloaspektowej interpretacji, ale przede wszystkim wytyczają zadania do dalszej pracy. Są też przyczynkiem do poszukiwania sposobów określania potencjału twórczego, konstruowania programów i technik stymulujących zdolności twórcze oraz zreorganizowania i zindywidualizowania zajęć w celu rozbudzenia i rozwijania kreatywności uczniów.

z dysfunkcjami. Problemy dzieci o nieharmonijnym rozwoju stanowią niejako wyzwanie do podejmowania wysiłków w celu zminimalizowania ograniczeń i pomocy w ich przystosowaniu się i prawidłowym funkcjonowaniu w życiu społecznym. Konkretne wskazówki i sugestie, przykłady ćwiczeń usprawniających i treningów składają się na proponowane przez autorów programy terapii stymulującej i rozwijającej. Zawarte w opracowaniu wyjaśnienia zachowań problemowych i propozycje odnoszą się tym samym do pracy z dziećmi o różnych głębokościach i stopniach zaburzeń.

W podobny sposób realizują się tu rozważania poświęcone problemowi przemocy względem niepełnosprawnych; badania związku między postawami rodziców a przemocą wobec umysłowo upośledzonych dzieci rzuca nowe światło na zjawisko przemocy domowej. Wyabstrahowano bowiem czynniki generujące zachowania krzywdzące wobec dzieci przez ich rodzi-

ców oraz bufory niwelujące te czynniki, a wyprowadzone w ten sposób wnioski skłaniają do podejmowania działań skierowanych na kształtowanie postaw i podniesienie kompetencji wychowawczych rodziców.

Świat pełen znaczeń – kultura i niepełnosprawność już w tytule informuje o szerokich horyzontach interpretacyjnych, bogactwie treściowym i pojęciowym oraz o niedostrzeganych wcześniej kontekstach i znaczeniach. Niepełnosprawność, o której traktuje wiele pozycji bibliograficznych, doczekała się zupełnie odmiennego sposobu przedstawienia w aspektach aktu twórczego, odtwórczego i aktywnej recepcji.

Opracowanie nie wymaga polecenia, gdyż naturalna ciekawość poznawcza skłania człowieka do poszukiwań, a jedną z metod eksploracyjnych jest sięganie po fachową, idącą z duchem czasu literaturę. Dla wszystkich pragnących zgłębiać podjętą tematykę, niniejsza pozycja stanowi merytoryczną bazę wyjściową, propozycje zaś w niej zawarte z pewnością znajdą zastosowanie w pracy pedagogów, psychologów, terapeutów na co dzień obcujących z niepełnosprawnymi.

Bożena Krupa

Adam Kulawik

Wielka książka Ossowskiego

Kallimach z Kyreny, poeta i bibliotekarz w sławnej Bibliotece Aleksandryjskiej, mawiał: „Wielka książka – wielkie nieszczęście!" Czy mówił to Kallimach-poeta, wypowiadający się w skondensowanej formie epigramatów, czy Kallimach-bibliotekarz noszący ciężkie zwoje i tabliczki, na których treść „wielkich książek" była utrwalona? – trudno to rozstrzygnąć. W każdym razie ilekroć biorę „wielką książkę" do czytania, nieodparcie przypomina mi się Kallimachowa sentencja, i cieszę się, gdy żadna z tych wykładni nie znajduje potwierdzenia. Dzisiaj duża książka może być i wartościowa, i lekka.

Tak było i taka właśnie przyjemność mnie spotkała, gdy kończyłem lekturę obszernej rozprawy J. S. Ossowskiego zatytułowanej *Szarlatanów nikt nie kocha*, wydanej przez Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej w roku 2006. Jest to obszerne studium, omawiające przedwojenną twórczość K. I. Gałczyńskiego, i gdyby jego autor uzupełnił je rozdziałem poświęconym związkom poety z „Prosto z Mostu", byłaby to kompletna monografia twórczości poety w dobie międzywojnia, tylko że ta „wielka książka" byłaby jeszcze większa i liczyłaby nie 361 stron (zadrukowanych drobną czcionką), a pewnie 460.

Wydanie książki Ossowskiego zbiegło się z dwiema rocznicami i w jakiś sposób je uświetniło, tj. z setną rocznicą urodzin poety (2005) i pięćdziesiątą rocznicą śmierci (2003). Uświetniło, gdyż bez żadnej przesady należy stwierdzić, że w istniejącej bibliotece gałczyńskianów takiej pozycji nie było, jakkolwiek jest to biblioteka obszerna. Na jej tle książka Ossowskiego wyróżnia się nie tylko rozmiarami, ale przede wszystkim metodologiczną dojrzałością, przekonującymi, pogłębionymi interpretacjami i reinterpretacjami utworów, zarysowaniem dla nich kontekstu historycznego, politycznego, literackiego, wreszcie kulturowego, dzięki czemu dokonanie Ossowskiego jest niezwykle solidne.

Sam autor o swoim dokonaniu mówi skromnie, że nie jest ono „błyskotliwą syntezą, lecz raczej mozolnym do niej przygotowaniem", wszelako tego mozołu w jego książce nie widać i tylko ktoś, kto zna się trochę na tej robocie, wie, jakiego mozołu badawczego może być efektem.

Jerzy S. Ossowski, *Szarlatanów nikt nie kocha. Studia i szkice o Gałczyńskim*, Wydawnictwo Naukowe AP, Kraków 2006

Na zawartość tej prawie-monografii składa się dziewięć rozdziałów zgrupowanych w trzy części. Ich przedmiotem są: wyobraźnia poety, twórczość satyryczna, stosunek do tradycji literackiej, liryka okresu wileńskiego, wreszcie studium interpretacyjne *Balu u Salomona* i próba uporania się z katastrofizmem Gałczyńskiego. I jeszcze coś bardzo ważnego: przekonujące czytania tekstów w kategoriach neoekspresjonizmu. I trudno tutaj coś wyróżnić, bo wszystko niezwykle wartościowe i nowatorskie, jak np. świetna interpretacja powieści *Porfirion Osiełek* odczytanej jako powieść postmoder-

nistyczna, rekonstrukcja okresu wileńskiego, paradygmat satyryczny, doczytanie się motywów fantastycznych w *Balu u Salomona* czy wreszcie obalenie starej tezy o katastrofizmie buffo. A wszystko to jest efektem niezwykłej dociekliwości badawczej Ossowskiego i uporu w kwerendach.

Wartość konstatacji naukowych wynika nie z potwierdzeń istniejących sądów, lecz z formułowania sądów nowych, porządnie udokumentowanych, co jest szczególnie istotne w przypadku sporej liczby istniejących odczytań Gałczyńskiego, niekiedy odczytań skrajnie przeciwstawnych, nierzadko całkowicie chybionych lub krańcowo tendencyjnych. Ossowskiego - badacza cechuje skromność, ale i stanowczość sądów opartych na zgromadzonym materiale dowodowym; ma szacunek dla dokonań poprzedników i takt w polemice z badaczami, których sądów i ustaleń nie podziela. Ale ma też autor dużą odwagę, angażując w swoje dokonania badawcze pracowitość, oczytanie w ważnych dla XX w. tekstach literackich, filozoficznych, antropologicznych, teoretycznoliterackich (zob. Indeks nazwisk). Słowem Ossowski swoją humanistyczną kulturę, z której raz po raz zdaje sprawę, zharmonizował z tekstami Gałczyńskiego, ich historycznym kontekstem i ich odczytywaniem przez wcześniejszych i współczesnych badaczy, co dało efekt niezwykle wartościowy na tle całej gałczyńskologii. Powtórzę dobitnie i wprost: takiego opracowania jeszcze Gałczyński jeszcze nie miał!

Nie miejsce tutaj na obszerne omówienie książki Ossowskiego, więc ta recenzja jest tylko rekomendacją, która podkreślając walory książki będącej istotnym wkładem do naszej wiedzy o wybitnym poecie, musi być również refleksją nad warsztatem i postawą badawczą Ossowskiego.

Tak jak książka Jerzego Ossowskiego o Gałczyńskim wyróżnia się dzięki swoim rozmaitym zaletom na tle dokonań dotychczasowych, tak samego Ossowskiego wyróżnia coś, do czego on się jawnie przyznaje, a czego badacze dzisiejsi na ogół unikają, pragnąc zachować dystans wobec badanego zjawiska, w czym upatrują warunek swej naukowości. Ossowski *expressis verbis*, tu i tam, wyraża autentyczny zachwyt twórczością autora *Niobe* i ten zachwyt stanowi punkt wyjścia badacza-komentatora. Ossowski chce wiedzieć nie tylko to, co zawiera twórczość poety, ale także to, co w tej twórczości jest zachwycającego. I żeby jej artystyczną tajemnicę odkryć, sięga po analityczny skalpel, którego używa z niezwykłą precyzją. Postępuje więc zgodnie z dyrektywą starego Gastona Bachelarda: najpierw się zachwyć, zrozumiesz później! Dzięki przyjęciu tej dyrektywy mógł nam Ossowski zaproponować nie tylko przeróbki dawnych odczytań i konkretyzacji, lecz także coś w stosunku do nich całkiem nowego: hermeneutyczne transformacje i uzupełnienia. Jest to postawa świadomie przyjęta i świadomie wypracowana, o czym świadczy następujący passus: „odejście (we wspomnianej praktyce badawczej - A.K.) od analizy i interpretacji istoty i ducha poezji, od tajemniczej magii i jej oddziaływania, od łączenia teorii poezji z filozofią [...] trzeba uznawać dziś za niebywale groźny w swych skutkach przejaw dehumanizacji badań".

Ossowski ma odwagę powiedzieć - a współcześnie wobec rozmaitych wykoślawień w sferze estetycznych percepcji jest to odwaga - że jego czytanie Gałczyńskiego „było przygodą duchową pośród arcydzieł, choć nie pozbawioną ryzyka i niebezpieczeństw, ale też zgodnie z sensem Horacjańskiej idei dzieła literackiego czytaniem sprawiającym przyjemność".

Ossowski szanuje Gałczyńskiego i bierze serio jego dramatyczne wyznania, np.: „może jestem tylko quasi-prorok/ nie do komedii, lecz do osamotnienia, do wrzasku". Ten wrzask Gałczyńskiego nie był czystą ekspresją, lecz treścią poetyckich formuł, bo był on mistrzem tego, co Eliot nazwał korelatem obiektywnym, i swój egzystencjalny dramat wyrażał takie korelaty tworząc. Kto ich nie umie deszyfrować, tak jak Ossowski - a byli tacy wśród krytyków - nie powinien się na temat tej poezji wypowiadać.

Sam Gałczyński miał i nie miał szczęścia do komentatorów i niekiedy wypowiadał się o tych, do których szczęścia nie miał, w sposób ironiczny lub szyderczy, np. w *Bajce o sześciu tłumaczach* lub w takiej strofie: „Paganini zdanie drwiące/ zanotował jedne w łodzi:/ że sztuka jest jak słońce,/ recenzentom nic nie szkodzi!"

Co do komentatora Ossowskiego, powiem, że z niecierpliwością czekam na jego dalsze prace o autorze *Notatek z nieudanych rekolekcji paryskich* wiedząc, że niektóre studia już istnieją i złożą się zapewne w równie wartościową jak tutaj powierzchownie omówiona książkę.

Adam Kulawik

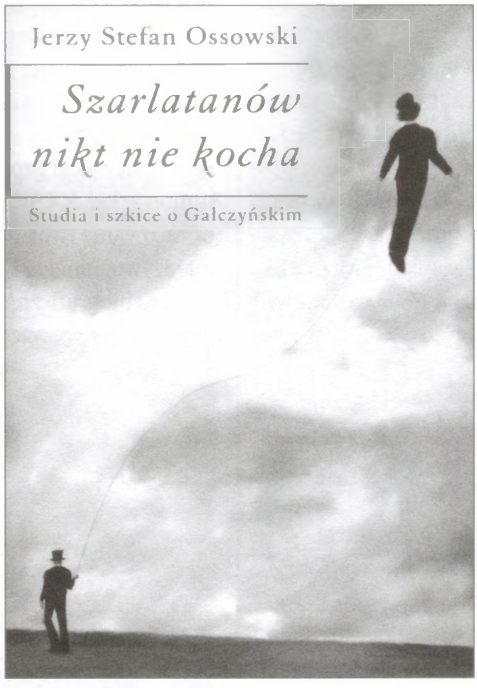

Bartosz Ochoński

45 lat pracy naukowej

W lutym br., z okazji 70. urodzin prof. Bolesława Farona, nakładem Wydawnictwa Edukacyjnego ukazała się publikacja sumująca 45-letni dorobek naukowy byłego Ministra Edukacji, dawnego Rektora Akademii Pedagogicznej i wieloletniego dyrektora Instytutu Filologii Polskiej AP.

Na opracowanie złożył się przede wszystkim obszerny, liczący blisko sześćset pozycji, wykaz podmiotowej bibliografii autorskiej. Materiał ten, zebrany precyzyjnie przez Iwonę Górny i Joannę Grzeszczuk, ujęty został w klarowny, łatwo przystępny klucz kompozycyjny. Podstawowe kryterium stanowiły kolejne lata naukowej pracy prof. Farona, podczas gdy w obrębie danego roku selekcji materiału dokonano na podstawie charakteru danej wypowiedzi naukowej, a konkretnie: pracy autorskiej (A), pracy redakcyjnej (PR), recenzji (R) oraz wywiadów czy odrębnych wypowiedzi (W). Ujednolicony w ten sposób zapis bibliograficzny pozwolił na krytyczną kumulację dotychczas istniejących bibliografii prof. Farona, a równocześnie spełnił wymogi przyjęte we współczesnej informacji naukowej. W niezwykle drobiazgowy sposób podjęto kwestię poszczególnych opisów bibliograficznych. W publikacjach zbiorowych, których prof. Faron był współautorem, wymieniono tytuły prac i nazwiska wszystkich wypowiadających się w danym opracowaniu badaczy, zaś w przypadku prac indywidualnych posłużono się precyzyjnymi wskazówkami odnośnie miejsca publikacji danego artykułu.

Drugą część pracy stanowi bibliografia przedmiotowa, zawierająca szereg artykułów prasowych dotyczących postaci samego badacza i krytyka literackiego. W nurt tych wypowiedzi doskonale wpisuje się też wprowadzenie, pióra Jana Pieszczachowicza. Pieszczachowicz podejmuje w niej próby syntezy i obiektywnego spojrzenia na wkład prof. Farona w studia historycznoliterackie XX w., a szczególnie w naukowe opracowanie twórczości okresu dwudziestolecia międzywojennego. Całość zamyka zgrabna i spójna nota biograficzna.

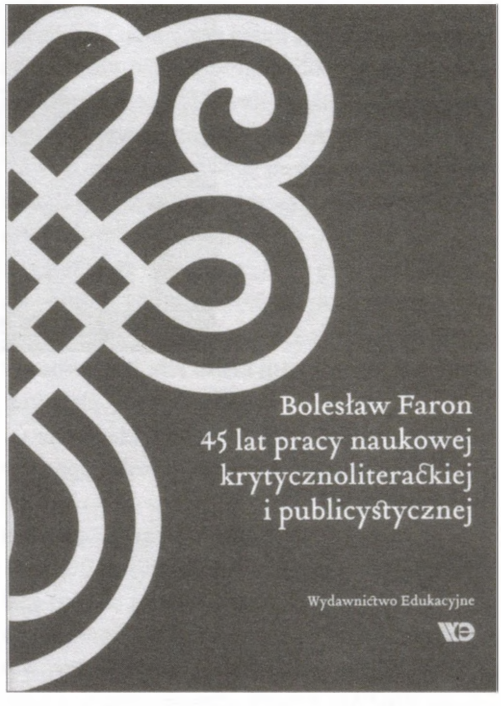

Maciej Wielobób

Ks. Jan Śledzianowski, *Zdrowie bezdomnych*

John Locke (1632-1704), wybitny angielski filozof, pedagog i lekarz, pisał: „Jak bardzo niezbędne jest zdrowie dla naszego sukcesu i szczęścia, [...] jest zbyt oczywiste, by potrzebowało jakiegokolwiek wyjaśniania". Głoszona w siedemnastym stuleciu prawda nie straciła nic ze swej ważności i dziś – w XXI w. Zdrowie wciąż stanowi wartość, bez której nie moglibyśmy realizować swoich celów; zasobem, który gwarantuje nasz społeczno-ekonomiczny rozwój i okazuje się środkiem do codziennego życia. Tematyka zdrowotna była i jest wciąż poruszana przez wielu autorów w ramach różnych dziedzin nauki, jednakże książka księdza Jana Śledzianowskiego wydaje się opracowaniem nowatorskim.

Ksiądz Śledzianowski, jeden z pionierów badań nad zjawiskiem bezdomności w Polsce, podjął się trudu zbadania tematyki dotychczas nie poruszanej na łamach literatury naukowej. Już we wstępie zaznaczył: „głównym celem pracy badawczej było określenie stanu zdrowia osób bezdomnych. Za cechy mające wpływ na przedmiot badań uznano: przyczyny bezdomności, strukturę rodziny badanych, ich wiek, wykształcenie, pochodzenie społeczne, czasokres trwającej bezdomności". Autor i jego magistranci objęli badaniami 1525 osób przebywających w schroniskach dla bezdomnych na terenie trzynastu województw Polski.

W pierwszym rozdziale omawianej pracy ksiądz Śledzianowski przedstawia zarys zajmujących go problemów. Autor, podkreślając lawinowe narastanie bezdomności w Polsce i na świecie, podejmuje się dokonania ustaleń definicyjnych na podstawie przeglądu literatury przedmiotu, a ponadto zajmuje się opisem zjawisk bezdomności z wyboru i z konieczności.

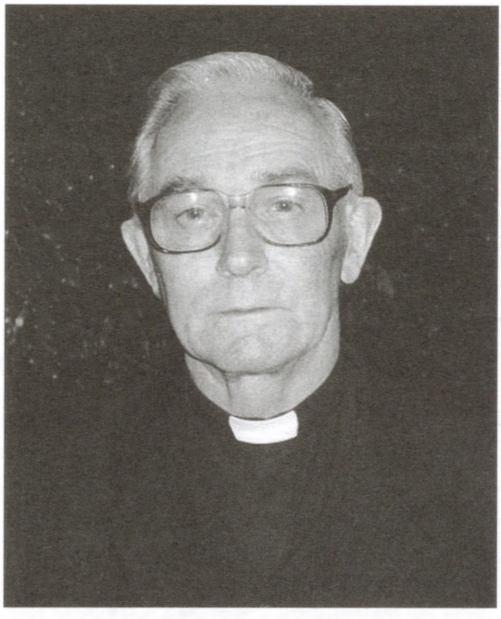

Ks. J. Śledzianowski

W kolejnym rozdziale opisana jest szczegółowo metodologia badań podjętych przez autora, jak również pomieszczona krótka charakterystyka schronisk objętych badaniami.

W trzecim rozdziale ksiądz Śledzianowski opisuje więzi osób bezdomnych z rodziną. Autor podkreśla, że „wielu z tych bezdomnych posiada jakieś miejsce zameldowania i swoją rodzinę, ale ze względu na skłócenie z nią i zerwane więzi nie może tam powrócić". Obserwacja ta poprzedza wnikliwe studium więzi bezdomnych z ro-

dzicami i rodzeństwem. Wstrząsające są wyniki badań zespołu księdza Śledzianowskiego, które wskazują, że choć połowa badanych ma chociaż jedno z rodziców, a 67% rodzeństwo, zdaje się to pozostawać bez wpływu na ich aktualną sytuację życiową. Dalej analizowany jest również stan cywilny osób bezdomnych i fakt posiadania przez nich dzieci. Rozdział podsumowują rozważania na temat negatywnych relacji rodzinnych jako jednej z głównych przyczyn bezdomności.

Następny rozdział opisuje czas trwania bezdomności oraz jej przyczyny w opiniach badanych osób. Jako najczęstsze przyczyny bezdomności badane osoby podają: rozpad małżeństwa i dysfunkcjonalność rodziny, bezrobocie, alkoholizm, utratę miejsca zamieszkania, choroby, bezmyślność własnego wyboru oraz brak praworządności. Autor część wymienianych przyczyn ilustruje także przykładami ze swej praktyki duszpasterskiej.

Autor ocenia zasoby zdrowotne badanych, poziom wykształcenia (przeważnie podstawowe i zawodowe), uzależnienia wpisane w ich osobowość (od: alkoholu, tytoniu, narkotyków, seksu), podejmuje również próbę oceny strat zdrowotnych wynikających z zaniedbania badanych (a dotyczą one przynajmniej 21% badanych). Z analizy przeprowadzonej przez autora wynika, że bardzo często przyczyną tych ostatnich jest alkoholizm, który prowadzi do różnych schorzeń somatycznych i psychicznych. Opisując społeczne uwarunkowania bezdomności i stanu zdrowia badanej populacji, ksiądz Śledzianowski koncentruje się na współodpowiedzialności rodziny za bezdomność oraz na działaniu pomocy społecznej, które zapobiega bezdomności. Wyniki badań swojego zespołu autor uzupełnia ilustracyjnymi przykładami z wizyt w ośrodkach oferujących pomoc społeczną. Po raz kolejny jest podjęty problem bezrobocia jako przyczyny

Ks. Jan Śledzianowski, *Zdrowie bezdomnych*. Kielce 2006, 227 s.

Piąty rozdział to studium zdrowia bezdomnych. Autor wyraźnie rozdziela choroby, na które cierpieli badani sprzed bezdomności, od chorób przez tę bezdomność wywoływane. Rozważaniami objęta jest także opieka medyczna dla tych osób: co interesujące – wyraźna większość bezdomnych jest zadowolona z metod i efektów pracy służby zdrowia. Dalej autor przedstawia aktualny stan zdrowia badanych podopiecznych w schroniskach św. Brata Alberta. Jak się okazuje, bezdomni w schroniskach najczęściej cierpią na choroby narządu ruchu, układu krążenia, dróg oddechowych, dalej: choroby psychiczne i neurologiczne, schorzenia przewodu pokarmowego i alkoholizm. Omawiane są również różne rodzaje niesprawności wśród podopiecznych schronisk, jak również opieka medyczna w tych placówkach.

W ostatnim rozdziale ksiądz profesor Śledzianowski podejmuje się całościowej oceny zjawiska bezdomności i stanu zdrowia badanej populacji na tle uwarunkowań psychospołecznych. bezdomności i problemów zdrowotnych. Autor zauważa: „Właśnie te trzy przyczyny: bezrobocie, alkoholizm i rozwód z żoną splatają się bardzo często w badanej reprezentacji ze sobą i skazują na nędzę, bezdomność".

Podsumowując tezy pracy w zakończeniu autor podkreśla, że zrujnowane zdrowie ma prawie połowa badanych, a do kategorii niepełnosprawnych należy zaliczyć ponad 30% podopiecznych schronisk dla bezdomnych. Zauważa też, że bezdomność często splata się z niepełnosprawnością, chorobami, uzależnieniami. W polityce prorodzinnej, postulującej jedność małżeńską i rodzinną, upatruje ksiądz Śledzianowski odpowiedni środek dla zapobiegania eskalacji problemu bezdomności. Jako ważny element profilaktyki bezdomności autor uznaje też rozwój gospodarczy państwa i kroki mające na celi zlikwidowanie bezrobocia.

Książka księdza profesora Jana Śledzianowskiego *Zdrowie bezdomnych* jest niewątpliwie

pracą zasługującą na uwagę osób zainteresowanych zagadnieniami polityki społecznej. Autor wnikliwie omawia zjawisko bezdomności i zgłębia dotychczas szerzej nie opisywany w literaturze przedmiotu problem zdrowia bezdomnych i jego uwarunkowań. Książka jest pozycją interesującą także ze względu na fakt, że autor pokazuje się w niej nie tylko od strony wnikliwego badacza rzeczywistości społecznej, ale również od strony duszpasterza pełnego troski o los bezdomnych. Osobiste zaangażowanie w problematykę pomocy bezdomnym czyni *Zdrowie bezdomnych* pozycją wyjątkową. Na pewno warto, by sięgnęli do niej nie tylko pracownicy społeczni, ale także pedagodzy i studenci pedagogiki w celu uwrażliwienia na mnogość zagrożeń stojących przed młodzieżą w poszukiwaniu swojego miejsca w społeczeństwie.

Maciej Janusz Wielobób

Książkę wydał i rozprowadza Zarząd Główny Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta.

Zdjęcie autora pochodzi ze strony Urzędu Miejskiego w Kielcach
http://www.um.kielce.pl

Magdalena Wierzańska

O uwarunkowaniach i przejwach agresji młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną

Agresja, to temat często podejmowany w literaturze naukowej, jednakże - w obliczu współczesnych problemów wychowawczych - nie wydaje się on być wciąż w pełni opisany. Książka Adama Mikruta: *Agresja młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną - uwarunkowania i przejawy*, stanowi kontynuację rozważań na temat ciągle aktualnego zjawiska agresji, jego przyczyn, uwarunkowań, mechanizmów działania oraz następstw.

Pierwsze cztery rozdziały swojej pracy autor poświęcił rozważaniom teoretycznym, kolejne sześć obejmuje prezentację badań własnych.

Na wstępie zaprezentowano uporządkowane spojrzenie na temat agresji, od przeglądu definicyjnego po klasyfikacje zjawiska (R. I), które umożliwiają dokładne zapoznanie się z tym zagadnieniem. Następnym krokiem analizy tematu jest przedstawienie uwarunkowań endogennych agresji (R.II). Jednakże autor pozwala sobie na tę prezentację wg samodzielnie dobranych czynników, a mianowicie: bodźców biochemicznych i genetycznych, funkcjonowania poznawczego, reaktywności, braku poczucia bezpieczeństwa oraz uczucia lęku. Takie ujęcie z jednej strony jest ciekawym i dokładnym studium zagadnienia, z drugiej zaś ogranicza kompleksowe spojrzenie na to złożone zjawisko wychowawcze.

W kolejnym rozdziale (R. III.) temat jest rozpatrywany od strony czynników egzogennych, ze szczególną analizą wpływu środowiska rodzinnego na rozwój zachowań agresywnych u dzieci. Zgodnie z oczekiwaniami autor prezentuje zależności pomiędzy postawami rodzicielskimi, stylem wychowania a zachowaniami agresywnymi dzieci, rozszerzając to zagadnienie o zjawisko przemocy domowej, będącej klasyczną przyczyną postaw agresywnych dzieci i młodzieży. Pisząc o czynnikach środowiskowych nie

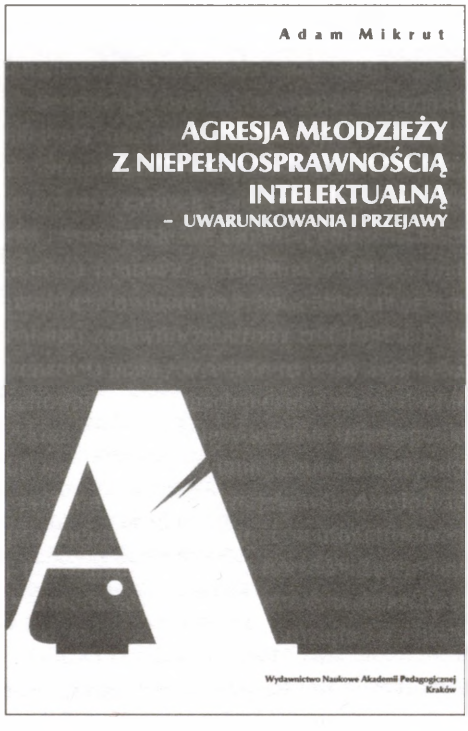

można pominąć szkoły, która jest miejscem uzupełniającym kształtowanie osobowości dziecka i na polu którego bardzo często dokonuje się pierwszej profesjonalnej diagnozy zachowań agresywnych wychowanków.

Rozdział IV to syntetyczna analiza zjawiska agresji u osób z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim. W poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie o uwarunkowania agresji u tej grupy młodzieży, autor prezentuje komplementarne zebranie wybranych wyników badań prowadzonych w latach 80. (Bartkowicz, Bobek), latach 90. i po roku 2000 (Giryński, Skowrońska, Mikrut, Kawula i Namiotko), dające obraz głównych założeń naukowych poszukiwań, wykorzystanych narzędzi badawczych oraz wniosków w poszczególnych latach. Niestety nie ma jednoznacznej odpowiedzi, bowiem różne badania wskazują różne wyniki, nie pozwalające na uogólnienia. Dlatego też upośledzenie nie wydaje się być samo w sobie przyczyną zachowań agresywnych. Dokonane analizy wybranych grup badawczych wskazują, że mamy do czynienia z dwoma równie często występującymi wzorami zachowań: biernym, wycofanym oraz aktywnym, przejawiającym agresję. Podobne wątpliwości pojawiają się przy próbie określenia dominującej formy i struktury zachowań agresywnych u osób upośledzonych w stopniu lekkim. Jednak po przeanalizowaniu dotychczasowych badań, autor pozwala sobie stwierdzić, że „za uzasadniony należy przyjąć wniosek, iż dla osób z lekkim upośledzeniem umysłowym szczególnie charakterystyczna jest przede wszystkim agresja werbalna", co potwierdzają zarówno arkusze obserwacyjne jak i testy psychologiczne wykorzystane przez poszczególnych autorów. W świetle literatury i badań diagnostycznych można natomiast stwierdzić, że znaczące są uwarunkowania organiczne, osobowościowe oraz środowiskowe, które mogą mieć wpływ na rozwój zachowań agresywnych.

W kolejnych rozdziałach autor dokonuje prezentacji badań własnych, których celem był opis i wyjaśnienie roli wybranych czynników (biopsychospołecznych i środowiskowych) w procesie kształtowania zachowań agresywnych u osób z upośledzeniem lekkim. Grupa 142 uczniów szkoły zawodowej (zarówno chłopców jak i dziewcząt) w wieku 16-19 lat została poddana badaniom diagnostycznym, do których wykorzystano metodę psychometryczną (diagnoza wybranych cech: agresja, lęk, poczucie bezpieczeństwa, postawy rodzicielskie, przemoc domowa), obserwacji (diagnoza reaktywności uczniów) i eksploracji (analiza dokumentów na temat formalnych danych o uczniach).

Adam Mikrut, *Agresja młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną – uwarunkowania i przejawy*. Kraków 2005

Reasumując, wyniki autora potwierdzają doniesienia literatury naukowej, wskazując że wszystkie zakładane czynniki biopsychospołeczne (zwłaszcza brak poczucia bezpieczeństwa, lęk) i środowiskowe (ze szczególnym wskazaniem na postawę odrzucenia ze strony rodziców, liberalny model wychowania oraz przemoc w domu zarówno ze strony rodziców jak i rodzeństwa) mają zdecydowany wpływ na rozwój zachowań agresywnych u osób z upośledzeniem lekkim. Jednakże, zdecydowanie należy podkreślić, iż zjawiska te – zdaniem autora – „wynikają z podobnych przyczyn jak wśród młodzieży sprawnej intelektualnie i manifestowane są w podobnym nasileniu." (s. 262). Zatem badania autora są kompatybilne z dotychczasowymi wynikami badań, potwierdzając względnie trwałe na przestrzeni lat uwarunkowania agresji dzieci i młodzieży. Wniosek ten wydaje się być

dobrym początkiem do dyskusji naukowej – być może w innej publikacji – na temat pracy terapeutycznej oraz przeciwdziałania temu zjawisku w obliczu współczesnych warunków życia.

Wyżej opisana praca stanowi rzeczowe zebranie wiedzy naukowej na temat wyselekcjonowanych uwarunkowań agresji u osób z niepełnosprawnością intelektualną, zarówno od strony pedagogicznej jak i psychologicznej. Na wartość pozycji zdecydowanie wpływa szczegółowy przegląd badań i doniesień naukowych przełomu XX i XXI wieku. Adam Mikrut stworzył bogate źródło wiedzy, które znajdzie zastosowanie w pracy pedagogiczno-psychologicznej w obrębie zjawiska agresji, nie tylko osób z niepełnosprawnością intelektualną. Jednakże, należy podkreślić dominującą wartość teoretyczną pracy nad zagadnieniami praktycznymi, które nadal oczekują aktualnego, naukowego opracowania.

Magdalena Wierzańska

Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej

przedstawia Jolanta Grzegorzek

ul. Podchorążych 2
30-084 Kraków
tel./fax (012) 662-63-83
tel. (012) 662-67-56
http://www.wydawnictwoap.pl
e-mail: wydawnictwo@ap.krakow.pl

HENRYK ŻALIŃSKI
Instytut Historii

Kraj – Emigracja – Niepodległość. Studia i szkice

Znaczący dorobek naukowy, będący wynikiem wnikliwych badań prowadzonych już od wielu lat w polskich i francuskich archiwach i bibliotekach, ugruntował pozycję Autora jako wybitnego uczonego, badacza dziejów Polski XIX wieku.

Antoni Cetnarowicz

Zbiór 15 studiów i szkiców prezentuje ważne wydarzenia i fakty z dziejów Polski porozbiorowej, różne teorie i koncepcje oraz konkretną działalność ugrupowań lub pojedynczych osób w kraju i na emigracji, których łączył jeden wspólny cel – niepodległość.

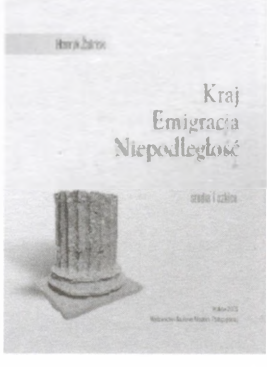

Zawartość (wybór): Hugo Kołłątaj w powstaniu kościuszkowskim; Jan Skrzynecki w wojsku Napoleona; Zapomniane pamiętniki z powstania listopadowego; Koncepcje powstania zbrojnego w ideologii Towarzystwa Demokratycznego Polskiego; Powstanie zbrojne w doktrynie Hotelu Lambert; Wizje ustrojowe Polski odrodzonej w myśli społeczno-politycznej Wielkiej Emigracji

Prace Monograficzne nr 454, format A5, s. 236

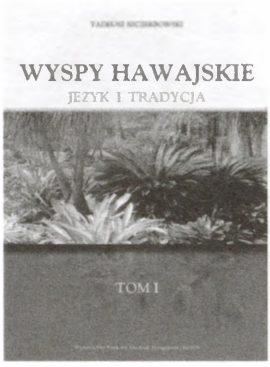

TADEUSZ SZCZERBOWSKI
Instytut Neofilologii

Wyspy Hawajskie. Język i tradycja. Tom I

Niezwykła książka niezwykłego autora, który daje pierwszy polski wizerunek egzotycznego języka hawajskiego i szkic kultury Wysp Hawajskich. Stworzenie tego dzieła wymagało kompetencji nie tylko językoznawczej, ale i antropologicznej. Autor ją posiada: zawdzięcza ją m.in. inspiracji dziełami Bronisława Malinowskiego.

Krystyna Pisarkowa

Praca zawiera wyczerpujący opis języka hawajskiego oraz szkic kultury Wysp Hawajskich, ważny nie tylko dla badaczy regionu, ale także dla lingwistyki kulturowej i typologii. We wstępie Autor daje przegląd polskich stereotypów o Hawajach i konfrontuje je z podstawowymi faktami historycznymi. Centralna część pracy zawiera strukturalistyczny i funkcjonalny opis gramatyki języka hawajskiego wraz z ilustracjami i charakterystyką słownictwa. W dalszych częściach znalazły się cztery teksty hawajskie oraz słownik hawajsko-polski i polsko-hawajski.

Prace Monograficzne nr 456, format B5, s. 358

BARBARA DYDUCH
Instytut Filologii Polskiej

Między słowem a obrazem. Dylematy współczesnej polonistyki

Pierwsza poważna rozprawa naukowa ogarniająca całokształt obszaru badawczego związanego z istotą i funkcją obrazu w dydaktyce polonistycznej – tak w refleksji teoretycznej, jak i w opisie reguł praktycznego działania.

Bożena Chrząstowska

Przedmiotem rozważań Autorki jest lektura obrazu i jego rola w edukacji polonistycznej, przy preferencji dla właściwego jej obrazu nieruchomego. Dopełniają je projekty programów edukacji ikonicznej dla ucznia i nauczyciela.

Zawartość: I. Obraz w edukacji polonistycznej; II. Teoretyczne modele lektury obrazu; III. Uczeń wśród obrazów; IV. Obraz jako narzędzie w polonistycznej edukacji; V. Wśród słów i obrazów czyli o zdradzie wizerunków; VI. Refleksje i dylematy – uwagi i program

Prace Monograficzne nr 458, format A5, s. 170

DANUTA WALOSZEK
Instytut Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej

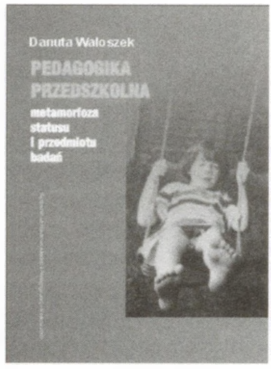

Pedagogika przedszkolna. Metamorfoza statusu i przedmiotu badań

Praca ta stanie się ważnym wydarzeniem w nurcie wydawnictw pedagogicznych i elementem trwałym kanonu pedagogicznej literatury przedszkolnej.
Tadeusz Pilch

Praca dotyczy bardzo ważnej problematyki edukacji dzieci najmłodszych, tj. w wieku przedszkolnym. Ma charakter interdyscyplinarny; zawiera rozważania z zakresu pedagogiki, ale także filozofii, socjologii, psychologii, literatury czy malarstwa.

Zawartość: I. Historyczno-epistemologiczne podstawy pedagogiki przedszkolnej; II. Metodologiczne problemy pedagogiki przedszkolnej; III. Wybrane teorie człowieka jako podstawa pedagogiki i edukacji w dzieciństwie; IV. Cele w edukacji dzieci – pojęcie, rodzaje, źródła; V. Zabawa jako problem pedagogiczny; VI. Zadaniowa strategia w edukacji; VII. Dzieciństwo zapomniane i niczyje

Prace Monograficzne nr 449, format B5, s. 402

JANINA WYCZESANY, ZENON GAJDZICA
Katedra Pedagogiki Specjalnej

Uwarunkowania edukacji i rehabilitacji uczniów o specjalnych potrzebach w rozwoju

Książka-podręcznik zarówno dla osób wykładających pedagogikę specjalną, jak i ją studiujących. Powstała jako wyraz refleksji nad rolą procesu edukacji i rehabilitacji w ukierunkowaniu działań wspomagających rozwój dziecka.

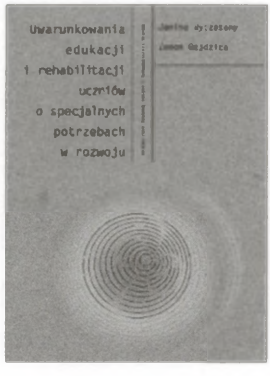

Zawartość: I. Niepełnosprawność człowieka a uwarunkowania postaw społecznych; II. System kształcenia specjalnego na przykładzie kształcenia dzieci i młodzieży z lekkim upośledzeniem umysłowym; III. Podstawy integracji dzieci i młodzieży ze specjalnymi potrzebami w rozwoju; IV. Dziecko z lekkim upośledzeniem umysłowym w roli ucznia; V. Diagnoza i terapia dzieci o specjalnych potrzebach edukacyjnych; VI. O wychowaniu i kształceniu dzieci o specjalnych potrzebach edukacyjnych w szkole ogólnodostępnej; VII. O aktywności ucznia niepełnosprawnego umysłowo w procesie kształcenia ogólnodostępnego; VIII. Samoocena uczniów upośledzonych umysłowo w stopniu lekkim; IX. Rola nauczyciela w procesie rewalidacji dzieci i młodzieży o specjalnych potrzebach edukacyjnych; X. Podręcznik w pracy nauczyciela z dzieckiem lekko upośledzonym umysłowo

Prace Monograficzne nr 447, format B5, s. 206

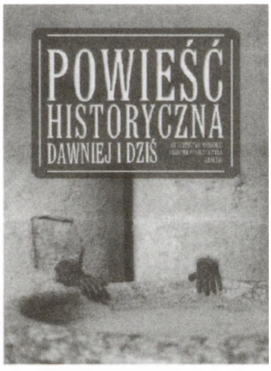

RENATA STACHURA, TADEUSZ BUDREWICZ, BOLESŁAW FARON (RED.)
KAZIMIERZ GAJDA (WSPÓŁPRACA)
Instytut Filologii Polskiej

Powieść historyczna dawniej i dziś

Celem tej publikacji jest pokazanie przeszłości i teraźniejszości powieści historycznej, przemian i fluktuacji gatunku od, mówiąc najogólniej, powieści walterscotowskiejwalterskotowskiej, inspirującej największych pisarzy XIX wieku, do postmodernistycznych gier i z materią historyczną, i z czytelnikiem. Wielość zagadnień owocuje różnorodnością tekstów przywołujących twórców rozmaitych: ongiś popularnych, dzisiaj zapomnianych, pisarzy-eksperymentatorów, twórców dwudziestowiecznych. Dopełnieniem rozważań polskich badaczy są głosy badaczy z Wiednia i Grodna.

format B5, twarda oprawa, s. 632

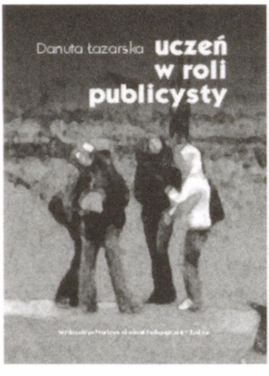

DANUTA ŁAZARSKA
Instytut Filologii Polskiej

Uczeń w roli publicysty. Przygotowanie piętnastolatków do życia społecznego w kształceniu polonistycznym

Autorka skupia uwagę wokół problemu wprowadzania uczniów gimnazjum w sferę publicystyki. Uświadamia, iż kwestie publicystyki pozwalają nie tylko wykorzystywać i inspirować społeczne zaangażowanie młodzieży, ale wpływają też na kształtowanie się osobowości oraz przyczyniają do formowania młodego człowieka. Mogą ponadto służyć realizacji zasadniczych celów edukacji polonistycznej: doskonaleniu kompetencji komunikacyjnej i wprowadzaniu w kulturowy obraz rzeczywistości.

Zawartość: Cele edukacji polonistycznej; Szkoła miejscem przygotowania młodzieży do udziału w życiu społecznym i w kulturze; Publicystyczne zainteresowania uczniów; Kompetencje piętnastolatków w redagowaniu wypowiedzi publicystycznej

Prace Monograficzne nr 453, format A5, s. 166

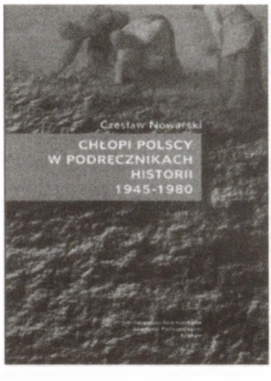

CZESŁAW NOWARSKI
Instytut Historii

Chłopi polscy w podręcznikach historii 1945–1980

Refleksje wybitnego dydaktyka historii nad wpływem kierunków i tendencji w badaniach historycznych oraz warunków politycznych na sposób nauczania historii. Wyszedł z założenia, że istnieją zależności pomiędzy badaniami historycznymi a treścią podręczników. W tym celu skonfrontował prace historyków z powojennymi podręcznikami. Interesowała go przede wszystkim faktografia, interpretacja i ocena dziejów.

Zawartość: I. Położenie chłopów polskich z perspektywy wieków i w ujęciu narracji podręcznikowej; II. Paradygmat walki chłopów z wyzyskiem, najazdami i niesprawiedliwością: dziejowa konieczność czy prawidłowość przemian społecznych?; III. Rozwój świadomości i aktywności społeczno-politycznej chłopów polskich

Prace Monograficzne nr 450, format A5, s. 184

WOJCIECH MAJKA
Instytut Neofilologii

Avatars of the Libido

Autor zanalizował pojęcie „libido" i ukazał różne jego atrybuty w psychologii, filozofii, religii oraz literaturze. Tłem intelektualnym pracy jest w głównej mierze psychologia i filozofia Carla Gustava Junga oraz Zygmunta Freuda.

ZAWARTOŚĆ: I. In Libido; II. Prolegomena to the libidinality in religion and philosophy; III. The Psychopopeia of text

Prace Monograficzne nr 460, format B5, s. 154

IRENEUSZ KOWALEWSKI
Katedra Wychowania Obronnego

Kultura zdrowotna studentów. Diagnoza i perspektywy

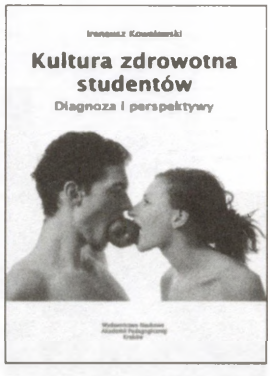

Praca o charakterze diagnostyczno-projektowym. Autor przedstawia poziom kultury zdrowotnej studentów, opisuje i ocenia działania dydaktyczno-wychowawcze w krakowskich szkołach wyższych na rzecz jej kształtowania oraz prezentuje nowy, kompleksowy model edukacji zdrowotnej w uczelni.

ZAWARTOŚĆ: 1. Stan zdrowia somatycznego studentów; 2. Stan zdrowia psychicznego oraz wybrane zachowania zdrowotne studentów; 3. Charakterystyka klimatu społecznego szkół wyższych w Krakowie; 4. Ocena programów kształcenia; 5. Propozycja rozwiązań modelowych

Prace Monograficzne nr 436, format A5, s. 170

ELŻBIETA MASTALERZ, EWA GAŁĄZKA
Instytut Techniki

Inspiracje do aktywizującej uczniów edukacji ogólnotechnicznej

Książka ma pomóc nauczycielom edukacji techniczno-informatycznej w przygotowaniu młodego człowieka do życia w kulturze technicznej.

ZAWARTOŚĆ: Metody aktywizujące szansą dla edukacji; Charakterystyka metod aktywizujących; Przykłady konspektów lekcji techniki i informatyki; Propozycje krzyżówek dydaktycznych; Propozycje gier dydaktycznych

Nowoczesna Szkoła nr 14, format A5, s. 240

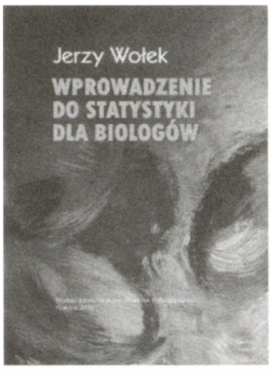

JERZY WOŁEK
Instytut Biologii

Wprowadzenie do statystyki dla biologów

Podręcznik statystyki adresowany do wszystkich, którzy – z racji swych zainteresowań zawodowych – mają do czynienia z różnymi formami materii ożywionej. Mogą więc z niego korzystać przedstawiciele tych specjalności, które zalicza się do nauk biologicznych, a więc systematycy, cytologowie, genetycy, ekologowie, fizjologowie, a także przedstawiciele nauk medycznych, rolniczych, pedagogicznych itp.

ZAWARTOŚĆ: Część I. Podstawy teoretyczne; Część II. Metody statystycznego opisu; Część III. Metody statystycznego wnioskowania.

format B5, s. 422

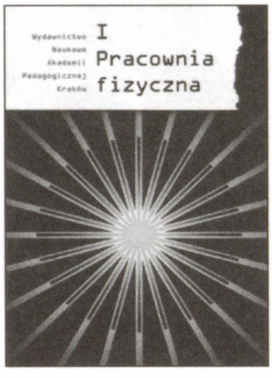

CZESŁAW KAJTOCH (RED.)
Instytut Fizyki

I Pracownia fizyczna

Skrypt przeznaczony dla studentów kierunków: fizyka, matematyka, biologia i edukacja techniczno-informacyjna. Przedstawiono w nim 28 rozwiniętych instrukcji do ćwiczeń laboratoryjnych w obrębie I Pracowni fizycznej. Opis każdego ćwiczenia zawiera: wstęp teoretyczny, literaturę, zagadnienia do kolokwium dopuszczeniowego do wykonania ćwiczenia, cele ćwiczenia, spis wykorzystywanych przyrządów oraz tok postępowania w trakcie wykonywania ćwiczenia.

ZAWARTOŚĆ: A – Mechanika; B – Fizyka cząsteczkowa; C – Elektryczność; D – Fizyka współczesna

format B5, s. 140

Mariusz Drohomirecki, *Zaułek ul. Poselskiej* olej/płótno, 90x73 cm

Mariusz Drohomirecki, *Barki na Wiśle* olej/płótno, 150x70 cm

Mariusz Drohomirecki

Panorama z kościołem na Skałce, 2002, olej/płótno, 60x100 cm

Bulwary nad Wisł 50x55 cm